



GIEORGIJ GULIA

Echnaton
władca
Egiptu



Georgij Gulia
Echnaton
władca Egiptu

powieść

Tłumaczył

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

CZYTELNIK • 1978 • WARSZAWA

Tytuł oryginału Фараон Эхнатон

Obwolutę i okładkę projektował JACEK PRZYBYSZEWSKI

© Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Warszawa 1971

„Czytelnik”, Warszawa 1978, Wydanie III.

Nakład 30 290. Ark, wyd. 18,5; ark, druk. 26,75.

Papier druk, m/gł. 82X104, ki. IV, 70 g. Oddano

do składania 24II1978 r. Podpisano do druku

18X1978 r. Druk ukończono w grudniu 1978 r.

Olsztyńskie Zakłady Graficzne

im. S. Pieniężnego.

Zam, wyd. 438; druk. 997. Cena zł 38,—

Printed in Poland

Od autora

Istnieją rzeczy niezapomniane.

Niezapomniany jest, na przykład, Egipt Starożytny, czyli — jak nazywali go sami Egipcjanie — Kemi.

Każdy, kto próbuje dotrzeć do źródeł cywilizacji światowej, musi sięgnąć do Egiptu. A kto choć raz zetknął się z jego historią, architekturą, rzeźbą czy literaturą, ten na całe życie staje się niewolnikiem pełnego wielu jeszcze tajemnic państwa Kemi.

W miarę jak oddalamy się od sędziwej starożytności, coraz bardziej rośnie nasze zainteresowanie krainą Kemi. W całym świecie. Nic więc dziwnego, że i ja znalazłem się wśród zaczerpniętych i przez lat trzydzieści studiowałem historię i sztukę tego kraju.

W ciągu trzech tysięcy lat ziemia egipska przeżyła trzydzieści dynastii. Faraonów było z pewnością znacznie więcej niż dwustu — tych półbogów w biało-czerwonych koronach. Jedni z nich panowali niezwykle długo, inni — czas bardzo krótki. Ramzes II zasiadał na tronie przez lat sześćdziesiąt siedem. Rekord jego został pobity dopiero przez faraona Pepi II, który panował w tym kraju prawie sto lat (strach pomyśleć, nawet jeżeli przyjmiemy, że był naprawdę półbogiem!). A Szeszank II nie zdążył nawet zasmakować jedynowładztwa: umarł w czasie sprawowania wspólnych rządów z Osorkonem II. Większość tych królów przeniosła się na Pola Iaru w wyniku śmierci naturalnej. Większość, ale nie wszyscy. Na przykład Amenemhat I

zabity został w swojej sypialni. Późną nocą...

Chcę powiedzieć, że faraonowie byli rozmaici i różny bywał ich los. Jedni byli mądrzejsi, inni głupszy. Bywali wojowniczy i mniej agresywni. Ale despotami byli wszyscy...

W niesłychanie długim łańcuchu faraonów jeden wyróżnia się szczególnie.

Odważnie obalił boga niebios Amona, który liczył sobie już ponad tysiąc lat i przez swoje ziemskie powiązania był niesłychanie potężny. Obalwszy Amona, ustanowił kult jedyne — widzialnego — boga Atona, kult tarczy słonecznej.

Nazywał się ten faraon Echnaton. Żoną jego była Nefertiti, której na przestrzeni tysięcy lat sądzone było podbijać serca niezliczonego mnóstwa ludzi. I nie tylko wśród egiptologów.

Nie odznaczał się wojowniczością, która cechowała na przykład Totmesa III. Za to panowanie jego obfitowało w znakomitych mistrzów — geniuszy architektury, rzeźby i malarstwa.

Za życia traktowany był różnie. Po upływie trzech tysięcy lat uczeni egiptolodzy również ustosunkowują się do niego rozmaicie. Jest to nawet dziwne. Jedni piszą o nim z zachwytem. Inni obzracają go błotem. Ale obojętny nie jest nikt!

Breasted tak go określa: „pierwszy indywidualista w dziejach”, „najbardziej niezwykła postać Starożytnego Wschodu”. Kees pisze: „to chorobliwy, wstrętny despot, niepohamowany w myślach i w czynach”. Pieriepiolkin i Korostowcew trzymają się, według mnie, pośrodku.

Posłuchajmy Vely'ego: „Echnaton powiedział pierwsze słowne słowo”. Posłuchajmy Bernarda: „Zwariowany epileptyk, który wyszedł z piekła, aby zniszczyć legendę o Ozyrysie”.

A oto opinia Gardinera: „Być tak mądrym jak on — znaczyło w owych czasach ściągnąć na siebie nieszczęście”. Scharff zaś ocenia Echnatona jako działacza politycznego, nietroszczącego się o interesy swojego kraju.

Petrie powiada: [Gdyby kult Atona] „miał stać się nową religią, zgodną z naszymi pojęciami naukowymi, nie moglibyśmy podważyć słuszności tego poglądu na energię Słońca”. Anthes zarzuca Echnatonowi nieograniczony racjonalizm, Lange, przeciwnie, wysoko ceni potęgę duchową Echnatona, uważając, że „zajmuje on stanowisko przeciwstawne racjonalizmowi i wyłonił się z głębin, aby spełnić misję kultury egipskiej”.

Weigoll widzi w nim natchnionego epileptyka i prekursora Chrystusa. Meyer i Maspéro tłumaczyli reformy Echnatona chęcią walki z kapłanami. Pawłow pisze: [Jego] „nauka... zadała ciężki cios konserwatywnym kapłanom tebańskim”. A oto co pisała Matthews: [Echnaton] „zdecydował się na otwarte zerwanie z arystokracją i kapłanami. [...] Tarcza słoneczna... została uznana za stwórcę świata i wszystkiego, co ten świat zamieszkuje”. Wilson twierdzi, że „rewolucyjna” partia Atona „nie okazywała zainteresowania podbojami kolonii”.

Wymieniłem nazwiska i przytoczyłem opinie znane egiptologom całego świata.

Taka jest rozpiętość sądów o osobie i reformie najjaśniejszego pana Nefer-Cheper-Ra-Wen-Ra Echnatona (czyli Nefchuru-ria, czyli Amenhotepa IV). Można by przypuszczać, że faraon umarł zaledwie wczoraj...

Wiem o nim wszystko albo prawie wszystko, co może wiedzieć człowiek żyjący w naszym stuleciu. Przeczytałem o nim stos książek naukowych i godzinami wpatrywałem się w jego rzeźbione podobizny w salach muzeum kairskiego. Jednakże książki są zanadto teoretyczne, a kamień niezmiernie zimny.

Chodziłem po ziemi El-Amarny, po ziemi, na której stało ongiś miasto Achetaton, stolica Kemi. Jak wiadomo,

paleontologowie na podstawie jednej kości odtwarzają wygląd mamuta. Ale na podstawie przepięknego marmurowego progu wśród ruin pałacu Nefertiti czy nawet na podstawie ogromnej mozaikowej posadzki – trudno sobie wyobrazić, co tutaj było: stolica Echnatona roztajała niby dom z lodu. Zresztą coś niecoś można sobie odtworzyć wzywając ku pomocy malowidła na sarkofagach i szósty zmysł...

Tak sprawy wyglądają.

A teraz powróćmy do naszego opowiadania. Rozpoczyna się ono w pierwszych dniach miesiąca farmuti (styczeń–luty), a kończy się w połowie miesiąca paopi (luty–marzec) roku 1347 przed naszą erą.

Miejsce akcji – Achetaton.

CZEŚĆ PIERWSZA

Na przeprawie

Czy można uchwycić granicę pomiędzy nocą i rankiem? Tak, z pewnością można. Nawet wówczas, kiedy zaczął się już miesiąc farmuti, gdy niebo ziębnie już od północy, nie zaś dopiero w godzinę przedświtu. Zawsze uchwycisz tę granicę, jeżeli stoisz nad brzegiem królowej rzek Hapi; jeżeli przeszedłeś przez ogień pustyni i piaszczysta patelnia paliła ci stopy; jeżeli jesteś zły i głodny; jeżeli serce twoje obróciło się w kamień, a każde twoje słowo jest niby ryk lwa...

— Długo czekałem na tę chwilę — z cicha odezwał się Nefteruf. Dyszał jak raniony zwierz. — Powiedziałem sobie: jeżeli ujrzysz Hapi, Nefterufie, uważaj się za niezmiernie szczęśliwego. Tak oto mówiłem sobie, Szeri, idąc po rozżarzonych węglach pustyni, oddychając żarem ziemi i parząc sobie nozdrza. Byłem gorszy od psa, Szeri: gotów byłem żreć padlinę.

W odległości stu kroków od miejsca, gdzie stali, była przeprawa. Nefteruf i Szeri słyszeli plusk wody i przytłumiony gwar ludzkich głosów. Na przełomie nocy i ranka zarówno cichy plusk, jak cichy gwar brzmi wyraźniej niżeli w dzień, kiedy wszystkie dźwięki świata zdają się współzawodniczyć między sobą.

Ktoś tam kogoś przekonywał, że łódź jest przepelniona, że jej burty już tylko na łokieć wystają nad wodą, że on nie może łamać rozkazu naczelnego zarządcy przepraw — jego jasności Pauacha... Drugi głos, brzęmiący głucho i spokojnie, oponował:

przecież są jeszcze miejsca w łodzi, jemu zaś — jako gońcowi — powinno się okazywać szczególne względy, nie wolno go zmuszać, aby czekał. Przewoźnik z uporem bronił swojej racji. A goniec żądał równie wytrwale. Wreszcie do sporu przyłączyło się jeszcze kilka głosów i już niepodobna było nic zrozumieć...

Ale oto zapaliła się latarnia na dziobie i łódź powoli odbiła od brzegu. Wszystko wskazywało na to, że gońca jednak wypa-
dło zabrać.

— Poznałem jego głos — powiedział Nefteruf i zazgrzytał zębami. Jak w febrze.

Był to wysoki mężczyzna o okrągłej twarzy. Brudne ła-
chmany okrywały jego ciało, łatwo więc można było pojąć, dla-
czego pragnął jak najprędzej — jeszcze przed świtem — prze-
prawić się na tamten brzeg. Zęby jego, mocne niby szkło z
Dżahi, lśniły w ciemności, świadcząc o sile fizycznej tego czło-
wieka.

Prawdziwe jego imię brzmiało zupełnie inaczej: Userkaaf.
było ono równie niepodobne do imienia Nefteruf, jak ten or-
dynarny oberwaniec i siłacz do arystokraty z Wasetu imieniem
Userkaaf.

— Ten goniec szuka mnie, Szeri.

Szeri odparł:

— Nie bądź taki podejrzliwy, Nefterufie. Uroiłeś sobie, że
cię ścigają. Popędzili za tobą w górę Hapi, a tymczasem tyś
tutaj, u bram stolicy.

Szeri stoi za Nefterufem, jak gdyby pragnął ukryć się przed
oczami, które wypatrują go z tamtego brzegu. Faraon ma —
trzeba mu oddać sprawiedliwość — wzrok jastrzębia, a gniew
jego rozciąga się na cały świat. Dlatego trzeba nieustannie mieć
się na baczności, trzeba mieć dziesięcioro oczu i dziesięcioro
uszu. I nigdy nie lekceważyć nakazów ostrożności! Urodzeni w
tych przeklętych czasach, żyjący na jednej ziemi z faraonem,
zmuszeni są przejmować zwyczaj drapieżnego zwierza:

częściej pęzać na brzuchu, niż chodzić wyprostowanym, szukać głębokiego cienia wystrzegając się światła. W Ej-n-ra, skąd pochodził Szeri, dobrze poznano tę prawdę.

Szeri różnił się od Neferufa zarówno charakterem, jak wyglądem zewnętrznym. Ten chudzielec Szeri był zupełnie inny. Zdawał się uzupełniać to, czego brakowało Neferufowi. Neferuf gotów był iść na oślep przez Wielką Pustynię Zachodnią, byleby osiągnąć cel. Szeri natomiast wołał żyzne — choć tak dalekie — brzegi morza, nazywanego Wielką Zielenią; wołał drogę krętą od prostej. Nieduży, żyłasty, mało widoczny wśród ciżby ludzkiej, Szeri jakby przez samą naturę stworzony był do przebiegłości i podstępów, do manewrów okrążających, do napaści z tyłu i zadawania ciosów w plecy — między łopatki.

Jego rodzice posiadali wielkie dobra ziemskie w Delcie. Ich domy uchodziły za najpierwsze w całym Ej-n-ra. Zaiste, byli to dostojni obywatele miasta, o którego pięknie mówiła i sławna przeszłość, i oblicze dnia dzisiejszego. Cóż się zatem zdarzyło? Czemuż to prześwietny niegdyś Szeri zmuszony jest włóczyć się o tak wczesnej godzinie po pustynnym brzegu i przeklinać grube, wysokie mury po drugiej stronie rzeki? Czemuż dostojny Neferuf musi upodabniać się do hieny żyjącej z dala od ludzi? Wszystko, wszystko poprzewracał do góry nogami ów zniewieściały człowiek, co śpi w tej chwili za grubymi, wysokimi murami Achetatonu. A snuć opowieść o tym wszystkim — nie wystarczyłoby jednego dnia...

Szeri powtórzył:

— Nie bądź taki podejrzliwy, Neferufie. To rzemieślnicy udają się do miasta. A tamten to łgarz: oświadczył, że jest gońcem, bo chciał zdobyć miejsce w łodzi.

Neferuf rozwarł zaciśniętą pięść i w ciemności, tuż przed

oczyma Szeriego, ukazała się wielka, zniszczona od ciężkiej pracy dłoń, którą czuć było potem.

— Widzisz ją? — spytał Nefteruf. — To tylko pusta dłoń, ale każda bruzda na niej jasna jest i zrozumiała, i czytelna niby znak na obelisku. I tak samo jasne i zrozumiałe jest dla mnie wszystko, co dzieje się w Kenii, w tym kraju pełnym cierpienia! Widzę naszego gnębiiciela z królewskimi oznakami dostojęstwa w ręku. Widzę i tych, którym dech zapiera praca i troska. Widzę arystokrację — wielką podporę Kemi we wszystkich latach jej istnienia, od niepamiętnych czasów! Chcę powiedzieć, Szeri, że słyszę nie tylko uszami, ale i sercem; widzę nie tylko oczami, ale i duszą. Amon został obalony, bogowie nasi — przekłęci, a wszyscy ludzie, którzy umieją myśleć, gniją w kopalniach złota. Mówię o tym, bom wszystko widział na własne oczy. Piłem zgniłą wodę i jadłem padlinę. I przyszedłem tutaj, gdzie mnie nikt nie czekał i nie czeka, gdzie są moi wrogowie, tu — do samego gniazda moich wrogów. Oto dokąd przybyłem!

Nefteruf mówił gorąco, a każde jego słowo było niby ryk lwa.

Łódź płynęła już gdzieś pośrodku Hapi. Światło na jej dziobie widać było wyraźnie, jak gwiazdę Sotis. A na tamtym brzegu — domy, domy, domy. Zupełnie jak procesja w wielkie święto. A pomiędzy nimi niby słońce — olbrzymi pałac. Wyłaniał się z mroku na przelomie nocy i poranka — jak zjawą, jak mi-raz na Pustyni Zachodniej. Dolną część jego murów rozjaśniało mgliste światło bijące z ognisk straży, podczas gdy dach czernił się ostro zarysowaną sylwetą na ciemnozielonym niebie. Drzewa z tajemniczego Puntu i drzewa z Reczenu, krzewy z wyspy Isi i drzewa z Dżahi porastały calutki brzeg. A ziemię dla nich przywieziono z daleka i drzewa posadzono w tej ziemi, i ziele- niły się drzewa tak samo zielono jak w Puncie czy Reczenu...

— Czy Droga Faraona biegnie wzdłuż rzeki? — zapytał Nefteruf z gniewem.

— Biegnie wzdłuż rzeki. I pałac, i świątynia wychodzą na tę drogę. A prosta jest ona jak strzała.

— Dokądże mam pójść?

— Wyszedłszy na tamten brzeg, pójdiesz w lewo. Zobacysz piekarnię i miniesz ją. Wąska uliczka wyprowadzi cię na plac, tak mały jak komnata. Stań twarzą ku wschodowi. Tam będzie dom. I zobaczysz okno — jedyne w swoim rodzaju: szerokie i wysokie. To Ka-Nefer tak je urządziła, aby w domu wiatr wiał na przestrzał. Okno zrobione jest na modłę hetycką. Powiem ci prawdę najprawdziwszą: ona będzie tobie przyjacielem. Jak mężczyzna.

Nefterufowi nie wystarczyło to zapewnienie. Wielka podejrzliwość zagnieździła się w jego sercu. Nie potrafił całkowicie zaufać kobiecie, zwłaszcza jeżeli była piękna — jak właśnie ta Ka-Nefer.

— Ona jest piękna. Bardzo piękna i miła — przyznał Szeri.
— Ale jej głowa to prawdziwe siedlisko męskiej dzielności i rozumu.

— Kim jest jej mąż?

— To rysownik i rzeźbiarz. Człowiek młody i spokojny. Urodził się i wychował w Wasecie. Od rana miesza glinę albo dłubie w kamieniu.

— Czy mają dzieci?

— Ona jest niepłodna.

Na dole, u przeprawy, ukazał się jakiś człowiek.

— Łódkę dla gońca! — krzyknął.

Gdzieś w szuwarach plusnęła woda pod wiosłami.

— Kto żąda? — rozległo się stamtąd pytanie.

— Goniec z Abu! Do najjaśniejszego pana, Życie, Zdrowie, Siła!

— Łódka idzie do przystani!

Nefteruf chwycił Szeriego za rękę.

— Słyszysz? — wyszeptał. — Teraz chyba nie będziesz się spierał!

— Tak.

— To po mnie!

— Nie.

— On doniesie, że uciekłem.

— Może być. Ale przecież uciekasz nie ty jeden. Nie tylko tobie obmierzło życie w kopalniach złota.

— To prawda.

Tymczasem goniec widocznie usadowił się już w łódce. I łódka popłynęła ku drugiemu brzegowi. Oni dwaj zaś ścigali ją wzrokiem, dopóki na środku rzeki nie pochłonęły jej ciemności przedświt.

Nefteruf nie odrywał oczu od miasta i jego sławnego pałacu. To było чудо, istne чудо, stworzone w ciągu kilkunastu lat za ledwie! Wyrosło miasto, wyrosło na pustynnej równinie. Miasto, pięknem nieustępujące przesławnej Niniwie albo nawet i samej stolicy Hetytów! Ale to jest przekłete miasto i budował je przekłety człowiek...

— Przekłety! — rzucił zdyszczanym głosem Nefteruf.

Szeri zrozumiał, o kim mowa.

— Ten zniewieściał zwyrodnialec zagnał nas do nory. W tej norze żremy ziemię. A w oczach naszych jest piasek! Cała arystokracja Kemi znajduje się w tej norze. Zapędził nas do nory! Przyszedłem, aby tutaj umrzeć. Ale umrę nie tylko ja! Nie tylko ja! Nie po to szedłem przez pustynię i nie po to jadłem ziemię...

Nefteruf szarpał odzież na piersi. Był jak wściekły bawół.

— Słyszysz, Szeri? On jest bydlę. To bydlę, bydlę, bydlę!

Szeri posadził przyjaciela na ziemi. Aby Nefteruf ochłonął. Aby rozsądek zapanował w nim nad gniewem... Długo jeszcze

przeklinał Nefteruf, lecz w końcu ucichł. Oddychał coraz równiej, wreszcie się uspokoił. Całkiem. Samum minął i wszystko przycichło.

I znowu powrócili do Ka-Nefer.

— Ona zawdzięcza mi życie — powiedział Szeri. — Dziesięć lat temu, kiedy zbudowano ten przeklęty Achetaton, porwali ją kupcy z Babilonu. Natknąłem się na nich w prowincji Goszen, a ona wtedy rzuciła się ku mnie. Jej matka jest Hetytką, a ojciec to dzielny żołnierz z Men-Nefer. Wyratowałem dwunastoletnią dziewczynę z niewoli. Powiadam ci, to lwica w postaci łagodnego dziewczęcia, a słowo Szeriego to dla niej prawo. Ona ciebie oczekuje.

Szeri podał swemu towarzyszowi kawałek papirusu — raczej strzępek — opatrzony pieczęcią i zawierający kilka tajemniczych słów, niezbyt zrozumiałych dla obcego.

Nefteruf chciwie wypatrywał w ciemności konturów łodzi. Według jego obliczeń — powinna już płynąć z powrotem. On zaś koniecznie musi się na nią dostać, inaczej rozwidni się całkiem, czego właśnie tak bardzo chciał uniknąć.

— Ile on ma lat? — spytał Nefteruf zwrócony twarzą ku rzece.

— Trzydzieści cztery, a może i trzydzieści pięć.

— Jest młodszy ode mnie o lat dziesięć.

— Tak, ale on jest cherlawy.

— Tacy żyją do stu lat.

— O nie!

— A ja mówię, że do stu! — Nefteruf gwałtownie odwrócił się ku Szeriemu. — Zdaje mi się, że oszaleję.

— Opanujże się, Nefterufie!

— Na pewno nie ma już naszych bogów! Nie ma na całym świecie!

— Nie bluźnij.

— Ani Amona-Ra, ani Ozyrysa, ani Izidy, ani Horusa, ani Tota... żadnego z nich nie ma!

— Zamilczcie!

Nefteruf uniósł pięści w górę:

— W takim razie dlaczego oni to wszystko znoszą? Skąd ta bezsilność? Odpowiedz mi na to, Szeri!

Szeri powiedział:

— Milczą do czasu. Ale ich wyrok będzie surowy.

— Brednie!

— Będzie niby grom.

— Głupstwa!

— Oni go obalą...

— Oni? Nigdy!

— I sąd ich będzie zaiste straszny!

— Jedynie my dwaj możemy go sądzić!

— Z ich pomocą, Nefterufie, z ich pomocą!

Nefteruf ponownie zaklął — zupełnie tak samo jak tam, w kopalniach. Od takich przekleństw trzeba zatykać sobie uszy. I wreszcie wykrzywiwszy się, jak gdyby zjadł skwaśniałą winną jagodę, powiedział:

— Wyłumacz mi, w czym tkwi siła tego niewieściucha. Nie uwierzę nigdy, że Kemi trzyma się tylko na garbie Echnatona. Nigdy! Muszę z całą pewnością wiedzieć, gdzie jest ten filar, na którym wspiera się sklepienie naszego państwa. Trzeba znać wroga prawdziwego, nie zaś podstawionego, fałszywego. Któż jest tym prawdziwym wrogiem, który wepchnął mnie do tej okropnej dziury? Rzucili mnie gdzieś het, omal ku źródłom Hapi. Popatrz no! Powiem bez przechwałki, że mogę walczyć sam na sam choćby z lwem. Nie dam się bestii! I że też ja dałem się pokonać temu człowiekowi o okrągłym tyłku! Toć ja nawet nie uważałem go za człowieka! Jego ojciec nieboszczyk, którego imię syn kazał pozeskrobywać ze wszystkich kamieni, budził szacunek. Choćby swoim wyglądem. A ten?...

Szeri przebiegł szybkim spojrzeniem po szczytach pałaców

i w myśli wyobraził sobie znieawidzonego faraona.

- On... — powiedział Szeri złowieszczu.
- Co on?
- Zdolny jest do wszystkiego!
- Nie wierzę.
- Zdolny jest do wielu rzeczy... Jeżeli popełnimy choćby najmniejszą nieostrożność, znajdziemy się pod ziemią. I ty, i ja. Obydwaj razem!
- Ty, Szeri, nie jesteś tchórz.
- Niby tak.
- Dlatego ci wierzę... Ale przecież wszystko — dosłownie wszystko! — mówi o jego łękliwej duszy.
- Na przykład co? — sucho zapytał Szeri.
- Wrogowie napadają zewsząd... Hetyci na północy... Aramejczycy... Etiopowie... Czyż tego nie dosyć?
- Nie.
- Dlaczego?
- Dlatego że on może nam obydwóm ugiąć karki. Wystarczy mu na to i siły, i woli. Zalecam ci: ostrożność, ostrożność i jeszcze raz ostrożność!
- Ale przecie w taki sposób człowiek stać się może nikczemnym próżniakiem. Ostrożność jest dobra, jeżeli ją ściśle odmierzyć.
- Właśnie o tym mowa.
- A tymczasem ty wydajesz mnie w ręce jakiejś piękności. Moim zdaniem, ostrożności trudno się w tym doszukać.
- O nie! — Szeri przerwał mu stanowczym gestem. — Nie, nie masz słuszności. Spotkasz się z nią. Potem zobaczymy się znowu. I wtedy wypowiesz swój sąd. A przed czasem nie uprzedzaj się do Ka-Nefer. Byłoby to dla mnie bardzo nieprzyjemne. Ona cię zapozna z jego jasnością Horemhebem...
- Z jego jasnością?! — wykrzyknął Neferuf. — To i Horemheb został już jasnością? Oto w jak cudownych żyjemy

czasach! Mogę sobie wyobrazić jaką chcesz jasność, tylko nie tego chama...

Szeri pozwolił mu się wygadać. Były skazaniec sypał teraz niewybrednymi przekleństwami, przeplatając je stekiem wyszukanych obelg. Rzeczą nierozsądną byłoby mu przerywać, wymagałoby to zbyt wielkiego wysiłku.

„...Ma on powód do gniewu: bardzo został skrzywdzony. Zaliste ten Nefteruf zjawiał się tutaj, w Achetatonie, aby wymierzyć sprawiedliwość. Jeżeli nie ten — to nikt! Albowiem nikt nie jest tak rozjuszony jak Nefteruf i nie ma człowieka silniejszego nad Nefterufa. On robi, co należy. Ma obowiązek to zrobić!...”

— Powiedziałeś już swoje, Nefterufie?

— Nie całkiem.

— Ja poczekam. Nie spieszno mi. Słucham.

Szeri mówił bardzo cicho i bardzo spokojnie. Potrafił w ten prosty sposób pohamować porywczego przyjaciela.

— Spokój, spokój, Nefterufie — dodał jeszcze.

— Nie mogę słuchać tego słowa! Gdybyś pomieszkał w dziurze, którą nazywają kopalnią złota w Żółtych Górach, postępowalbyś inaczej. Wtedy chwyciłbyś kamień i postarałbyś się rzucić go na dziedziniec tego przekłętego pałacu. — Nefteruf wskazał głową za rzekę. — Rzucić go w nadziei, że trafi on, gdzie należy.

— Zaraz będziesz musiał zejść na dół, ku rzece...

Czarnym cieniem podpływała ku przeprowie ogromna łódź. Tak, trzeba już iść. Szeri uznał za konieczne jeszcze raz uprzedzić swojego sojusznika.

— Nefterufie, będziemy ze sobą związani. W sposób niewidoczny dla obcych oczu. Ka-Nefer to dobry pośrednik. Musisz zadomowić się w tym mieście. Nie zdradź się! Odwołuję się do twojego rozsądku: uspokój się, weź się w garść, ostudź swoje serce.

— Straszna jest moja krzywda. Chciałoby się szlochać...

— Nie gorączkuj się!

Nefteruf rzekł zwracając się jakby do siebie:

— Oto my dwaj jesteśmy dzisiaj w jednym szeregu z nędznym pospółstwem, z wszelakim tałatajstwem. Wzięliśmy się z nimi za ręce. Jak równi. Oni stali się naszymi sprzymierzeńcami. Niebawem będziemy się im kłaniać. „Dzięki wam, nasi wybawcy! Dzięki, dzięki, dzięki!”

Nefteruf, ten lew, zgiął się we dwoje niby nędzarz i kłaniał się, kłaniał, kłaniał.

— Ostudź serce! — rozkazał Szeri.

— To byłoby niesłuszne! — powiedział Nefteruf wyprostowawszy się nagle. I twarz jego rozjaśnił dziwny uśmiech. — Posłuchaj, Szeri: oto ty, potomek wielkiego rodu, stoisz tutaj, a obok ciebie stoi niegodny prostak, chłop. Jesteś z nim w przymierzu, nazywasz go bratem, jeżeli i on staje przeciwko faraonowi. Tak zmieniły się czasy! Tak postępować nakazują wydarzenia w kraju! Wbrew twojej woli. I wbrew mojej. Nie mamy najmniejszej możliwości postępować inaczej. Musimy z całej siły trzymać się tego przymierza z motłochem, który grzęźnie w błocie!

Nefteruf splunął. Doznał uczucia obrzydzenia. Wszystko wydawało mu się wstrętne! Nienawidził siebie, Szeriego, nienawiść jego ogarnęła cały świat.

Szeri jest zdumiewająco spokojny.

— No cóż — odzywa się po chwili — uściśniemy i brudną łapę na znak przymierza. Byleby tylko pokonać tego potwora. Myślę o tym... Tylko o tym. Albowiem on pragnie twojej krwi i każdy jego wróg to nasz sojusznik. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — odburknął Nefteruf. — Dawno zrozumiałem.

I po tych słowach niemal biegiem ruszył ku przeprawie. Szeri doczekał chwili, gdy łódź ponownie odbiła od brzegu płynąc przez czarną jak atrament wodą. Lada moment nastanie świt. Noc zbliża się ku swemu kresowi. Zaraz ukaże się skraj poranka.

Szeri raz jeszcze obrzucił spojrzeniem leżącą za rzeką stolicę, wciągnął w płuca chłodne powietrze i powoli ruszył przed siebie z biegiem rzeki.

Sternik

Tych, co pragnęli przepłynąć na drugi brzeg Hapi, nie było znowu tak wielu: kilku chłopów z ordynarnymi workami z trzciny, kilku kamieniarzy z narzędziami oraz jacyś mieszkańcy miasta powracający z dalekich podróży. Pośrodku pokładu rozsiadł się główny sternik, tęgi mężczyzna w średnim wieku. Skóra jego, pomarszczona i spalona słońcem, przypominała korę starej palmy. Wydawał rozkazy chrypliwym głosem doświadczonego żeglarza. Spoglądając na niego Nefteruf odgadł, że sternik musiał pływać i do Ta-Neter, i na wyspę Isi. A może nawet jeszcze dalej. Gdzieś ku zachodowi, przez Wielką Zieleń.

W ciemności trudno było dostrzec wiosłarzy. Zdawali się siedzieć w jakiejś głębokiej czeluści piekielnej. Z dołu dochodziły ich ciężkie przerywane oddechy. Dozorca wiosłarzy miarowo wybijał takt na bębnie i łódź posuwała się powoli w stronę wschodniego brzegu Hapi.

Opłatę za przejazd przyjmował pisarz, który ulokował się obok sternika.

Nefteruf niedbałym gestem podał pisarzowi srebrną blaszkę, przypuszczając, że w zupełności wystarczy. Skryba nie od razu połapał się, co mu wręczono. Przyjrząwszy się dokładnie, pokazał blaszkę sternikowi i kiwnął w milczeniu w stronę Nefterufa. Sternik, który nazywał się Prejemhab, dołał rybiego tłuszczu do kaganka. Na pokładzie zrobiło się widniej.

Bujny płomień strzelał na dwa łokcie w górę, chwiejąc się wśród ciemności. Mrok dokoła stawał się od tego jeszcze głębszy. Prejemhab podszedł do byłego skazańca.

— Ja ciebie znam — powiedział.

Nefteruf nawet nie drgnął.

— Ty jesteś człowiek hojny — mówił dalej sternik. — Takich zapamiętuje się zawsze. Ale jeszcze bardziej wryła mi się w pamięć twoja małpa. Gdzie ona jest? I kiedy zaczniesz znowu zabawiać dobrych ludzi?

Nefteruf domyślił się, że wzięto go za jakiegoś włóczęgę, który zajmował się tresurą małp. Więc powiedział:

— Moja małpa zdechła. Pochowałem jej mumię z, wielkimi honorami. Niebawem przyślą mi nową.

— Czyżby taką z czerwonym zadem?

— Może i z czerwonym zadem.

Sternik spoglądał na niego z podziwem. Jego miedziano-rudą twarz rozjaśniał szczery dziecięcy uśmiech. „Wszyscy jesteśmy jak dzieci — pomyślał Nefteruf — kiedy mowa o zabawach.” Ten prostacki i nieobyty marynarz w gnieniu oka staje się dobrotliwym pocziwcem, jeżeli mu obiecać ciekawe widowisko, na przykład walkę babilońskich kogutów albo baranów z Reczenu. Ale nie ma chyba na całym świecie nic zabawniejszego niż etiopskie małpy...

— Posłuchaj — powiedział sternik nie odrywając rozjaśnionych oczu od byłego skazańca — może weźmiesz z powrotem swoje srebro? Przewieziemy cię darmo.

— Nie, dziękuję. Nie taki już ze mnie biedak.

— Rozumie się, że nie biedak... Powiedziałbym nawet, że przeciwnie... A kiedyż ty pokażesz nam swoją małpę?

- Już bardzo niedługo.
- Jeżeli ci będę potrzebny, zawsze jestem na przeprowie. A nazywam się Prejemhab.

Sternik odszedł ku swoim ludziom i zaczął z nimi rozmawiać szeptem, od czasu do czasu ruchem głowy wskazując na Nefterufa. To kiwanie głową nie sprawiało byłemu skazańcowi szczególnej przyjemności, chociaż starał się odgonić od siebie ponure myśli. „A może to pułapka?” — rozważał Nefteruf. I na wszelki wypadek przygotował się do skoku w wodę: lepsze krokodyle niż faraonowe zbiry!

Zrobił kilka kroków wzdłuż wysokiej burty. Ciężkie smrodliwe powietrze dochodziło z dołu. I nie tylko smród, ale i westchnienia, i postękiwania. Nie mógł ich zagłuszyć nawet bęben, wybijający takt dla wioślarzy. Z uderzeniami bębna mieszało się pobrzękiwanie łańcuchów. Wśród wioślarzy byli najwiodoczniej i galernicy. W chwilach gdy płomień rzucał silniejsze światło, można było dostrzec blade twarze w obramieniu czarnego zarostu. „Azjaci” — powiedział do siebie Nefteruf. Był nieodrodnym synem Kemi, pełnym szlachetnej pogardy dla Azjatów. Ale teraz żał mu się zrobiło tych ludzi, podzwaniających niewolniczymi łańcuchami.

Nefteruf oparł się łokciami o burtę i popatrzył na wodę. Z czarnej stała się ciemnogrnatowa, pewny znak zbliżającego się świtu. Całe życie wydało mu się podobne do tego Hapi, toczącego swe wody ku Wielkiej Zieleni z jakąś ponurą stanowczością, ale bez najmniejszej radości. Czyż nie takie same były owe lata, które przeżył Nefteruf? Ano przypomnijmy je sobie: od najwcześniejszego dzieciństwa, jak tylko sięgnąć pamięcią — ucisk. Stosował go najpierw ojciec obecnego faraona, Amenhotep III — oby nigdy nie zaznał spokoju! — a następnie on... ten zwyrodnialec. Nienawiść do rodziny Nefterufa nie dawała spokoju im obu. Nienawiść, a może zawiść z powodu bogactwa i

znakomitości rodu? I jedno, i drugie. Amon-Ra niech mu będzie świadkiem: to oni, faraonowie — ojciec i syn — rozpalili nienawiść między najznamienitszymi ludźmi Kemi. A ileż rodzin ucierpiało wśród tych, co ugruntowali sławę tego kraju, co napędzali strachu wrogom w dalekiej Azji...

Bęben ucichł. Sternik krzyknął:

— Suszyć wiosła z lewej burty! Z prawej wiosłować na pół siły!

Łódź wykręciła się i popłynęła z prądem.

— Suszyć wiosła z prawej burty!

Prawy brzeg Hapi, wyłożony blokami kamienia, zdobny w obeliski i niewielkie sfinksy, zbliżał się szybko. Wysokie maszty królewskich porpców witały łódź niby żywe istoty.

Sternik rzucił swoim pomocnikom krótki rozkaz, po czym podszedł do Neferufa.

— Dostojny panie — powiedział tonem, w którym brzmiało wzruszenie — mieszkam w tamtym domu, na lewo od przystani. U wejścia stoi wiosło. To znak. Po tym znaku wszyscy poznają mój dom. Jeżeli zapragniesz odwiedzić mnie kiedykolwiek, zaszczyć mój dom, zimne piwo i gorące placuszki znajdują się dla ciebie zawsze. Wszyscy będą ci radzi. Nie mówiąc już o mojej gospodyni, która lubi zabawne małpki. Prawdę powiedziawszy, to ona ciągnęła mnie na wszystkie przedstawienia uliczne.

„To źle. Kobieta łatwiej rozezna rysy zapamiętanego mężczyzny niż ten dobroduszny sternik. Bez wyjątkowej konieczności nie trzeba wchodzić w oczy jego żonie.”

— Jak ma na imię pani twojego domu? — spytał Neferuf.

— Tausert, dostojny panie.

— Powiedz jej, że wysoko cenię sobie uwagę, jaką mi okazała. Powiedz, że jej i jej dzieciom życzę największych

pomyślności, jakie tylko są możliwe pod błękitnym niebem.

— Powiem jej. Na pewno. Ale my jesteśmy bezdzietni. Twoje dobre słowa sprawią jej wielką radość. Mówią ludzie, że wy, poskramiacze wszelakich zwierząt, posiadacie szczególny dar.

— Tak, to prawda — przytaknęła obojętnie Nefteruf myśląc o czymś zupełnie innym.

— Opowiadał mi pewien kupiec chaldejski, że bywają na świecie ludzie, którzy mogą wszystko. Przywracają życie zabitym, a żywych zabijają swoim spojrzeniem na podobieństwo zatrutej strzały.

— Tak, tak właśnie jest.

— Czy mógłbym zadać jeszcze jedno pytanie?

— Tak — odpowiedział Nefteruf nie spuszczać baczego spojrzenia z pomocników sternika.

„...Ten pozornie straszny marynarz jest w gruncie rzeczy naiwnym dziwakiem. Jeżeli jego kobieta jest do niego podobna, nie mam się czego obawiać.”

Prejemhab mówił tymczasem drżącym ze wzruszenia głosem:

— Byłem, dostojny panie, na wyspie Keftiu i widziałem tam pewnego na wpół ślepego brodatego starca. Powiedział do mnie: „W sercu moim goreje ogień dobra i zła. Mogę wypuścić w każdego śmiertelnika strzałę dobra albo strzałę zła”. Tak mi powiedział ów półślepy starzec z wyspy Keftiu, która leży na Wielkiej Zieleni. Powiedz mi, jeśli możesz, czy i w twoim sercu płonie ogień dobra i ogień zła?

— Tak — odparł twardo były skazaniec.

Sternik w lęklwym onieśmieleniu rozdziawił gębę i wytrzeszczył oczy, jak gdyby ugodzić go miała śmiertelna strzała zła.

— Panie — rzekł z wysiłkiem — nasz dom zawsze będzie oczekiwał tak wielkiego człowieka, jak ty.

— Dziękuję.

— Moja pani, Tausert, zawsze będzie na twoje usługi.

— Dziękuję... Ale w jakimże znaczeniu „na usługi”?

Nefterufa rozweseliła nieco ta rozmowa; bardzo chciałby wiedzieć, w czym może mu być użyteczna żona sternika. Ów jednak całkowicie pozbawiony był poczucia humoru.

— I ja, panie poskramiaczu małp, jestem na twoje usługi.

— Dziękuję! — rzekł Nefteruf i w tejże chwili ostrzegł starogo: — Zdaje mi się, że uderzymy o brzeg.

Sternik wnet oprzytomniał. Spojrzał na przystań i krzyknął:

— Ej tam, świnię! W lewo ster, w lewo! Ostro skręcać, świnię, ostro!

I pobiegł, aby wziąć udział w ciężkiej pracy sterników.

Bazaltowe nabrzeże było coraz bliżej, również czarne w panującej ciemności. Ale łatwo odróżnić je od wody, albowiem natura ich jest różna — woda i kamień! Nefteruf zdobył w kopalni jeszcze jedną właściwość: węch jak u psa. Inaczej pachnie woda, inaczej ziemia, kamień zaś jeszcze inaczej. Ale i zapach kamienia nie jest jednaki. Bazalt trąci mchem. Granit — suchą trawą. Morski otoczak — solą, piasek w pustyni — kopytami wielbłądów i sierścią hien. Nefteruf gotów był iść o zakład z każdym, że nabrzeże Hapi jest z różowego bazaltu. A może istotnie w nim, byłym skazańcu, jest jakaś tajemna siła, którą odgadł ten sternik?

Wioślarze pokasływali, siąkali nosami, przepłukiwali gardła wodą. Chłopi zarzucili na plecy ciężkie wory i toboły. Rzemieślnicy niecierpliwie rzucili się ku trapowi. Oto łódź lada chwila dotknie kamiennego nabrzeża. Prejemhab wraz ze swymi pomocnikami z uwagą wyrównywał kurs: łódź ostro skręciła w lewo, lekko popłynęła z prądem i kierowana

umiejętnie wiosłem sterowym, wielkim i ciężkim, prawą burtą sunęła prosto ku nabrzeżu.

Nefteruf uparcie wpatrywał się w brzeg. Odgadywał — tym swoim węchem — obecność jakichś ludzi. Co to za jedni? Czy pragną przepłynąć się na lewy brzeg? A może to są strażnicy faraona? Trzeba być gotowym do odpowiedzi na pytania: ze strażą nie ma żartów. Pchać się tu, do stolicy, to po prostu głupota, to oczywiście szaleństwo, które albo go zgubi, albo wyniesie w górę niby papirusowy latawiec. Nefteruf poczuł gwałtowne bicie serca i nagłą słabość w kolanach. To zdarzało mu się rzadko. Inaczej jakże udałooby mu się uciec z kopalni, oszukać strażników, którzy rzucili się za nim w pogoń do Etiopii? Obdartus przybywający do stolicy nie wiadomo po co, nie wiadomo do kogo — to zbyt łatwa zdobycz dla straży faraona. Wcale nie potrzeba rozumu mędrca, aby podejrzewać w tym coś niezwykłego. Zresztą może to za ostro powiedziane: alboż mało tu przybywa nędzarzy, którzy szukają pracy przy budowie grobowców?

A jednak serce bije niespokojnie.

„...Mam za pazuchą nóż. Ten mnie nie zawiedzie. Mam truciznę w rękawie. I ona nie zawiedzie także. Straż faraona nie będzie miała sposobności, by się cieszyć i triumfować. W najlepszym razie dostanie się w jej ręce mój trup. I mogą go pokazać choćby samemu zwyrodnialcowi.”

Łódź dotknęła burtą kamienia. Oto już umocowano na brzegu linę rzuconą z dzioba i drugą — z rufy. Już przerzucono szeroki trap. Ludzie ruszyli naprzód i Nefteruf próbował zmieszać się z ciżbą.

Ale naraz poczuł na swoim ramieniu czyjąś ciężką rękę. Obejrzał się szybko: to był sternik.

— Panie — powiedział Prejemhab z szacunkiem — nie śpiesz się. Niech przejdzie to tałatajstwo.

Nefteruf wyprostował się dumnie i stanął obok wejścia na trap.

Straż na brzegu witała przybyłych niemymi pytaniami. Pasażer, któremu oświetlano twarz pochodnią, krótko wymieniał swoje imię i w paru słowach wyjaśniał cel przybycia do stolicy.

Kiedy przyszła kolej na byłego skazańca, wysunął się do przodu Prejemhab. Zakomunikował straży radosną wiadomość:

— Widzicie, kto do nas przybył?

Strażnicy podeszli bliżej. Jeden z nich uniósł pochodnię w górę.

— No? — zapytał sternik.

Strażnicy milczeli, niepewni, o co chodzi.

— Pamiętacie zeszłoroczną małpę z czerwonym zadem?

Żołnierze wybuchnęli zgodnym śmiechem. Jeszcze by też! Dobrze pamiętają małpę i jej właściciela, człowieka potężnego wzrostu i wielkiej siły, który obiecał poskromić lwa. No, narzecie przybył tu znowu! Ale gdzie jest małpa?

Sternik zaspokoił ich ciekawość:

— Niedługo i ona przybędzie!

Strażnicy rozstąpili się. Nefteruf, skinąwszy wszystkim na pożegnanie, poszedł przed siebie — powiedzmy szczerze — mocno zadowolony.

Ka-Nefer

Szedł zerkając ukradkiem na pałac, ciągnący się wzdłuż brzegu Hapi jasnoszarym ogromem swych murów. Inne zabudowania pałacowe ginęły w ciemnościach przedświt. Dalekie ognie nocnych straży wskazywały na rozmiary królewskiej siedziby — zaiste olbrzymie. Chociaż były skazaniec pałał nienawiścią do faraona, nie mógł przecież nie przyznać, że zabudowanie takiego miasta, i to w tak krótkim czasie, a w dodatku na pustynnym obszarze — to bądź co bądź jest coś!

Droga Faraona, na którą niebawem wydostał się Neferuf, również zdumiewała swoją szerokością, niezwykleymi rozmiarami budynków mieszkalnych, pałaców i świątyń. Wszystko zdawało się być tak obmyślane, aby uzupełniało się wzajemnie. Ulica ta była oświetlona lampionami i pokryta — co prawda tylko miejscami — babilońską smołą. Błota nie było tu — jak mówiono — nigdy. To także była nowość, którą miasto zawdzięczało faraonowi. Neferuf znał ze słyszenia te wszystkie świątynie: Ben-Ben, Per-Chai, Per-Aton-Em-Achetaton. Były one niewypowiedzianie piękne. Tak samo jak pałace. Neferuf nie mógł temu zaprzeczyć. Był widocznie bezstronny w ocenianiu wad i zalet swego przeciwnika. W przyszłości mogło mu to zapewnić niewątpliwą korzyść, ten bowiem, kto zamierza stoczyć walkę sam na sam z doświadczonym politykiem, musi umieć trafnie oceniać zarówno to, co się dzieje, jak i wszystko,

co stać się może. Jak mawiają mądrzy Hetyci, trzeba mieć dwie pary oczu: jedną po to, aby spoglądać przed siebie, drugą, aby widzieć to, co dzieje się z tyłu.

„...Widzę to wszystko. Jeszcze zobaczę coś niecoś więcej. Ale nikt nie może zmienić mojego sądu. To on zagonił w ziemne nory mnóstwo możliwych i dostojnych ludzi Wasetu. To on narząsał się ze starodawnych, odwiecznych bogów Kemi oraz ich kapłanów. Nie, nic nie zmieni mojego sądu o tym zwyrodnialcu...”

Nefteruf minął piekarnię, z której powiał zapach świeżo upieczonego chleba. A oto wąziutka uliczka, która wiedzie ku tajemniczemu domowi.

Amon-Ra najwyraźniej błogosławił dotychczas byłemu skazańcowi: wszystko szło tak, jak gdyby ktoś kierował jego postępowaniem z wysokości, kierował bezbłędnie i dokładnie. Nocna mgła utrzymywała się uparcie, nogi same lekko niosły Nefterufa, rzekłbyś, szedł znaną mu od dawna ścieżką, domy jakby umyślnie rozstępowały się przed nim. Były skazaniec, chociaż nigdy przedtem nie był w tej stolicy, orientował się tu nie gorzej niż jej stali mieszkańcy. Czemu to wszystko przypisać? Nefteruf wiedział, czemu i komu, toteż modlił się gorąco do wielkiego boga swoich przodków, który w najtrudniejszych chwilach nie pozostawiał go w osamotnieniu.

A oto nareszcie ów nieduży placyk i wysoki dom, wychodzący na ten placyk, i szerokie okno, którego nie można dosięgnąć z ziemi, choćby nawet człowiek podskoczył.

Czekają tu jego przybycia czy nie czekają?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Może tak, a może i nie. Chociaż w oknie widać światełko, ale to jeszcze nic nie znaczy. Niebawem wszystko się wyjaśni...

Nefteruf przystanął na chwilę, wsłuchując się w otaczającą go ciszę. Przecież i cisza może coś podpowiedzieć, jeżeli

umiejętnie jej posłuchać. Tam, w górach — pod ziemią i na ziemi — nauczył się Nefteruf słuchać i ryku wichrów, i ciszy. Ucho jego stało się czymś w rodzaju najczulszego instrumentu, odbierającego to, czego niezdolne jest uchwycić ucho zwykłego śmiertelnika. Ale jeszcze lepiej nauczyło się słuchać serce, albowiem bez niego głuche są nawet najwrażliwsze uszy...

Nie, w tej dzielnicy Achetatonu było bardzo cicho, jak przystało na tak wczesną godzinę. Nic nie zapowiadało grożącego niebezpieczeństwa, które niby miecz zawsze wisi nad głową każdego ze śmiertelnych, nie mówiąc już o byłym skazańcu, zbiegu i nieubłaganym wrogu faraona.

Przemierzył plac pewnym krokiem — nie za szybko i nie nadto powoli. Gdyby ktokolwiek zobaczył go w tej chwili, z pewnością pomyślałby w duchu: „Oto biedny, lecz zadowolony z siebie rzemieślnik, wracający do domu po nocnym czuwaniu w warsztacie”. Nefteruf podszedł do niskich solidnych drzwi i zastukał, również niezbyt głośno, aby nie obudzić sąsiadów, ale i nie za cicho: tak, aby mogli usłyszeć gospodarze.

Drzwi otworzyły się jakby same. Gdzieś w głębi długiego korytarza majaczyło światło. Za progiem było ciemno.

— Czy to ty stukales? — zapytał miły głos kobiecy.

— Nie widzę cię — odparł Nefteruf.

Kobieta stała tuż za drzwiami. Powiedziała:

— Jestem tutaj.

— Czy to dom pani Ka-Nefer?

— Ja jestem Ka-Nefer.

— Szeri kłania się nisko. Twój niegodny sługa przyłącza się do jego pokłonu i mówi do ciebie: „Witaj, pani tego domu, i oby wszystkie dni twoje były długie i w radości niezachwiane jak kły słonia”. Jam jest Nefteruf, niegodzien twojej gościnności.

Jak widać, zbiegły skazaniec nie tak bardzo jeszcze

przeobraził się pod ziemią w prostaka, aby zapomnieć słów krasomówczych i wytwornego sposobu bycia. Jego powitanie przyjęte zostało z należytą przychylnością i ocenione właściwie. Usłyszał dochodzące z ciemności słowa:

— Nefteruf? Jakież to rzadkie imię!

— Tak, o pani moja, imię to nieczęsto się spotyka, a nadała mi je moja babka, mieszkająca w dalekiej oazie pośród Wielkiej Pustyni Zachodniej. Takie imię nosił bohater opowiadania, którego nie czytała ona z papirusów, lecz mówiła z pamięci — od początku aż do końca.

— Czy to jest imię prawdziwe?

Co robić? Powiedzieć prawdę czy zataić? I po cóż byłoby ukrywać swoje prawdziwe imię?

— Zmyśłone — przyznał się po chwili wahania.

— Tak będzie lepiej — powiedziała kobieta. — Wejdźże.

Przestąpił próg. Był pełen ufności wobec tego głosu, który w mroku dźwięczał niby słodki flet.

„Jeżeli jej wygląd zewnętrzny choćby w małym stopniu odpowiada jej głosowi, jest to wielkie szczęście dla kobiety, a także i dla mężczyzny, który z nią obcuje.”

Tak pomyślał Nefteruf wchodząc do domu, którego dotychczas nie znał, ale któremu zaufał tak, jak ufać może syn swojej matce.

Strop w korytarzu był niski i gość pochylił głowę, podczas gdy gospodyni wiodła go za sobą. A kiedy znaleźli się w niewielkiej izbie, gdzie paliło się światło, zobaczył przed sobą coś, co wprawiło go w zdumienie. Stała przed nim kobieta o lekko smągłej cerze, w miarę szczupła i w miarę pełna w odpowiednich miejscach, zdawało się, że w miarę lekkomyślna i w miarę mądra — jak właśnie przystoi kobiecie pięknej. Ciało jej przeświecało przez fałdy cienkiej szaty, a było ono kształtne i

twarde niby mocne drzewo. Oczy miała jasnobrązowe jak pestki brzoskwini. Jej wydatne wargi i nieduży nos harmonizowały ze sobą całkowicie, a białe zęby odbijały światło jak najczystszy kwarc.

Patrzył na nią ze zdziwieniem i zachwytem. Ona ze swej strony także była zdziwiona: stał przed nią człowiek niewątpliwie świetnego rodu, ale w łachmanach, pasujących raczej do ulicznego kuglarza.

Ka-Nefer wyszła do sąsiedniego pokoju i po chwili wróciła stamtąd z miską. Polała gościowi wody na ręce i ogoloną starannie głowę, po czym przyniosła czystą przepaskę na biodra. I sandały plecione z trzciny.

— To dla ciebie, Neferufie. Nie chcę, aby mąż zobaczył mojego gościa w takim odzieniu. — Twarz jej rozjaśnił prześliczny uśmiech. Potem dodała: — Nie gniewaj się za ten niegodny ciebie podarek, ale tak będzie lepiej: stolica lubi przyzwoitą odzież i nie zawsze ceni prawdziwy rozum.

Neferuf podziękował gospodyni, a pozostawszy sam, szybko zrzucił swoje łachmany i obwiązał sobie biodra tkaniną, która pachniała wonnościami Reczenu. Przejrzał się w wiszącym na ścianie miedzianym zwierciadle i ponownie z całej duszy złożył dziękczynienie Amonowi-Ra, który nie szczędził mu swojej łaski już od trzech tygodni — od tej pory, gdy Neferuf zaczął schodzić z wysokich gór ku dolinie Hapi.

Na wołanie gospodyni gość poszedł schodami na górne piętro. W dużym pokoju o szerokim oknie czekali nań oboje: Ka-Nefer i jej mąż. Był to mężczyzna młody, wysoki i szczupły. Przymrużywszy oczy, chciał, zdawało się, uchwycić w gościu jakiś rys niedostrzegalny dla innych. Zawód gospodarza usprawiedliwiał to spojrzenie pełne zainteresowania: rzeźbiarz powinien widzieć dalej i lepiej niż wszyscy inni.

„...Oto są ludzie, w których ręku spoczywa mój los. I nie tylko mój. Ta piękna kobieta... I jej młody mąż... Rzeźbiarz, który

często bywa w pobliżu osoby faraona... Co zapowiada ta ich gościnność? Kim jest ona? A kim on? Żebyż jak najprędzej dowiedzieć się wszystkiego dokładnie. Czyżby Szeri pomylił się co do niej?...”

— Przyleciałem do was jako tak wczesny ptaszek — powiedział Neferuf — że lękam się, czy nie obudziłem niezadowolenia.

— O nie — odparła gospodyni.

— Najjaśniejszy pan wstanie lada chwila, aby przystąpić do pracy — dodał mąż. — Czyż to jest wcześniej?

Ka-Nefer powiedziała z uśmiechem, pełnym młodzieńczego wdzięku:

— Mąż mój ma na imię Achtoj. Jest rzeźbiarzem i pracuje w warsztacie Dżehutimesa.

— Znałem pewnego...

Gospodyni przerwała gościowi:

— Jeżeli masz na myśli młodego rzeźbiarza Dżehutimesa z Wasetu, to właśnie jest on.

— I tyś także z Wasetu? — spytał Achtoj.

— Tak, mieszkam tam od najmłodszych lat. Ale urodziłem się w niedużej oazie Sipi, która leży w Wielkiej Pustyni.

Gospodarze poprosili gościa, aby usiadł przy niskim stoliku i spożył wspólnie z nimi śniadanie.

W pokoju nie było nic zbędnego: tapczan ledwie wznoszący się nad podłogą, maty, stolik, kilka prostych ław oraz dwie drewniane skrzynie koło drzwi. Szerokie okno zawieszono było wzorzystą lnianą tkaniną.

— Myślę, że zimne piwo nie zawadzi — powiedział Achtoj napełniając chłodnym napojem gliniane czarki.

Ka-Nefer podzieliła na kilka części gorący pszeniczny placek i przed każdym z biesiadników postawiła talerz ze smażoną rybą. W trakcie jedzenia potoczyła się zwykła rozmowa, równie błaha, jak i niezbędna, aby gość czuł się swobodnie. Dotknęła przede wszystkim pogody, która ustaliła się od razu po powrocie

wód Hapi w granice łożyska. Achtoj okazał się uprzejmym i powściągliwym współbiednikiem, który potrafił zabawić gościa — zabawić w miarę, a bez natręctwa. Ka-Nefer usługiwała okazując w tym niezwykłą zręczność. Ta czarodziejka potrafiła ze szczególnym wdziękiem postawić talerz lub uprzątnąć to, co już było niepotrzebne.

Uśmiechała się zagadkowo. Zdawała się mówić: „No, co ty powiesz, panie? Czy się nie zawiodłeś? Czy miał słusność Szeri, tak hojnie szafując pochwałami pod moim adresem?” Umiała, nie mówiąc ani słowa, przekazać w taki sposób swoje myśli, że Neferuf się zaczerwienił. Poprosił o piwo i jednym haustem wychylił nalaną czarkę. To mu dodało nieco śmiałości.

Achtoj wyjaśnił gościowi, że lepi popiersie, które może przynieść sławę każdemu rzeźbiarzowi.

— Nie jesteś zbyt skromny — powiedział z uśmiechem Neferuf racząc się piwem, którego już dawno nie pił.

— Mówię prawdę. Zawsze staram się jej trzymać, gdy mam przed sobą glinę lub kamień. I zmuszam je, aby także mówiły prawdę.

— A to jakimże sposobem?

Rzeźbiarz uniósł brwi — czarne i wąskie. Potem rzekł:

— Lepiąc, staram się oddawać naturę taką, jaka jest w istocie. Naśladowanie natury czyni rzeźbę prawdziwą. Mówi ona wtedy prawdę. Jakby przemawiała ludzkim językiem.

Neferuf uderzył się w czoło.

— Wszystko to jest dla mnie czymś w rodzaju czarodziejstwa — powiedział. — Nigdy nad tym nie rozmyślałem. Bardzo możliwe, że kamienie mówią naszym językiem. Spróbuję przysłuchiwać się ich głosom.

— Trzeba ich słuchać sercem — wyjaśnił młody rzeźbiarz.

- To ja potrafię.
- Nie wątpię, panie.
- Czy zobaczę twoją pracę?
- Jeśli tylko zechcesz.
- Chcę, i nawet bardzo!

Ka-Nefer zwróciła się do Nefterufa:

- Poproś go, żeby ci pokazał królową...

— O nie! — rzeźbiarz zaczął machać rękami. — Na razie jeszcze za wcześnie!

Nefteruf postawił na stoliku niedopitą czarękę.

— Królową? — powtórzył ze zdziwieniem. — Czyż masz zamiar robić jej podobiznę?

- Czy mam zamiar? Już ją wykańczam.

Nefteruf rozłożył ręce i powiedział:

— Słyszałem o tobie dużo pochlebnych słów. Ale nigdy nie przypuszczałem, że siaduje przed tobą sama królowa.

— Królowa!? — wykrzyknęła Ka-Nefer. — Powiedz no, Achtoju, w jakim stroju siedzi ona w twojej pracowni.

Achtoj uśmiechnął się zmieszany.

- Powiedz, powiedz! — prosiła żona.

— Achtoju, można by pomyśleć, że pozuje ona nieprzyzwoicie!

— Co też ty mówisz, Nefterufie? Nie pasuje do niej to słowo.

Ka-Nefer szepnęła, mrugnawszy porozumiewawczo:

- Jest w niej zakochany...
- Zamilcz, Ka-Nefer!
- Naprawdę jest zakochany.

„...Wiedział jednak ten Szeri, dokąd mnie wysyła. Dostać się od razu w tak znakomite towarzystwo — czegoż trzeba więcej? Od nich prosta droga do królowej! Nie, Amon-Ra nie skąpi mi swojej łaski!”

Doszedłszy do takiego wniosku, Nefteruf zwrócił się do Ka-Nefer:

— Łaskawa pani. Pojmuję wielkoduszność twego serca, kiedy tak łatwo mówisz o miłości swojego męża do innej kobiety, choćby nawet do królowej. To również świadczy o twojej władzy — zaiste niemającej granic — nad człowiekiem, który jest ci niewątpliwie oddany.

— Słusznie mówisz — poparł go Achtoj. — Ka-Nefer się śmieje... to znaczy, że jest pewna siebie. Ale mogę powiedzieć w sekrecie: niepodobna nie zakochać się w Nefertiti.

Ka-Nefer przyniosła świeżych ciastek posypanych tłuczonymi orzechami. Nowy dzban piwa jeszcze bardziej — zdaniem Nefterufa — uszlachetnił spożywane śniadanie.

— Czy królowa jest tak piękna? — zainteresował się gość.

— Nie wiem, jak ci na to odpowiedzieć...

— Czarująco piękna kobieta — przyznała Ka-Nefer.

— Ja bym się wyraził nie tak... zdecydowanie. — Achtoj szukał odpowiednich słów. — Jest w niej coś bardzo pociągającego. Jej piersi są jeszcze piękne jak na trzydzieści lat...

— Trzydzieści dwa — poprawiła go Ka-Nefer.

— Trzydzieści — powtórzył mąż.

— Jakże to? Przecie ona jest w jednym wieku z królem.

— Nie, jest młodsza.

Nefteruf poczuł się doskonale. Zdawało mu się, że zna tych młodych ludzi już od wielu lat. Obcowało się z nimi tak łatwo, tak przyjemnie. Mimo swojej młodości — i żona, i mąż przyjmowali przybysza z godnością i obyciem ludzi doświadczonych.

— Ale w jakiejże postaci królowa występuje przed Achtojem? — zwrócił się Nefteruf do gospodyni.

— Zupełnie naga.

— Naga?! — zdumiał się Nefteruf. — Czy być może? Naga?

Achtoj w milczeniu kiwnął głową.

Nefteruf rozłożył ręce gestem zdumienia i wypowiedział tonem ironicznym pogląd, że w nowej stolicy najwidoczniej kwitną nowe pojęcia o rzeźbie. O nowych pojęciach w dziedzinie polityki zagranicznej jest poinformowany dokładnie. Teraz nastąpiła moda na cofanie się: i w Reczeniu się cofać, i w Dżahi północnej opuszczać zajmowane pozycje, i w Palestynie dokonywać odwrotu... W Etiopii także dzielne wojska Kemi ukazują nieprzyjacielowi plecy. Ma się rozumieć, że nie z tchórzostwa, lecz dlatego, że faraon nie ma czasu na wszczynanie wojen. Ale to wszystko — tylko tak nawiasem. Nie o tym mowa... Czyż to nie dziwne, że królowa wielkiego Kemi siedzi naga przed zwykłym śmiertelnikiem?

— Nie zwykłym — przerwał mu Achtoj. — Dlaczego zwykłym?

— A jak każesz was nazywać? Czyżby bogami?

Achtoj poczerwieniał. Zdarzało mu się to jedynie przed wybuchem gniewu. Na szczęście do rozmowy wmieszała się Ka-Nefer.

— Ja wszystko wyjaśnię — powiedziała obdarzając kolejno obu mężczyzn swymi uśmiechami cudownymi jak zorza. — Aby zrozumieć królową, trzeba stanąć nieco bliżej najjaśniejszego pana, Życie, Zdrowie, Siła!, i jego Wielkiego Domu... A jednocześnie — dodała zwracając się do męża — trzeba zrozumieć i tych, co przyjechali tutaj z daleka, w dodatku po raz pierwszy. Nie każdy pojmie wszystkie dziwy czarującego Achetatonu. Czyż nie prawda, że stolica jest czarująca? — dodała Ka-Nefer zwracając się do Nefterufa.

Pani domu sama podsunęła odpowiedź. Potrzebne jej były słowa lojalne, słowa pochlebne dla stolicy. Jedynie takie słowa. Inna sprawa — po co? Tego można było na razie tylko się domyślać.

Nefteruf nalał sobie piwa.

— Ten wasz napitek bardzo mi się podoba — powiedział — chociaż spróbowałem go dzisiaj po raz pierwszy. I powiadam: przepiękny jest Achetaton, jakkolwiek widziałem go jednym okiem i w dodatku nocą, a przy tym pobieżnie, śpiesząc się do waszego szczęśliwego domu.

Odpowiedź spodobała się Achtojowi. A jeszcze bardziej — jego małżonce.

„...Oto człowiek prawdziwie domyślny i delikatny. Jeżeli Nefteruf okaże tak samo wyrobioną delikatność we wszystkich sprawach, życie w stolicy samo się do niego uśmiechnie, a ten uśmiech jest przecież wart czegoś. Ten dobrze wychowany lew niewątpliwie spotka się ze zrozumieniem — przede wszystkim wśród żeńskiej części mieszkańców stolicy. A to już będzie całkiem, całkiem niemało.”

Achtoj zgodził się z Nefterufem i rozwinął jego myśl mówiąc:

— Aby wyrobić sobie pojęcie o pięknie Achetatonu, trzeba się przejść o porannej albo wieczornej zorzy od Pałacu Północnego aż do Południowego. Nie tylko Drogą Faraona, ale i bocznymi ulicami i zaułkami. Iść naprzód, zatrzymywać się dla lepszego obejrzenia fragmentów, znowu posuwać się naprzód i powracać na poprzednie miejsce, aby nasycić wzrok pięknem pałaców, świątyń czy domów dostojników. Mimo pozornie jednostajnej okazałości, w istocie stoją przed tobą fasady niepodobne jedna do drugiej, odmienne w szczegółach i proporcjach. Powiedzmy, dom jego światłości Horemheba albo dom jego światłości Mahu. Trzeba je koniecznie obejrzeć samemu, aby rozstrzygnąć, co je upodabnia pod względem mistrzostwa budowy, a co różni. Kolumny nie różnią się ani wysokością, ani grubością. Ale jedne ozdobione są liśćmi lotosu, drugie zaś zbudowane na wzór pęku papirusów. Ale jeżeli wpatrzeć się lepiej... Czyż nie odróżnisz ręki Mai od ręki Tutu? Mai całą

uwagą poświęca ozdobieniu poszczególnych części budynku, podczas gdy Tutu troszczy się bardziej o proporcję, o wzajemny stosunek płaszczyzn i otworów...

— To jest coś bardzo zawilego — powiedział Nefteruf. — W każdym razie moja głowa nie całkiem nadaje się do tego rodzaju rozmów. Czy jednak nie zdaje ci się, drogi Achtoju, że zarówno jeden, jak i drugi z budowniczych, których wymieniłeś, zawsze powinien brać w rachubę i zdobienie budowli, i wzajemny stosunek ścian, okien, drzwi i schodów?

Oczy Achtoja rozbliżyły.

— Jak ładnie to powiedziałaś! — wykrzyknął uradowany. — Jest to dokładnie to, co wyznaję ja sam jako rzeźbiarz i jako architekt. Mam bowiem do czynienia nie tylko z gliną i z kamieniem, ale także z planami domów i świątyń. Byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy potrafili połączyć w jednej osobie talent Mai i Tutu — zaiste mocarzy budownictwa, jakich nie znano w Kemi od czasów Narmera.

— Połączyć? — spytał niedbale Nefteruf. — Połączyć talenty?

— Dlaczegoż by nie?

— Przyjacielu mój — mówił Nefteruf dalej — czy nie zdaje ci się, że i Mai, i Tutu, których nie znam, sławni są właśnie dlatego, że istnieją z osobna, każdy sam przez się? I co by to było, gdyby na świecie wszystko łączyło się i mieszało ze sobą na jednym wielkim talerzu na podobieństwo sumeryjskich potraw?

Achtoj nie uznał się za pokonanego.

— Dlaczego przypuszczasz — odparł — że połączenie dwóch talentów, ich dwóch pierwiastków, to coś złego? Zaczynając ciasto na te placuszki Ka-Nefer połączyła mąkę z wodą.

— Mąka i woda nie są osobami. A gdyby tak wszystko łączyć, wówczas nie miałbyś swojej Ka-Nefer.

— A to czemu?
— Dłatego — wyjaśnił Nefteruf — że jej urodę, jeżeli już iść za twoim życzeniem do końca i we wszystkim, należałoby rozcieńczyć urodą innej kobiety. A chyba zgodzisz się ze mną, Achtoju, że piękność twojej dobrej pani jest ponad wszystko doskonalsza właśnie taka, nierozcieńczona.

Mąż popatrzył na swoją żonę z taką pożądlivością, jak gdyby wcale nie leżał obok niej ostatniej nocy.

— Nikomu nie pozwoliłbym jej dotknąć, nawet temu, który życie daje wszystkim na świecie. Dotknąć — znaczyłoby popsuć najcudowniejszy twór.

— Wbiję się w pychę! — wtrąciła kokieteryjnie Ka-Nefer podsuwając gościowi nową potrawę. — Czy nie uważasz, Achtoju, że dostojny Nefteruf udaje trochę prostaczka?

— Otóż właśnie: udaje. Teraz widzę, że mam przed sobą przeciwnika, który świetnie zna się na sprawach budownictwa.

— Tylko nie to! — zaprotestował Nefteruf. — Jestem co najwyżej człowiekiem, który umie powtarzać cudze myśli, gdzieś tam zasłyszane albo gdzieś przeczytane. A jeżeli zmusicie mnie, abym zbudował dom, nic z tego nie będzie: okryję się hańbą!

Z ulicy dobiegały głosy sprzedawców zieleniny i pieczywa. Ranek przypominał o swych prawach.

— Czas już na mnie — powiedział Achtoj wstając ze swego miejsca. — Mój nauczyciel i zwierzchnik Dzehutimes nie lubi, gdy któryś z jego majstrów spóźnia się do pracy.

Nefteruf zapytał:

— Czy mogę liczyć na gościnę w twoim domu?
— Mówisz coś obraźliwego, Nefterufie...
— Tak, tak — wtrąciła Ka-Nefer — nie należy zadawać takich pytań tym, którzy są przyjaciółmi Szeriego.

— O, to powiedziane jest i trafnie, i ładnie!

Po tych słowach Achtoj pożegnał gościa. Ka-Nefer odpro-wadziła go do progu, gdzie małżonkowie zamienili kilka słów szeptem. Niebawem wytworna gospodyni ukazała się ponownie z dzbanem piwa. Ogarnęła spojrzeniem stół i uznawszy, że wszystko jest w należyтым porządku, usiadła na swoim miejscu. Włosy jej, zaplecione w mnóstwo drobnych warkoczyków, przybierały barwę granatową — tak były czarne i takie czyste.

— Nie ma tutaj nikogo więcej — rzekła jakby mimochodem.

— Faraon ma długie uszy, Ka-Nefer.

— Kończą się one u progu mojego domu.

— To dobrze.

— Niezupełnie, Nefterufie.

— Dlaczego?

— No bo przecież niezłe jest mieć pod bokiem szpiega, który nie powie nic i nie wyda cię nigdy.

Były skazaniec powiedział:

— A cóż to za szpieg, który cię nie zdradza?! Czyż tacy bywają?

Ka-Nefer przymknęła na chwilę oczy: to znaczy, że bywają.

— Mów, Nefterufie, swobodnie i otwarcie. Tak jakbyś rozmawiał z Szerim albo z jakimkolwiek bliskim przyjacielem.

— Dziękuję ci, Ka-Nefer. Jestem w takim położeniu, w którym potrzebne mi są wierne uszy i serca.

— Ktoś ty jest?

— Dość już długo nadużywałem twojej cierpliwości i czekałem na to, pytanie. Ale milczałem, bom nie wiedział, jakie są między wami stosunki... W Ta-Neter ludzie twierdzą, że mąż i żona to dwa końce tego samego kija...

— Tego samego kija, Nefterufie?

— Tak, tego samego kija. A Hetyci mawiają: żona i mąż to dobro i zło.

— Któreż to dobro, a które zło?

— To już za każdym razem trzeba by z osobna określać, Ka-Nefer.

Ka-Nefer uniosła do ust czarkę z piwem i piła, zastanawiając się nad czymś. Potem powoli postawiła czarkę z powrotem na stoliku, ciągle o czymś rozmyślając. Potem popatrzyła w oczy swemu gościowi, nie przerywając tych rozmyślań. Było to spojrzenie pięknej kobiety i zarazem mędrca. Spojrzenie i dobre, i okrutne, czułe i szydercze.

Nefteruf wpatrywał się w nią z zaciekawieniem. Pragnął odczytać z jej oczu to, co przemilczały usta. Było to szalenie trudne. Zbyt trudne. Ale przecież możliwe! Na to jednak trzeba by zadać mękę własnemu sercu i do ostatecznych granic wyczerzyć umysł. W tym celu trzeba koniecznie myśleć tylko o sprawie, nie ulegając urokom kobiety, na które tak łąsi bywają zwykli mężczyźni.

Ka-Nefer spoglądała na niego w dalszym ciągu i wydało mu się, że napotkał mądrą żmiję — podobnie jak Sinuhe ze starej baśni. „W rękach tej kobiety jest moje życie — myślał Nefteruf. — Może ona darować mi życie albo zgubić mnie i skazać na niesławne istnienie w Dolinie Iaru... Oto ona, wszechmocna Izda, jeżeli wierzyć Szeriemu. Ale nie wierzyć Szeriemu niepodobna. Ka-Nefer powinna być właśnie taka, jaką w pochlebnych słowach ukazał Szeri.”

— Masz słuszność — odezwała się w końcu Ka-Nefer. — Przez całe życie trzeba mieć się na bacności. Aby się nie pomylić, trzeba mieć się na bacności. To jest bardzo przykre. Prawda, Nefterufie?

— Co jest przykre, Ka-Nefer?

— Ot tak przez całe życie mieć się na bacności... Uczono mnie od dziecka, że należy strzec się szuwarów na brzegu Hapi,

ponieważ tam żyją krokodyle. Tłumaczono mi, że piasek pustyni jest bardzo niebezpieczny z powodu swoich mieszkank, zmij. Straszono mnie ciemnością. Straszono zbytnim żarem słońca. Ale nie wiadomo czemu, niewiele mówiono o tym, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego aniżeli ludzki język, że niebezpiecznie jest żyć wśród ludzi. Bo żyjąc z nimi, ciągle trzeba myśleć o tym, żeby cię nie chwycili za gardło. Myśleć o tym nawet w nocy. Nawet we śnie! Mówiła z prawdziwie kobiecą szczerością. Bez owej sztuczności, typowej u kobiet pięknych. W tej chwili nawet nikt nie nazwałby jej piękną, tak pełna była zadumy, pochłonięta swymi myślami, czymś bardzo zaniepokojona...

— Czyż naprawdę, Ka-Nefer, w twojej zaiste cudownej postaci cielesnej, stworzonej do życia, do zabaw, gnieźdzą się tak ponure myśli? Oto czym jest człowiek! Nigdy bym nie pomyślał, że w twoich sądach może być tyle smutnej mądrości.

— Co ma do tego mądrość? Nie, Neferufie, owych drobnych spostrzeżeń, w istocie błahych w porównaniu z całym naszym życiem, nie trzeba uważać za jakąś niesłychaną mądrość! Mogłabym się nawet obrazić przypuszczając, że drwisz ze mnie jak z płoczej sługi u studni albo w sklepie handlarza olejków aromatycznych.

— O, bogowie! — wykrzyknął zbiegły skazaniec. — Czyż naprawdę jestem aż tak niezręczny w wyrażaniu swoich myśli? Chciałbym jedynie zamknąć w słowa to, co ci się należy, o niezrównana Ka-Nefer!

— Przypuśćmy, przypuśćmy, że tak było...

— Przysięgam! — Neferuf podniósł prawą rękę nad głowę. Potem złożywszy obie dłonie na piersi, powtórzył: — Przysięgam!

Gość zamilkł. Wyciągnął odruchowo rękę po daktyle kandyzowane w miodzie.

— Wierzę ci — powiedziała Ka-Nefer łagodnie.
— Nie wolno mi nie wierzyć — odparł gorąco Neferuf. —
W moim położeniu albo milczy się jak ryba, albo mówi się czy-
stą prawdę.

Czekała na jego szczerze słowa. On zaś przypomniał sobie przestrożę chaldejskich czarodziejów, że nie należy dowierzać kobiecie. Zwłaszcza młodej. Zwłaszcza pięknej. Miał jeszcze możliwość skłamać, powiedzieć jej nieprawdę, na poczekaniu skomponować dzieje swego życia na podobieństwo owych skrybów wypisujących zabawne albo smutne historie na papi-
rusowych zwojach. Mógł zresztą i całkiem przemilczeć cel swo-
jego przybycia. Mógł wstać i odejść, kierując się radami czaro-
dziejów. Ale w takim razie musiałby wyrzec się tego, w imię
czego wybrał się do tej przekłętej stolicy, w imię czego poprzy-
siągnął żyć i życie swoje poświęcić...

Jeszcze raz na nowo rozważył swoje położenie i swe możli-
wości w tym mieście. A wówczas okazało się, że nie ma innego
wyjścia, jak tylko zaufać tej pięknej kobiecie, która spogląda na
niego badawczo; okazało się, że nie ma innego rozwiązania:
pozostaje wyznać jej wszystko i prosić o współdziałanie. Do-
szedłszy do takiego wniosku Neferuf poczuł niezwykłą lekkość
w duszy.

„Oto dotarłem do końca uliczki, którą zamyka mur. I nie
mam innej drogi! Zostało mi tylko jedno: oprzeć się o ten mur i
po prostu się wypłakać. Innej drogi nie mam!”

— Ka-Nefer — powiedział cicho. — Dziesięć lat żyłem pod
ziemią. W górach za czwartą kataraktą człowiek rychło staje się
kretem. I oczy jego stają się jak oczy kreta: widzi w ciemności.
Szukałem złota dla faraona. A niegdyś złota szukano dla mnie.
Nasz ród w Wasecie był i świetny, i bogaty. Nie stronili od nas
faraonowie. Więcej nawet: mężczyźni naszego rodu często
jadali z królewskiego stołu, a kobiety zostawały powiernicami

królowych i królewien. Tak było kiedyś. I cóż nas spotkało, gdy władzę objął ten?... No, ten wasz... On właśnie złamał naszemu rodowi kręgosłup! Jedni z nas zginęli w górach za czwartą kataraktą albo w Etiopii. Inni oddali głowy w Reczeniu albo tam, gdzie Kemi graniczy z ziemią Hetytów. I w Wielkiej Zieleni na okrętach poginęli nasi mężczyźni. Poginęli jako prości wioślarze...

Ka-Nefer przyglądała mu się w skupieniu.

Mówił teraz powoli, spokojnie, jak gdyby opowiadał o cudzym życiu. I w głosie jego nie słyhać było wzburzenia jego serca, i głos ten brzmiał równo, monotonicznie niby modlitwa kapłana. A oczy jego były suche. I wydawał się taki silny, jakim może być człowiek, który ujrzawszy mówiącą zmię, nie straci na jej widok odwagi.

Ka-Nefer słuchała tłumiąc oddech. Ten człowiek stawał się miły jej sercu. Powiedziała sobie: „Oto on, godzien tej wielkiej sprawy, w imię której walczy”.

Neferuf mówił dalej:

— Nie będę nużył ciebie, pani, opowieścią o wszystkich nieszczęściach, jakie zwały się na nasz ród. Nie powiem, że byliśmy jedynymi w swoim bólu. Mnóstwo znakomitych ludzi poznało gorzyc wygnania i smak katorżniczego życia w górach, pustyniach i na morzach. Nie znalazłbym takiego zwoju papiirusu, który by pomieścił całą historię mojej niedoli. Nie wiem nawet, czy znalazłaby się ręka, która potrafiłaby opisać wszystkie moje męki. Znieść je może jedynie człowiek. W całym świecie nie ma zwierzęcia, które byłoby zdolne wycierpieć coś podobnego. Niekiedy wydawało mi się, że głowa moja jest martwa jak sumeryjska dynia. A moje kości? Często zmieniały się w wodę i nie mogłem nie tylko utrzymać się na nogach, ale i leżeć na własnych bokach i na własnych plecach. — Neferuf zakończył swoją spowiedź z goryczą: — I to wszystko dzięki

troskliwym staraniom najjaśniejszego pana Echnatona, Życie, Zdrowie, Siła!

Zacisnął pięści. Żółta piana wystąpiła mu nagle na usta, a oczy rozbłysły krwawo. I Nefteruf nie wytrzymał. Zapomniał, gdzie jest i kogo ma przed sobą. Zasycał na podobieństwo żmii:

— Podłe nasienie! Syn ladaczniczy i sam ladacznicza...

Ka-Nefer bardzo słusznie postąpiła podając mu czarkę piwa.

— Wybacz — powiedział cicho i pochylił przed nią głowę.

— Nefterufie — odezwała się gospodyni — zrozumiałam wszystko, wiem teraz wszystko, a opowieść twoja podobna jest do opowiadania owego żeglarza, który powrócił do domu żywy i cały po katastrofie swojego okrętu. Marynarz ten jak gdyby leżał pod brzuchem krokodyla, jak gdyby doświadczył na sobie siły szczęk hipopotama.

Nefteruf uśmiechnął się, a ten uśmiech straszniejszy był niżeli łkanie.

— To gniew i nienawiść do mego wroga czyniły serce moje mocnym i szlifowały mój wygląd zewnętrzny, podobnie jak wzburzone morze wygładza ze wszech stron kamień. Wszystkie swoje myśli i wysiłki kierowałem ku jednemu: byleby przeżyć! Mnóstwo ludzi padało dokoła mnie. Umierali, albowiem byli słabi, a gniew nie krzepił ich serca. Człowiek bez gniewu umiera pod ziemią jak owad, jak jednodniowa efemeryda. Tak odchodzi ten, co w sercu swym nie żywi zemsty i nie ma nieustannie przed oczyma obrazu zakłętego wroga swego. Ja żyłem i poprzysięgałem zemstę. Żyłem i modliłem się co dzień do wszechmogącego Amona-Ra, który nie został obalony, który żyje i którego imienia zniszczyć niepodobna. Niech faraon wysła kamieniarzy, aby imię boga ścierali z kamieni. Niech drze papirusy, aby imię boga wytrzebić. Próżny wysiłek. Zbyt słabe

na to są ręce ludzkie. I przyszedłem, aby spełnić to, co przysięgałem przez lat dziesięć.

- Czegóż ty chcesz, Nefterufie?
- Ja?
- Tak, ty!
- Alboż po tym, com opowiadał, nie jest to jasne?
- Jasne jest.

— Więc po cóż pytać? Przyszedłem prosto na jego dziedziniec. Przyszedłem do jego proggu. Dotarłem do tego miejsca, gdzie on mnie nie czeka wcale. Szeri mi powiedział: idź! Powiedział: pomoże ci Ka-Nefer. Powiedział: jej odwaga równa jest odwadze rozwścieczonej lwicy.

- Tak powiedział?
- Tak. To jego słowa. Powtórzone wiernie.
- I ja powinnam ci pomóc?
- Jeżeli zechcesz.

Siedział jak na sądzie Ozyrysa. Czekał jej słów. Albo wstanie i natychmiast opuści ten dom, albo... Niech ona tylko powie słowo. Dlaczego patrzy na niego oczami matki? I czy wystarczy odwagi w jej sercu?

Ka-Nefer rzekła:

- Będziemy działać wspólnie. Dokonamy tego, na co stać tylko lwy pustyni. Nefterufie, bądź spokojny pod tym dachem.
- Kemi żyć będzie, dopóki na tej ziemi rodzić się będą kobiety podobne do ciebie, Ka-Nefer! O Hatszepsut dni naszych!

I Nefteruf, wzruszony do głębi, zakrył twarz rękami brunatnymi jak ziemia i zapłakał, tak jak płacze ranny bawół.

Ranek faraona

Nad grzbietem Wschodnim ukazał się rąbek tarczy słonecznej. Góry, słońce, niebo — tylko trzy barwy: sepia, złoto i szafir.

Nad stolicą budził się ranek. Coraz krótsze stawały się cienie, znikał nocny chłód. Tylko Hapi jak przedtem powoli toczył swoje wody u stóp pałaców i świątyń, domów mieszkalnych i sklepów.

Naczelny kapłan pałacowej świątyni Atona zastukał do drzwi — rozkazująco, rzec by można: bezceremonialnie.

— Najjaśniejszy panie — powiedział kapłan głosem donośnym — nieśmiertelny Aton obdarzył ziemię swoimi promieniami. Kemi czeka na swego władcę.

Faraon, leżał na macie rozrzucając po dziecięcemu ręce. Okrągławe jego biodra okrywała najcieńsza tkanina. Dziwną miał budowę ten człowiek: delikatną niby kobieta. Wyjątek stanowiły mięsiste wargi, długi nos i jakiś dziwaczny kształt dolnej szczęki.

Faraon w mgnieniu oka zerwał się z posłania. Zwrócił twarz ku wschodowi. Gestem pełnym pokory skrzyżował dłonie na piersiach. Pochylił głowę przed tarczą słońca. I nagle — odwróciwszy się szybko — skierował kroki do sali przyjęć. Przedtem zdążył jeszcze łyknąć trochę wody.

Był rzeński. Ani śladu wczorajszego zmęczenia. Wyglądał teraz raczej jak żołnierz, posłusznie spełniający wojskowe rozkazy, aniżeli jak pan świata.

Podano mu wysoką koronę i królewskie symbole władzy: połączony bicz i zgięty posoch, bogato inkrustowany fenickimi kamieniami i kością słoniową.

„...Oto ojciec mój mnie obudził i znowu idę, aby zająć swoje miejsce i służyć wielkiej krainie Kemi, aby służyć ludom całego świata na podobieństwo tego, jak służy wszechświatowi ojciec mój, Aton, promieniejący na swoim niebie...”

Faraon zajął swoje miejsce. Na lewo od tronu siedzieli na podgiętych nogach pisarze. Było ich trzech. Z prawej strony króla czekał na rozkazy w pozie pełnej uszanowania jego jasność Mahu, trzymający drzewce wachlarza. Wierni poddani upadli na twarze, lecz już w następnej chwili gotowi byli przystąpić do pracy.

— Czy czekają na mnie gońcy? — zapytał faraon.

— Jest dwóch — powiedział Mahu. — Jeden z Etiopii, drugi od granicy hetyckiej.

Tłuścioch Mahu sapał, jak gdyby wdrapywał się na górę. Faraon zerknął w jego stronę.

— Południe i północ — odezwał się z niechęcią faraon, mając na myśli gońców. — Ciekawe...

Palcem wskazującym zastukał w złotą blachę, która jaśniała tuż nad jego pępkiem. Trzeba zacząć chyba od gońca z północy. Stamtąd na pewno nadchodzą wieści niemiłe. Lepiej załatwić się z nimi od samego rana. Wysłuchać rzeczy nieprzyjemnych znaczy tyle, co na poły je zwyciężyć.

— Cóż jeszcze przyszło do głowy tym Hetytom? — mruknął gniewnie faraon.

Zamiast dać odpowiedź, korpulentny dostojnik skierował się ku wysokim rzeźbionym drzwiom i otworzył je.

— Podejź! — krzyknął przywołując gestem zmęczonego gońca, okrytego kurzem pustyni.

Goniec zrobił kilka kroków i padł plackiem na ziemię. Leżał nieruchomo, nie mając odwagi podnieść oczu na dobrego boga,

faraona Echnatona, władcę wszechświata.

Mahu wyjął mu z ręki zwój papirusu i wręczył pisarzom.

Faraon się nie mylił: wiadomość nie należała do przyjemnych. Zresztą w ostatnich latach nieustannie spodziewano się podstępów ze strony tych przeklętych Hetytów. Powoli wypierają oni Egipcjan — to jawnie, to skrycie — stale jednak posuwają się na południe. Książęta azjatyccy także podnoszą głowy. Krok za krokiem nadciągają niby chmury i podpełzają ku płacówkom egipskim w górach Reczenu. Łatwo przewidzieć, co będzie za kilka lat. Może nawet nie lat, lecz miesięcy.

— Wstań i zbliż się — rozkazał gońcowi faraon.

Był to młody żołnierz z lekkobrojnych pułków, suchy jak kij i z pełnym ognia spojrzeniem.

— Czy możesz co dodać do tej wiadomości? — spytał faraon.

— Tak, panie!

— Mów zatem.

— Rozkaż nam iść do natarcia! Rozkaż przysłać nam pomoc!

— Po co? — rzucił pytanie faraon mrużąc oczy i zaciskając wargi.

— Żeby ich złamać!

— Kogo?

— Hetytów.

— Toś ty taki silny? — uśmiechnął się faraon.

— Ja nie! — odparł żołnierz, dumnie podnosząc głowę. — Ale ty, panie, zniszczysz wrogów i to nas uchroni od kpin.

Faraon ściągnął brwi.

— Jakich kpin?

Goniec nie namyślał się ani chwili:

— Śmieje się z nas Aramejczyk, Babilończyk... Śmieją się wszyscy, kto tylko ma ochotę.

— Jesteś tego pewny?
— Słyszałem na własne uszy! Hetyci ściągają wojska. Cierpliwie okrążają nasze twierdze i przywodząc nasze garnizony do zupełnego wycieńczenia pozwalają im odejść na południe. Mówią wprawdzie, że na wszystkie cztery strony, ale naprawdę to jest tylko jeden kierunek — południe!

Teraz wtrącił się Mahu:

— Oni nie prowadzą z nami wojny. Co najwyżej przesuwają własne wojska. Ale przesuwają tylko naprzód, tylko ku południowi. W jednym wypadku zrzucają winę na zbyt upartych wodzów, w innym na władze cywilne. A przy tym sami nas przepraszają. Z całą uniżonością i w górnolotnych słowach. Ale wojsk swoich nie wycofują.

— Tak, tak właśnie jest — przytaknął goniec.

Faraon siedział przygarbiony. Spuścił głowę. Zdawało się, że wstyd mu wysłuchiwać tego wszystkiego. Zdawało się, że lada chwila wsianie z tronu i zwoła swe wojska pod niezwyczajne sztandary przodków. Zwoła je i ruszy na północ utartą drogą ojców i ponownie pokaże światu miazdzącą potęgę Kemi... Ale on siedział nieporuszony.

— Odejdź — powiedział Mahu do gońca i ów wyczołgał się z sali. Wreszcie zniknął całkiem za rzeźbionymi drzwiami.

Faraon szeptał coś do siebie. Pisarze udawali, że są ogromnie zajęci. Szeleścili świeżymi zwojami papirusu, starając się nie spoglądać w stronę króla. Żal im było faraona do głębi serca.

Mahu znał swoje obowiązki: wezwał gońca z Etiopii. Wepchnął go brutalnie przez drzwi i podprowadził do tronu. Sam zaś odszedł pod ścianę i stamtąd uważnie obserwował faraona swoimi małymi oczkami o beznamiętnym spojrzeniu.

A kiedy faraon Echnaton uniósł głowę, zobaczył przed sobą kędzierzawego Negrę w szarym płaszczu.

— Ktoś ty jest? — zapytał faraon.

Negr odpowiedział głębokim pokłonem.

— Kto?!

— Wysłaniec głównego naczelnika wszystkich królewskich kopalni w Kusz.

— Czego chcesz?

— Najjaśniejszy panie! Jego jasność Punanch kłania się tobie po tysiąc razy, całuje stopy twoich nóg i przesyła dziękczynienie za wszystkie twoje dobrodziejstwa...

— Dalej, dalej — niecierpliwie przerwał mu faraon. Dostyc już miał tej głupiej napuszoności urzędniczego języka. — Cóż dalej?

Wysłaniec popatrzył w stronę Mahu, jak gdyby prosił go o radę. Ów ledwie widocznie skinął głową. Znak był dostatecznie wymowny.

— Najjaśniejszy panie — powiedział goniec — dziesięciu przestępców z Userkaafem na czele...

Faraon uniósł się nieco na fotelu. Rzucił najbliższemu pisarzowi bicz i posoch. Oparty na poręczach tronu zdawał się gotować do skoku.

— Z kim na czele?

Negr cofnął się o krok.

— Z Userkaafem na czele — wybełkotał po chwili.

Faraon zeszedł po stopniach tronu. Ruszył powoli ku wysłańcowi powtarzając bez przerwy:

— Z kim na czele? — Nie mógł słuchać tego imienia. Nie mógł. — Tylko mi nie mów, że on uciekł! Tylko mi nie mów, że uciekł!...

Negr nie spuszczał oka z opasłego dostojnika. Ale Mahu dawał znaki, mające dodać mu odwagi.

— Tak, uciekł... najjaśniejszy panie — wykrztusił ze siebie goniec.

Faraon nagle znieruchomiał. Oszupiał. Umilkł. Wpił się wzrokiem w oczy wysłańca. Palce splecionych dłoni zacisnął

tak, że zbiegły. Zaciśnął wargi. Do białości.

— Userkaaf podmówił strażników. Przekupił ich wydoby-
tym przez siebie złotem. I uciekł do Etiopii. Pogoń ruszyła za
nim. Jego jasność Punanch zawiadamia cię, że zbiegowie zo-
staną z powrotem sprowadzeni do kopalni — żywi lub martwi.

Faraon podszedł do gońca na odległość łokcia i hamując
gniew rzekł:

— Idź i powiedz swemu panu, idź i powiedz mu, żeby ko-
niecznie uwiadomił mnie o schwytaniu przestępców. Moich
śmiertelnych wrogów! Idź i powiedz mu, że czekam wieści od
niego jak najrychlej...

Faraon dusił się z gniewu. Oczy mu zmętniały.

Mahu krzyknął na gońca i ten wyleciał za drzwi jak strzała.
Mówiąc otwarcie, wielce z tego zadowolony.

Dostojnik ujął faraona pod łokieć i podprowadził ku trono-
wi.

W szerokim korytarzu słyhać już było bieganinę pałacowej
bosej służby, niosącej okłady i zimną wodę.

Śniadanie

Stary Pentu wchodził powoli po szerokich schodach. Na jego spotkanie zstępował z góry Mahu.

— Najdostojniejszy Pentu — przemówił dworak — właśnie miałem po ciebie posłać.

— Czulem to — odparł naczelny kapłan pałacowej świątyni Het-Aton. — W jakim charakterze jestem potrzebny? Jako duchowny czy jako lekarz?

— Z pewnością jako lekarz. Chociaż w tej chwili najjaśniejszy pan czuje się lepiej. Udał się na śniadanie.

Pentu piastował z urzędu jeszcze dwie godności: strażnika pieczęci królewskiej oraz seniora semerów. Liczył sobie blisko siedemdziesiąt lat. Już za panowania zmarłego faraona Amenhotepa III sprawował jedną z czterech obecnych funkcji, a mianowicie — lekarza najjaśniejszego pana, Życie, Zdrowie, Siła! Zmarły faraon umiał podporządkować otoczenie swojej woli. Działał bez pośpiechu, po trochu przyciągał ku sobie przyjaciół i niepostrzeżenie odwracał oczy od tych, co popadli w niełaskę.

Jego jasność Pentu w ostatnim roku zniedołężniał wyraźnie. Stawał się nadmiernie chudy — woda uchodziła z jego ciała. Twarz jednak nie zmieniała wyrazu. Zdawała się być wykuta z różowego piaskowca, na którym niebiański rzeźbiarz wyrzył odwagę i stanowczość. Wydatny sępi nos, brwi równe, jakby nakreślone pod linię, szeroka dolna szczęka — nie pozostawiały

żadnej wątpliwości, że Pentu potrafi we właściwym czasie okazać nieugiętość i upór. Oczy jego patrzyły przez wąskie szparki powiek. Nikt nie wiedział, co kryje się w tym spojrzeniu. Za to on widział wszystko i o wszystkim wiedział.

Mahu sapął. W milczeniu wyciągnął rękę ku przybyłemu, lecz Pentu odmówił okazanej mu pomocy. Wchodził na pierwsze piętro wyprostowany niczym długa kapłańska laska, którą trzymał w swojej dłoni.

— Co jest najjaśniejszemu panu? — zapytał.

Dworak wzruszył ramionami.

— Czy rzecz zwykła?

— I tak, i nie.

Pentu zatrzymał się. Do szczytu schodów miał jeszcze dwa stopnie.

— Jak mam cię rozumieć, Mahu?

— Zmartwiła go wiadomość z Etiopii.

— Co za wiadomość?

— Userkaaf uciekł.

— Uciekł?

Starzec chwycił Mahu za rękę i w mgnieniu oka przebył ostatnie dwa stopnie podskakując niby piłka z wełny.

— Co ja słyszę! — szepnął wzburzony. — To źle, Mahu!

— Tak, niewiele w tym dobrego.

— Gdzież on się podziewa?

— Mówią, że uszedł do Etiopów.

Pentu zmrużył oczy z niedowierzaniem:

— Kto może to potwierdzić?

— Przybył goniec.

— Userkaaf nie mógł uciec sam jeden.

— Jest z nim jeszcze dziewięciu innych przestępców. Najzawziętszych wrogów faraona.

Pentu niecierpliwie stuknęła laską w kamienną posadzkę:

— Chcę powiedzieć, że musieli mieć współników. Wśród straży.

— Możliwe.

— Nie, to jest całkiem pewne! Obawiam się, że nie tylko wśród straży. Ale i wyżej. Zupełnie blisko tronu. Co?

Mahu zaczął sapać coraz mocniej. Podeszli do wysokiej niszy, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć, a raczej podsłuchać.

— Punanch obiecuje sprowadzić zbiegów z powrotem — wyjaśnił Mahu.

— Obiecuje?

— Tak.

— Powiedz mi, Mahu, czy ty drogo płacisz za kurz na pustyni?

— Za kurz płacę tylko kurzem!

— Taką właśnie wartość mają obietnice Punancha!

— Tak myślisz, Pentu?

— Tak! Tylko tak myślę. Tego Punancha znam od dawna. Ja bym go nie wyznaczył na nadzorcę dwudziestu azjatyckich niewolników. A on jest naczelnikiem kopalń! Jeżeli tacy ludzie zaczną rządzić w państwie, wszystko przepadnie! Tylko by sobie brzuchy napychali. Nie wiem, czy są podstawy, żeby podejrzewać Punancha o współdziałanie. Nie chcę brać na siebie za wiele. Jedno jest jasne: Userkaaf musi być schwytany. W przeciwnym razie spodziewać się można wszelkich nieprzyjemności. Raniony lew jest bardzo niebezpieczny. — Pentu dodał po chwili z naciskiem: — Na co nam nowe nieprzyjemności jako dodatek do tych, które już mamy?

— Na nic! — powiedział Mahu.

— Masz stokrotną słuszność, Mahu...

Obaj dostojnicy skierowali się ku sali jadalnej najjaśniejszego pana. Posadzka, po której szli, pomalowana była jaskrawymi, zaiste żywymi barwami. Pod stopami idących zdawał się rozciągać pas nabrzeża Hapi. Pośrodku wila się wydeptana

ścieżka, żółta jak w dniach miesiąca epifi. Zieleniła się trawa. A na ścianach dokoła ciągnął się las trzciny, przerastających wzrost człowieka. Obraz był tak naturalny, że miało się chęć rozsunąć rękami szuwary, aby zobaczyć wody Hapi. Górne partie ścian i sufit naśladowały błękit nieba — także w miesiącu epifi. W powietrzu unosiły się dzikie kaczkę i gęsi.

Wejścia do sali jadalnej można było nawet nie zauważyć, albowiem wyglądało ono jak przerwa wśród trzciny, przez którą wychodzą z rzeki na ląd ociężałe, brzuchate krokodyle. Tak oto przyozdobili ściany i posadzkę artyści malarze — zgodnie z wolą najjaśniejszego pana.

Mahu przepuścił przed sobą naczelnego kapłana i obaj weszli do sali jadalnej. I tutaj ciągnął się dalej w całej swej okazałości nadbrzeżny pejzaż Hapi. Pod nogami zamiast ścieżki ukazała się przezroczysta, ale niezbyt głęboka woda. Ryby rozmaitych gatunków — wypukłookie i o wąskich szparkach oczu, szare i żółte, czerwone i o białych brzuchach — jak żywe uwijały się w przejrzystej toni. Na tych, co zjawili się nad nimi, spoglądały figlarnie i życzliwie, jak gdyby zachęcając do spróbowania rybnych potraw. Na ścianach — cienkonogie jelenie i łanie, antylopy i inne zwierzęta, żyjące wśród skał Ta-Neter, powyżej i poniżej katarakt Hapi, w Delcie i na półwyspie Synaj, w górach Reczenu i Babilonu i na obszarach pustyń. Ryby zaś należały do tych z Morza Trzciny i z Wielkiej Zieleni, z Hapi i z jezior Etiopii. Na widok całego tego królestwa ryb i zwierząt niepodobna było nie ulec pokusom zdrowego apetytu.

W komnacie jadalnej siedzieli przy stolikach: jego wysokość Smenkare — domniemany następca faraona, czarny Panehesi — zarządzający królewskimi spichrzami, Paujak — kapłan świątyni Ben-Ben, pisarz królewski Jahmes i jeszcze wielu

innych dworzan: pisarze, naczelnicy, kapłani pałacowej świątyni.

W przyległej komnacie zasiadała na podwyższeniu królewska para z córkami. Razem z nimi spożywała śniadanie królowa-matka Teje. Arcykapłan Atona Eje wraz ze swoją małżonką Tj — kiedyś mamką Nefertiti — siedział opodal przy osobnym stoliku. Zgodnie ze zwyczajem, przyjętym tutaj, w Achetatonie, spożywanie posiłków odbywało się w sposób swobodny, bez szczególnych formalności. Królewski mistrz ceremonii nie był obciążony jakimiś specjalnymi kłopotami.

Obie komnaty rozdzielała lekka przegroda z szerokim otworem na drzwi, które jednakże nie były zawieszane na zawiasach. Każdy, kto znajdował się w wielkiej sali, dobrze widział całą królewską rodzinę. W istocie było to wspólne śniadanie — nowość, której nie pochwalali przeciwnicy faraona. Nie był to zresztą w owej różnicy zdań punkt najważniejszy.

Pentu i Mahu usadowili się na swoich miejscach. Kapłan miał krótki wzrok. Wydobył szlifowany kryształ górski i przyłożył sobie do prawego oka. Ten magiczny kamień posiadał własność cudowną: przybliżał oddalone przedmioty. W tej chwili skierowany został w stronę faraona. Faraon Echnaton wydawał się znużony. Był błądy. Jadł w milczeniu gotowaną rybę w gorzkim sosie. Chleb z najdelikatniejszej mąki był jeszcze ciepły. To ulubione jadło. Ale dzisiaj najjaśniejszy pan bez najmniejszej chęci odłamywał nieduże kawałki, ugniatał w palcach i rzucał na stolik, nawet nie spróbowałszy ich smaku. Był to zły znak. Zazwyczaj po ataku przykrew choroby Echnaton szybko przychodził do siebie. Lubił wina i sam nadawał im nazwy. Dziś jednakże nawet nie tknął wina, chociaż na stoliku stało to, które znane było powszechnie jako „Wschód Atona na widnokregu” (zapewne z powodu swej bladezielonej barwy).

Królowa, przeciwnie, wydawała się wesoła. Wiodła z cicha rozmowy z córkami, siedzącymi na lewo od niej. Były to: Neferneferu-Aton-Taszeri, Neferneferura i Setepenra. Najstarsza z córek, Meritaton — małżonka Smenkare — nie zjawiała się na śniadanie z powodu bólu głowy, Anchesenpaaton zaś ze swym mężem, młodym i pięknym Tutanchatonem, przebywała w Pałacu Północnym.

Nefertiti oczekiwała, że faraon zwróci się do niej z jakimś żartobliwym pytaniem, jak to zwykle bywało. Ona odpowie mu równie żartobliwie. Obecni roześmieją się. Królowa-matka dorzuci coś od siebie. Faraon potrafił tak zaaranżować śniadanie, obiad czy wieczerzę, iż niejedno z nich pamiętano długo. W czasie posiłków nie tylko spożywano potrawy, ale i załatwiano rozmaite sprawy. To na przykład któryś z dostojników stanie w obronie jakiegoś heka-chasuta, który dopuścił się przewinienia, dajmy na to — w okresie żniw; to sam faraon przypomni sobie o jakimś zesłańcu, za drobne przestępstwo pokutującym na Półwyspie Synajskim, i ulaskawi go. Jednym słowem, jedzenie jedzeniem, a spraw państwowych nigdy nie traciło się z oczu.

Ale dlaczego faraon jest dzisiaj cichy i ponury? I czy nie za często bywa w ostatnich czasach smutny? Te pytania zadaje sobie nie tylko Pentu. I nie tylko Mahu. Najbardziej niepokoi się królowa Nefertiti. Oto nachyla się ku Taszeri, a jednocześnie myśli: „Co mu dziś jest?” Podaje kawałek mięsa Setepenra, a przez głowę przebiega jej pytanie: „Dlaczego on nie patrzy w moją stronę? Dlaczego choćby nie spojrzy pieszczotliwie na swoje córki?” W Pałacu Południowym jest Kija — czy przypadkiem nie to martwi najjaśniejszego pana?...

Faraon zapewne wyczuł niezwykłą atmosferę skrepowania, jaka panowała przy śniadaniu. A może już dojrzał czas, by przepaliła się w nim ta gorycz, co padła na jego serce po

rozmowie z gośćmi? Trudno byłoby rzec coś pewnego. Faraon to istota skomplikowana, zakamarki jego duszy bardziej są niedostępne niżeli tajemnice piramidy Chufu. Władca nieoczekiwanie zwrócił się do małżonki z zapytaniem:

— Czy nie wydaje ci się, że dzisiaj zbyt cicho jest w tych pokojach?

Królowa przyznała, że tak jest w istocie, że przy stolikach panuje milczenie. Podobno tak właśnie spożywają posiłki ci, co żyją w Pustyni Zachodniej, gdzie kończą się piaski, a zaczynają żyzne ziemie — w kraju Ta-Keft. Tamtejsi ludzie milczą przy jedzeniu, jak gdyby nabrali wody w usta.

Faraon udał, że pierwszy raz w życiu słyszy o tych ludziach. Cóż to za jedni? Skąd pochodzą?

— Wszyscy o tym mówią — powiedziała Nefertiti.

Rzuciła na męża badawcze spojrzenie. Co się z nim dzieje? Czy to może dzieje się coś z nią? Gdzie jest czarodziej, który mógłby wyjaśnić, o co tutaj chodzi? Nie było między nimi otwartych nieporozumień. On był uprzejmy jak przedtem. Ale trzeba by zaiste zamienić się w obelisk, by nie pojąć, że nie wszystko jest w porządku w tym wielkim domu. A może nie w domu, lecz w Kemi, na obu brzegach Hapi, w Delcie i na południu? Czy nie tu właśnie — jak mawiają Hetyci — ukryte są ośle uszy? Zdarza się przecie, że jedno drugiemu nie powiedziało nic złego, a mimo to wisi w powietrzu coś niezrozumiałego, coś, co psuje nastrój, co sprawia, że marszczą się brwi, a między dwojgiem kochających się serc staje lodowaty mur niczym w górach Reczenu. Królowa pojmuje, że trzeba podtrzymać zapał małżonka, trzeba ogrzać powietrze, które unosi się nad stolikami w sali jadalnej.

Smenkare kończył jeść słodką potrawę, kiedy król zwrócił się do niego z pytaniem:

— Czy nie wiesz, co to za lud żyje w kraju Ta-Keft?

Jego wysokość odstawił talerz, wytarł usta lnianą serwetką. Bładą, młodzieńczą twarz Smenkare okrył rumieniem. Oczy jego rozgorzały czarną błyskawicą. „Ten będzie faraonem — pomyślał Echnaton. — Ma w sobie fantazję i umie słuchać ludzi, a nade wszystko jest w nim jakaś moc pod piękną powierzchnością”. Smenkare nie odznaczał się wielką siłą fizyczną; strzała, którą wypuścił z łuku, mogła nawet nie ugodzić w cel. Ale czyż na tym polega wielkość faraona, który wiezie za sobą nieskończone tysiące ludzi? Mówią, że w czasach Narmera ceniono w faraonach siłę byka i żarłoczność krokodyla. W owych czasach — powiadają uczeni kapłani — ludzie z pałacu z łatwością spożywali całego wołu. Wystarczyło, aby faraon zaprosił na taką ucztę trzech-czterech dostojników. I piwa pito ponad wszelką miarę... Jeżeli to prawda, że w siłacz i duch jest mocny, to o Smenkare nic dobrego powiedzieć się nie da. Wszelako każdy, kto go zna, pojmie z łatwością, ile dumy i potężnej siły jest w duszy tego młodego księcia. Najwidoczniej stare przysłowie nie całkiem jest ścisłe...

Jego wysokość Smenkare odpowiedział, nie mówiąc nic poza tym, co powiedzieć trzeba. Co jest niezbędne dla jasnego zrozumienia myśli. Odpowiedział tak:

— Jest kraj na zachodzie i jest lud na zachodzie. Taki sam jak wszystkie ludy: na dwóch nogach i o dwóch rękach. Taki sam jak wszystkie: z włosami na głowie i z dwiema sutkami na piersiach. Przypomnę: na świecie są cztery rasy. Rometu — czerwoni. To my. Arnu — żółci. Żyją w Azji. Tegennu — biali. Ci są w Libii. Nechsu — czarni. W Ta-Keft mieszkają Tegennu i nieliczni Nechsu. Są tam miasta i wioski, są kanały i ogrody w pustyni, i kobiety są tam piękne i wysmukłe jak w Delcie, a zręczne jak te, co żyją w oazach. Zmarłych chowa się tam w skałach i małych piramidach z kamienia. I zmarli nie leżą w

grobach, lecz siedzą. I nie ma tam zwyczaju, aby zmarły zabierał ze sobą na Pola Iaru więcej, niż może wziąć człowiek oburącz.

— Słyszycie? — powiedział faraon spoglądając przed siebie. Ale nie wiadomo było, do kogo zwrócił się z tymi słowami.

Eje zaznaczył, że to wszystko prawda, co mówią o Ta-Keft.

— Kto mówi? — spytał faraon.

— Ludzie mądrzy mówią. — A czyż tacy są?

— Kto?

— Mądrzy ludzie.

— Znajdują się nawet tutaj, w tym pałacu.

— Naprawdę? — faraon odchylił się nieco do tyłu, jak gdyby chciał wystawić na pokaz swoje mocne, masywne szczęki. I roześmiał się. Nie, zachichotał. Nie, zakrztusił się śmiechem. Spoglądając na niego, zaczęli się śmiać i inni. Śmiech udzielał się kolejno to jednemu, to drugiemu. I oto śmieją się już wszyscy. Nawet Nefertiti. Nawet nieśmiały Smenkare. A o księżniczkach nie warto nawet mówić: pokaż dziewczynom zgięty palec, już chichoczą.

Pentu nachylił się do Mahu i powiedział półgłosem:

— Najjaśniejszy pan, Życie, Zdrowie, Siła! czuje się dobrze.

Mahu odrzekł:

— Po śniadaniu będzie cię oczekiwał.

W tej niespodziewanej wesołości, jaka napadła wszystkich, wesołości wyraźnie niezdrowej, sztucznie podsycanej, niewzruszenie posępny pozostał tylko jeden człowiek: jego wysokość Eje. Z dezaprobata spoglądał na swoją małżonkę Tj, kobietę już z lekka pomarszczoną, ale ciągle jeszcze żywą i pełną energii. Może Eje widział dalej niż wszyscy. Kto to może powiedzieć? Gdyby tu był teraz malarz i rzeźbiarz Juti, z

pewnością przedstawiłby tych kilkanaście śmiejących się bezmyślnie osób i poważnie zadumanego dostojnika. Jednego starego mędrca pośród lekkomyślnej gromady. Jednego trzeźwego żołnierza wśród podchmielonych. Tak by przedstawił ich Juti. I z pewnością miałby słuszność...

Eje powiedział w zamyśleniu:

— Co to znaczy: człowiek mądry? Pewien pieśniarz, jeżdżący w zamierzchłych czasach po różnych miastach, tak się wyraził: mądry człowiek jest taki sam jak wszyscy. Różnica polega tylko na tym, że więcej myśli, a mniej od innych gada.

— To jest trudne — powiedział faraon.

— Co jest trudne?

— Zazwyczaj trudno jest gadać mało. Ale niekiedy jeszcze trudniej jest gadać.

— A ja co mówię? — rzekł Eje. — To samo.

Służba roznosiła wino — czarne jak atrament, którym się pisze w kancelarii faraona. Nazywało się ono „Nieporównane Achetatonu”.

Królowa Nefertiti śmiała się wraz z innymi, lecz w sercu czuła kamień.

„Echnaton już jest ten sam. Co się z nim dzieje? Mówią, że wszystkiemu winna Kija, ta gorąca młoda piękność. Ale czyż piękna kobieta może budzić niepokój w bogu? Nie o nią tu idzie! Wcale nie o nią. Jeżeli Echnaton w czymś się ze mną nie zgadza, to można tę rzecz wyjaśnić. Jeżeli cała sprawa polega na tym, że nie urodziłam mu chłopca, to mogę odejść. Ale wszystko wymaga wyjaśnienia. Nie wolno tak, milczkiem... To milczenie przygniata, może zmiażdżyć...”

Eje patrzył przed siebie, zdając się nie dostrzegać żony, która siedziała naprzeciw niego, i myślał o swoim. Jego żylaste ręce spoczywały na stole. Głowę pochylił z lekka w stronę lewego ramienia.

Teraz widać wszystko jak na dłoni. Nawet cudzoziemiec, nieznający naszej mowy, powie od razu; między królem

i królową nie ma zgody. Wielka miłość ustąpiła miejsca wielkiej obojętności. Od obojętności zaś do nienawiści — tylko krok. Ta młoda Kija robi swoje. Niszczy. Nawet ślepy to widzi”.

Faraonowi nie dawali spokoju owi milczący mędrcy, o których mówił Eje. Na ogolonej głowie starca pulsowały wielkie i mocne żyły. I faraon pomyślał: czy to nie owe żyły są oznaką mądrości? Lubił i głęboko poważał starego. Ani jedna rada Ejego nie była nieroztropna, ani jedna — nieprzemyślana. Gdy mówił, zdawał się wykuwać słowa. Każde słowo było jak metal: ważkie, ścisłe, trafiające do serca, do samej jego głębi...

— Czytałem w starych zwojach — powiedział Echnaton — że kiedyś w Kemi mieszkali mędrcy. Gadali dużo, ale każde ich słowo było czystym złotem.

— Gdzież są teraz? — spytał Eje.

— Owi mędrcy? Wyginęli. Albowiem w przeciwnym razie brzegi Hapi usiane byłyby złotem.

— W to wierzę — rzekł Eje i wreszcie się roześmiał.

Faraon uniósł w górę czarkę, chciał ją przytknąć do warg, ale — czy sobie coś przypomniał, czy może zobaczył coś w czarce — postawił ją z powrotem na stoliku. Potem wstał i przeszedł do komnaty, gdzie pracował i układał wiersze.

Pentu ruszył za nim.

Niepokój

W tej niedużej, bardzo niedużej salce, ozdobionej przez malarzy, Echnaton czuł się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Na ścianach nieskończenie wiele razy wyobrażony był faraon w rozmaitych chwilach życia: to na rękach na pół nagiej matki, to obok królowej Nefertiti, to wśród dzieci, to nad ciałem nieszczęsnej Meketaton, która przedwcześnie przeniosła się na Pola Iaru (tak podobało się wielkiemu Atonowi).

Jeden kątek komnaty zarzucony był stosem czystych zwojów papirusu. Faraon mógł w dowolnej godzinie zapisać swoje myśli bez pomocy pisarzy. Ganki wychodziły na dolinę Hapi. Gładki jej łuk, podobny do łabędziej szyi, widać stąd było jak na dłoni. Kiedy słońce jest jeszcze we wschodniej stronie nieba, ciągnie stamtąd chłód. Później — po południu — najjaśniejszy pan przejdzie do innego gabinetu, przypominającego ten, lecz położonego od zachodu. Tam także przyjemnie jest układać wiersze i wygrywać na harfie jakieś wymyślne melodie.

Pentu cicho uchylił drzwi i zamknął je za sobą. Faraon nawet nie drgnął. Spoglądał na ścianę.

Pentu stanął za nim, wlepiwszy ostre spojrzenie w potylicę faraona. Kto by powiedział patrząc na niego z tyłu, że w rękach tego człowieka jest cały świat? Kto by pomyślał, że w nim, w tym słabowitym mężczyźnie, znajdują się siły, które powstaną

nie tylko przeciwko jego wrogom, ale i przeciw samemu bogu Amonowi? Wszystko to pozostanie tajemnicą nawet dla tak wielce doświadczonego i mądrego człowieka jak Pentu. Jeżeli zaś jest to tajemnicą dla Pentu, to dla kogóż nie jest tajemnicą?

— Odwróć się do mnie, najjaśniejszy panie!

Echnaton stał bez ruchu. Słyszał głos starego Pentu, lecz w uszach jego brzmiał i inny głos, znacznie silniejszy.

— Najjaśniejszy panie!

Faraon odwrócił się powoli. Wargi miał jakby obrzmiałe. Oczy pozbawione życia. Wąska twarz, o której mawiano, że jest ostra jak sztylet, stała się jeszcze ostrzejsza. Pentu przeraził się na widok szarej barwy tej twarzy. Co się stało faraonowi?

Pentu wyciągnął rękę i przytknął ją do serca Echnatona. Potem obmacał jego wątrobę. Faraon wydawał się nieobecny. Jak gdyby dotykano nie jego, lecz tylko cienia faraona.

— Boli?

Faraon milczał.

— Boli? — powtórzył Pentu.

Faraon westchnął głęboko, wziął lekarza za rękę.

— Pentu, serce moje zawsze jest z tobą. Nie boli mnie wcale. I wątroba nie boli. Dusza moja wije się z bólu od nieznośnej męki. Jakby ją ktoś przeszywał na wylot gorącym różnem niby gęś, zanim ją upiecze.

Pentu słuchał uważnie.

— Kiedyś, Pentu, powiem ci coś więcej. A wtedy zrozumiesz, dlaczego dusza moja cierpi. A moje ciało... Zapewniam cię, że chociaż nie jest zbyt okazałe, nie należy źle o nim myśleć. Sto lat, dobrych sto lat mi posłuży, jeżeli tylko dusza wytrzyma.

Kapłan niczym nie zdradzał swoich uczuć. Służył ojcu Echnatona, służył i temu, co życiem obdarza wszystkie istoty — bogu Atonowi. I dlatego kapłan musiał być ponad wszystkim,

co ziemskie, a rozmawiając z ukochanym synem Atona zachować godność kapłana.

— Pentu — mówi dalej faraon — chcę ci coś powiedzieć. Myślę o tym i krew stygnie w moich żyłach, i rodzi się jakiś ciężar w potylicy. Od tego ciężaru stawy moje robią się czasem podobne do wody. I o mało nie upadłem. Dziś rano. Upadłbym, gdyby nie Mahu.

Rozciągnąłbym się na posadzce jak długi.

Kapłan przerwał milczenie:

— Najjaśniejszy panie, ja wiem wszystko. I powiem ci: twój niepokój jest usprawiedliwiony. Albowiem w twoich rękach są losy Kemi. Podaj mi dłoń. Prawą.

Faraon wyciągnął rękę. Była delikatna i mała. Jak ręka kobiety.

„...Taka mała i taka silna. Zaprawdę powiedziane jest: lękaj się ludzi niskiego wzrostu... Ręka jest silna, lecz Kemi jeszcze silniejsze. Ręka jest władcza, ale czy poradzi sobie z ognistym rumakiem, na którym cwałuje faraon?”

Pentu przyglądał się liniom na królewskiej dłoni.

— Jesteś zdrow — powiedział na koniec.

— I to wszystko?

— Cóż jeszcze?

— Wiem, że jestem zdrowy. Ale chcę wiedzieć, czy zdrowi są moi dworzanie, moi wodzowie, moi semerowie. Albowiem od ich zdrowia zależy i moje.

Echnaton przeszedł się po komnacie tam i z powrotem, wypinając swój okrągły brzuch.

„...On jest bardzo nieładny, bardzo nieładny. Biedna Nefertiti! Godna jest najlepszego z lwów!”

Faraon zatrzymał się przed kapłanem. Wargi jego — takie pulchne i delikatne jak u dziecka — drżały, zanim wypowiedziały słowa.

— Pentu — rzekł faraon — mnie się zdaje, że kraj jest chory. Nie ja, lecz kraj! Im więcej o tym myślę, tym większej

nabieram pewności. Jednakże najbardziej martwi mnie królowa. — Powiedziawszy to, czekał zaciekawiony, jakie wrażenie słowa jego sprawią na starym kapłanie. — Królowa, jak mi się zdaje, już mnie nie rozumie.

— A może odwrotnie?

Faraon drgnął, jak gdyby siłą wyrwany ze snu:

— Jak powiedziałeś?

— Czy ty, panie, rozumiesz królową?

I po raz pierwszy (Pentu nic podobnego nigdy jeszcze nie widział) faraon na wspomnienie królowej skrzywił się jak pod wpływem bólu. „Czy podobna, aby tak było?”

Faraon, akcentując sylaby, powiedział:

— Nie chcę jej znać!

Faraon zatrzęsł się z gniewu.

— Uspokój się, panie — rzekł Pentu.

— Nie mogę! Czuję, jak żona moja i dzieci moje odsuwają się ode mnie. Cały lud odsuwa się ode mnie. Kemi ode mnie odchodzi...

— To ci się tylko zdaje...

— Zdaje się? — Faraon stał się nagle sobą: potężnym monarchą o nieugiętej woli. — Ja widzę zbyt daleko. I w tym, być może, tkwi moje nieszczęście. Czy myślisz, że nie wiem o budzącym się niezadowoleniu? Tak, tak, niezadowoleniu!

— Rodzi się ono zawsze i wszędzie — powiedział mądry Pentu. — Od czasu jak istnieje człowiek i istnieje Kemi, wszędzie i we wszystkich okresach szerzy się niezadowolenie. Porachuj, ilu ludzi żyje w twoim królestwie. Zamień się na chwilę w sokoła i spojrzysz na swoją ziemię z jego lotu: jaka jest wielka i jakie mnóstwo ludzi na niej mieszka. A teraz zamień się w mysz domową i podśłuchaj, co mówią miliony...

— Nic dobrego, Pentu.

Kapłan odparł:

— Jedni przeklinają. Inni wybaczą. Jedni są niezadowoleni, ale wcale nie dlatego, żeś ich czegoś pozbawił. Inni są zadowoleni, ale wcale nie z tego, co im dałeś. Jeszcze inni...

Faraon nie dał mu dokończyć:

— To nie jest ważne, co myślą i czym się zajmują ci trzeci. Na co to wszystko, jeżeli pod moim bokiem dzieje się coś takiego, od czego człowiek może całkiem postradać rozum?

— To jest nieprawda.

— Co nie jest prawdą?

— Nic szczególnego się nie dzieje.

— Jeżeli żona cię nie rozumie? Jeżeli zięć, Smenkare, myśli po swojemu? Jeżeli drugi zięć także kroczy nie w tę stronę, co trzeba, a córki twoje stają się wobec ciebie obojętne — czyż to jest „nic szczególnego”?

Kapłan dał do zrozumienia, że właśnie to wszystko nie jest niczym szczególnym. Faraon roześmiał się mimo woli. Jak chłopiec. Zaklaskał w dłonie. Zrobiło mu się tak wesoło, jak gdyby wypił dużo wina.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! — wykrzyknął. — Moi bliscy i przyjaciele w moich oczach robią z szarego białe, a z białego czarne. Bardzo dobrze! To znaczy, że nie ma się czego obawiać? To znaczy, że mogę sobie powiedzieć: w państwie moim wszystko idzie znakomicie?... Nie, nie! Nie dawaj mi odpowiedzi od razu. Przedtem się zastanów. Pomyśl i powiedz mi: czy wszystko w państwie idzie znakomicie?

Kapłan usiłował, jak i poprzednio, nie zdradzać ani swych myśli, ani uczuć.

— Najjaśniejszy panie. Od czasu jak istnieje wszechświat, nie było jeszcze władcy, który mógłby powiedzieć: wszystko w moim kraju dzieje się dobrze.

— Dalej!

— Jeżeli nawet znalazł się gdzie taki król, to niebawem i on żałował swoich słów.

— Dlaczego?
— Dlatego że przekonywał się o tym, o czym się przekonywał.

— Nie pojmuję twojego kapłańskiego języka. Mów jaśniej, Pentu. Powiedz mi tak, jak mówią na rynku.

Kapłan ściągnął brwi:

— Wszak nie jestem na rynku. Nie jestem handlarzem zieleniny.

— Wiem o tym! Dalej!

— Nie wolno utyskiwać na to, że w państwie coś nie jest w porządku. Od tego jest właśnie państwo.

— Mówisz mi to jako lekarz czy jako doradca?

— Jako lekarz.

— Cóż tedy? Według ciebie — jestem chory?

— Tak.

— I ciężko?

— Tak.

— Jesteś tego pewny?

— Tak.

— No więc lecz!

Faraon padł na matę, wyciągnął nogi, złożył ręce na piersi, zamknął oczy. I rozkazał:

— Lecz!

Kapłan nie ruszył się z miejsca.

— Lecz, powiadam!

Pentu przysiadł na niskiej ławie. Pomilczał chwilę. Potarł czoło. Tak, jest pewny, że mówi prawdę. Czy tak już źle stoją sprawy Kemi? Atak Hetytów na pograniczne wioski? Daleko oni nie zajdą, to jest jasne. Powstanie w Reczeniu? Już się skończyło. Niepokojąca sytuacja na pograniczu Etiopii? Tam zawsze było niespokojnie.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Pentu nie patrząc na faraona. — Nikt z nas nie jest z kamienia. Tobie potrzebny jest odpoczynek. Jedź, panie, do Pałacu Południowego. Spędź tam

dzień, drugi. Przepędź noc na wodzie. Wśród światła. Posłuchaj muzyki. To jest konieczne dla zdrowia.

- A dalej?
- Co dalej?
- Kto zajmie się sprawami państwa?
- Ty.
- A któż oddawać się będzie zabawie?
- Także ty.

Faraon usiadł na łożu. Oparł brodę na kolanach. Tak jak robił w dzieciństwie. Pentu dobrze pamiętał zupełnie jeszcze młodego faraona. Młodego księcia.

— Posłuchaj, Pentu. Odpowiadaj wprost i nie próbuj zawracać mi głowy.

Pentu skrzywił się i zmarszczył: nie pochwalał zamilowania faraona do języka ludzi targowiska i rzemiosła.

— Rozumiesz? Nie zawracaj głowy! Jeżeli przychodzą do ciebie i mówią: uciekł z kamieniołomów twój wróg wtrącony tam przez ciebie, to co ty powiesz?

- Zacznę go szukać.
- A jeśli nie mogę go znaleźć?
- Uzbroję się w cierpliwość.
- A potem?
- Wymierzę sto różeg niedbałemu heka-chasutowi.
- Sto?
- No, może pięćdziesiąt. Na pierwszy raz.
- To jest myśl!

Faraon uderzył laseczką z kości słoniowej w miedzianą płytkę. I rzekł do wschodzącego czarnoskórego niewolnika:

— Zawołaj do mnie jasność Mahu.

Niewolnik wysłuchał rozkazu nie patrząc na dobrego boga. I wycofał się tyłem ku drzwiom.

— Powiedz, żeby przyszedł jak najprędzej!

Niewolnik uchylił drzwi.

— Żeby pędził tu natychmiast!

Niewolnik wyszedł na korytarz.

— Niech sobie brzuch utrząsie!

Niewolnik nie śmiał zamknąć drzwi za sobą.

— Niech się tutaj pośpieszy ten brudny hipopotam!

Faraon był niby potok górski: jeszcze chwila i zmiążdży wszystko na swej drodze.

— Pentu! — krzyknął potrząsając pięściami. — Dajesz mi zawsze dobre rady. Tych łotrów nie ma co oszczędzać. A wtedy będą mnie bardziej kochać i poważać. Ten sekret wyczytałem w pewnym starodawnym zwoju. Tam bardzo dobrze mówiło się o tym, jak powinni postępować władcy.

— Okrutnie?

— Właśnie okrutnie, Pentu! Nie żałując nikogo i niczego. Mówiono mi, że pierwszy wypróbował ten sposób faraon Narmer. I władza jego była naprawdę silna. A ja walczę, o to walczę już czternaście lat ze swymi nieprzyjaciółmi i niewielem osiągnął.

— Tego bym nie powiedział, najjaśniejszy panie.

Wszedł Mahu. Raczej się wtoczył. A ktoś niewidoczny przymknął za nim drzwi.

— Jestem u twoich stóp, najjaśniejszy panie!

Wypowiadając te słowa Mahu spoglądał na kapłana.

Ale ten stał zwrócony do niego tyłem.

— Mahu — powiedział faraon. — Punanch okazał się nie-dbały. Wypuścił tego Userkaafa. On zaś uciekł do Etiopii. Po-goń wysłana. Ale zbiega na razie nie pojmano. Rozkazuje: pół setki kijów Punanchowi. Natychmiast! A reszta potem. I dać mu znać: ma szukać zbiega na ziemi i pod ziemią, w górach i na wodzie! Zawiadom go jeszcze, że nie daj boże, nie daj mu boże, aby nie schwytał zbiega i nie sprowadził go z powrotem! Zrozumiałeś mnie, Mahu?

— Zrozumiałem.

— Pięćdziesiąt tęgich kijów.

— Tak jest.

- I uwiadomić mnie natychmiast!
- Najjaśniejszy panie. Punanch otrzyma swoje co do joty. Faraon skinął. Mahu oddalił się.
- Jesteś zadowolony, Pentu?
- Tak samo jak i ty, najjaśniejszy panie.
- Jestem wzburzony. Wcale nie jestem zadowolony.

Skądeś, z fałd swojej szaty, kapłan wydobył flakon, ulał z niego trochę burej cieczy do czarki i podał faraonowi.

— To wyciąg z ziół — powiedział. — Daje uspokojenie, którego potrzebujesz nade wszystko. To drzewo, podobne do smoka, rośnie w dalekim Ta-Neter.

Faraon wypił.

- Co za paskudztwo!
- W płynie tym jest wielka moc.
- W tej śmierdzącej wodzie?... Odsłonę ci, Pentu, pewną tajemnicę. Zbliź się do mnie, Pentu. Zbliź się jeszcze. Moi wrogowie pragną wojny. Jedni wzywają mnie na północ, drudzy na południe. Jeszcze inni radzą iść przez pustynię, aby podbić nieznane państwo Ta-Keft. Jeżeli ruszę na północ, jeżeli popełnię na południe albo przepelzną przez pustynię, wrogowie zaczną mnie szanować. Kapłani Amona wyciągną do mnie ręce. Arystokracja, którą bilem bez litości, także wyciągnie do mnie dłoń przymierza. A ja mówię wodzom przypominając im sumeryjskie przysłowie: „Poszedłeś zagarnąć ziemię wroga? Wróg przyszedł, aby zagarnąć twoją ziemię”. Rozumiesz, Pentu?

Kapłan skinął głową.

— Sumerowie nie są głupcami. Jedynie teraz przycichli, jak gdyby zaszyli się w kącie. A przecież Sumerowie uczyli innych rozumu. Mają takie śmieszne pismo, jakby kura pazurem drała. A ja nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, czyj ród jest starszy: nasz czy ich.

Faraon podniósł się z młodzieńczą żywością, rzucił się w

stronę kąta, gdzie leżały czyste zwoje papirusu. I nagle znieruchomiał. Powoli odwrócił się całym ciałem ku kapłanowi. I szepnął:

— Chcesz, to wypowiem im wojnę?

— Komu, najjaśniejszy panie?

Dobry bóg nie odpowiedział.

Wódz naczelny

Bardzo być może, iż faraon wyjaśniłby staremu Pentu, komu gotów jest wypowiedzieć wojnę. Jakim to „im”? Nie miał szczególnych tajemnic przed kapłanem. Nawet może zbyt często otwierał dobry bóg swoje serce przed uszami tego kapłana i lekarza. W Wasecie mawiają: „Co to za monarcha, który nie ma tajemnic w duszy?” Zresztą lud w Wasecie, byłej stolicy Kemi, jest zbyt wyrafinowany. Ściślej mówiąc, zanadto zepsuty życiem stolicy, wyższością swego miasta nad wszystkimi pozostałymi miastami Kemi. W Men-Nefer, najstarszej stolicy Kemi, mawiają nieco inaczej: „Faraon nie powinien mieć tajemnic więcej niżeli zwykły żołnierz w Pustyni Libijskiej, kiedy tam walczy”. Są to skrajnie różne punkty widzenia. Prawda jest zapewne gdzieś pośrodku. Rzeźnicy w Achetatonie wypowiadają swój pogląd na tajemnicę w sposób następujący: „Tajemnic ani złych zamiarów nie ma tylko wół wiszący na haku w sklepie rzeźnika”. Któż jednak ma słuszność?

Bardzo być może, iż faraon wyjaśniłby to i owo kapłanowi Pentu, gdyby właśnie w tej chwili nie zjawił się wódz naczelny Horemheb. Głośno tupiąc ciężkimi butami podszedł prosto ku władcy i złożył mu pokłon. Był to człowiek o prostackim sposobie bycia, niczym tragarz. Wysoki i tęgi, rzekłbyś: jakiś afrykański królik. Twarz miał niemal kwadratową: od czoła do brody tyle samo, co od ucha do ucha. Jego lewy policzek zdobiła

różowa blizna — piękny znak, zdobyty w bitwie z Hetytami. Horemheb bardzo dumny był z tej szramy.

— Najjaśniejszy pan dopiero co odzyskał siły — powiedział Pentu. — Czuł się bardzo źle.

— Bardzo żałuję, Pentu. Bo wieści mam smutne. I rozmowa będzie smutna.

— Taki jest porządek rzeczy, Horemhebie. Ja niosę dobrą wieść, a twoją sprawą jest zasmucać ludzi i zasiewać chłód w ich sercach.

— Masz słuszość, Pentu. Zawody nasze są różne. Jesteśmy stworzeni do różnych spraw. I ja nie narzekam.

— Niestety! — odparł kapłan. — Właśnie ta różnica mnie niepokoi.

Horemheb machnął ręką: szkoda czasu na głupstwa. Ustawił dwie trzynogie ławy jedną obok drugiej. I powiedział tak, jakby się zwracał do żołnierzy:

— Siadajcie: ty, najjaśniejszy panie, tutaj, Pentu — tutaj!

Dobry bóg, pochłonięty własnymi myślami, siadł na ławie bez słowa. Kapłanowi nie pozostało nic innego, jak wziąć z niego przykład.

Faraon wlepił wzrok w jakąś rybkę na podłodze, którą zamierzał połknąć inny — silniejszy — mieszkaniec wód. Malarz przedstawił małą rybę jako stworzenie bardzo sympatyczne i niepodważające strasznego niebezpieczeństwa, jakie jej grozi. A drapieżnik wyszczerzył zęby. Otworzył paszczę i już odczuwa przedsmak przyjemności. Cóż za przepiękna ilustracja do rozmowy, którą z pewnością chce wszcząć Horemheb! Ten widzi przed sobą obraz Kemi na podobieństwo owego podwodnego drapieżcy. Nawet przez sen widzi on Kemi, którego wojska pożerają sąsiednie ziemie. Sąsiednie państwa. Sąsiednie ludy...

— Jak zawsze — zaczął Horemheb nie wiedzieć czemu

uroczyście — przybywam ze złymi wieściami. Hetyci stają się z każdym dniem zuchwalsi. Według wiadomości, jakie otrzymałem, wtargnęli do miasteczka Nom-ot. Zapewne, panie, pamiętasz tę nazwę. Rok temu stamtąd właśnie przysłano złote umywalnie dla trzech pałaców Achetatonu.

— Tak, pamiętam — głucho odezwał się dobry bóg.

— Nom-ot ma duże znaczenie dla północnych prowincji Dżahi. — Horemheb rozwinął poźółkły papirus. — Tutaj oto, najjaśniejszy panie, przedstawione jest miasteczko Nom-ot. Jego mieszkańcy to wyłącznie tubylcy, a ich księżę nazywa się Hemettat. Jest szczerze oddany tobie i dzisiaj gorzko oplakuje swój upadek. Nieco w prawo, dalej od morza, o sześć sechenów od Nom-ot, znajdowała się nasza twierdza, zbudowana przez zmarłego faraona. Tę twierdzę także zajęli Hetyci. Plemiona Mitanni, podburzane przez księżąt Reczenu, uderzyły na nasze garnizony tutaj. — Gruby palec Horemheba powoli opisywał łuk na wschód i północo-wschód od miasta Nom-ot. — Rozbójnicy morscy, wyruszywszy w morze z wyspy Isi, przeszkadzali naszym okrętom. Na wybrzeżu, tuż nad granicą z Hetytami, stała nasza strażnica wojskowa Nefer-Tua. Została ona zdobytą przez wrogów jeszcze w zeszłym roku, w miesiącu mechir. W ciągu ostatniego półrocza Hetyci przesunęli się aż tutaj, do miasta An-Tair. Z łatwością obliczysz, królu, ile sechenów przeszli Hetyci przez pół roku od Nefer-Tua do An-Tair: równe dwadzieścia sechenów!

Pentu spoglądał z ukosa na papirus, ale najbardziej zdumiewały go ordynarne łapy Horemheba. Zdawały się ociekać tłuszczem, jak gdyby je kto przypiekał nad ogniem. Ten wódz naczelny był wstrętny kapłanowi. Najwidoczniej nie tylko jemu. Czyż faraon jest szczerzy wobec Horemheba? Ledwo go może znieść. Raz już o mało nie doszło do odebrania mu stanowiska naczelnego wodza. Ale nic z tego. Trzeba było wyrzec

się tego zamiaru. Wielu wyższych dostojników wypowiedziało się przeciwko zmianie na tym stanowisku. I Horemheb pozostał. To bardzo źle, gdy wojownik nabierze przekonania, że siedzi w siodle niezwykle mocno. Można się po nim spodziewać wszelkiego łajdactwa — zarówno jawnego, jak i tajnego!

— Zbuntowani książęta Reczenu — mówił dalej Horemheb wskazując czerwoną plamę na papirusie — przeszli tędy, przez pasmo górskie, i zbliżyli się do miasta Kodsza tak bardzo, że nasz garnizon zmuszony był wycofać się ku morzu. — Wódz naczelny przesunął mały palec od czerwonej plamy aż do brzegu papirusu.

Pentu spoglądał z wysoka. Nawet się nie schylił, aby lepiej obejrzeć rysunek. Kapłan — jak zwykle w takich razach — uciekał się do pomocy górskiego kryształu.

Faraon wlepił wzrok w sufit. Tam latały ptaki. Tam było błękitne niebo, niepojęta wysokość. Sokół leciał w błękiecie. Szybował na mocnych skrzydłach i faraon zazdrościł ptakowi. Szczerze zazdroszcząc mu swobodnego lotu, jednocześnie zadawał sobie pytanie: „Dlaczego rybie jest dobrze w wodzie, a ptakowi w niebie? Na czym polega istotny sens pływania w wodzie, chodzenia po ziemi i latania w powietrzu?”

Pentu zauważył roztargniony wzrok faraona. Kapłan także zachwycał się sokołem, ptakiem nechbet. Ptak wyglądał całkiem jak żywy — z piórami połyskującymi od podskórnego tłuszczu, z dziobem o szarej barwie i z oczami podobnymi do bursztynu.

Horemheb zagłębił się po uszy w swoim papirusie. Rozwijał nadal własną myśl, że natarcie wrogów Kemi będzie zjawiskiem stałym i w przyszłości. Będzie się to ciągnęło tak długo, dopóki król zachowa bierność. Tak, bierność!

Wódz chciał się przekonać, jakie wrażenie wywrą te słowa

na faraonie. Ku jego zdumieniu i żalowi — zarówno król, jak i dostojnik, zachwycali się wyobrażonym na suficie ptakiem. Nie mówiąc już ani słowa i nie zdradzając się ze swoim oburzeniem, Horemheb również zadarł głowę i jął przyglądać się ptakowi nechbet. Tak tedy gapili się na ptaka trzej pierwsi mężowie Kemi, między którymi był sam dobry bóg...

— Wydaje mi się — przemówił wreszcie faraon — że ten ptak trochę zezuje. Albo może patrzy nie tam, gdzie trzeba. Nechbet wypatruje swojej ofiary. Podobnie jak nasz Horemheb. W tym wypadku jedną z ofiar jest któryś z nas dwóch. Powiadam: ofiara, mając na uwadze kierunek drapieżnego spojrzenia tego ptaka. Ale lewe oko patrzy nie tam! Jeżeli się zgodzimy, że lewe próbuje ocenić odległość ode mnie, to prawie zauważyło Horemheba.

Pentu powiedział, że obie źrenice skierowane są na Horemheba i o żadnym zezowaniu mowy nie ma. Malarz znał swoje rzemiosło.

Kapłan mówił bardzo ostro. Horemheb usiłował przerzucić tę ostrość na osobę faraona. Ów jednak zareagował natychmiast:

— Drogi Horemhebie, to o tobie mówi, o tobie mówi dostojny Pentu! Ty istotnie mało rozumiesz się na malarstwie. I nie ma w tym nic, co by przynosiło ci ujmę. Tak sędzę...

— Oczywiście, oczywiście, najjaśniejszy panie!

„Posłuchaj, ty łysa małpo — zwrócił się w myśli wódz do kapłana — kiedy ty przestaniesz zaśmiecać nasze uszy swoimi głupimi słowami?”

— Nie ma w tym nic, co byłoby ujmą dla ciebie — powtarzał z drwiną faraon zadzierając głowę tak jak przedtem i wystawiając na widok publiczny swój bynajmniej niepiękny podbródek.

„Tak, szczerę to on ma końską — myślał Horemheb dalej. — Nie chcę nic, tylko dwa dni władzy, oto wszystko! Ja bym im

pokazał, gdzie żyją szczury w pustyni!” A głośno powiedział:

— Dostojny Pentu powinien by nie tyle wtykać nos w sufit, ile raczej rozejrzeć się dokoła i pomyśleć o tym, co się yrabia na granicach.

Faraon ożywił się nagle:

— Jak powiedziałeś?

— Tak jak powiedziałem — mruknął wódz.

— Nie, tyś wyraził się soczyście, ja zaś, jak ci wiadomo, lubię soczyste wyrażenia. „Wtykać nos w sufit”... Klnę się na Atona — to nieźle powiedziane! Słowo daję, że wykorzystam twoje wyrażenie w swoich wierszach. I ogłoszę, że najlepszy zwrot należy do ciebie;

— Nie jestem żądny zaszczytów...

— O, temu to ja nie wierzę.

— Dlaczego?

Pentu wtrącił się do rozmowy:

— Dlatego że to nieprawda!

Pentu przytknął do oka magiczny kamień i powiedział powoli, bardzo powoli, wskutek czego każde jego słowo brzmiało jeszcze mocniej:

— Dlatego że w sercu twoim żyje pragnienie zaszczytów, jak krokodyl żyje w wodzie, jak hipopotam w bagnach, jak żmija na pustyni. Gotów jesteś wciągnąć kraj w nieszczęście wojny, aby tylko zaspokoić własną żądzę sławy. Ta żądza twoja jest zachłanna, Horemhebie! Chciałaby połknąć cały świat. Taka jest zachłanna.

Twarz wodza powlokła się czerwienią na podobieństwo lnianej tkaniny, na którą wylano czerwone wino. Ale nie byłby on Horemhebem i pierwszym wodzem w państwie, gdyby nie umiał wziąć się w garść. Ostygł wreszcie — powoli, bardzo powoli, niby nadbrzeżny otoczak po upalnym dniu. Najpierw się uśmiechnął — wykrzywił twarz, przytknął jedno oko, potem drugie. Czterdziestoletni wojak zdawał się walczyć ze sobą.

Wreszcie mięśnie jego oblicza wygładziły się całkiem, wygładziły się Wszystkie oprócz szramy, jaką pozostawił na niej azjatycki sztylet.

— Dziwne to jest, bardzo dziwne — powiedział obrażonym tonem — dziwne to jest, królu i panie! Oto przychodzę do ciebie i otacza mnie łaska twoja. Oto przyszedłem do ciebie, aby ze słów twoich czerpać siły. Otom przyszedł, aby tobie, królu, narysować prawdziwy obraz tego, co dzieje się na granicach. I co usłyszałem? Złośliwe przycinki ze strony Pentu? Drwinę z ust twoich? Nie, nie po tom się zjawił u ciebie. Uszy moje są jak uszy zająca: chwytają każde twoje westchnienie niby szelest w krzakach.

Faraon udał zdumienie. Zwrócił się do Pentu:

— Słyszysz, Pentu? Czy nie myślisz, że dostojny Horemheb ma słuszość? Osądźże sam: on mówi z przejęciem o nieszczęściach na północnych granicach, a my gapimy się na Wszystkie strony zupełnie jak niedbali uczniowie. On usiłuje zwrócić nasze głowy we właściwym kierunku, a my obaj, niby uparte osły, stawiamy opór. Nie, Pentu, ma słuszość Horemheb! I tobie wypadnie to przyznać.

— Przyznać? — odciął się Pentu. — Co przyznać?

Powiedział to takim tonem, jak gdyby był sam na sam z faraonem, jak gdyby Horemheb nie był tu obecny.

— Przyznać — powtórzył faraon — że on ma słuszość, a ja i ty — nie.

Uśmiechał się mówiąc te słowa. Jego delikatna twarz zdawała się być wycięta z papirusu. W twarzy tej dziwacznie błyszczwały wielkie oczy, jak gdyby należące do kogo innego.

I mięsisty nos sterczał także dziwacznie.

— Jestem gotów to przyznać — rzekł Pentu — jeżeli ty, najjaśniejszy panie, sobie życzysz.

— Ja teraz niczego sobie nie życzę.

„...Kłamią, kłamią obaj! Faraon doskonale wie, czego chce, a udaje naiwnego, jeżeli tylko jest mu to na rękę. A ten Pentu, łyśa mała, to znany pochlebca. Kiwa głową i kiedy trzeba, i kiedy nie potrzeba wcale.”

Faraon siedział zaszępioty. Wysunął dolną wargę. Pomyślał, pomyślał i — raczył zwrócić się do swoich sług z wyżyn swojej królewskiej wielkości:

— Horemheb zwoła radę wojenną. I zakomunikuje radzie wojennej to, co uznaje za potrzebne. To jest ważne. Nadzwyczaj ważne.

Horemheb pochylił głowę. Pentu słuchał uważnie, bardzo uważnie.

— Rada powie swoje słowo. Przewodniczyć naradom będzie najdosłójniejszy sługa Atona, nasz sługa Pentu. Zakomunikuje mi, postanowienia rady. A ja porozmawiam z bogiem. Aton podpowie mi właściwą decyzję. Nie pozostawi syna swego bez pomocy. Nie opuści Kemi...

Tak powiedział Echnaton. Horemheb był prawie pewny, że król jest nieszczerzy. Ale nie był tego pewny całkiem. Pentu, przeciwnie, uważał, że faraon mówi poważnie. Ale i Pentu nie ręczyłby za to całkowicie.

Audiencja była skończona.

Echnaton potrafił to pokazać.

Najjaśniejsza pani

Zostawszy sam, faraon niebawem odczuł pustkę. Pustkę w duszy, dławiącą, nie do opanowania. Miał wrażenie, że zapada się w tę pustkę. Leci w nią jak kamień. To głową, to nogami w dół. Rzucił się na matę, zasłonił rękami twarz, aby w oczach mieć ciemno. Jak najciemniej. Ten przekłety ból w tyle głowy. Zupełnie jakby ktoś drążył kamieniem kamień. Tam, w głębi mózgu. Nawet głębiej. Gdzieś koło krtani. I te mdłości! Jakby ktoś ordynarną, szorstką ręką sięgał mu do samego dna żołądka... I te zawroty głowy!...

Przeleżał bez ruchu blisko pół godziny. I nareszcie koło, puszczone przez kogoś we wściekły ruch, po trochu zaczęło tracić szybkość. A na tym kole leży on, faraon... Obroty coraz powolniejsze... I lżej, coraz lżej na duszy. I w głowie także. Jeszcze chwila... Jeszcze jedna... O, teraz dobrze. Już zupełnie dobrze!...

Faraon otwiera oczy. Ostrożnie, bardzo ostrożnie. Odejmuje dłonie od twarzy. Także ostrożnie. Teraz ma przed sobą całą komnatę. Malowidła: i ryby na dole, i ptaki pod sufitem — jak żywe. Wszystko jakby na swoim miejscu. Nic się nie zaważyło. Pałac stoi niewzruszenie. Świat trzyma się mocno. Tak, szczęśliwie minęło coś strasznego, co Pentu nazywa niemocą wątroby i głowy.

To prawda: wszystko przeszło. Jednak dziwny smak został

w ustach. Jakby faraon najadł się niedojrzałych owoców figi. Albo zielonych daktyli. Albo nieświeżej ryby. Niepodobna określić tego niesmaku w ustach. Jest to smak śmierci, jak mówi Pentu. Człowiek, który go doznał, przebywał jakby na Polach Iaru. Wpadł tam na chwilę i znowu wrócił na ten świat.

Faraon leży nieruchomo. Jedyne wielkie oczy patrzą w górę i w bok. I nagle — natchnienie. Jakiś głos szepcze mu słowa nowego hymnu ku czci jego ojca — wielkiego, wszechmocnego Atona. Głos brzmi tak wyraźnie i zrozumiale, że trudno byłoby pomylić słowa. Każdy wiersz oddzielony jest od następnego głębokim oddechem. Wystarczy wstać i zapisać słowa, podyktowane z wyżyn, z niebios, które rozwarły się po to, aby syn Atona usłyszał nową poezję.

Echnaton zamarł. Aby nie uronić ani jednego słowa. Oto on, ten głos:

O OGROMIE WSZECHŚWIATA,
KTÓRY RODZI W SERCU TWOIM MIŁOŚĆ!
O SERCE TWOJE LWIE, KTÓRE
ZDOLNE JEST POMIEŚCIĆ MIŁOŚĆ!
GDYBY NIE WY, GDYBY NIE WY,
KTO BY ZACHOWAŁ TAJEMNE UCZUCIE,
IDĄC OD GWIAZD DO CZŁOWIEKA?

Faraon wyraźnie chwytą każde słowo. Zamarł, zamarł w bezruchu Echnaton na prostym i twardym łożu. Na tym właśnie łożu najczęściej nawiedza go natchnienie. Dzięki temu głosowi cała kraina Kenii — od katarakt do Delty — usłyszała prawdziwe słowa o Atonie i uwierzyła weń, i odwróciła się od starych bogów, od samego Amona...

Faraon powoli przekręca się na brzuch, wyciąga ręce po atrament i delikatny jak jedwab papirus. I pisze, pisze dla krainy Kemi, która sięga od katarakt do Delty.

O WIELKI OJCZE, KTÓRYŚ POPCHNAŁ W PRZEPAŚĆ
NIENAWIŚĆ I PODŁOŚĆ,
CZYŻ NIE TY RĘKĄ NIEUSTRASZONĄ
PODNIOSŁEŚ W GÓRĄ SZTANDAR MIŁOŚCI?
CZYŻ NIE TY WEZWAŁEŚ LUDY,
BY SZŁY ZA TOBĄ W DALEKĄ DROGĘ —
LUD DŻAHI I LUD TA-NETER,
LUD BABILONU I MITANNI,
ARAMEJCZYKÓW, SUMERÓW, IZRAELITÓW
I SŁAWNY LUD ROZLEGŁEJ KRAINY KEMI?

O OJCZE NASZ — DYSKU ZŁOTY I ŻYWY —
DAJ SIŁĘ, DZIECIOM TWOIM,
WŁÓŻ IM W PRAWICĘ MIECZ, KTÓRY NIWECZY ZŁO
I OBDARZY LUDY WSZECHŚWIATA MIŁOŚCIĄ!

Niebawem hymn został ukończony. Nie potrzeba go było ani poprawiać, ani przepisywać. Faraon opuścił głowę na rękę. Na czoło wystąpił mu kroplisty pot. Przez zaciśnięte zęby wydobywał się ni to jęk, ni to śmiech wielkiej radości. Albowiem faraon rządził swym państwem nie tylko ręką twardą jak granit, ale i cudowną siłą poety.

Lubując się zwojem, zapisanym kaligraficznym charakterem pisma, faraon podniósł się z łoża. Dusza jego była lekka. Głowa jasna niby księżyc wschodzący nad pustynią. I nogi giętkie jak młoda palma.

Echnaton skierował się ku drzwiom. Stąpał młodzieńczym, sprężystym krokiem. Nie było w nim śladu zmęczenia. Król czuł się trochę winien wobec żony. Przecież przy śniadaniu zachowywał się nie całkiem zwyczajnie. Wszyscy to zauważyli. I nie mogli nie zauważyć. Oto zwrócił się w tę stronę, a wszyscy myślą: dlaczego on patrzy w tę stronę? Pochylił głowę słuchając kapłana. I wszyscy pytają: dlaczego on pochylił głowę? Oto się uśmiechnął i wszyscy pytają się nawzajem: co znaczy ten

śmiej i jaki jest ten śmiej? Tak pytają jeden drugiego semerowie i dostojnicy. Z takim pytaniem zwracają się jeden do drugiego pisarze i zarządzający wielkimi sprawami. I to należy do porządku rzeczy. Albowiem kto jest głową wszystkiego? Kto daje początek wszystkim poczynaniom w krainie Kemi i poza jej granicami? Kto jest niby latarnia w państwie? Kto zespolił naród niby kamienie na piramidach? Najjaśniejszy pan — Życie, Zdrowie, Siła!

Faraon otworzył drzwi i przeszedł koło straży. I lekki był jak łania. Naprzód, naprzód niosą go nogi. Naprzód, ciągle naprzód... Oto jej komnaty — i palmy na ich ścianach, i wszystkie rośliny Ta-Neter oraz jeszcze dalszych ziem.

Faraon zastukał do drzwi, aby przypadkiem nie zaskoczyć swojej żony i jej dzieci. Straże przykłęły bojąc się podnieść oczy na władcę wszechświata.

Nefertiti siedziała przed małym miedzianym lustrem, a dwie córki czesały jej włosy. Setepenra raczej przeszkadzała księżniczce Neferneferura, niżeli pomagała. Ta zaś rzeczywiście czesała matkę. Zresztą obie dziewczynki bawiło to w jednakowej mierze. Ale zabawiając się, księżniczka zarazem dogadzała królowej.

Król, wzruszony, zastygł nieruchomo w drzwiach. Ubóstwiał te beztroskie sceny, w których ujawniały się w całej pełni zwyczajne ludzkie uczucia mocarzy tego świata. I kochał te miłe stworzenia, które stanowiły jego rodzinę. Królowa napotkała spojrzenie małżonka. I zmieszana się. I jej córki nagle znieruchomiały z miedzianymi grzebykami w rękach, jak gdyby czyniły coś zdróżnego. Faraon powiedział:

— Przyszedłem, aby na was popatrzeć i przekazać wam trochę swojej siły i rzeźkości. Choroba moja minęła jak burza na pustyni. Uniosła ku niebu dużo piasku i kurzu. I oto ucichła, a ja jestem zdrów: znowu łśni słońce nad ziemią i dusza moja jest spokojna.

Królowa uwierzyła w to, co mówił, albowiem siła i rzeźkość biły z jego oczu.

„...Oto zjawił się w poczuciu winy — jak przestępca. Ten bowiem, kto na chwilę zapomniał o prawie miłości, jest przestępca. Oto zjawił się tutaj, a uśmiech na jego twarzy jest niby słońce nad Kemi. Albowiem on jest słońcem Kemi i będzie nim po wszystkie czasy.”

Królowa gestem dłoni wskazała miejsce obok siebie na brzegu dwułokciowej maty, pokrytej miękkim babilońskim kobiercem, barwnym jak tęcza nad Delta.

Faraon przyjął to zaproszenie z wdzięcznością. „Dawno bym umarł — pomyślał — gdyby nie moja Naftita. Ona jest mądra jak wąż z wyspy Isi, a piękna jak prawdziwa córka Kemi. I łono jej zawsze jest szczodre. A dzieci jej to płody jej łona.”

Przysiadł koło niej i naraz objął obie księżniczki. Zaczęły piszczeć, jak przystało kobietom. Potem zaśmiały się całkiem bezmyślnie, nie wiadomo czemu — jak przystało kobietom, których matka jest prawdziwą kobietą nad kobietami. Faraon pocałował Setepenra prosto w nos i przycisnął do swego serca księżniczkę Neferneferura. Ta powiedziała z cicha:

— Puść, ja czeszę matkę.

I wypuścił ją z objęć.

Echnaton oparł głowę na nagim ramieniu żony. A ona rze-
kła:

— Jakiś ty gorący.

On zaś odpowiedział:

— To choroba wychodzi przez pory.

— Jesteś przecie zdrów.

— Tak. Jak lew!

Lubił pochwalić się swoją siłą. Robił to jak chłopiec, bez jakiegokolwiek zamiaru, bez wyrachowania. Kochała w nim ten rys, ponieważ umiał też kochać bez wyrachowania: za urodę, za serce, za dobroć spojrzenia i żar czerwonych jak owoc granatu warg...

- Nudno nam było bez ciebie — wyznała królowa.
- Tak — przytaknęła księżniczka Neferneferura.

Jej wysokość Setepenra przyjmowała to wszystko obojętnie. Miała sześć lat, więc do słów nie przywiązywała jeszcze żadnego szczególnego znaczenia.

A Nefertiti nie chciało się wprost wierzyć. Może on się naprawdę zmieni? Usiłowała na podstawie najdrobniejszych oznak określić, czy i jakie dokonały się w nim przemiany. Jeżeli spogląda się na gładką toń jeziora, to czy można odgadnąć, co dzieje się na jego dnie lub w pobliżu dna? Tylko w jednym wypadku: jeśli umie się odgadywać sercem. A oczy i uszy w takich razach — to marni pomocnicy. Nie można im ufać całkowicie. A jeżeli jezioro jest żywe? Zgadnijże, co kryje w sobie. Gdy każda kropla żyje własnym życiem, często odosobnionym od reszty. A ta jego choroba, której objawy są coraz silniejsze? Te ataki? Te bóle w tyle głowy? (W tej potylicy, która tyle radości sprawia malarzom, nie ma bowiem nic łatwiejszego, niż namalować tykwę osadzoną na cienkiej i długiej szyi. Jego wrogowie tak właśnie mówią: Tykwogłowy! Cała ta sparciała ze starości arystokracja, ci kapłani Amona, cała owa szajka w Wasetu... Jakże on im dokuczył! Jak przygniół ich paznokciem niby wesz azjatycką!...)

„...Ale co to się z nim dzieje w ostatnim czasie? O czym on myśli? Dlaczego coraz częściej milczy, gdy są sami — we dwoje? A może już nadchodzi koniec tego dziwnego zachowania? Może ten kres nadszedł właśnie dzisiaj? I te chwile... Oto miły jest jak dawniej, jak dawniej tkliwy, a w oczach jego jaśnieją wszystkie promienie światła.”

- Naftito — mówi faraon głosem, który tak przyjemnie dźwięczy w jej uszach — dużo o tobie myślałem.
- A ja o tobie. Zawsze myślę. A ty?

Stropił się na chwilę. Zwichrzył ręką włosy Setepenra. Dziewczynka machnęła głową.

— Ja nie — przyznał się uczciwie. — Na pewno jestem gorszy niżeli ty. Z pewnością dlatego, że na swoich barkach dźwigam zbyt duże brzemię.

— A ja?

Pomyślał chwilę:

— Ty także.

Królowa powiedziała:

— Ty jesteś synem promiennego Atona. I moc jego napętnia twoje żyły i twoją wątrobę.

— To prawda, Naftito. i

— Twoja ręka jest w jego ręce. I on prowadzi cię pewnie.

— Tak jest! Jednakże szeregi moich przyjaciół rzedną. Jedni żyją już swobodnie na Polach Iaru, inni stają się po trochu obcy. Wkrótce zostanę sam.

Nie próbowała go pocieszać. Kłamstwo było jej wstrętne. Bliskiemu człowiekowi królowa wolała mówić prawdę, choćby nawet bolesną. Zostanie sam? Nie, to nie powinno się zdarzyć. Czym jest człowiek bez pomocy i poparcia? A faraon potrzebuje poparcia przyjaciół, zwolenników, ludzi bliskich... Niech ogarnie spojrzeniem długą historię Kemi, ginącą w dalekiej starożytności. Czyż Narmer był sam? A Chufu? A Dżeser? A Sechemchet? Każdy z najświetniejszych faraonów opierał się na mocnym gronie przyjaciół.

— Ale — zakończyła królowa — wszystko zależy od ciebie. Nie powinieneś zbaczać z drogi. Droga Atona prosta jest jak miecz. Nie zna żadnych bocznych ścieżek ani ścieżynek. Zejść z tej drogi — znaczyłoby zaprzepaścić swoje dzieło. Znaczyłoby to — stracić przyjaciół. Mówię ci: nie przekraczaj granic drogi jego, a będziesz szczęśliwy!

Ostatnie słowa wypowiedziała ze szczególnym naciskiem. Zamiast czarującej kobiety stanęła nagle przed faraonem

prorokini, a raczej nauczony doświadczeniem człowiek, który postarzał się wśród przykrych, bolesnych rozmyślań. Echnaton nigdy nie widział zmarszczek na jej twarzy. Może ich po prostu nie zauważał. Teraz jednak ukazała mu się jako postarzała już, zmęczona życiem matka jego dziewczynek.

Odsunął się od niej o parę łokci, aby widzieć ją lepiej. Siedząc na wprost światła wydawała się i starsza, i bardziej śniada. Zdziwiony był jej tonem. Jej przenikliwością. Może sam Aton przemawia przez jej usta? A może ona pragnie tylko, aby inni sądzili, że jest Atonowi bliska? Czy też on, faraon, udzielił jej własnej siły? Dlaczego ona mówi z taką niezwykłą pewnością i tak gorąco?

Opuścił głowę. Była gładko wygolona. Śniada i lśniąca jak dynia. Tykwogłowy? Niech jego wrogowie znajdą drugiego takiego tykwogłowego!

Nefertiti pośpiesznie dokończyła toalety, wezwała służbę i oddała dzieci pod jej opiekę. Zostali sami. Królowa uśmiechała się. Znowu stała się tą, która nie ma sobie równej: piękna Nefertiti!

Faraon jest pełen najtkliwszych uczuć. Rozumie on dobrze: ona zapala się i gniewa jedynie z miłości do niego. Oto już miśnię — nie, nawet więcej! — jak on ją dręczy. To swoim milczeniem, to znowu zupełną pogardą. Co za straszny miśnię!

Wrogowie cieszyli się z tej obcości między małżonkami. Przyjaciele byli zmartwieni. W pałacu panował niepokój. Mądry Eje chodził mając się ciągle na baczności jak pod strzałami Azjatów. Jeden tylko Horemheb nie ukrywał radości. Jak syty hipopotam wśród szuwarów. Jak człowiek, który wyzłopał dzban piwa.

Kiedyż to bywało coś takiego? W ciągu dwudziestu lat ich małżeństwa nie zdarzyło się nic podobnego! Może pękło coś w ich rydwanie — jak mawiają w Wasecie? Szprychy można by

jeszcze naprawić, ale z osiǎ to juŹ gorsza sprawa...

Nefertiti wyszła do sǎsiedniej komnaty i wróciła stamtąd z dzbanem chłodnego wina. Z duŹej, inkrustowanej masǎ perłowǎ szkatuły wyjęła cukierki. Były one sporządzone z mǎki orzeszków ziemnych, fig i miodu. Małe talerzyki z czarnego drzewa postawiła przed męŹem i przed sobǎ. Obok cukierków Nefertiti położyła jego ulubione ciastka, przyrządzone na miodowym cukrze z duŹych orzechów i ubitej piany z białka.

Królowi oczy zaświeciły siǎ jak chłopcu.

— Co ja widzǎ, Naftito?!

Spodziewała siǎ tego efektu. Nie, to była nie tylko Źona i matka, ale takŹe wspaniała kochanka. Majǎc swoje trzydzieści parǎ lat była pociągǎjąca jak gwiazda poranna.

Faraon powiedzial:

— Naftito, znałem pewnǎ kobietǎ publicznǎ. Tam, w Wasecie. Wszyscy mówili, Źe nie ma na świecie bardziej uprzejmej, bardziej ponętnej i miłszej kobiety...

Królowa słuŹała z uśmiechem.

— Ta kobieta umiała tak przyjǎc i tak pieszczotami opętać, Źe głupi męŹczyŹni szaleli za niǎ.

— Spałeś z niǎ?

— Tak. I ja takŹe uległem jej czarom. Przespaliśmy kiedyś razem dwie doby...

Królowa zdziwiła siǎ.

— Nie, myśmy leŹeli. Nie spaliliśmy — wyjaśnił.

— To inna sprawa.

Uśmiechała siǎ czarujǎco. Uśmiechała siǎ nalewajǎc wina do złotych czarek.

— Wiǎc co to ja chciałem rzec? — Leciutko dotknǎł dloniǎ jej piersi. — Ot co: ona nie była warta twojego małego palca.

Królowej zrobiło siǎ nagle trochǎ smutno. Ale on nie widzial zasmucenia na jej twarzy.

„...Wspominasz publiczną kobietę, która jest daleko... A ta, co jest w tym mieście? Ta, która mieszka w Pałacu Południowym... Co mi o niej powiesz? Myślisz, że ja nie nie widzę? Myślisz, że serce moje nie kocha jak dawniej? No, wymień, wypowiedz jej imię... Powiedz głośno: Kija... A wtedy o niej pomówimy.”

Oparł głowę na jej kolanach. Widział jej usta. Poruszały się leciutko, jak gdyby od wiatru. Zbliżyły się ku niemu i oto nagle poczuł na swych gorących wargach ich chłód.

Wyglądała młodo. Jakby nie urodziła sześciu córek. I skóra jej lśniąca była jak u dziewczycy. Łydki miała mocne jak młode drzewa. Czyż była lepsza w pierwszych latach? Czyż czas popsuł ten zadziwiający twór natury, to doskonale dzieło sztuki z żywego ciała?

— Jesteś piękna, bardzo piękna — wyszeptał.

— Nie kochasz ty mnie — szepnęła w odpowiedzi.

Nie zaprzeczył tym słowom. Całował jej szyję, policzki, pierś.

— Nie kochasz mnie...

A on ją całą, całutką okrywał pocałunkami.

— Tamta była lepsza?...

Lgnął do niej namiętnie.

— Czy ona jeszcze żyje?

— Nie wiem.

Co go teraz obchodzi tamta kobieta publiczna.

— Czy naprawdę jestem od niej lepsza? — pyta Nefertiti.

— Tysiąc razy..

On ją całuje, całuje, całuje... Nie istnieje chyba na świecie namiętność silniejsza od tej.

— Tysiąc razy! — powtarza faraon.

— W czymże? W czym? — dopytuje się żona.

— We wszystkim.

— To nie jest odpowiedź.

— O, w tym! — Pocałunek w wargi. — O, w tym! —

Pocałunek w lewą pierś. — O, w tym! — Pocałunek w prawą pierś. — O, w tym!

A każdy pocałunek jest niby piętno wypalone na skórze antylopy.

Wreszcie królowa odetchnęła. Napoiła go winem ze swych rąk.

Chciwie zjadł ciastko.

Powiedziała:

- Jestem szczęśliwa.
- Tak?
- Bardzo. Pokonałam publiczną kobietę.
- Pokonałaś?
- Tyś tak powiedział...

Żartowała czy mówiła poważnie? Mówiła, bo była szczęśliwa? Czy tylko ze zwykłą kobietą obłudą, która nie zna granic nawet pod stropami pałaców?

Kochał jej kobiece i zarazem jej męskie cechy; kochał jej delikatność i mądrość.

- Naftito — spytał — czy człowiek bywa szczęśliwy?
- Jeżeli jest biedny.
- A jeżeli bogaty?
- Nigdy!
- Jeżeli potężny?
- Tylko miłość czyni go szczęśliwym. Miłość to chorągiew nad namiotem.

- Sama to wymyśliłaś?
- Częściowo sama.
- Któż ci pomaga?
- Wszystkie kobiety wszechświata.

Uniósł brwi: jakże to rozumieć? Faraon, ilekroć mu to dogadzało, zawsze udawał niepojętnego.

— Ty mnie dobrze rozumiesz — powiedziała królowa. — Kiedy myślę o losach Kemi, kości moje robią się jak woda. Ze strachu nad przyszłością.

Echnaton uniósł brwi jeszcze wyżej.

- Przed przyszłością?
- Tak.
- Czemuż to, Naftito?
- Czy ty nie wiesz tego lepiej niż ja?

Faraon skinął głową.

- Gorzej?!

Znowu skinienie. Królowa rozłożyła ręce. Nie mogła zrozumieć: czy to jest poważne, czy żart?...

— Nie dostrzegasz tego? — mówiła dalej. — Nie dostrzegasz, że z każdym nowym miesiącem gorzej układają się nasze rozmowy? Może ja ci przeszkadzam?

Albo może masz przyjaciół bardziej oddanych? Albo kochają cię bardziej niż ja?

Zagłądała mii w oczy, usiłując wyczytać w nich prawdziwą odpowiedź — choćby okrutną, ale prawdziwą.

Faraon położył się na wznak. Głowa jego spoczywała na jej kolanach — jak przedtem. Powiedział:

— Czy wiadomo ci, Naftito, o wypadku opisanym w starym papirusie z czasów Senusereta I? Dziwne to było wydarzenie i nadzwyczaj pouczające.

- Co masz na myśli?

— Niech ci będzie wiadomo, Naftito, że według świadectwa ludzi mądrych w dawno minionych czasach zdarzały się dziwne wypadki. To tylko teraz ludzie niczemu się nie dziwią. Przywykli do wszystkiego. A przecież człowiek nie może żyć, jeśli się nie dziwi. Rano dziwi się światłu bóstwa, w południe dziwi się biegowi rzeki, a wieczorem światłu gwiazd. I oto w owych odległych czasach, gdy w Kemi żyli ludzie umiejący się dziwić, pewien mieszkaniec pustyni napotkał mówiącego lwa.

Królowa się uśmiechnęła.

- Mówiącego lwa?

— Wyobraź sobie! Mówiącego ludzkim głosem. Tak, Naftito, czego to nie było w dawnych czasach! Ten lew napotkał

pustelnika i powiedział do niego: „Oto jestem przed tobą!” Na co mądry pustelnik odparł: „Tak samo jak i ja przed tobą”. Lew stanął na tylnych łapach, aby stać się wyższym od człowieka. I krzyknął: „Patrz oto, jaki ja jestem!” Człowiek nie śpieszył się z odpowiedzią: nie bardzo mu się ten lew spodobał. I człowiek rzekł: „Ustąp z drogi”. Powiedział: „Ustąp” — a czyż nie było drogi i z prawej strony, i z lewej, z tyłu i z przodu? W pustyni, gdzie piasek, tam wszędzie droga. Lew wydawał się zaskoczony, nawet zmieszany”.

— Zmieszany? Lew?! — powiedziała królowa wesoło. — Zaiste, tylko w owych zamierzchłych czasach zdarzały się podobne cuda!

Echnaton nie zważał na jej śmiech — trochę sztuczny. Pociągała go baśń o lwie mówiącym ludzkim głosem i o pustelniku, który usiłował pokonać zwierza siłą swojej woli. Więc mówił dalej:

— Pustelnik znowu powtórzył: „Ustąp!” Zamyślił się lew i przepuścił go. Zrobił krok w lewo i pustelnik dumnie pomaszerował naprzód. W swoją stronę. I nawet się nie obejrzał... A wiesz ty, co się z lwem stało?

— Nie.

— Zgadnij.

Odrzuciła głowę do tyłu:

— Lew zjadł pustelnika.

— Dlaczego rozwiązałaś sprawę w taki sposób?

— Przecież to lew!

— No to co z tego? Lew, ale roztropny. W rodzaju naszego Pentu...

— Albo tego draęala Horemheba.

— Nawiasem mówiąc, draęał nas broni.

— Jesteś tego pewny?

Faraon ponownie uniósł brwi, zupełnie jakby je miał na nitce.

— Pytam cię — powtórzyła Nefertiti — czy jesteś tego pewny?

Uchylając się od odpowiedzi rzekł:

- Lew zapłakał...
- Mam bardzo duże wątpliwości co do tych, którzy nas bronią. I przed kim bronią? Przed przyjaciółmi?
- Lew zalał się gorącymi łzami...
- Mnie przed tobą?
- Płakał jak dziecko...
- Czy ciebie przede mną?
- Obrzydł mu biały świat.
- Właśnie: obrzydł!
- Słuchaj, słuchaj, Naftito. Dlaczego mądry lew się zasmucił? Nie dlatego, że był głodny i wypuścił zdobycz. To byłoby jeszcze pół biedy! Ale dlatego, ponieważ nie zrozumiał, o czym właściwie myślał pustelnik. Czym, jaką siłą zmusił go do usunięcia się z drogi... Moi wrogowie, Naftito, niekiedy przypominają mi tego lwa.

W komnacie zrobiło się cicho. O tej południowej godzinie pałac zamierał. Słońce zdawało się przytłaczać wszystko. Jak granitowa płyta.

Królowa powiedziała:

- Nareszcie doszliśmy do sedna naszej rozmowy. I chciałabym prowadzić ją dalej. Nie po rodzinnemu, ale jak robią ludzie zainteresowani losami kraju.
- Zgadzam się! — Echnaton podniósł się i usiadł naprzeciwko żony. Oko w oko.

Nalała wina. Podawała mu czarękę.

O, ten chłód piwnic Achetatonu! Cóż może się z nim równać? Czyż znalazłoby się coś podobnego w całym świecie? Faraon przytknął usta do czarki... Nie, nie znajdzie się nic takiego! Raz jeszcze dotknął wargami brzegu naczynia. Nie, takie wino jest tylko tutaj, w błogosławionej stolicy Atona!...

- Poprowadzimy rozmowę polityczną.
- Jestem do niej gotów.
- Jakbyśmy nie byli mężem i żoną, ale sprzymierzeńcami

którzy szukają drogi do wspólnego celu.

- Dobrze, Naftito.
- Dawnośmy już tak nie rozmawiali, prawda?
- Chyba tak.
- Nie chcę dochodzić, dlaczego.
- Masz słuszność. Nie trzeba. Poruszyły się jej szerokie nozdrza.

— Będę mówiła o swoich wrażeniach. Najpierw o nich. Według mnie, jesteś gotów pójść na ugodę ze swymi przeciwnikami. Nie próbuj zaprzeczać nie wysłuchawszy mnie przedtem. Jesteśmy tu sami i mam prawo wypowiedzieć swój sąd bez przeszkód.

— Słucham cię, Naftito.

— Ugoda z przeciwnikami to droga najbardziej zgubna, albowiem prowadzi do połowiczności. Jeżeli ta ugoda nie jest tylko wybiegiem, manewrem dla mydlenia oczu, dla oszukania przeciwnika... Szedłeś dotychczas prostą drogą. Wszyscy mówili: oto jest faraon idący prosto! Ale od pewnego czasu próbujesz zboczyć z tej drogi... Daj mi dokończyć... Daj dokończyć... Ja ci mówię: doszedłeś do granicy i stoisz na linii granicznej. Czy ją przekroczysz? Czy będziesz skakał nad przepaścią? Rok temu na wszystkie te pytania odpowiedź moja wypadłaby na twoją korzyść. Dziś coraz bardziej wątpię, czy idziesz swoją poprzednią drogą.

— Skończyłaś?

— Nie. Ten spryciarz i rzeźnik Horemheb robi wszystko, aby wszcząć wojnę i na północy, i na południu. Komu jest potrzebna wojna? Twoim przeciwnikom! Marzą o niej. Widzą ją nawet we śnie!

— Wojny nie będzie — powiedział faraon ponuro, ale niezbyt pewnie.

— Horemheb namiętnie jej pragnie. Znieważa nas na wszelki sposób, oskarżając o tchórzostwo. A ja powiadam: jeżeli chce wojować, niechaj wojuje. Tylko bez Kemi! Tylko bez naszej młodzieży. Ale sami Oko w oko z Hetytami. Z plemionami

Mitanni. I z kim jeszcze chciałby zmierzyć się w wojnie. Miecz ma. Głowę, którą można zrąbać, także ma na swoim miejscu. Więc o co chodzi? Idź, Horemhebie, zuch, i wojuj!

Mówiła z takim przejęciem, że przewróciła dzban. Czerwony, podobny do krwi płyn rozlał się po podłodze złowieszczą kałużą...

— Jeżeli mówisz to wszystko, aby mnie przekonać — powiedział faraon — jest to próżny trud. W całym państwie Kemi nie ma człowieka usposobionego bardziej pokojowo aniżeli ja. Nawet Eje nie może mi dorównać pod tym względem. Miecz mój — jak twierdzą wrogowie moi — rdzewieje w komorze, a bojowy rydwan skrzypi niesmarowaną osią. I bardzo mi jest przykro, Naftito, słuchać twoich słów.

Odetchnęła głęboko. Jak gdyby przebiegła daleką drogę. Ale zatrzymać się już nie mogła. Nie leżało to w jej charakterze. I czyż w polityce można zatrzymywać się w pół drogi? Albo rąb do końca, albo wcale nie bierz się do rzeczy!

Tak, ona ma do niego poważne pretensje. Bardzo poważne. Przecież w końcu on może stać się wobec niej całkiem oziębły. (Echnaton nie obalił tego przypuszczenia.) Ona może go nie widywać, chociaż to byłoby straszne. Ale Naftita gotowa jest na wszystko się zgodzić w imię wielkiego Atona, w imię szczęścia Kemi...

Rozwijała tę myśl dalej:

— Posłuchaj, co powiem. Przecież my oboje przysięgliśmy kiedyś, że śmiało iść będziemy drogą Atona.

I szliśmy. Przeciw nam powstała arystokracja, zaprzyjaźniliśmy się z prostymi nemhu. Obaliliśmy Amona, a wynieśliśmy Atona, naszego boga, naszego ojca. Doprowadziliśmy do ponizienia starej stolicy Kemi, a wywyżzyliśmy nową stolicę, która została przez nas stworzona. Oświadczyliśmy przez twoje usta, że jesteśmy przeciwni niekzemnym wojnom z sąsiednimi ludami. Więcej: ogłosiliśmy, że jesteśmy równi wszystkim

innym ludom. I nagle...

— Co nagle? — przerwał jej z rozdrażnieniem.

— Nagle w piętnastym roku swojej walki zbaczasz z prostej drogi...

— Dokąd?

— Tego właśnie jeszcze nie wiem.

— Więc po cóż o tym mówić? — Faraon wyduł wargi i wlepił wzrok w podłogę.

— Żeby cię powstrzymać...

— Od czego?

— Od popełnienia fatalnego błędu.

Faraon uśmiechnął się. Królowa powiedziała:

— Chcę, abyś jak dawniej chwycił czułym uchem każde słowo naszego króla i boga Atona.

— W tym jestem pilny jak uczeń.

— Słuchając go, należy przekuwać w czyn każde jego słowo.

— Usiłuję to robić, Naftito.

— Od pewnego czasu zaczynam w to wątpić.

Zaczerwienił się z oburzenia. Nie, tego już za wiele! Tego nie ścierpi! Nie wolno gośłownie oskarżać... Wtedy królowa powiedziała z największym opanowaniem, na jakie stać jedynie pierwszą kobietę Kemi:

— Najjaśniejszy panie — Naf-churu-ria! Nie gniewaj się! Ja ci mówię: z boku wszystko widać lepiej. A ja widzę, ponieważ znalazłam się z boku, że idziesz nie tam, gdzie trzeba. Wiadomo mi, że Horemheb zagarnia coraz większą władzę, że wysłuchujesz go bardziej uważnie niż kiedykolwiek dotąd. A czy wiadomo ci, że Horemheb prowadzi tajne narady w Wasecie i w Men-Nefer? I w Delcie? Jeżeli zdobędziesz się na nieco ciekawości, to zapytaj go, o czym szeptał niedawno z pewnym Babilończykiem.

— Z kim? Z Babilończykiem?

— Tak.

- Kiedy?
- Dziesięć dni temu.

Faraon zamyślił się. I powiedział jak gdyby do siebie, ale głośno:

— Dziesięć dni temu... Babilończyk... Szeptął z Horemhebem... Dziesięć dni... Dziesięć dni...

Faraon najwidoczniej coś sobie przypomniał.

— Taki kędzierzawy kupiec — podsunęła królowa — taki śniady, z wybałuszonymi oczami. Po co przybył do Achiati? Czego tu chce? Ludzie doświadczeni dali znać, że przywiózł w swoich buklakach... powietrza za pół talentu.

— No tak, no tak — rozważał głośno faraon. — Babilończyk i Hetyci... Mówił mi coś Horemheb.

- Co mówił?
- Jakieś brednie, Naftito. Jakieś brednie. Bajdy, Naftito!
- A co on robi w dzielnicach handlowych?
- Z pewnością handluje, Naftito.
- Czymże, na przykład?
- Towarem.
- Jakim?

Faraon się uśmiechnął.

— Sama mówisz, że przywiózł powietrze w buklakach. Wyobrażasz sobie? Powietrze babilońskie!

— Tak, to rzecz bardzo cenna w Kemi.

Faraon wstał. Przeszedł się po komnacie. Ręce założył do tyłu. I chodził coraz szybciej. Trudno było nadążyć za nim spojrzeniem: to tu, to tam, to tu, to tam! Najjaśniejszy pan lada chwila zacznie biegać. Jak szeregowiec na ćwiczeniach. Co się z nim dzieje?

Potem zatrzymuje się nagle. Patrzy w milczeniu na królową. I porusza wargami. Ale jego oczy zdają się nic nie widzieć.

— Poznam całe podłoże tej sprawy. Wszystko mi opowiedzą o tym Babilończyku. Wszystko, Horemheb wszystko

sam wyjaśni. I wytłumaczy, dlaczego dotychczas nie raczyli mi opowiedzieć. A wtedy biada temu, co ukrywał prawdę! Wtedy niech ma do siebie pretensję! Tylko do siebie!

Faraon potrząsnął małymi pięściami.

— Dobrze powiedziałaś — odezwała się królowa.

I obiema rękami ścisnęła skronie: waliło w nich jak w kamieniolomach.

Faraon znowu zaczął biegać po komnacie. To wolniej, to szybciej. Często zatrzymywał się przed królową.

— A teraz słuchaj, Naftito. Coś ci powiem. I to powinno zostać między nami.

Skinęła głową.

— Naftito, są rzeczy silniejsze od faraona. Silniejsze jest życie, Naftito! Tobie to mówię. I nikomu więcej. Wiesz przecie: ja oddycham tutaj, a oddech mój słyszą w Ta-Neter albo w Reczeniu. Słyszać go na wiele tysięcy sechenów dokoła... Powiedziałem słowo, a ono już jest w uszach heka-chasutów, gdziekolwiek się znajdują. I pracują ich ręce i nogi, aby spełnić moje życzenie. Czyż nie jest tak?

— Tak — rzekła królowa. A w jej skroniach ból coraz silniejszy. Jak na nieszczęście — coraz silniejszy. I żółte koła przed oczami...

— I powiadam ci, Naftito: faraon, który obalił Amona, bezsilny jest wobec życia i wobec ludzi dokoła siebie.

— To nieprawda! — wykrzyknęła królowa. — Nieprawda! Nieprawda!

— Powiadam ci, Naftito: zmęczenie jest w moim sercu. Jak gdybym przeszedł całą Pustynię Zachodnią. A w duszy mojej jest ogień, który wygasa powoli, ale pewnie. Powiadam ci, Naftito: już nie jesteśmy młodzi i powinniśmy rozumieć ludzi...

— Twoich wrogów?

— Jeżeli chcesz — tak!

— I ty to nazywasz dojrzałością?
— Tak.
— Kiedy to zrozumiałeś?
— Niedawno.
— To znaczy, że chcesz stanąć plecami do swych przyjaciół?

— Nie.
— Podać rękę przymierza swoim wrogom?

Nie odpowiedział.

— Wyciągnąć do nich rękę?
— Być może, Naftito.

Królowa wyjaśniła, jak bardzo jest jej ciężko, jak boli ją głowa i że pragnie zostać sama. Mążzonek wyszedł, nie mówiąc już ani słowa.

Nefertiti upadła na matę, ukryła twarz w dłoniach. I zapłakała.

Płakała.

Nie mogła nie płakać.

Kupiec

Ku dzielnicy handlowej wiodła dość szeroka ulica, wyłożona białym piaskowcem. Sklepy mieściły się wysoko nad nią. Strome schody prowadziły od jezdni do progów. Nad sklepami — domy mieszkalne o niedużych oknach. Chociaż młoda jest ta stolica, zbudowana na terenach pustynnych, ale jej kramy w niczym nie ustępują sławnym halom targowym Wasetu, Men-Nefer, Ej-n-ra czy też Sais. Skąd to nie przywożono tutaj towarów! Przybywały zewsząd, gdzie tylko rozbrzmiewało imię faraona Kemi. Ale gdzież ono nie rozbrzmiewa? Wszak znane jest w całym wszechświecie!

I rzemieślnicy pracowali tu świetni. Piękne obuwie, najdelikatniejsze tkaniny, wspaniała broń, sprzęty domowe, wytworne naczynia — z gliny, miedzi, brązu i ze złota — wszystko, wszystko na usługi mieszkańców Achetatonu! Idziesz między rzędami kramów i oczy latają ci na wszystkie strony. Wejdiesz do sklepu — duszę byś oddał za każdą rzecz. Tak dobrze, tak pięknie i w tak doskonałym gatunku umieją wyrabiać wszystko w Achetatonie, błogosławionej stolicy rozległego i potężnego państwa Kemi.

A co dopiero mówić o gospodach? Mają tam doskonałe pszeniczne placuszki, pieczone gęsi i kury, kawałki wołowiny z różną, słodkie ciastka, cukierki na miodzie — wszystko to robią i oferują w najlepszym gatunku. Od tego przecie, powiadają,

jest stolica. Jednakże stolica stolicy nierówna! Jeżeli Achetaton zaćmił sławę nawet Wasetu, to cóż można powiedzieć o innych stolicach wszechświata?

Babiloński kupiec Tachura — taki tłusty, różowy na policzkach mężczyzna o pięknej brodzie — oświadczył publicznie, że nic podobnego nie ma w żadnym innym kraju. Powiedział, że zachwycony jest Achetatonem, oślepiony jego pięknem, że jest niewolnikiem jego kobiet i składa należny hołd mężczyznom, którzy — jak gdyby na pokaz — zebrali się tutaj ze wszystkich krańców Ziemi.

Siedział w sklepie ze słodyczami, należącym do Usercheta, i zimną wodą popijał ziemne orzeszki w cukrze. Kupiec przywykł u siebie w ojczyźnie mówić głośno jak na placu. Głośna rozmowa nie sprawia na mieszkańcach Kemi zbyt przyjemnego wrażenia, ale Azjacie to wybaczone, jak zresztą i wiele innych rzeczy. Kemi to co innego, co innego zaś Azja. I nikomu tutaj, w Achetatonie, nie przyjdzie do głowy, by stosować wobec nich tę samą miarę wymagań. Nikomu, chyba tylko królowi. Faraon wyraża się z szacunkiem nawet o jakichś tam koczownikach w kraju Sumerów. No, to już jest zjawisko całkiem niezrozumiałe, dziwne i może chorobliwe!...

Kupiec podwinął pod siebie nogi siedząc na ordynarnej trzcinowej macie. Słuchali go w milczeniu uprzejmi synowie Kemi. Słuchali w milczeniu, zającując ze smakiem słodycze.

— Bywałem w wielu ziemiach — prawil słuchaczom kupiec. — Znam wyspę Keftiu jak siebie samego. Wyspę Isi obszedłem na piechotę. Byłem w Kolchidzie, która jest na północy, i byłem w ziemi, gdzie płonie woda. Oczy moje widziały miasta wielkie i małe, dalekie i bliskie. Ale co równać się może z Achetatonem? Co, pytam?

Tachura powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych. Jakby każdemu z nich zadawał to pytanie. Zadawał i czekał na odpowiedź. Szczególnie długo i badawczo spoglądał na Usercheta, właściciela sklepu, mężczyznę w średnim wieku, z ogoloną głową.

Siedzący na macie starzec powiedział:

— Ładne miasto, ładne. Nie ma co gadać. Ale są miasta, co mogą iść z nim w zawody i względem piękności, i względem wielkości.

Zajadał gęsie podroby w sosie z berberysu. I popijał zimnym piwem. Miał nieprzeliczone mnóstwo zmarszczek. Zmarszczki zamiast skóry! I oczy jego siedziały w zmarszczkach. I usta całe w zmarszczkach — nawet warg nie widać. Kolor skóry ciemny, jednakże nie czarny. Kubek w kubek — stara, stara palma.

Tachura skierował zaintrygowane spojrzenie na tego starca, który spożywał najtańszą potrawę.

— Czcigodny — powiedział kupiec — ty jesteś z pewnością nie z tych stron.

— Owszem, właśnie z tych.

— Na pewno już dawno tu nie byłeś.

— Prawdę rzekłeś. Dużo chodziłem po świecie.

Userchet zachichotał. Tak jak umieją chichotać tylko dobrodusze grubasy, zadowolone z siebie, ze swoich spraw, z rodziny, z całego świata. Obliznął uwalane miodem palce. Zaczął prawić pochlebstwa kupcowi, który — mówił — potrafi widzieć nawet przez kamienny mur; który tak wyćwiczył swoje oko w niezliczonych podróżach, że nie ma już dla niego żadnych sekretów; nie — powiedział — nie da się przed nim zataić...

Kupiec, mile polechtany takimi słowami, gładził z powagą brodę. I każdy gest zdradzał w nim prawdziwego Azjatę. On zresztą nie tylko nie usiłował tego ukrywać, ale nawet podkreślał to gestami i intonacją głosu. I bardzo uprzejmie zwrócił się do starca:

— Czcigodny, ze wszystkiego widać, że z ciebie człowiek wielu spraw świadomy. Gdzie, powiedz, jest owo miasto, które może iść w zawody z nieporównanym Achetatonem?

— Tam. — Starzec machnął ręką na zachód.

— Tam jest pustynia, czcigodny.

— Wśród pustyni. Het, za piaskami. Droga do niego trudna jest i daleka. Bezwodna. I żaden bukłak nie pomieści wody, jaka potrzebna jest człowiekowi, który idzie na zachód. I żadne obuwie nie wytrzyma tej drogi. Nogi krwawić będą, albowiem stopa ranami się okryje.

— Czcigodny! Kraj ów jest pustynny. Bezwodny. I nie ma życia na tym krańcu wszechświata.

Starzec uśmiechnął się:

— Tak myślisz?

— Jestem pewny.

— Niesłusznie! Niechże ci będzie wiadomo, cudzoziemcze, że na wszelką moc jest inna moc, na wszelką piękność — inna piękność. Tak stworzony jest ten świat. Tylko na Polach Iaru wszystko oddycha jednako.

Teraz już nie kupiec, lecz starzec znalazł się w centrum uwagi. Zaiste, na jedną mądrą głowę znalazła się druga, nie mniej mądra! „Zajmujący starzec — pomyślał kupiec. — Kto to jest? Uliczny magik, pokazujący osobliwe sztuki? Czy mędrzec, który ludziom oddaje usługi za pszenney placuszek i talerz gęsich podrobów?...”

— Cóż tam jest, czcigodny, na krańcach pustyni? Odeszliśmy nieco od naszej rozmowy.

Wszyscy pragnęli usłyszeć, co jest tam, w kraju miraży i burz piaskowych. „Ciszej! Ciszej!” — rozległy się głosy. Łyzki przestały stukać. Ludzie wstrzymali oddech.

— Ja wam powiem, ja wam powiem — odezwał się starzec

nie odrywając wzroku od swego jadra. — Powiem wam i o tym, com słyszał, i o tym, co sam widziałem nie dowierzając innym... Miałem wtenczas dwadzieścia lat i mieszkałem w Delcie. Pewnego razu spotkałem człowieka, brodatego jak i ty. — Stary wskazał na kupca. — Przybył on z Dżahi i umiał robić szkło różnobarwne. Rozkładał się ze swoim kramem na piaszczystym brzegu i do zręczności rąk swoich dodawał tajemne zaklęcia. Człowiek ten wodze nienawidził żeńskiego rodu. Może gorycz przyniosły mu jego własne żony? Tego nikt już nie potrafi powiedzieć, albowiem odszedł on do lepszego świata, a za życia swego trzymał usta zamknięte na tęgą zasuwę. I człowiek ten — silniejszy od każdego ulicznego zapaśnika — zaproponował mi, abym z nim poszedł w kraj nieznaną, gdzie ludzie wyżsi są i zdrowsi od nas, gdzie złość nie zaślepia serc, a spokojna miłość ogarnia wszystkich na podobieństwo namiotu. Zapytałem go, gdzie jest ten kraj, który przypomina Pola Iaru. Wskazał ręką na zachód, gdzie słońce zachodzi, gdzie jest pustynia z mirażami i piaszkowymi burzami. Uwierzyłem mu. Był dla mnie jako prorok w kraju Izraelitów, kraju proroków.

- I poszedłeś z nim? — nie wytrzymał kupiec.
- Tak!
- W nieznaną pustynię?
- Tak!
- We dwóch?
- Nie. Było z nami jeszcze kilka gorących głów.
- I doszliście?
- Tak!
- Żywi i nietknięci?
- Nie. Wyszły nasze wątroby. Oczy pozlepiały się nam od wrzodów. A ciała nasze pokryły się strupami. Ja sam tylko doczołgałem się do tego kraju, i wszystkim zobaczył na własne oczy, i usłyszałem na własne uszy. Towarzysze moi leżą w

piaskach. Umarli dlatego, że wnętrzności ich spiekły się od żaru i z braku wody.

— I cóż tam jest? I cóż tam jest? — niecierpliwł się kupiec Tachura.

A właściciel sklepu powiedział:

— Wskoczy mi serce, klnę się na prochy ojca, wyskoczy mi serce z ciekawości! Nie męczcie nas, czcigodny!

— Powiem wam wszystko. — Starzec oblizal łyżkę. Jak gdyby dawno nic nie jadł. To wszystkim rzuciło się w oczy. I nagle zbudziła się w nich wątpliwość, czy aby naprawdę starzec ten jest taki mądry i tak wielkie ma doświadczenie. Czyż ludzie mądrzy liżą łyżki? Ale niebawem obecni mieli się przekonać, że mądrezy zdolni są do wszystkiego. Stary tak mówił dalej: — Przyszliśmy do ziemi, która się nazywa Ta-Keft. Przyszliśmy tam we dwóch z owym wydymaczem szkła z Dżahi. Ale on doszedł aż tam, aby umrzeć na progu ich wspaniałego miasta. Ja zaś doczołgałem się ze wzgórze do jego bram. Jak dziecko... Na czworakach. I kolana moje spłynęły krwią i ropą. I kiedy straciłem przytomność, ledwie zdążywszy krzyknąć „Ratunku!” — kiedym był jakoby we śnie, uratowała mnie karawana. Odwieźli mnie do tamtejszego Tape, który jest wspaniały. I ludzie tam są rośli, a zamiast dwóch mają po troje uszu.

— Troje uszu!? Nie dwoje, tylko troje?! A gdzie to mają owo trzecie ucho? — rozległy się zapytania ze wszystkich stron.

— Trzecie ucho? — Stary podrapał się małym palcem w koniec nosa. — Trzecie ucho mają tu.

I ukazał na potylicę młodego człowieka, który siedział obok niego.

Okrzyk zdziwienia wyrwał się z ust każdego z obecnych w sklepie. Zdziwili się wszyscy oprócz kupca, który uśmiechał się

i podkreślał wąsy. Jego czarne oczy — czarne jak noc — także uśmiechały się spod krzaczastych brwi. Kupiec albo wiedział coś, co mogło obalić tę nowinę, albo nie wierzył ani jednemu słowu starego.

„...Starzec może się przydać. Tacy ludzie zawsze są potrzebni. W określonej godzinie. Mogą przynieść bezcenny użytek. Ale powinni być wdzięczni raczej tobie niż faraonowi.”

I rozkazał kupiec Tachura, aby staremu podano półgęsek pieczony na rożnie, ociekający tłuszczem i zarumieniony od ognia.

Starzec przyjął gęś jak coś należnego, podziękowawszy Babilończykowi skinieniem głowy. I odłamawszy kruche skrzydło rzekł:

— Tego mi brakowało! Albowiem niech ci będzie wiadomo, cudzoziemcze, że otrzymałem wytworne wychowanie. Były czasy, kiedy podawano mi jedło pochodzące z wyspy Isi i ryby z wyspy Keftiu. I spożywałem to jak dziewczyną, po troszeczkę. Ale podróż do Ta-Keft uczyniła mnie żarłocznym i wiecznie głodnym niczym hiena.

Babilończyk zobaczył na własne oczy, jak na wszystkie strony lecą gęsie kości obgryzane w mgnieniu oka. I wszyscy pomyśleli sobie: To nie są usta, ale prawdziwy młyn, w którym kruszy się ziarno! Dopóki starzec zajęty był smaczną pieczoną gęsiną, nikt go nie niepokoił pytaniami.

Po upływie pewnego czasu, gdy z gęsi zostały tylko kości, kupiec zapytał:

— Wielce szanowny, czy mogę znać twoje imię?

— Tak.

Imienia swojego jednak nie powiedział. I Babilończyk zrozumiał, że z tym trzeba poczekać.

Upał powoli mijał. Minęła pora obiadowa. Goście wstawali od stołów i szli za swymi sprawami. Można powiedzieć, że

sklep opustoszał. Aż do wieczery będzie teraz tutaj senne królestwo.

Starzec także podniósł się z maty. Podszedł do kupca.

— Tobie dzięki — powiedział. I pochylił się w głębokim ukłonie. Jak dostojnik przed faraonem A palce jego rąk i jego nóg długie były i cienkie. Zupełnie jak u jakiego wielkiego pana. — Cudzoziemcze, postąpiłeś jak prawy syn swojego pięknego kraju. Znam go. Powiem ci teraz: nazywam się Sennefer syn Hemipeta. Dom mój był w Sais. Piękno jego znane jest wielu, którzy bywali w Delcie. Ale to wszystko należy do przeszłości! Wyrwano mnie z rodzinnego środowiska. Ziemia Kenii stała się dla mnie czymś w rodzaju macochy. I nawet zacząłem przemyśliwać nad tym, aby pochowano mnie gdzieś w obcej pustyni.

Userchet powiedział zwracając się do kupca:

— Panie, oto jeszcze jeden, który gorzko narzeka na los swój.

— Nie! — zaprzeczył stary Sennefer.

— Jak to nie? — zdziwił się Userchet. — Czyż nie słyszeliśmy przed chwilą, co mówiłeś o swoim losie?

— Słyszeliście, aby donieść?

— O nie! — Userchet gotów jest nawet przysiąc. Alboż Userchet to szpieg? Czyż jego sklep to miejsce dla szpiegów?

— To prawda — powiedział kupiec, uważnie przypatrując się starcowi. — Userchet znany jest jako człowiek uczciwy, niezwykle porządny.

Starzec widocznie się uspokoił:

— Dobrze, dobrze. Wydaje mi się, że z wami nawet pożartować nie można. Czasy, rozumie się, nie są najśłodsze... Ale kto i kiedy słyszał, aby bywały słodkie? Jakoś sobie nie przypominam! Może za panowania Chufu?

Kupiec nie spuszczał z niego oczu. Nie, to nie jest zwykły

starzec. Bynajmniej nie prostak. Jest w nim coś szczególnego. Przez grubą skórę, stwardniałą niby muł na bagnie w czas posuchy, prześwieca obraz innego człowieka. Innej krwi. Nie trzeba być aż jasnowidzem, aby to zauważyć. Mowa, sposób bycia, postawa — świadczą o tym, że starzec nie zawsze był w tak rozpaczliwym położeniu jak teraz. A ten żal w jego słowach? On został skrzywdzony, skrzywdzony! Jak wielu ludzi w Kemi!

Stary zbierał się do odejścia. Userchet dał mu pieczonych pestek dyni.

„Nemhu nie skarżą się w naszych czasach — myślał dalej Tachura. — Nemhu cieszą się obecnie poważaniem. To znaczy, że ten stary Sennefer jest dzisiaj nemhu wbrew własnej woli. A był z pewnością człowiekiem znakomitego rodu. Toć on właściwie nawet się z tym nie krył.” Doszedłszy do takiego wniosku, kupiec podniósł się z miejsca, aby odprowadzić Sennefera do progu. I szepnął do niego:

— Czcigodny, bardzo pragnę zobaczyć cię znowu.

Starzec się zamyślił.

— Rozumiesz, czcigodny? Bardzo!

— Dobrze. — Stary skinął głową. — Mieszkam w ostatnim kwartale przy drodze ku cmentarzowi. Ostatni kwartał, ostatni dom. Zapytasz o paraschitę Sennefera.

— Paraschitę? — zdziwił się kupiec.

— Tak.

I starzec wyszedł ze sklepu... Tachura zwrócił się do gospodarza:

— Czy ty znasz tego starca, Userchecie?

— Czasami do mnie zachodzi.

— Na obiad?

— Tak. Płaci mi z góry za szereg dni.

— Dlaczego?

— Nie spodziewa się zarobków.

— To jest paraschita.

Userchet zmarszczył brwi.

— Czy być może? — powiedział z odrazą. — Nie puszczać go już nigdy za próg.

— Przeciwnie, przeciwnie, Userchecie! — zaprotestował kupiec. — Powinieneś nie tylko go wpuszczać, ale i ugaszczać lepiej. Na mój rachunek.

— Na twój?

— Tak.

Gospodarz rozkazał sługom, aby sprzątnęli w sklepie. Dwóch zaraz rzuciło się do roboty, by spełnić jego polecenie. Szczupli, zgrabni chłopcy zwijali się zręcznie i żwawo.

— Chodźmy do mojego pokoju — zaproponował kupcowi Userchet. — Pogadamy sobie szczerze.

— A gdzie jest obiecana dziewczyna, Userchecie?

— Na moim słowie można polegać, Tachuro. Wszystko w swoim czasie.

Kupiec uznał, że właściwie teraz jest najlepszy czas, aby trochę sobie poswawolić. Później nie znajdzie się ani godzinki. Interesy, interesy, interesy! Jednakże gospodarz uspokoił go, znaczącym ruchem głowy wskazując otwór drzwi, zawieszony lekką tkaniną. Za nią można się było domyślić czegoś... Azjata rozdał nozdrza niby bawół.

— Tam?

— Tam, tam.

— Młoda?

— O to nie pyta mnie nikt.

— No, to chodźmy prędzej, Userchecie. Pogawędzimy sobie! Nagadamy się! Podzielimy się wrażeniami! Będę robił, co tylko chcesz i ile chcesz, byleby czas prędzej zeszedł. Ciało moje opada z sił, Userchecie!

Kupiec z trudnością oderwał spojrzenie od tajemniczej zasłony, wszedł do sąsiedniej izby i legł na miękkim łożu. Wszystko tu było jak w jego rodzinnym kraju: przytulnie,

mroczno, pachnąco jak w kwitjącym ogrodzie.

— O, Userchecie — jęknął kupiec — pogadajmy! Daj mi wina. I będziemy rozmawiać! Ale jak najprędzej, bardzo cię proszę, jeżeli nie chcesz mnie dobić!

A kiedy się już usadowili, gospodarz zapytał z uśmiechem:

— Posłuchaj no, Tachuro. Czemu to wy, Azjaci, jesteście tak lekkomyślni?

— My? Lekkomysłni? Dlaczego niby?

— Najpierw się napijmy. Po jednym łyku — powiedział Userchet nalewając jasnoczerwonego płynu. W oczach jego zamigotały złociste światełka, a brzuch trząsał mu się jak worek wypchany lnem.

— Ano powiedz, dlaczego to my jesteśmy lekkomyślni?

— Powiem. Stawiacie kobiety ponad wszystkimi sprawami.

Tachura wytrzeszczył oczy:

— A jakże powinno być?

— Odwrotnie.

— To znaczy, że najpierw sprawy?

— Niewątpliwie, czcigodny Tachuro.

Babilończyk pogładził brodę.

— Wy, mieszkańcy Kemi — powiedział po chwili — jesteście zanadto praktyczni. I to was zgubi. Kiedyś, o, powiedz, czy naprawdę można zaniedbywać piękną dziewczynę, choćby nawet dla najkorzystniejszej transakcji handlowej?

Właściciel sklepu odparł bez namysłu:

— Można.

— Mówisz całkiem poważnie?

— Tak. Poważnie.

Kupiec śmiał się długo. Trzymając się za brzuch. „On udaje młodzieńczą lekkomyślność — mówił sobie w duchu Userchet. — Udaje zbyt gorliwie. Ale ja go znam. Znam na wylot. Rodzonego

ojca nie oszczędzi, byle do końca doprowadzić rzecz, jaką mu zlecono. Zbyt wielka jest jego próżność, by mógł sobie pozwolić na lekkomyślne rozrywki ze szkodą dla sprawy...” Userchet uważał, że nie mają sensu wszelkie spory na temat wyższości praktycznego życia nad rozrywkami. Zwłaszcza dlatego, że spór to tylko słowa, a dla Babilończyka słowa to co innego, sprawy zaś coś całkiem, innego. Najważniejsza cecha Tachury to przebiegłość. Jest ona dosłownie we wszystkim, nawet w fałdach jego jedwabistego chałatu, w jego tłustych palcach i lśniącej brodzie...

W Tachurze nastąpiła nagle zmiana: przestał się uśmiechać, usiadł prosto, dłonie położył sobie na kolanach. Oczy zmrużył, jak gdyby wpatrywał się w pustynną dal.

— Userchecie — powiedział bardzo cicho — opowiedz mi, co się tutaj dzieje. Co słychać w pałacu? Co mówi lud?

Userchet upił nieco wina. Ledwie dotknął wargami brzegu czarki. Postawił ją na stole. Wszystko to zajęło trochę czasu: właściciel sklepu obmyślał odpowiedź.

— Cóż ci mam powiedzieć? — zaczął. — Słowo faraona — kamień, a Kemi — to granit. Nie ma większej siły nad siłę faraona.

— To ja wiem — przerwał mu kupiec.

— Nie ma siły większej niżeli siła faraona. Ledwie powie słowo w swoim pałacu, a już słowo jego słychać za trzecią kataraktą Hapi. I słowo jego rozbrzmiewa w Dolnym Reczeniu i w Libii.

— I to wiem, Userchecie.

— ...w Reczeniu i w Libii — ciągnął niewzruszenie właściciel sklepu. — Ale ty mnie zapytasz: dlaczego więc najjaśniejszy pan nie rusza na wojnę przeciw Hetytom i przeciw Etiopom?

— To prawda, spytam. Czemuż zatem, Userchecie?

- On tego nie pragnie.
- Kto?
- Najjaśniejszy pan — Życie, Zdrowie, Siła!
- Tylko on jeden?
- Nie, Tachuro: najjaśniejsza pani także nie chce.
- To jest najważniejsze.
- Nie, Tachuro! Najważniejszy jest faraon. A popiera go nie tylko królowa. Nie tak znów mało jest ludzi, którzy nie pragną wojny.
- A czy nie wydaje ci się, że w pałacu istnieją dwa poglądy?

Userchet powiedział otwarcie:

- To prawda: dwa poglądy.
- Któż jest za wojną?
- Jego jasność Horemheb.
- Sam jeden?
- Nie, Tachuro. I on nie jest sam. A wreszcie i faraon może zmienić zdanie. I może chwycić za miecz.
- Czemuż zwleka?
- Nie pragnie wojny.
- Żyje jej rozumem, Userchecie?
- Jakiej jej?
- Królowej.
- On?! — wykrzyknął Userchet. — Król?! Nigdy! Wystarczy znać go choć trochę.
- A ty go znasz?
- Z opowiadań. Zdaje mi się, że widzę go jak na dłoni, a patrzę na niego dzień i noc. I powiem ci, Tachuro: jemu jest ciężko jak człowiekowi pod krokodylem.

Kupiec udał zdziwienie:

- A toż co? Ciężko faraonowi, który ma pod sobą całe granitowe państwo Kemi?
- Tachuro, wiadomo mi z najbardziej wiarygodnych ust, że w pałacu nie wszystko jest w należyтым porządku. Kiedy

spojrzysz z boku: i mury niedostępne, i chorągwie na basztach, i strażę nie zmrużywszy oka czuwają nad pałacem. Ale to wszystko po wierzchu jedynie! A w środku — niezgoda.

— Niezgoda, powiadasz, Userchecie?

— A jakże to nazwać inaczej? Król odszedł od królowej. Już nie żyje jej radami. Odrośla mu własna głowa. Niebawem rozpocznie wojnę. Niebawem i Amona uzna.

— Faraon?

— On właśnie!

Kupiec rozłożył ręce: przecie to niemożliwe! To podobne jest do baśni!

— Tak, tak, tak — powiedział właściciel sklepu.

— A cóż się stało? Dlaczego się obraził?

— Tego nikt nie wie z całą pewnością. Może się okazać, że to tylko zwykłe nieporozumienie. W przeszłości bywało już coś podobnego. Bywało, bywało, bywało... Tylko że mało kto się tego domyślał. Wszystko było starannie ukrywane. A teraz już nic niepodobna ukryć. Co ukryjesz? Przed kim? Jeżeli oni sami nie chcą ani nie mogą ukryć!

Kupiec zdziwiony jest tą wiadomością... Aj, to z pewnością jest tak! Na pewno tak właśnie! Rozumie się, rozumie się. Myślał już o tym nawet tam, w prowincji Goszen, jadąc tutaj, do Achetatonu. Przecie wystarczy przyjrzeć się i przysłuchać ludowi, aby zrozumieć wiele. Tak, w pałacu coś jest nie w porządku.

— Ja ci powiadam, że mówię tak, jak gdybym widział w zwierciadle — pochwalił się Userchet swoją znajomością rzeczy. — Jeżeli Userchet powiedział, to tak jest na pewno.

— Słucham cię, słucham...

— Na wschodniej górze budują grobowiec. Dla faraona. Dzień i noc drążą skałę. Najjaśniejszy pan sam wybrał to

miejsce. Wybrał sam i dla królowej. Jednakże roboty zostały przerwane.

— Gdzie? W grobowcu faraona?

— Nie. W grobowcu Naftity.

— To dziwne, Userchecie, to dziwne! Gdyby nie ty, nigdy bym nie uwierzył podobnej nowinie.

— To nie nowina. Każdy, kto ma uszy i oczy, a nie jest bardzo daleko od pałacowych murów, wie o niezgodzie. Ale o grobowcu nie wie nikt. Jednemu tylko Userchetowi o tym wiadomo.

Kupiec wydobyl z za szerokiego pasa sztabkę złota i ostrożnie położył ją przed sklepikarzem. Zrobiwszy niedużą pauzę Babilończyk położył srebrną blaszkę. Userchet na widok szarawego metalu cały się zatrzęsł.

— Och, co ja widzę! — wykrzyknął. — Długo pamiętać będą twoją hojność, Tachuro!

Kupiec gładził brodę. Nie słuchał gospodarza. Pogrążył się we własnych myślach...

„...A zatem cóż się okazuje? Stolica jest nowa, a kłótnie w niej — stare? Nawet większe niżeli dawniej? Ten Userchet niewątpliwie poinformowany jest nieźle. Nie oszukał ani razu. W jego sklepie bywają rozmaici ludzie. Przynoszą rozmaite wieści. Jeżeli je razem zestawić, ma się obraz prawdziwy... Przerwanie robót w grobowcu królowej to wydarzenie pierwszorzędnej wagi. Co za sobą pociągnie ta decyzja? Jednemu wszakże, jak się zdaje, zaprzeczyć nie sposób: stosunki między królem a królową nie są już takie jak przed rokiem. Partia Horemheba — partia wojenna w pałacu — jak się okazuje, osiąga zwycięstwo. Ale jak dalece widoczne jest to zwycięstwo? W słowach tylko czy w istocie? Zresztą i w tym, i w tym wypadku jest to nowina wielkiej wagi. Czy podejrzewają to Hetyci, owi główni, najsilniejsi wrogowie Kemi? Może się domyślają. Nic więcej... Chyba nic więcej...”

— Userchecie — zwrócił się kupiec do gospodarza. — Jeżeli roboty przy grobowcu królowej zostaną wznowione, czy dostaniesz o tym wiadomość?

— Będę wiedział o wszystkim, co trzeba.

— I powiesz mi... Dasz mi znać, gdziekolwiek będę.

— Możesz być spokojny, Tachuro.

Kupca interesowały niektóre szczegóły życia pałacowego. Na przykład, czyją stronę trzyma stara królowa Teje? Wszak jej słowo to nie ostatnie słowo w Kemi. Czyż nie tak? Niekiedy można nawet spierać się o to, czyja siła przeważa: jej czy Naftity?

Userchet powiedział:

— Ja mówię tak: jeżeli w pałacu nagle wybuchnie prawdziwa niezgoda, bądź pewny, że królowa Teje stanie po stronie najjaśniejszej pani. Jeżeli faraon poróżni się z Naftitą w pogłędach na sprawy drugorzędne, królowa Teje będzie trzymać się pośrodku. Ale w rzeczach wielkiej wagi stanie obok Naftity. Tak będzie!

— A kapłan Eje? Co o nim powiesz?

Userchet ma zawsze gotową odpowiedź:

— Eje trzyma najjaśniejszego pana w rękę. — Sklepiarz zacisnął mięsistą pięść i wysunął ją do przodu. — Eje powiedział, to znaczy faraon powiedział. Eje zastępuje ojca najjaśniejszemu panu. Faraon, zanim powie, radzi się Ejego. Ale ten zawsze jest w cieniu. Ten nie pcha się naprzód, jak, dajmy na to, Horemheb.

Jeszcze dwie osoby interesowały Tachurę: co robią w pałacu księżęta Smenkare i Tutanchaton? Czekają, aby objąć władzę królewską?

— Smenkare... możliwe — powiedział Userchet. — Tutanchaton chyba nie. Jest zbyt młody. Ale Smenkare to prawie faraon. Być może, że zdrowie mu przeszkodzi...

— Czyż jest chory, Userchecie?
— Nie, nie chory. Po prostu zdechłak. Nie chory, ale bardzo słabowity. Tak samo zresztą jak i drugi zięć faraona. Przy czym ten drugi to jeszcze chłopiec.

— Także zdechłak?

— Tak.

— Widziałeś sam czy ufasz słowom innych?

Właściciel sklepu rozstawił dwa palce i przytknął sobie do oczu:

— One widziały!

Tachura znał te wodniste oczy w obramieniu czerwonych powiek. Tak, one mogą zobaczyć niejedno.

— Dobrze, Userchecie. Jestem z ciebie zadowolony.

Gospodarz klasnął w dłonie i na progu ukazała się młoda, piękna dziewczyna. Nie miała więcej niż osiemnaście lat. Jej pępek sterczał wyzywająco na matowo-brązowym brzuchu, ale oczy spoglądały skromnie. Dziesiątki warkoczyków sięgały jej spadzistych ramion. Pod paznokciami palców u nóg i rąk grała jasnoczerwona krew, ale ruchy jej były powolne i spokojne. A piersi miała jak gruszki. W rękę trzymała niedużą harfę.

Jej uderzająca piękność oślepiła Babilończyka na chwilę. Jak gdyby do pokoju wdarła się żywa błyskawica. Rzekłbyś, łania zmieniła się w kobietę. Jak w baśniach...

— Nazywa się Mai — powiedział Userchet.

— Przepiękne imię!

— Na tej złotej harfie zagra ci tak, że się zasłuchasz.

Tachura patrzył na dziewczynę z zachwytem. W skroniach słyszał uderzenia własnego serca. A gospodarz widział wszystko i wszystko rozumiał. Chciał wstać i wyjść. Ale kupiec go zatrzymał.

— Userchecie — powiedział wzruszonym głosem — Mai

zjawiała się w samą porę. Czy nie przyniosłaby kawałka papieru i przyborów do pisania?

- Papirusu? — przeciągle powtórzył właściciel sklepu.
- Nie więcej niż dwa łokcie na długość.

Userchet dał znak pięknej dziewczynie i ta wyszła z pokoju.

- Ona ci przyniesie wszystko, co potrzeba.

Rzeźbiarz Dzehutimes

— Panie Userchet! Panie Userchet!

Właściciel sklepu ledwie zdążył postawić na stoliku przyniesione przez dziewczynę przybory. I znieruchomiał na chwilę, usiłując odgadnąć, do kogo należy ten głos. Jeżeliby człowiek chciał biegać na każde wezwanie, nie nastarczyłyby ani nóg, ani butów.

— Wołają cię — powiedział kupiec.

— Słyszę. Ale w sklepie oprócz mnie są jeszcze ludzie...

Wyprostował się. Wytarł dłonie w biały lniany fartuszek na biodrach, odchyliwszy w tym celu połę swojej długiej szaty.

Nagle wpadł do pokoju niewolnik-Aramejczyk. I wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Jego światłość Dzehutimes! Jego światłość...

Gospodarz nie pozwolił mu dokończyć. Dał mu w tyłek tęgiego kopniaka. I niewolnik wyskoczył z pokoju jak z procy...

— O, czcigodny Tachuro, to rzeźbiarz najjaśniejszego pana. Dzehutimes we własnej osobie!

I Userchet wybiegł. Wytoczył się z pokoju na podobieństwo zmyślnego pieska, który biegnie na wołanie pana. Kupiec po-drapał się za uchem pałeczką do pisania. Rozwahał w myśli, co będzie pożyteczniejsze: czy pisać raport o usłyszanym nowinach, czy też — odłożywszy na jakiś czas papirus — zawrzeć znajomość z rzeźbiarzem? Postanowił wybrać to drugie.

„...Ten rzeźbiarz ma dostęp do królewskiej pary. Nie co dzień nadarza się okazja, aby zetknąć się z takim człowiekiem.”

Nie wiedział jeszcze, czy przyda mu się na co ta znajomość. Ale długoletnie doświadczenie podpowiadało mu, że w sprawach skomplikowanych i delikatnych nie wolno lekceważyć żadnej znajomości, zwłaszcza z człowiekiem, który jest tak ważną figurą. Dla Tachury wystarczające było to, że niejaki Dzehutimes jest zaufanym króla. To prawie książe. Prawie dostojnik. Co robi tutaj, w tym niepozornym sklepie, człowiek, który może na własne oczy oglądać samego faraona? Już ta jedna okoliczność była bardzo ciekawa. A ciekawość Tachury nie miała granic. Czyż nie za to cenili go hetyccy protektorzy? Właśnie za toi...

Kupiec odłożył na bok zwój papirusu. Powoli podniósł się z miejsca, uporządkował zwichrzoną brodę, poprawił na sobie odzież. I bez pośpiechu ruszył ku drzwiom.

Pośrodku sklepu stało trzech mężczyzn. Do jednego z nich, krępego człowieka o szerokiej twarzy, zwracał się właściciel zakładu, okazując przy tym gościowi wielkie poważanie.

— Wielce szanowny Dzehutimes, jak zawsze, otrzyma wszystko, czego zapagnie jego dusza — już nie mówił, ale śpiewał jak ptaszek opasły Userchet.

Dzehutimes milczał zmieszany.

— Rozumiem: pieczonych orzechów w miodzie, delikatnych placuszków, takich chrupiących...

Rzeźbiarz się uśmiechnął. Szeroko. Promiennie jak dziecko. Wydawał się bardzo zadowolony powitaniem Usercheta. Porozumiał się wzrokiem ze swymi przyjaciółmi — artysta rzeźbiarz Dzehutimes, którego później dzięki Grekom świat cały będzie nazywał Totmesem. Mlasnął językiem. I powiedział:

— Ot, za co ja lubię ten sklep! Rozumieją tu człowieka.

Zrozumieją, choćby był niemy. Nieobdarzony mową.

Userchet pokłonił się rzeźbiarzowi. Poprosił go o zajęcie miejsca przy niskim okrągłym stoliku. Jeden z przybyłych (był to znany nam Achtoj) wyciągnął się jak długi na macie i jęknął:

— Bardzo się zmęczyłem. Bardzo się zmęczyłem.

Dzehutimes i Tihotep (tak nazywał się drugi z przyjaciół rzeźbiarza) usadowili się wygodnie i zaczęli bębnić dłońmi po stoliku, powtarzając zgodnym chórem:

— Userchecie, Userchecie, podawaj, podawaj!...

— Klnę się na prochy swoich przodków! — odezwał się kupiec Tachura. — Klnę się na ich kości, żem nie widział weselszych ludzi!

Złożył Dzehutimesowi głęboki ukłon, przyłożywszy rękę do serca. Trzej mężczyźni przy stoliku przestali stukać. Odpowiedzieli kupcowi lekkim skinieniem głowy. On zaś rzekł:

— O, najczcigodniejszy Dzehutimesie, którego sława przekroczyła granice Kemi! Pozwól, że mową prostą, swoim niezdatnym językiem wyrażę ci moją najgłębszą cześć. I tobie, i twoim niewątpliwym zdolnościom.

Dzehutimes był zdziwiony. Słowa cudzoziemca, mówiącego obcym akcentem, zmieszały go, ale ucieszyły zarazem. Czyż to źle, że cię znają, że sława twoja przekroczyła granice twego kraju?

— Dziękuję — odrzekł. — Nie znam cię, ale przypuszczam, żeś jest obcokrajowiec.

— To prawda, zgadłeś. Oko twoje jest bystre i nic się przed nim nie ukryje! Do usług twoich niegodny syn ziemi babilońskiej, Tachura, wielbiciel wszystkiego, co piękne. Choć zajęcie kupca nie zawsze pozwala zwracać wzrok ku darom sztuki, wszelako udaje mi się niekiedy — co prawda, nie bez trudności — zachwycać się tworamia pędzla albo dłuta.

Niepodobna było nie zaprosić do stołu reprezentacyjnego

mężczyzny, w dodatku cudzoziemca, a przy tym kochającego sztukę. I oto Tachura przyłącza się do towarzystwa młodych ludzi. Odstępują mu najlepsze miejsce — koło ściany. On zaś z radości oburącz rozczesuje brodę, weselo wytrzeszcza oczy, głośno pokasłuje.

— Miałem sposobność wiele o tobie słyszeć — mówi do Dzehutimesa.

— Złego czy dobrego?

— Tylko dobrego! Najlepszego!

Rzeźbiarz rumieni się. Niczym dziewczyna. Jest zmieszany jak uczeń. I wskutek czego? Wskutek pochwał dopiero co poznanego kupca!

Achtoj mówi:

— Szanowny Tachuro, nie ma słów, które by mogły w całej pełni oddać zdolności i mistrzostwo naszego Dzehutimesa. Latami jeszcze młody, a już jest naszym zwierzchnikiem.

— Tak, tak — powtórzył kupiec z zachwytem — zwierzchnik, zwierzchnik..

— Sam faraon mówi: oto rzeźbiarz, który jest naprawdę wielki.

— Sam faraon, sam faraon — powtarza kupiec.

Achtoj wynosi pod niebiosa swojego zwierzchnika, aby pokazać, że słowa cudzoziemca nie są bynajmniej czymś osobliwym, że Dzehutimes słyszał już bardziej ważkie pochwały.

Tihotep popiera Achtoja. Ma się rozumieć, że Dzehutimes nie ma sobie równego. Gdzie? W Kemi. A jeśli kto woli, to w całym świecie. Kto kiedy widział dzieła, podobne do tych, jakie wychodzą spod ręki tego rzeźbiarza?

Kupiec rozłożył ręce:

— Widziałem świat. Albowiem handluję tam, gdzie to jest możliwe i gdzie niemożliwe.

Dzehutimes roześmiał się.

— Czy naprawdę i tam, gdzie to niemożliwe?
— A co? Handluję i tam, gdzie to nie jest możliwe. Achtoj i Tihotep omal nie pokładają się ze śmiechu. „...To bardzo wesele ludzie. Klnę się na bogów, że rzadko spotykałem rzeźbiarzy równie pełnych radości życia. Tak śmiać się mogą tylko ludzie szczęśliwi. Czyżby te ich kamienne wizerunki sprawiały im tyle rozkoszy?”

Ta sama dziewczyna, Mai, co niedawno zjawiała się przed kupcem, teraz, spuściwszy oczy i uosabiając kompletną niewinność, najwyraźniej bardzo ożywiona, przyniosła słodycze i rozstawiła przed gośćmi talerzyki.

— Proszę — rzekł Tachura — proszę mi pozwolić, abym poczęstował was winem. Przygotowałem wino, które zadziwi i mocą swoją, i aromatem.

— To prawda, panowie — poparł go Userchet. — Wino jest takie, że można je pić a pić bez końca. Uzdrowia ono serce. I wcale nie zaciemnia umysłu.

— Cóż lepszego można wymyślić?! — wykrzyknął Achtoj.

Mai poszła po wino. A kiedy je ponalewała, wszyscy uznali, że jest wyborne.

— Skąd jest to wino? — zainteresował się Dzehutimes.

— Tajemnica — znacząco oświadczył Tachura. — Zważcie, że jestem kupcem i moje rzemiosło to handel. Włóczę się po świecie.

— W poszukiwaniu wina? — zapytał Achtoj.

— Nie tylko wina.

Tihotep rozmawiał szeptem z Mai. Zobaczył ją po raz pierwszy, chociaż w sklepie był już nieraz. Kimże ona jest? I czy od dawna tutaj? Na pierwsze pytanie nie odpowiedziała. A na drugie dała odpowiedź twierdzącą: Tak, od dawna.

— Nie wierzę.

— Dlaczego? — Uśmiechała się ukazując zęby podobne do niebieskawo-białych promieni księżyca.

— Po prostu nie wierzę.

— Ale dlaczegoż? — Uśmiechała się oczyma, ustami, wydawało się, że nawet pępkiem. Całą swoją istotą.

— Jeżeli dawno, to w takim razie jestem ślepy.

— Możliwe! — Uśmiechała się kolanami, toczonymi jak w marmurze.

— Nie, nie jestem ślepy!

Biedny Tihotep, pomocnik Dzehutimesa, nie rozumiał nic; czyżby widywał ją w tym sklepie i ani razu nie zwrócił na nią uwagi?

— Nie zwróciłeś uwagi — powiedziała.

— W takim razie wskoczę do Hapi!

— Dlaczego?

— Ty jeszcze pytasz, Mai, dlaczego? Powiem ci: nie warto, aby żył ktoś taki, kto nie umie dostrzec podobnej piękności.

Usiłował ją objąć. Wyśliznęła się z jego rąk niczym ryba. I natychmiast ukryła się za zasłoną.

Tihotep z żalu przywarł ustami do czarki. Pił po kropelce. Rozkoszował się. Wdychając aromat wina, myślał o niej. Już nie mógł o niej nie myśleć. W ciągu swoich trzydziestu lat ani razu nie widział podobnie pięknej kobiety.

W kącie stał Userchet i uważnie obserwował stolik. Dawał niemal niewidoczne znaki i służba przynosiła, co trzeba. Mai już się jednak nie ukazała.

Tachura oczarował Dzehutimesa. Był to niezwykle kupiec. Subtelny jego umysł, przyjemny sposób bycia oraz wiedza nie mogły nie zdziwić współbiedniaka wolnego od uprzedzeń. Kupiec z łatwością przechodził z jednego przedmiotu na inny. Bywał w różnych krajach, bywał i na morzach. Góry i niebiosy odsłaniały przed nim swoje tajemnice. Ale nie to było najdziwniejsze. Wcale nie to! Ten kupiec pojmował, jaka jest siła

kamienia. Siła dłuta. Ten Babilończyk dobrze rozumiał znaczenie barwy i sprawę łączenia farb, chociaż szczególnie cenił tych, co byli mistrzami w rzeźbieniu kolosów. Kupca najbardziej zdumiewał na przykład sfinks u stóp piramidy Chufu. Sztuka jest wielka a człowiek mały. Sfinks właśnie świadczy o wyższości sztuki...

Dzehutimes nie mógł się z tym zgodzić. Czyż sztuka powinna przytłaczać?

- Nie, zadziwiać — odparł kupiec.
- I to też nie jest całkiem słuszne.
- Cóż tedy jest słuszne?
- Powiem, szanowny Tachuro.
- Słucham.

Dzehutimes pociągnął łyk wina. Jego twarz, każda jej fałdka, każda zmarszczka ujawniała najwyższe skupienie, pracę myśli. Jak gdyby rzeźbiarz wsłuchiwał się w jakiś głos wewnętrzny. Wielką w swym sercu żywił wiarę w sztukę, która stanowiła istotny sens całego jego życia. Gdyby mu powiedziano: „Już nie będzie sztuki”, poprosiłby na pewno: „Więc odbierzcie mi życie!...”

Dzehutimes tak mówił:

— Czasy olbrzymich sfinksów minęły. Czy na zawsze? Z pewnością. Zapytasz mnie, czy tego żałuję. Odpowiem ci: i tak, i nie. To prawda, że chodzę po tej ziemi, ale wszak mieszkam w domu. Dokoła mnie — cztery ściany, obok mnie — żona i dzieci. I chcę, aby w moim pokoju znajdowały się jakieś dzieła rzeźbiarzy i malarzy, które sprawiałyby mi radość. Słyszysz, szanowny Tachuro? Ja mówię: radość!

- I smutek — dodał Achtoj.
- Sztuka i ból? — zdziwił się kupiec. — Na co wam ból? Czyż mało go dokoła? Proszę was, zróbcie dwa kroki, a już go pełno! Dobrze powiedziałeś, dostojny Dzehutimesie: radość, radość, radość!

Policzki Tachury zrobiły się purpurowe. Lśniły od nadmiaru

zdrowia, połyskiwały jak miedziane miski, dobrze wypolerowane przez gorliwą gospodynię, która nie żałuje ani piasku, ani wody bieżącej, ani trudu.

— I smutek — powtórzył Achtoj.

— I ból — powtórzył Tihotep.

— Ależ czemu? — kupiec zaczął się śmiać, chichotać. — Na co ból? Jesteś młody, szanowny Achtoju. Na czole twoim wypisana jest siła i zdrowie. Spoglądasz na świat niby sokół i w oczach twoich jest miłość i radość. Na co ci smutek? Wypędź go precz od siebie! Wygoń go ze sztuki! A zresztą... — Tachura zrobił pauzę: — zresztą można się i posmucić, jeśli cię troszeczkę oszukała jakaś ślicznotka.

— Ślicznotka?

— No tak. Na przykład, nie przyszła na umówione spotkanie.

— To znaczy... — Achtoj podniósł w górę wskazujący palec. — To znaczy, że szanowny Tachura pozwala się smucić tylko z powodu drobnych grzechów jakiejś ślicznotki?

— No, nie. Można znaleźć jaki się chce powód. W życiu, ale nie w sztuce.

Achtoj upił trochę wina z czarki, a potem rzekł:

— Nie rozumiemy się nawzajem.

Tihotep, słuchając tego brodacza, dla którego życie było nieustanną radością, odczuwał coś w rodzaju odrazy. Zupełnie jakby skakała przed nim ciężka ropucha. Był młodszy od nich wszystkich i nie wypadało mu angażować się bardziej, niż pozwalał na to wiek. Inaczej plunąłby i wstał od stolika... A jednak nie wytrzymał:

— Nie, ja rozumiem doskonale!

— Przyjemnie mi to słyszeć, młodzieńcze — niemal śpiewał kupiec z Babilonu. — A zatem zgadzasz się ze mną?

Tihotep nie patrzył na niego. Spuścił wzrok i powiedział bardzo twardo, z odcieniem złości:

— Powiedziałem, że zrozumiałem. Zrozumiałem — to znaczy, że zrozumiałem! A „zgadzam się” to zupełnie co innego. Jeżeli masz chęć się radować, pij wino!

— A toć piję! Klnę się na bogów, piję!

I kupiec lyknął tęgi haust. Ale tak, że się zakrztusił. Więc wyjaśnił: wpadło nie tam, gdzie trzeba.

— Pij, szanowny Tachuro, pij. A rzeźbiarstwo to nie to samo, co wino! Dobry nastrój możesz sobie z pewnością kupić za cenę jednej kury lub koźlątka. Czyż wypada więc przyrównywać sztukę do jadła? Żaden rzeźbiarz nie ma obowiązku cię zabawiać. Zapamiętaj to sobie, cudzoziemcze: nie jesteście ulicznymi aktorami!

Kupiec skrzyżował na piersi włochate, tłuste ręce. Na znak całkowitego poddania się. Można rzec: niewolniczego. A tym samym jak gdyby rozbrajał swojego przeciwnika. Dzehutimes domyślił się, że to wybieg, i czekał, co będzie dalej. Jednakże nic nie było dalej, albowiem rozgniewany młody rzeźbiarz zamknęła oczy, żeby nie patrzeć. Nie ręczyła za swoje ręce, które swędziły go niezgorzej. Grzmotnąc tego miłośnika sztuki byłoby niewątpliwie dobrym uczynkiem.

— Wielcy panowie — odezwał się Tachura tonem winowajcy. — Jeżeli popełniłem jakiś...

Dzehutimes przerwał mu ze śmiechem:

— Tak, tak, właśnie popełniłeś!

— O, jeśli takie jest i twoje mniemanie, tym unizemienia proszę, abyś mi wybaczył... Czyżbym was naprawdę obraził?

— A ty jak przypuszczasz, szanowny Tachuro?

— Nie wiem nawet, co powiedzieć.

Tihotep rzucił gniewnie:

— Nie ma większej obrazy dla sztuki i jej sług aniżeli żądanie od niej tylko radości! Sztuka stworzona jest nie po to jedynie, by rozweselać. Kto pragnie bezmyślnej zabawy, znajdzie ją zawsze i bez sztuki. Niesiemy światu nie tylko

pogodną myśl. Budzimy w duszy niepokój, często zmuszamy ją, by drżała ze strachu. Piętnujemy niegodziwców. A jeżeli idzie o radość i wszelakie uciechy, tych nie brak i w sklepie szanownego Usercheta. Prawda?

Pytanie to skierowane było do gospodarza zakładu. Ten skłonił się nisko. Znał — nawet bardzo dobrze — charakter młodego rzeźbiarza z pracowni faraona. I nie ośmielał się przeczyć, chociaż było mu absolutnie wszystko jedno, czy sztuka rozwesela duszę, czy nasuwa smutne refleksje. Obchodziło go to tyle, co wczorajszy upał.

Dzehutimes pochwalił jadło Usercheta i w ten sposób odwrócił uwagę przeciwników od ich głównego tematu. Kupiec z zadowoleniem wykorzystał nadarzącą się sposobność i również pochwalił jadło, a zrobił to z takim samym zapałem, z jakim dopiero co chwalił sztukę, która potrafi sprawiać radość.

— A w twojej ojczyźnie — zapytał Dzehutimes — to samo jedzą? I co u was cenią najbardziej?

— U mnie? W Niniwie są takie same sklepy. Tylko nieco skromniejsze. Jadają tam ludzie i orzechy w cukrze. Ale najlepsza potrawa to mięso baranie w tłuszczu z baranich ogonów. Przyrządza się je na rozżarzonych blachach. A potem mięso się studzi. Nie samo mięso, ale i wszelakie trawy, wysuszone na słońcu. Spróbować takiego mięsa to dopiero przyjemność. Ale znam kraje daleko na północy, gdzie kobyłe mleko — klnę się na bogów! — nie jest tańsze od złota.

— Kobyłe mleko?! — wykrzyknął Achtoju.

Dzehutimes powstrzymał go gestem ręki:

— Achtoju, mogę i ja zaświadczyć, że są takie ziemie. Słyszałem o nich od pewnego kapłana, człowieka godnego zaufania, który zna wszystko, co jest w ziemi, na ziemi i nad ziemią. Owi ludzie zakwaszają mleko, oziębiają je i piją, podobnie jak my pijemy piwo.

Kupiec potwierdził słowa rzeźbiarza. Dodał nawet więcej: takie zakwaszone mleko, wypite w dużej ilości, potrafi zwalić z nóg nawet krzepkiego mężczyznę. Ale co mówić o kobyli mleku! Jest kraj, gdzie pali się woda, która bije spod ziemi...

— Co? Pali się? — spytał ostrożnie Tihotep.

— Pali się ogniem — uprzejmie wyjaśnił kupiec, jak gdyby przed chwilą nie doszło między nimi do sprzeczki. — Zupełnie tak, jakby roztopili barani tłuszcz i podpalili go. Albo tłuszcz rybi. Przecie powstanie płomień.

Każdy mógł sobie wyobrazić, jaki to będzie płomień, jeśli zapali się tłuszcz zwierzęcy. Albo olej, który otrzymuje się z orzecha. Ale jak płonie woda — to trudno sobie wyobrazić. Chyba że to jest jakaś niezwykła woda?

— A kto podpala ową wodę? — pyta Achtoj.

— Ten, komu głupstwo do łba strzeli. A najczęściej błyskawica. Bije ona w źródło, które się zapala. A wtedy kłęby dymu unoszą się ku niebu, a ludzie modlą się do ognia. Albowiem ma on wielką siłę. A siła, jak wiadomo, zawsze budzi poważanie.

— I to nieprawda! — wybucha Tihotep.

— Co nieprawda? — nie może pojąć kupiec.

— Siła nie zawsze budzi poważanie. Gdybyś powiedział: mądrość, zrozumiałbym. Ale siła?!

Kupiec klasnął w ręce:

— No, przyjacielu, toś mnie dobił! Czyżbym nastąpił ci na nogę? Można by pomyśleć, że jesteśmy wrogami. Czy tak otworzę usta, czy inaczej, nigdy ci nie dogodzę.

Dzehutimes odezwał się pojednawczo:

— Nie gniewaj się, szanowny Tachuro. Młodość odznacza się jedną właściwością: nie uznaje środka, ale zajmuje miejsce krańcowe. My, którzyśmy słyszeli słowo Echnatona, nie możemy się z tobą zgodzić bez zastrzeżeń.

— Wybacz mi, Dżehutimesie, ale przecież wasz kraj zawsze zdobyła siła jego synów. Spójrzcie w głęboką przeszłość dziejów Kemi, przeczytajcie zwoje, zapisane przez waszych przodków. Czyż siła jest czymś, co przynosi wstyd?!

— Od pewnego czasu wolimy mądrość. Jest lepsza od siły. Siła może być dobra, ale może być i zła.

Achtoj rozwinął myśl wypowiedzianą przez swego zwierzchnika. Idzie o to, że doświadczenie Kemi, liczące trzy tysiące lat, wymownie świadczy na korzyść pokoju. Komu wojny przynosiły szczęście? Co najwyżej nielicznym wodzom. I jeszcze może faraonom. I to nie wszystkim. Gdyby sąsiedzi, mieszkający na północ i na południe od Kemi, zrozumieli to także, na ziemi zapanowałoby szczęście. Inna sprawa, jeśli wrogowie wtargną na twoją ziemię ojczystą. Wtedy sami bogowie każą chwytać za miecz i pędzić na rydwanach bojowych.

— A więc najjaśniejszy pan niezachwianie dąży do utrzymania pokoju? — zapytał Tachura pozornie bez ukrytego celu.

— Tak! — rzekł Achtoj.

— Tylko pokoju — potwierdził Dżehutimes.

— Widzicie... — Kupiec zatarł ręce, jak gdyby trochę zmarzł i chciał się rozgrzać. — Widzicie, to bardzo chwalebnie — pragnąć pokoju. Ale kto zaręczy, że i Hetyci pragną tego samego? Albo Sumerowie? Albo Etiopowie? Albo Libijczycy? Rozumiem, gdy mądrość państwowa podpowiada ci, że pokój to szczęście. Ale powinno to być podpowiedziane nie jednemu tylko. I nie dwóm. Ale wielu. Wszystkim! Wojowniczy Hetyci prą na południe. Atakują wasze posterunki graniczne. A wy będziecie przypatrywać się temu spokojnie?

Dżehutimes nie odpowiedział.

— Czyż oni atakują naszych? — spytał Achtoj.

— Jeszcze jak!

Tihotep spochmurniał i rzucił krótko:

- Nieprawda!
- Co nieprawda, młodzieńcze?
- Że naszych atakują. Wojska nasze...
- Nie powiedziałem, że atakują wojsko.
- A co?
- Mogą zaatakować... Na razie mowa tylko o posterunkach, o pojedynczych garnizonach.

Tihotep westchnął. Pociągnął wina. Chciał nawet coś powiedzieć, ale uprzedził go Dzehutimes:

— Szanowny Tachuro, prowadzimy, powiedziałbym, rozmowę trochę oderwaną od rzeczywistości. Dlaczego? Dlatego że nic nie zapowiada jakichś szczególnych komplikacji na granicach. Potyczki mogą zdarzać się zawsze...

Czy mówił świadomie nieprawdę, czy nie znał prawdziwej sytuacji? Trzeba było mieć ogromną cierpliwość Echnatona, aby pobłażyć bezczelności i bezceństwu Hetytów. Dzehutimes czuł w głębi duszy, że niezupełnie ma słuszność. Ale nie mógł mówić inaczej! Nie mógł, ponieważ był tego samego zdania, co faraon. Główni wrogowie są tutaj, nad brzegami Hapi, nie zaś nad Tygrysem czy Eufratem. Kto najbardziej pragnie obalenia Echnatona? Kapłani Amona czy duchowni Hetytów? Rozumie się, że kapłani Amona! Zatem wojna z Hetytami nie ma tu znaczenia. Wrogowie Atona to wstecznicy w postaci obrońców i wyznawców Amona, to rozwścieczona stara arystokracja, to ludzie głupi, którzy nie chcą zrozumieć, że właśnie Słońce daje życie wszystkiemu, co istnieje! Inna sprawa, jeśliby Hetyci istotnie ruszyli na południe, powiedzmy — ku prowincji Goszen. O, wtedy mocne uderzenie od razu ich oprzytomni. Tylko uderzenie! Obecnie zaś pisma, które śle na północ w języku hetyckim faraon Echnaton, są zupełnie wystarczającym sposobem zapobieżenia wojnie.

„...Czy to są jego własne słowa — myślał kupiec — czy słowa zasłyszane w pałacu? Może od samego faraona? Wątpliwe, czy rzeźbiarz ośmieliłby się wyrazić własny sąd na temat wojny z Hetytami w sposób tak zdecydowany”.

W każdym razie kupiec wielce był zadowolony z rozmowy, dziękował bogom, którzy zetknęli go z tak wysoko postawionymi osobami.

— Zdrowy rozsądek — powiedział Tachura — nie pozwala nie zgodzić się z wami. Jak widzę, umysł wasz jest głębszy a horyzonty szersze, niż można by przypuszczać biorąc pod uwagę wasz wiek. Widziałem osiwiiałych starców. Słowa ich nie przewyższały waszych, wszelako wasza bystra przenikliwość stoi wyżej od ich przenikliwości.

Tihotep uśmiechnął się z dumą. Nareszcie cudzoziemiec zaczął gadać po ludzku. Tihotep gotów już był nawet wybaczyć Babilończykowi jego błędne wywody na temat sztuki i na temat siły. Najważniejsze jest to, aby człowiek zrozumiał prawdziwe słowa. Jeśli zrozumiał, to dobrze, to chwała bogom! Młody rzeźbiarz nalał czarkę sobie i Tachurze. A potem rzekł:

— Z początku wydawało mi się, że jesteś pełen złości. (Na twarzy Tachury odbiło się najwyższe zdumienie). Tak, tak, wydawało mi się! Ale teraz myślę inaczej: niezły z ciebie człowiek, tylko trochę błędzisz. Potrafisz jednak zrozumieć swoje błędy. Oceniasz je trafnie. A to nie każdemu jest dane!

Kupiec się roześmiał. Uścisnął rękę Tihotepa. Przyjaźnie poklepał go po ramieniu. I wypili. Na zgodę. I przyjaźń.

— Teraz, kiedym zasłużył sobie na życzliwość mojego młodego przyjaciela — rzekł Tachura — czy mogę spodziewać się czegoś więcej? Czegoś, co sprawiłoby mi głęboką rozkosz?

Mówiąc to Tachura nie spuszczał oczu z Dżehutimesa:

— Czy mogę?

Dzehutimes zdawał się rozumieć go. Ale czyż Tachara był pierwszym, który zwracał się do niego z taką prośbą? Jeszcze nie została wypowiedziana. Jeszcze jest na końcu języka. A w istocie już jest jasna. Dzehutimes z góry wiedział, co to za prośba...

— Mam pracownię — powiedział — mam pracownię i kieruję w niej robotami wszystkich rzeźbiarzy, których jest siedmiu. Jestem kierownikiem także ich pomocników, a tych jest piętnastu. I kamieniarzy mamy gromadkę sporą, i wszelakich ludzi, którzy mogą sprostać ciężkiej pracy. Userchet wie, gdzie jest moja pracownia. Drogę do niej zbadał Userchet tak samo, jak uczeń zgłębił hieroglif „anch”. Proszę mnie odwiedzić — kiedykolwiek.

Tachura omal nie skoczył do góry z radości. Kazał przynieść jeszcze wina. Zażądał, aby Mai osobiście przyniosła wino każdemu z mężczyzn. A kiedy się zjawiała, kupiec zakrzyknął:

— Mai, ty najbardziej kobieca wśród kobiet, pocałuj każdego, któremu wręczysz wino! Pocałuj każdego! Zaprosił mnie do siebie wielki Dzehutimes!

I Mai usłuchała tego rozkazu. Ku zdziwieniu i przerażeniu Tihotepa. Młodzieniec niemal zmartwił, gdy zostawiła na nim pieczętkę owej taniej miłości, sprzedawanej niby cebula albo berberys na rynku. Ten znak palił mu policzek. A kiedy głośno cmokała innych, wzdrygał się. I nagle chwyciły go dreszcze. Zaczął pić wino prosto z dzbana, aby zagłuszyć w sobie zadość.

Mai obesza siedzących, pocałowała każdego i ponownie schowała się za zasłoną. Kupiec gładził policzek w tym miejscu, którego dotknęła ustami piękna dziewczyna. I rzekł przewracając oczami:

— O bogowie! Cóż to się stało przed chwilą?! Dlaczego dusza moja uciekła w pięty? Powiedzcież mi, drodzy

przyjaciele, co wydarzyło się przed chwilą na moim policzku? Dlaczego on mnie tak pali?

Kupiec zwałił się na plecy i zadarł nogi do góry. Rzeźbiarze, spoglądając na niego, pokładali się ze śmiechu. Służba — kucharze, patroszyciele drobiu, pomywacze — jęli wyglądać zza zasłon, aby przypatrzeć się zadziwiającemu widowisku. Mai także wyszła ze swego schronienia. Razem z nią ukazały się jej koleżanki — jedna ładniejsza od drugiej, jedna od drugiej młodsza. Tihotep w mgnieniu oka zapomniał o Mai. Łypał spojrzaniem, myszkując niby wilk w stadzie przepięknych gęsi. I powiedział sobie: „Oto jest miejsce obiecane, gdzie rzadko bywał. I wyrażam skruchę. Albowiem czymże jest życie, jeżeli obojętnie mijasz ślicznotki, wobec których gwiazda nie jest gwiazdą, ale co najwyżej — łepkiem gwoździka z brązu”. Tihotep upatrzył sobie jedną, niezwykle ładną, śniadą dziewczynkę-kobietę, taką niedużą i szczuplutką. Wstał, podszedł do niej — kiedy wszyscy zabawiali się jeszcze widokiem wierzgającego nogami kupca — i zapytał:

— Kto ty jesteś?

Popatrzyła na niego bez lęku błękitnymi oczami, podobnymi do szkła z Dżahi. Odpowiedziała wyraźnie:

— Jestem Sorru.

— Co to za imię?

— Aramejskie.

— Nieźle mówisz naszym językiem.

— Uprawdzili mnie pięć lat temu.

— Żebyś męczyła się w tej komórce?

— I żebym kochała mężczyzn — dodała dziewczyna brutalnie.

Tihotep, może trochę na złość tej Mai, powiedział:

— Sorru, chcę cię widywać.

— To przychodź tutaj.

I to już wszystko! Tihotep odszedł na bok, ponieważ kupiec ponownie zasiadł przy stoliku i głośno sapiąc wycierał pot

z czoła. Dziewczęta się skryły. Odeszli do swych ognisk kucharze. Patroszyciele drobiu powrócili do swojej brudnej roboty.

Nie, doprawdy, ten Babilończyk podbił serce Dzehutimesa. Rzeźbiarz dawno nie widział tak sprytnego a jednocześnie tak zabawnego człowieka. Czy nie należy zaprosić Tachury do swojej pracowni? Czyż nie jest on wart uprzejmego, więcej: gorącego przyjęcia? Tak, tak, tak! Tachura przyjdzie do niego. Dzehutimes pokaże mu wszystkie swoje prace. Urządzi dla niego i na jego cześć ucztę!

Królewski rzeźbiarz wyraził to wszystko wyszukanymi słowami, odpowiednimi w takich okolicznościach. Achtoj i Tihotep przytakiwali mu, kiwając głowami, jak gdyby aprobowali zaproszenie swojego zwierzchnika i nauczyciela.

Kiedy się zegnali, dziękując sobie nawzajem i okazując najwyższą uprzejmość, Tihotep dostrzegł za zasłoną twarz małej Sorru i pochwycił jej spojrzenie. Spojrzenie sarny. Spojrzenie najpiękniejszego zwierzęcia, którego ciało ogarnął niepokój.

Skinął jej głowę. I spuściła powieki. A rzęsy jej powiek długie były i czarne. Widoczne z daleka. Wyraźnie. I znowu otworzyła oczy.

Czy naprawdę to spojrzenie Sorru kiedyś się skończy?

Smenkare

Na balkonie pierwszego piętra, zwróconym ku północy, chłodno było w ten upalny dzień. Roztaczał się stąd przepiękny widok na cały niemal Achetaton. Na lewo i na prawo od Drogi Faraona — świątynie, ogrody, wille bogaczy, dalej zaś — mieszkalne domy biedaków. Lśni w słońcu — pokryta kamieniem różowej barwy — główna świątynia Per-Aton-em-Achiati. Opodal niej mała świątynia — Het-Aton-em-Achiati. Tam to, w stronę Grzbietu Wschodniego, ciągną się domy, domy, domy, tonące wśród cienistych sykomor, drzew granatu i palm daktylowych. Ileż ziemi trzeba tu było przewieźć, aby drzewa rosły na rozprażonych piaskach! Ile trzeba było włożyć pracy, aby wspaniałością zalśniły mury pałaców na pustynnym brzegu Hapi, nieskalanym obecnością Amona!

Najjaśniejszy pan kocha — bardzo kocha! — to miasto zbudowane na jego słowo, wedle jego rad i rozkazów. Zrodziło się tak niedawno, a gdzie znaleźć piękniejsze od niego? Mówią, że przepiękna jest Niniwa ze swymi wiszącymi ogrodami. A czyż Achetaton jest gorszy? Nie tylko nie gorszy, ale o ileż piękniejszy! Mówią o tym wszyscy, którzy przemierzali ulice Niniwy i ulice Achetatonu. Jeżeli nawet Niniwa nie może się równać z Achetatonem, to jakież inne miasto może z nim iść w zawody?! Miast takich nie ma w całym świecie! Ile jest warta chociażby

tylko Droga Faraona! Ta piękna ulica — prościutka jak strzała. Po obu jej stronach wznoszą się szeregi gmachów. Stawiali je najlepsi budowniczkowie Kemi. Czuje się w nich rękę Tutu, Hatiai, Maanichetutefa. Kto na tych fasadach nie pozna dłuta Juti, Beka i Dżehutimesa? Nie to wszakże jest najważniejsze! Nie to, ale czystość miasta. Brudne wody są teraz pod ziemią: płyną rurami z wypalanej gliny. W pokojach kąpielowych pali się dniem i nocą. Ludzie w Achetatonie są niezwykle czysti — czystszy aniżeli gdziekolwiek indziej.

Jakże nie kochać tego miasta, niezrównanego Achetatonu, który powstał w tej głowie, zanim jeszcze stanął na brzegach Hapi? Faraon lubuje się widokiem z północnego balkonu. Co dzień. Jest to u niego czymś w rodzaju choroby. Bardzo przyjemnej choroby.

Jego wysokość Smenkare jest ogromnie szczupły. Nawet w porównaniu z królem, który także nie robi wrażenia atlety, księżę wygląda bardzo niepokaźnie. Ale przecież Kemi potrzebuje głowy, a Smenkare ma głowę. Ma jasny, otwarty umysł. Nie darmo wyrosł z tego samego pnia — jednego ojca! To nie jest ważne, że są synami dwóch różnych matek.

— Muszę coś powiedzieć — zaczął faraon. I umilkł.
„...Czyż trzeba oddać innemu całe to piękno? Piękno zdobyte za cenę krwi, serca, duszy?”

Miał na myśli i to państwo — wielkie jak świat. I te świątynie, i te drzewa na piasku. I to niebo. I tarczę słoneczną Atona. Wszystko, wszystko, wszystko! Takie jednak jest nieubłagane prawo życia — oddawać innemu to, co się osiągnęło za bardzo, bardzo wielką cenę. I faraon powtarza:

— Muszę coś powiedzieć...

Jego wysokość Smenkare może się jedynie domyślać. Echnaton już o tym napomykał. Nawet zupełnie przejrzyście.

Idzie o współrządcę. Współrządcę faraona. Czyżby faraon

czuł zbliżający się koniec? Czy nie liczy na długie władanie? Dlaczego? Mając trzydzieści pięć lat? Trzydzieści pięć lat to całkiem, całkiem niedużo! Czemuż królowi tak spieszo?

Faraon mówił dalej bez śladu wzruszenia na twarzy, w oczach lub choćby w głosie. Niczym mędrzec. Tonem urzędowym. Dość sucho. I dobitnie. Jak gdyby ogłaszał wyrok, z dawna przemyślany, dawno postanowiony.

— Smenkare, ja uważam tak: każdy władca wielkiego kraju, jeżeli wystarczy mu rozumu, ma obowiązek znaleźć sobie godnego następcę. I odejść w odpowiednim czasie. Zanim opuszczą go siły. Zanim wyczerpią się myśli, tak niezbędne przy sprawowaniu rządów. Sądzę, że nadszedł czas, abym i ja wybrał sobie współrządcę. Co na to powiesz?

Echnaton stał na wprost Smenkare. Zupełnie blisko. I patrzył na niego badawczo. Długa, wąska twarz faraona wyrażała napięcie. Wargi miał zaciśnięte. Ręka mocno uchwyciła rękę. Tam. Na plecach.

Tak stał faraon: lekko pochylony do przodu i po wojskowemu przystawiwszy jedną nogę do drugiej.

— Oczekujesz ode mnie rady? — odezwał się cicho Smenkare.

— Rozumie się.

W tej oto chwili faraon jest dokładnie taki sam, jak przedstawił go rzeźbiarz Achtoj: nieco ironiczny, skupiony, mądry.

— Zgadzam się z tobą, najjaśniejszy panie.

— Jak to rozumiesz?

Jasne było, że faraon oczekiwał dokładniejszej odpowiedzi. Nie jednosylabowego „tak” albo „nie”, lecz obszerniejszych wyjaśnień, które mogłyby zrodzić jakieś nowe myśli i nowe pytania...

— Godzien litości jest ten, kto nie umie patrzeć przed siebie...

— Dobrze mówisz, Smenkare!
— ...kto w porę nie dobędzie miecza z pochwy...
— Pięknie!
— ...kto nie wyprzedza zdarzeń, lecz wlecze się za nimi podobnie jak ogon za kotem.

Faraon na razie jest zadowolony.

— Dlatego, najjaśniejszy panie... — Smenkare wziął głęboki oddech, zupełnie jakby miał zamiar dać nurka w wody Hapi. — Dlatego uważam, że twoje postanowienie, aby dobrać sobie współrządcę, jest całkiem rozumne. Wszyscy jesteśmy sługami i dziećmi Atona. Gdy nas powoła, odchodzimy na Pola Iaru. Któż wie, kiedy się to zdarzy? Może na łożu, może w podróży. Może przy posiłku.

— Tak, tak, tak...

Faraon porwał się nagle z miejsca, gdzie stał, i zaczął szybko chodzić po balkonie. I spoglądał sobie pod nogi, jak gdyby cała podłoga pokryta była dołkami.

— Powiedziałem, najjaśniejszy panie: dobrześ postanowił. W porę postanowiłeś. Tak trzeba było postąpić w imię twojego wielkiego dzieła. Ale jakiego zdania jest najjaśniejsza pani?

— Nie wiem! — rzucił faraon.

Smenkare oniemiał na chwilę.

— Nie pytałem — uciął krótko faraon.

„Jakże to rozumieć? «Nie wiem...» «Nie pytałem...» Czyż głos jej stał się głuchszy? Czy może gorszy? Czyż to nie ona stała u boku najjaśniejszego pana we wszystkie ciężkie dni? Czy nie ona była oparciem dla jego myśli? A teraz: «Nie wiem, nie pytałem»... Więc to tak!”

Faraon podejrzliwie spojrział na brata. Ale czoło młodego, dwudziestotrzyletniego Smenkare czyste było i spokojne. Sama Szlachetność pozazdrościłaby mu szlachetności. Kobiety marzą o tym, by mieć tak gładką skórę na twarzy. Oczy jego promieniowały delikatnością i rozumem, tak niezbędnym dla

człowieka — zwłaszcza władcy wielkiego państwa. Kto powiedział, że królom nieodstępnie towarzyszy okrucieństwo? Dlaczego okrucieństwo? Kogo i od czego uchroniło ono w tym życiu? Czyją pamięć ustrzegło od zapomnienia? Niczyjej! Faraon wie, na kogo winien paść jego wybór. Mówi więc:

— Ty będziesz moim współrządcą. Ty!

Smenkare nie jest wcale zdziwiony. Wie, że to jest słuszne. Że tak właśnie być powinno. Jednakże pyta:

— Czy jestem godzien?

— Tak.

— Czyś dobrze to przemyślał, najjaśniejszy panie?

— Tak.

— Czy potrafię służyć w należyty sposób?

— Nie wiem. Będziemy razem. Jak dwaj bliźniacy. Obiecuję ci wszystko: siłę, odwagę, mądrość. Do czego tylko będę zdolny. Albowiem i ja wysycham. Zbyt wielkie mam bóle tu oto... w wątrobie. I tutaj, w sercu... I tu, w głowie...

— Czy aby sprostam, najjaśniejszy panie?

„Ten będzie sługą Atona. Niezachwianym. Pójdzie moją prostą drogą”.

Postanowienie faraona wydawało się ostateczne. Twarde. Nieodwołalne. Jak wszystko, co postanowił przedtem. Teraz zaś powiedział:

— Musimy we dwóch zastanowić się nad ważną sprawą. Znowu przychodził do mnie Horemheb i domagał się wojny.

Smenkare nachmurzył się po dziecinnemu. Zupełnie jak malec, któremu dano nie tę zabawkę, o jaką prosił. Na czole jego ukazały się zmarszczki, powieki się zwięzły.

— Domagał się wojny? Z kim? Kiedy?

— Ze wszystkimi! Pchają się Hetyci na pogranicze wioski — wszczęć z nimi wojnę! Etiopowie obrazili naszego księcia —

wojna i z nimi! W Libii zatrzymano naszego kupca — wojna i z Libią! Azjatyckie książątka nie zapłaciły daniny w wyznaczonym terminie — i z nimi wojna! Temu smokowi marzy się jedynie wojna. Widzi ją nawet we śnie. Wszystko mu jedno, z kim będzie wojował. Byleby wojować. Gnać naszych żołnierzy aż do Azji. Dowieźć im żywność i wino. Zabijać i obcych, i swoich. Zapomina, że i wojsko Hetytów posiada bojowe rydwany. Zapomina, że kopie i miecze kuje się nie tylko w Kemi, że w powietrzu lecą nie tylko nasze strzały.

Faraon przysiadł na ławie. A na wprost siebie posadził Smenkare. Na odległość ręki. I mówi dalej, jakby rozmawiał sam ze sobą:

— Oczywiście, uwikłać się w wojnę to rzecz nietrudna. Powiem Horemhebowi dwa słowa i mamy wojnę! Powodu nie potrzeba nawet wysuwać. Powód jest! Nie jeden — ile dusza zapagnie. Można przyczepić się do byle czego i zacząć wojnę, gdzie tylko się zechce: w Libii — to w Libii, w Azji — niech będzie w Azji! Można wojować z Niniwą, z Dolnym Reczenu, z Sumerami, którzy już ledwie zipią. Ale jaki w tym sens?! Będziesz wojował w piaskach, będziesz łykał kurz, będziesz lizał kamienie, aby ratować się przed skwarem, a tymczasem jawni i tajni śludzy Amona podniosą głowę. Za twoimi plecami, z tyłu!

— Dlaczego?

— To bardzo proste! Kiedy człowiek słabnie, rzuca się na niego lada wesz. Cokolwiek miałbyś mi rzec — wojna to przecie słabość. I chodzi tu nie tylko o niebezpieczeństwo klęski. Niekiedy i zwycięstwo bywa niebezpieczne. Szczególnie — zwycięstwo. Zapamiętaj to sobie! Kemi nie potrzebuje zwycięstw na polach bitewnych. Nie zamierzamy przesiedlać się na podobieństwo Hyksosów z jednych okolic w inne. Wszak nie zamierzamy?

— Nie — powiedział Smenkare.
— Któż chciałby porzucić Kemi, brzegi Hapi, i osiedlić się w Azji? Gdy Hyksosi wtargnęli do naszego kraju, było to zrozumiałe: pilno im było do zagarnięcia bogactw. A my nawet swoich zmarłych nie zostawiamy w obcym kraju. Wszak nie zostawiamy?

— Nie — potwierdził jego wysokość.
— A zatem nie mamy o co wojować. Nieustannie podsuwają mi pod nos imię Totmesa III. Ten, powiadają, to dopiero wojował! Ten, powiadają, doszedł do Dolnego Reczenu! To był, powiadają, prawdziwy bohater! Może i tak. Może wojny były kiedyś Kemi potrzebne. Ale teraz? Czy teraz są potrzebne?

— Nie! — Smenkare wzdrygał się po prostu na dźwięk słowa „wojna”.

Faraonowi nie podobała się stanowczość odpowiedzi księcia: bywają wypadki, w których niepodobna uniknąć wojny. Na przykład, zbyt wielkie zagrożenie z zewnątrz. Wtedy bez wojny się nie obejdziesz! Ale i w tym nawet wypadku należy określić dokładnie: czy takie niebezpieczeństwo istnieje, czy zmyślają je wojskowi? Rzecz prosta, że wrogów trzeba trzymać w cuglach. O to nikt spierać się nie będzie. To jest zrozumiałe i dla dziecka...

— Kiedy usiłuję patrzeć w przyszłość — faraon, mówiąc to, udawał, iż wpatruje się w jakiś przedmiot bardzo odległy (nawet dłonią oczy przesłonił jak od słońca) — kiedy patrzę w daleką przyszłość, to wielkość Kemi widzę nie w wojnach. Człowiek nie może bić się przez całe życie...

— Nie może — powtórzył Smenkare.
— Potrzebna mu jest też chwila wytchnienia. Narodził się nie po to, aby całe życie toczyć boje, lecz po to, by żyć. Upajać się życiem. Poznawać wielkość Atona i jego dzieł. Układać hymny. Pracować w polu. Żywić rodzinę i dzieci.

— Tak jest. Tak właśnie jest.
— Co pozostało po Chufu?
— Olbrzymia piramida.
— Piramidę wzniesli nie żołnierze. Nie ludzie w rodzaju Horemheba! Lecz ludzie z pionami i młotami w rękach. Więc dlaczegóż mamy oddawać pierwszeństwo wojnie?

Smenkare powiedział:

— A może by Horemheba wygonić gdzie dalej?
— Dlaczego?
— To łotr!

Echnaton roześmiał się nagle. Wstał z ławy. Śmiejąc się doszedł do rogu tarasu. Wrócił na miejsce.

— Nie, tak nie można — powiedział do zbitego z tropu Smenkare. — W pałacu potrzebni są rozmaici ludzie. Nawet łotry.

— Po co?
— Po co są łotry?
— Tak.

— Przeciwno innym łotrom. Ludzie dobrzy zazwyczaj sami nie potrafią sobie z nimi poradzić.

Smenkare siedział w postawie pełnej uszanowania, złożony ręce na kolanach. Jakże to tak? Znosić obecność łotrów, aby korzystać z ich usług? To jest niezgodne z sumieniem. Tak, ciężki bywa los faraona, jeśli musi on tolerować obok siebie jakiegoś niegodziwca!

Echnaton mówił dalej:

— Z czasem poznasz wiele spraw. Sala tronowa kryje dużo sekretów. Kiedy przywdziejiesz królewskie szaty i włożysz na głowę biało-czerwoną koronę, wtedy zrozumiesz i to, czego dzisiaj nie dopuszczasz jeszcze do swego serca. Będiesz patrzył zupełnie inaczej w oczy dworaków. Będą szukali w twoich źrenicach utajonego znaczenia twych słów, Ale i ty będziesz się starał odczytać tajemne pismo w ich sercach. Ręczę, że tak będzie. Jestem tego pewny! I wówczas to właśnie pojmiesz,

że konieczni są i niegodziwcy. Obok ludzi uczciwych...

— Nie rozumiem — powiedział Smenkare z uporem.

— Może zresztą nigdy nie zrozumiesz, ale łotrów będziesz trzymał przy sobie. Sam zobaczysz, jak trudno jest bez tego rządzić. Prawie niepodobna.

— To straszne! — Smenkare wzdrygnął się. Poczul się dziwnie nieswojo.

Miły, miły chłopiec. Lepszy na tronie taki aniżeli okrutny, nieludzki samolub. Żaden z nich nie przysporzył krajowi pożytku. Czyż człowiek o okrutnym sercu zdolny jest stworzyć coś pożytecznego tylko dlatego, że zasiadł na tronie? Nie, to się nie zdarza! Świadczą o tym całe dzieje Kemi... Dokonałem trafego wyboru! Potrzebny mi jest człowiek uczciwy i rozumny — sługa Atona. Tylko taki poprowadzi Kemi ku rozkwitowi. Tylko taki budzi nadzieje. Tylko taki potrzebny jest Wielkiemu Dyskowi Atona!...”

— Zdaje się więc — zakończył Echnaton — żeśmy się dogadali także i w sprawie łotrów. Wiedz zawczasu, że nie należy odsuwać ich od siebie całkowicie. Trzymaj ich w ryzach i wykorzystuj wedle swojego uznania. Nasz wielki zdobywca Totmes III sam był niezgorszym rozbójnikiem. Obdarzony rozumem przez naturę i wykształcony, otoczył się ludźmi najbardziej statecznymi i ostrożnymi. Jak gdyby równoważył szale...

„Jakoś nigdy jeszcze nie słyszałem takich słów z ust króla. Według mnie, zawsze był innego zdania na temat łotrów. Skąd ta zmiana zapatrywań? Słuszność ma zatem Naftita, kiedy użala się na faraona... a więc — przymierze z łotrami?!”

— Winienem powiedzieć ci, drogi Smenkare, że faraon dojrzeva z biegiem lat, chociażby nie wiem jak dojrzałym mędzem był w początkach swoich rządów. — Faraon przy tych słowach wyciągnął szyję i zmarszczył brwi, zupełnie jakby wsłuchiwał się w jakiś szmer. — Przyznać się muszę przed tobą,

że dopiero teraz zaczynam ogarniać całą głębię mądrości rządzenia. Wzniosłem rękę nad Kemi. Dwudziestu jest książąt Ta-Meta — wszyscy są bezwzględnie posłuszni. Dwudziestu książąt Ta-Resa chyli się do moich stóp. Nie ma takiej prowincji, w której nie obalono by wzgardzonego Amona! Moc moja podobna jest do Hapi w miesiącu hojak, kiedy jego fale zalewają prawie całe państwo Kemi. Mówię nie o sile wojskowej, ale o mocy ducha, jaką tchnął we mnie nasz ojciec o słonecznym obliczu. Zapytaj swego sumienia i powiedz mi szczerze, Smenkare, czy był kiedy faraon silniejszy i odważniejszy nade mnie? Ano, spojrzysz w głąb wieków!

I Smenkare odparł całkiem szczerze — inaczej zresztą nie umiał:

— Nie, najjaśniejszy panie, to ty obaliłeś Amona, ty pierwszy ośmieliłeś się wyszydzić głupie baśnie o Amonie, a otoczyłeś chwałą boga prawdziwego, boga życiodawcę. I lud Kemi przejrzał, i odwrócił od siebie fałszywą twarz Amona, albowiem słowo faraona jest potężne! I nie ma już takiej siły w całym świecie, która twój rydwan zawróciłaby z drogi. Wszak rzeki nie płyną wstecz?

— Nie płyną!

— Obaliłeś całe mnóstwo fałszywych bogów i poskromiłeś swoich wrogów tak, jak potrafi tylko lew pustyni: jednym ciosem! Tylko jednym ciosem!

Ta myśl podobała się faraonowi. Jakby ktoś leciutko trącił go w bok i ukazał najsilniejszą stronę jego charakteru. Bardzo był zadowolony...

— Tak, Smenkare, masz chyba słuszność: jednym ciosem właśnie, jednym skokiem! Głupiec, który usiłuje przeskoczyć kanał dwoma susami, nieuchronnie znajdzie się na dnie.

Smenkare przytakiwał mu ruchami głowy. Uśmiechał się. Echnaton, co prawda, nie dostrzegł tego. Zdawał się upojony

swoją potęgą. Na bladą twarz faraona wystąpił rumieniec. Niezbyt zresztą mocny. Jedyne na ostrych kościach policzkowych.

Faraon podszedł do Smenkare. Stanęli twarzą w twarz. Królewski następca dobrze słyszał przerywany oddech władcy Kemi. W rozszerzonych źrenicach Echnatona, rzekłbyś, cały świat otwierał się ku królestwu nocy, gdzie panuje czarność nieprzenikniona, zupełna. Faraon zapytał nieoczekiwanie:

— A ty będziesz wierny Atonowi?

Pytał takim tonem, jak gdyby trzymał w rękę nóż, gotując się do wbicia go w gardło Smenkare.

— Będę — odparł młodszy brat.

— Jak powiedziałaś?

— Będę!

— Bardzo dobrze.

Faraon, oparłszy się łokciami o kamienną balustradę, podniósł głowę ku niebu. I rzekł do swego współzadcę:

— A ja nie wierzę.

— Czemu?

— Twoim słowom!

— Dlaczego? — Smenkare przełknął gorzką ślinę. — Co za powód, chociażby pretekst?

— Po prostu nie wierzę!

Smenkare nie wiedział, co ma robić. Sprzeczać się, udowadniać, że faraon nie ma słuszności? To byłoby poniżające! I czy w ogóle można przekonać człowieka, który oświadcza, że ci nie wierzy? Jego wysokość siedział bez ruchu. Następnie, odczekawszy chwilę, wstał, podszedł do brata z tyłu i położył mu rękę na ramieniu:

— Powiedz, żeś zażartował...

Tamten milczał.

— Powiedz, że nie masz żadnych podstaw, aby mi okazywać taki brak zaufania.

Faraon jak gdyby skamieniał.

— Czekam...

Słońce żarem swych promieni rozpaliło Grzbiet Wschodni. Rozpaliło go tak, że gorąco, które docierało tu z gór, odczuć się dało nawet nad brzegiem Hapi. Za gęstym sykomorowym gajem, rosnącym tuż pod balkonem, biegła Droga Faraona. Toczyły się tamtędy wozy, szli przechodnie, maszerowali łucznicy idący na zmianę dziennej straży pałacowej.

A kiedy Echnaton odwrócił się twarzą ku jego wysokości, wydało się, że zobaczył swego współrządcę pierwszy raz w życiu. Uśmiechnął się do niego, objął go w pól, pociągnął ku ścianie, tam gdzie było chłodniej. I jakby nigdy nic — powiedział:

— Posłuchaj, mój bracie, napisałem nowy hymn. Mam wrażenie, że się udał. Przeczytałem go pisarzom. Podobało im się wszystko z wyjątkiem jednego miejsca...

— Jakiego?

— To trudno wyjaśnić. Trzeba by odczytać cały hymn.

— Więc go przeczytaj!

Faraon wyglądał na dziwnie osłabionego. Zupełnie jakby się nagle postarzał. Zmiana ta dokonała się w nim dosłownie w ciągu paru chwil. „To wszystko jest jego choroba — pomyślał Smenkare. — Skończył dopiero trzydzieści pięć lat, a wygląda jak starzec...”

Echnaton przyniósł zwój i silnym, nagle zmienionym głosem jął czytać hymn. „Trzeba mu oddać sprawiedliwość — rozważał Smenkare — faraon czyta pięknie. Słowa są proste. Takie same, jakimi posługują się ludzie na rynku. I nie ma tu nic, albo prawie nic, ze starych, pokrytych kurzem tekstów, z których większość jest już dziś niezrozumiała albo po prostu śmieszna”.

Faraon z niezwykłą energią wprowadzał język prostego ludu nawet do korespondencji i dokumentów państwowych. Orędzia,

skierowane do władców państw sąsiednich, pisane były również takim językiem. Dlatego właśnie każde słowo, napisane lub wypowiedziane przez faraona, tak bardzo było zrozumiałe dla wszystkich nemhu — wszystkich ludzi ubogich.

Faraon doszedł do spornego miejsca i uprzedził brata:

— Słuchaj teraz uważnie.

I zaczął czytać dalej:

CZYŻ NIE TY WEZWAŁEŚ LUDY,
BY SZŁY ZA TOBĄ W DALEKĄ DROGĘ —
LUD DŻAHI I LUD TA-NETER,
LUD BABILONU I MITANNI,
ARAMEJCZYKÓW, SUMERÓW, IZRAELITÓW
I SŁAWNY LUD ROZLEGŁEJ KRAINY KEMI?

Potem zamilkł. Spojrzał spode łba na współrzędce i spytał:

— No, co?

— Nic, czytaj dalej.

— A czy ciębie nic tu nie niepokoi?

— Niepokoi mnie.

— Co?

— Niepokoi mnie twój błąd. Zresztą wcale niedzisiejszy.

Dawno już postanowiłeś mylić się właśnie w tym miejscu.

— Masz na myśli to wyliczenie?

— Tak.

Faraon cisnął zwój na podłogę. Zzieleniał z gniewu:

— Co jeszcze powiesz?

— Nic nowego.

— Ale jednak...

— Po co drażnić gęsi?

— Żeby gęgały.

— Naprawdę?

— Jeżeli mówić prawdę, to wcale ich nie drażnię! Jest to zajęcie zbyt błahe. Ani trochę niegodne człowieka myślącego. A czyż ja jestem głupi? Powiedz, głupi jestem?

— Nie. Wprost przeciwnie.

Smenkare usposobiony jest pojednawczo. Nie ma chęci przekomarzać się, toczyć sporów, doprowadzać siebie i faraona do niepotrzebnego wzburzenia.

— Posłuchaj, bracie, nie mam nic przeciw temu, abyś pośród wszystkich ludów stawiał nas na szarym końcu.

Niech będzie po twojemu.

Echnaton wstrzymał go ostrym ruchem ręki:

— Nie „po mojemu”, lecz „po sprawiedliwemu”. Po pierwsze, mądrzy wiedzą, że w wyliczeniu ostatnie miejsce wcale nie jest najgorsze. Przeciwnie, niekiedy ostatnie miejsce zachowuje się dla rzeczy najważniejszej. A po drugie, jeżeli my jesteśmy narodem wielkim, to czemuż byśmy nie mieli okazać skromności? I stanąć z tyłu, za swoimi sąsiadami. Dlaczego nie, pytam?

— To poniżej...

— Kogo?

— Nasz naród.

— Wielki naród?

— Tak.

— Tego to już z pewnością nie zrozumie nigdy! Wielki naród obraża się, ponieważ wymieniono go po Sumerach? Albo po Izraelitach, których jest garstka? O to obraża się naród wielki?!

— Możliwe...

— Głupiec się obrazi, ale człowiek wielki — nie! Ten jedynie, kto wątpi o swojej wielkości, ten pragnie, aby ciągle była podkreślana.

Smenkare nie mógł zgodzić się z Echnatonem w tej sprawie. Gadaj, co chcesz, a przecie nie wolno stawiać narodu Kemi za jakimiś tam Aramejczykami czy Sumerami. Każdy by się czuł

skrzywdzony! A przede wszystkim przysporzy to faraonowi wrogów, których i tak jest niemało. Wojna wydana Amonowi kosztowała wiele. Jeżeli nawet imiona bóstwa starte zostały w świątyniach, to jednak żyje ono jeszcze w wielu sercach. Okazało się, że cięciwa jest napięta. Może i za mocno. A w dodatku jeszcze i owo kokietowanie sąsiednich ludów. Czy istotnie potrzebne to jest potężnemu państwu nad Hapi? W odpowiedzi na to faraon rzekł:

— Każde państwo, duże czy małe, potrzebuje nade wszystko sprawiedliwości. Co to znaczy? Sprawiedliwość wobec każdej żywej duszy. To raz! I sprawiedliwy stosunek do... sąsiednich ludów. To dwa! Pogwałcenie sprawiedliwości w pierwszym wypadku pociąga za sobą zamęt wewnątrz kraju. Tak było, na przykład, za czasów Sechemcheta. Usunął on wielu semerów, którzy przyłapani zostali na okrucieństwie. Te rugi poprzedzone były powstaniem — bardzo krwawymi. Spowodowało je owo okrucieństwo. To znaczy, że zarządzenia faraona były spóźnione. A teraz o drugim rodzaju sprawiedliwości. Wyprawy wojenne Totmesa III przeciwko państwom sąsiednim nie dały w istocie nic: wrogowie pozostali wrogami. Nie odsunęliśmy ich dalej, jakkolwiek nasze wojska deptały ich ziemie. Czyż to wszystko nie powinno dawać do myślenia? Jak sądzisz, Smerkare?

— Dawać wiele do myślenia powinno. Ale jest rzeczą bardzo ważną, do jakich wniosków prowadzi takie myślenie.

— To prawda... A jakież są twoje wnioski?

„Czyż warto się spierać? Upór faraona jest powszechnie znany. Zwłaszcza w tych sprawach. Wątpliwe, czy dałby się przekonać. Jedyna droga — zaufać czasowi, pamiętając, że czas leczy wszystko. Czas niekiedy sam przynosi trafne rozwiązania. Na niewidocznych skrzydłach. Niezależnie od naszej woli”.

— Słucham cię — odezwał się faraon podrażnionym głosem.

Smenkare bezradnie rozłożył ręce.

— Rozumiem, mój bracie: nie masz nic do powiedzenia.

— Nie. Tylko mi się zdaje, że nie trzeba drażnić...

— Kogo?

— Naszych wrogów. Arystokracji. Kapłanów Amona... Zbyt mocno przycisnąłeś ich swoimi potężnymi rękami... Poza tym również i nemhu nie wszyscy są ci wdzięczni.

— Nemhu?! — wykrzyknął faraon. — A ci znowu z czego są niezadowoleni?

— Ciągle z powodu tegoż Amona. Mów, co chcesz, ale wszak wielu nie potrafiło odrzucić starej wiary.

— No, to już ich rzecz. Mnie to nie niepokoi. Amon został wykreślony. Imię jego starte z murów. Wgnany jest i z serc. Takie było życzenie króla i władcy Atona. On nakazał to przeze mnie!

Faraon zacisnął pięści na piersi jak gdyby we własnej obronie. Smenkare postanowił go nie drażnić. Spuścił głowę i szepnął:

— Tak, dobry boże, usta twoje rozkazują nam, spełniając wolę Promiennego!

Dobry bóg westchnął z ulgą. I raczył powiedzieć:

— Dziś jeszcze zobaczą coś ludzie w Oknie Zjawień.

Ciebie razem ze mną!

Smenkare z czcią pochylił głowę.

Nagle faraon drgnął. Całym ciałem. Zupełnie jak gdyby nastąpił na coś śliskiego, wstrętnego. Oczy mu zmętniały. Zastygły jak martwe.

— A zresztą... — odezwał się głucho. — Zresztą... na co ten pośpiech?

I wskazał bratu drzwi. Nie zwykłym gestem. Ale władczym.

Wieczorna nowina

Przez okno widać księżyc. Dzisiaj jakiś zamglony. Taniutka, kiepsko pozłożona zabawka. A mówią przecie, że złota jest w Kemi tyle co kurzu...

Neferuf myśli o swoim. Ka-Nefer zajęta jest własnymi myślami. Siedzą w półmroku. Na ulicy słyhać czyjeś kroki. Jedne cichną, inne nadchodzą to z lewej, to z prawej strony. W życiu tak zawsze bywa: coś się oddala i coś przychodzi. Jak te kroki właśnie.

„...Gdzieś w odległości zaledwie ćwierć secheny stąd siedzi samowładny faraon i może teraz wydelikacjami palcami dotyka piersi swojej Naftity... A ja muszę siedzieć w obcym domu i gryźć paznokcie. I gryząc obmyślać sto sposobów zniszczenia okrutnego faraona, uplanować coś, co mogłoby ugodzić go w samo serce — dla sławy boga wszystkich bogów — Amona-Ra...”

„...Oto noc już zapadła, a ja jestem sama, zupełnie sama w tym domu, którego ciszy nie zmąci nigdy głos dziecka. Jestem tutaj ja i jest mężczyzna nazywający siebie Neferufem. Pełen wahania dziwak, który nie umie wziąć się w karby, nie potrafi nakazać sercu swemu, aby biło spokojniej. Nie może ochłodzić swego mózgu. Doszedł do takiego stanu, że nie może odczuć bliskości młodej kobiety. Neferuf jest jak lampart, któremu krew przesłoniła oczy...”

„...Nie, ja dobrze wiem, kim jestem i po com przyszedł do tego przekłętą Achetatonu. Wargi mam jak z drewna, a palce

niby korę palmy. A jej potrzebne są objęcia czule i delikatne... Żebyż ten Achtoj przyszedł jak najprędzej...”

„...On widzi więcej niż to, co widzi. W jego oczach nie ma męskiego zmęczenia. Jest w nim siła bardziej zuchwała od tej, jaka kipi w rozszalałym byku. I objęcia jego muszą być gorące, jeżeli choć trochę znam się na miłości. Zauważyłam jego spojrzenie — istne strzały ogniste. Pod ziemią stał się silny i niezmożony. Ale jego nienawiść do faraona silniejsza jest niż pragnienie miłości... Stokroć silniejsza...”

Nefteruf odwraca się ku niej. Siedzi dalej od okna niż ona. Światło księżycy pada na piersi i na brzuch Ka-Nefer. U kogo on widział taki brzuch? Tak, u tych podlotków, takich czarnych podlotków w górach; miały piersi maleńkie jak gwiazdki i prężne brzuchy. Napięte niby skóra na bębnach.

„...Czyż nigdy nie skończy się ten wieczór? Czy młody rzeźbiarz nie przyjdzie do swojej żony? Mam tutaj tak siedzieć? Z założonymi rękami? I nic nie robić? Jedyne wrzeć gniewem przeciwko faraonowi? Nie wiedząc i nie pragnąc widzieć tego cudu natury, jakim jest Ka-Nefer?”

Nefteruf słucha kroków. Tych na ulicy.

- Kroki — mówi po chwili.
- Czyje kroki?
- Po prostu kroki.
- Boisz się?

Mężczyzna milczy. Słucha kroków. Tych z ulicy. Są takie głośne.

- Czy ty się boisz, pytam?

Nefteruf ponownie odwraca od niej twarz. I mówi:

- Bardzo.
- Czyż jesteś tchórz?
- Boję się umrzeć, nie zrobiwszy tego, co mnie tu przywiodło.

Słyszysz jej oddech. Za swymi plecami. Ona także lęka się śmierci. Boją się jej oboje. Ale skądże ta myśl o śmierci? Mężczyzna powinien widzieć kobietę. Niech sobie myśli o swoich sprawach. Ale nie może nie widzieć jej. Jeżeli ma przed sobą kobietę a nie kamień...

Nefteruf jest bardzo mądry. I bardzo sprytny zarazem. Nefteruf widział kobiety. Ale widział też i gwiazdy, i wody Wielkiej Zieleni, i piasek pustyni. Nefteruf niczym kret pełzał na brzuchu. Pod ziemią. W ciemności. Czyż tutaj zjawił się z powodu kobiety? Dlaczego ona tak szeleści tą swoją cienką szatą? Aby poczuł pachnidła Reczenu?

— Ka-Nefer — mówi mężczyzna chrapliwym głosem, zerkaając na jej nogi i złote paznokcie u nóg.

— Słucham, Nefterufie.

— Gdzie tu mieszkają sprzedajne dziewczęta?

Ka-Nefer jest zdumiona:

— Sprzedajne?

— Tak. Takie, co pieścizoty swoje sprzedają za złoto.

Ka-Nefer wydaje lekkie westchnienie. Ze smutku czy ze zdziwienia?

„...On jest tępy jak każdy prawdziwy mężczyzna. I to w takiej chwili, kiedy trzeba zerwać dojrzały owoc. To jest przecież zadziwiające, że wielki i silny lew szuka okólnych dróg ku gazeli, zamiast brać ją z rozpędu. Skokiem...”

— Ka-Nefer, ja ciebie pytam o sprzedajne kobiety, a ty milczysz.

— Któż o takie rzeczy pyta?

Nefteruf odwraca się ku niej. Cały księżyc, od jednego rogu do drugiego, jest teraz w jej zębach. Zęby te lśnią czystiej niż księżyc.

„...Oto nadeszła chwila, w której rozstrzyga się rzecz najważniejsza: albo będzie ona pomocnicą w moim działaniu, albo zmieni się w matę, z której będę korzystał pod nieobecność

jej męża... Oto puka ta chwila do drzwi mojego serca i nie ma już siły, która powstrzymałaby ową chwilę za progiem...”

„Ten człowiek chce stoczyć walkę sam na sam z faraonem. To niezłe. Ale czyż on oślepl pod ziemią? Oczy ma jasne jak ptak nechbet. A ręce jak łapy lwa. I biodra wąskie i silne — prawdziwie męskie...”

Ka-Nefer mówi:

— Czy ty widziałeś kobiety, które się nie sprzedają?

Co on słyszy?! Jakie słowa wypowiada ta bezwstydną kobietą? I dlaczego tak kusząco lśni księżyc na jej twarzy? Byłaby to pokusa, zesłana mu przez bogów?

— omyśl, co ty mówisz, Ka-Nefer!

— Pomyślałam.

— Pomyśl jeszcze raz.

— Pomyślałam.

— I po raz trzeci! O tym myśli się trzykrotnie. Czy ona szydzi, czy umyślnie pragnie podrażnić go mówiąc:

— Trzykrotnie pomyślawszy powtarzam: wszystkie kobiety są sprzedajne!

— Wstydz się swoich słów, Ka-Nefer!

Zamiast odpowiedzi kobieta wyciąga nogi i opiera je na jego lewym biodrze. Zamiast odpowiedzi — odrzuca głowę do tyłu i rozkłada ramiona.

Neferuf blednie z gniewu. Znieważy ją w tej chwili, natychmiast. Zemści się za wszystkie kobiety, które oskarżyła tak niesprawiedliwie.

— Dobrze, Ka-Nefer. — Neferuf wstrzymuje oddech. — Niechaj będzie, jak chcesz. Ileż to kosztujesz ty sama?

Nie patrząc na niego odpowiada:

— Ile dasz. To sprawa twojego sumienia.

— Mojego?

— A czyjegoż?

— Ty żartujesz, Ka-Nefer!

Ona silniej opiera się chłodnymi stopami o jego gorące biodro.

— Ty żartujesz, Ka-Nefer!

Ona kładzie mu nogi na kolanach. I głaszcze jego brzuch stopą.

— Ty żartujesz, Ka-Nefer!

Ona mocniej przyciska nogę do jego brzucha.

„...Te kobiety są jak zioła, są jak rzeki płynące swym łożyskiem w dół. Są jak liście na drzewach, czerpiące soki i zieloność ze słonecznych promieni. Są to samice, które nie potrafią pohamować swej żądz. Ona obmyśliła dla mnie próbę. Ale jakże ja mogę kochać, jeżeli dusza moja związana jest przysięgą? Jakże mógłbym ją wziąć w ramiona, kiedy o ćwierć secheny stąd żyje szczęśliwie najbardziej znienawidzony ze wszystkiego, co istnieje?!”

Nikt nie może powiedzieć, co by się dalej stało. Niech się nie chełpi, że jest jasnowidzem. Nikt nigdy nie określi drogi, która określiłaby się sama, gdyby nie rozległo się stukanie.

„...To sam Amon-Ra puka w mocne wrota. To on wzywa Ka-Nefer, aby jak najszybciej otworzyła drzwi. Chwała ci, o bóstwo, które dajesz znać o sobie w sposób tak rozkazujący, tak władczo i uparcie!”

Ka-Nefer podniosła się powoli, poprawiła na sobie odzież i nie patrząc na Nefterufa poszła otworzyć drzwi. Słyszał, jak szła sprężystym krokiem po schodach. Dlaczego schodziła tak nieskończenie dugo?

A kiedy Achtoj wszedł na górę tymi samymi schodami i gdy ona weszła tuż za nim, gość siedział wyprostowany i uroczysty, patrząc na księżyc i cały skąpany w jego świetle.

— Posłuchajcie — powiedział Achtoj. Rozsiadł się wygodnie na macie i wypił łyk piwa. Potem jeszcze łyk.

I jeszcze jeden.

Ka-Nefer stała w głębi pokoju. Jej postać zlewała się z

otaczającą ciemnością. A mrok ukrywał wyraz jej twarzy.

„Nasz gość jest zbyt pochłonięty swoimi troskami. Patrzy tylko przed siebie. I nikogo obok siebie nie dostrzega. To jest człowiek nieszczęśliwy. Najmniejsze niepowodzenie doprowadzi go do obłędu. Nefteruf gotów jest zdradzić się całkiem. Nie rozumie, jak przydałaby mu się kobieta, która zgodziłaby się zostać jego kochanką...”

„Miałem słuszną. Miałem słuszną. Po tysiąc razy mam słuszną! Nie wolno rozmiękczać swego serca pieszczotami kobiety. Nie po tom cierpiał i ocalał żyjąc pod ziemią. I skoro jestem tu gościem — nie tknę pani domu, której mąż podaje mi przyjazną rękę. Dla uciech cielesnych znajdę sobie kobiety sprzedajne. One są nawet miłsze, bo nie żądają niczego prócz złota. Ani serce, ani dusza twoja nie są im potrzebne... Miałem słuszną. I Achtoj zjawił się w porę. Kobieta zawsze jest bardzo silna. Tym bardziej Ka-Nefer. I stałbym się czymś w rodzaju węża na jej dłoni. I śmiałyby się ze mnie”.

„Nasz gość jest małomówny — myśli Achtoj. — Jak gdyby odszedł sam w siebie na podobieństwo żmii, która wpełza do swojej nory. Chciałby, aby go nie widziano i nie znano jego myśli. Zgnębiony jest czymś, bardzo zgnębiony szanowny Nefteruf... A gospodyni? A pani domu, Ka-Nefer? Wyczytałem coś w jej oczach. Mignęło to jak błyskawica, ale zdążyłem przeczytać wszystko jak na papirusie. Dzehutimes uczy wnikać w tajemnicę serca, więc wnika”.

— Chciałeś coś oznajmić? — pyta Ka-Nefer skądś z głębi pokoju. Głos jej brzmi głucho, jak gdyby wydobywał się z komory grobowca w pustej piramidzie Chufu.

— Tak. I ja też słucham — odezwał się Nefteruf.

— Nie zamierzam odsłaniać przed wami żadnej tajemnicy.

Tajemnicę zachowałbym na wieki i nigdy by jej nie poznała nawet pani tego domu. Ale powinniście znać naszą stolicę. Tyle tu jest języków, a wszystkie w ciągłym ruchu! Stolica jak na zamówienie stworzona jest dla gadułów i nie mają granic pogłoski, oplatające miasto nasze niby korzenie baobabu. Jeżeli ja przemilczę, inni i tak powiedzą. Nie dziś, to jutro. A jak nie jutro, to pojutrze...

Ka-Nefer milczała w dalekim kącie pokoju. Woląla nie pokazywać się w świetle księżycy. Rzeźbiarz nie przywiązywał zresztą do tego najmniejszej wagi. Przejęty był swoją nowiną, którą chciał i której nie chciał powiedzieć.

„Ta kobieta zgubi mnie. A zarazem i moją sprawę. Czyżby się omylił Szeri — ten człowiek, w którego rozsądek i nieograniczoną przenikliwość tak mocno wierzę?”

„Nasz gość jest czymś zafrasowany albo z czegoś niezadowolony. Troszkę sobie wypilem z Dzehutimesem i z Tihotepem. Ale nie jestem tak pijany, by nie widzieć tego, co zobaczyłoby nawet dziecko”.

— Cóż to za nowina, Achtoju? — niecierpliwie zapytał Nefteruf.

— Nic dobrego.

— Czy stało się co Dzehutimesowi? — dopytywała się Ka-Nefer. Głos jej był niezwykle spokojny. Wyczuwało się w nim chłód, nieprzyjemnego współtowarzysza obojętności.

— Mówią — ciągnął grobowym głosem Achtoj — mówią, że...

I umilkł. Popatrzył na Nefterufa, na żonę. „Oni tu chyba tego się posprzeczali. A może się i pokłócili? Ka-Nefer jest za ostra w języku. I nieustępliwa, kiedy czuje, że ma słuszość...”

— Mówią, że król jest nie całkiem w zgodzie z królową Naftitą.

- To nie nowina — powiedziała Ka-Nefer.
- Pewnie, że nie nowina — zgodził się rzeźbiarz skwapliwie. — Mówią, że Kija coraz bardziej zawojowuje faraona...
- I to też od dawna wiadomo.
- Smenkare nie będzie współrządcą.
- Czy to prawda?
- Tak mówią.

Nefteruf gwałtownie odwrócił się ku Achtojowi. Księżyc oświetlał tył jego głowy. Twarz gościa była w tej chwili zupełnie czarna, bez najmniejszej jasnej plamki. Nie było widać nawet jego oczu. Rzeźbiarz miał przed sobą jedynie czarną sylwetkę.

- A któż będzie współrządcą? — spytał były skazaniec.
- Kija!

Ka-Nefer klasnęła w ręce i przysiadła na macie. Jęła głośno i szybko rozważać, czym to wszystko może się skończyć. Kija nigdy, zdaje się, nie była wyznawczynią Atona. Ta sprytna kobieta tylko ustami wielbi Atona. Ka-Nefer jest całkiem pewna, że Kija zanosí modły do Amona...

- Tak myślisz? — odezwał się Achtoj.
- Nie mam po co myśleć! Tak jest z pewnością!
- Pani — zwrócił się do niej Nefteruf — nie należy wyciągać zbyt pośpiesznych wniosków. Jeśli ona naprawdę modli się do Amona, czyni to w największej tajemnicy. Tak mniemam. Albowiem gdyby dowiedział się o tym faraon, źle byłoby z Kiją.

Ka-Nefer z uporem powtarzała swoje:

- Ona się modli do Amona.
- W takim razie należy przypuszczać... — Achtoj popatrzył na gościa.

Ów skinął głową i dokończył za niego:

- ...należy przypuszczać, że zwolennikami Amona są oboje. Mówię to zbyt ordynarnie, jak rzeźnik w jatce. Ale wy

mnie zrozumiecie: jeżeli on choć troszkę podejrzewa ją o sprzyjanie Amonowi, już tym samym jest wrogiem Atona. Albo będzie wrogiem! Zapamiętajcie moje słowa!

Nefteruf mówił zbyt gorąco.

Achtoj rzekł:

— Proszę tego już nie powtarzać więcej! Wielki Aton jest w naszych sercach. Droga do Amona znikła bez śladu. Zarosła trawą. Albo, mówiąc ściślej, zasypały ją rozpalone piaski... Powiedziałem wam: Kija będzie współrzędczynią.

Ka-Nefer nałala piwa, które w niebieskawym świetle księżycyca podobne było do babilońskiej smoły — czarnej i gęstej. Potem zapaliła świeczniki — i te, co stały w dwóch kątach izby, i ten, co wisiał w pułapu.

W pokoju od razu zrobiło się widniej, a promienie księżycyca wycofały się na uliczkę, gdzie od czasu do czasu ciągle jeszcze rozlegały się głośne kroki przechodniów.

Achtoj ukrył twarz w dłoniach. Zdawało się, że zaraz zacznie płakać. Albo że chce uniknąć cudzych spojrzeń.

— O wielki Atonie — powiedział przerywanym głosem — nie dopuść, by stała się niesprawiedliwość: nie odsuwaj naszej niezrównanej Naftity od najważniejszych spraw. — Potem, odjąwszy ręce od twarzy, zwrócił się do Nefterufa: — Panie, ty nie możesz sobie wyobrazić, co się stanie, jeżeli król poróżni się z królową.

— Nie wiem — powiedział gość obojętnym tonem.

— Powiedzże mu, Ka-Nefer, co stanie się z Kemi, z nami wszystkimi, jeżeli królowa odsunie się od spraw państwowych.

Ka-Nefer rzekła:

— Wtedy na jej miejsce przyjdzie inna.

— Na jej łożo?! — wykrzyknął rzeźbiarz.

— I na łożo — przytaknęła Ka-Nefer.

— Ty jej zawsze zazdrościłaś. Ale wiedz: ty jesteś młodsza, ładniejsza, ona jednak — to Naftita! Zapytaj Dzehutimesa, co to znaczy!

„...Ten rzeźbiarz całkiem oszalał. Jego żona jest bez wątpienia mądrzejsza. W każdym razie Ka-Nefer nienawidzi Naftity. Nienawidzi Atona i tego wyrodka, który mieszka w pałacu. Nie można dopuścić, aby tych dwoje młodych małżonków pokłóciło się ze sobą! Nie mogą zamknąć się przede mną drzwi pracowni Dzehutimesa...”

I Nefteruf powiedział głośno:

— Przyjaciele moi. Nieoceniona jest dla mnie wasza przyjaźń, choć znam was bardzo mało. Oboje jesteście młodzi i piękni. Macie przed sobą drogę, która wiedzie ku sławie i świetności. I jeżeli znają się na czymkolwiek mędrzy Babilonu, od których uczyłem się mądrości, to mówię wam, że na pewno znajdziecie bardzo wysoko. Będziecie kochani przez moźnych Kemi i przez bogów Kemi...

— Przez boga Kemi — poprawił go Achtoj.

— Niech będzie po twojemu: przez boga Kemi. Ale musicie być razem i żadna królowa, jakiegokolwiek będą jej losy, nie powinna rzucać cienia na wasze życie.

— Nieprawda — przerwał Achtoj. Stał się nagle ponury i zły. — Nieprawda! Los królowej to los Kemi. Nie wolno podawać w wątpliwość jej stanowiska i roli. Byłoby to równoznaczne z podejrzywaniem Hapi o jakąś niegodziwość, kiedy on przecież daje nam życie! Mówię otwarcie: wszyscy rzeźbiarze i malarze krainy Kemi złożą głowy za jej pomyślność.

— To bardzo chwalebne — powiedział Nefteruf.

Ka-Nefer milczała. Ale mężczyźni słyszeli wyraźnie jej oddech.

Nefteruf podniósł w górę czarkę z piwem. I wypowiedział kilka słów, które — jak mniemał — powinny były złagodzić namiętności:

— Sumerowie, zanim napiją się wina, mówią: pokój i przyjaźń temu domowi i wszystkim, co są pod jego dachem!

— Ładnie powiedziane — Achtoj podniósł wysoko swoją czarkę.

Nefteruf zwrócił się do gospodyni:

— Upij, pani, sumeryjskim zwyczajem, z mojej czarki.

Wzięła ją w milczeniu i przywarła do niej ustami jak spragniony podróżny w oazie.

„Kobieta jest jak ziele, jak dziki zwierz. Najwyższą wartość ma dla niej życie zamknięte w jej ciele...”

Tak powiedział sobie Nefteruf.

Gdy wiesz spór z samym sobą

Nefteruf leży na macie. Ręce — pod głową. Nos do góry. Stolica pogrążona jest we śnie. I drzemią nawet gwiazdy. Być może, iż na całym świecie nie zamyka oczu jeden tylko Nefteruf. I pałacowe strażę. Te nie śpią z pewnością.

Za ścianą — Achtoj i Ka-Nefer. Długo rozmawiają przyciszonymi głosami. Są zmęczeni. Ten spór ich znużył. Ani jedno, ani drugie nie było w nim górą. Ani ona, ani on...

Wszystko zdaje się wskazywać, że sprawy idą ku lepszemu. Jak mawiają w Ta-Neter: kropla płynie za kroplą, dając początek strumykowi. Strumyk gdzieś tam po drodze skręci. Nie będzie płynął łożyskiem prostym jak strzała. Ostatecznie, można bieg jego zmienić. A z kroplami — chociaż to dziwne — byłoby trudniej. Kropel jest bardzo dużo. Jak ludzi na ziemi. I trudno sobie z nimi poradzić.

Tam, pod ziemią, Nefteruf często zaszywał się w jakiś kąt, zupełnie jak kret. I z dala od wszystkich wiódł spór sam ze sobą. Jak gdyby siedział przed nim nie ktoś drugi, ale tenże Nefteruf, który jednak potrafił ostrym słowem zaprzeczyć tamtemu.

Teraz również wyobraża sobie, że siedzi przy stoliku. A naprzeciwko niego — ten Nefteruf. Także z wyobraźni. To nie zmienia istoty rzeczy.

— Przypuśćmy na chwilę, że wiadomości, jakie przyniósł

Achtoj, są prawdziwe. Przypuśćmy, że współrządcą będzie nie Smenkare, lecz Kija. Co by to zmieniło? Póki faraon oddycha, wszystko pozostanie, jak było. Na tym właśnie polega cała okropność: póki oddycha!

— Niezupełnie tak jest. Rozumie się, że faraon każdego może zniszczyć. Co do tego nie można mieć żadnych wątpliwości. Będzie tak, niezależnie od tego, kto stanie u boku faraona: Smenkare czy Kija. Ale tobie wyjaśniono chyba, co znaczy odejście tej Naftity. Wyobraź sobie: mąż przysięga wieczną miłość, układa z tego powodu hymny i nagle porzuca ukochaną kobietę. I to nie jakąś zwykłą kobietę, lecz królową. Przecie to się nie zdarza — zastanów no się — aby królowa nie miała ani jednego zwolennika. Czy nie prościej byłoby przypuścić, że ma ona w pałacu własną partię, oddanych sobie ludzi? Ano, zastanów się, co to wszystko znaczy!!

— Nie potrzeba być mędrce, aby odgadnąć, do czego to prowadzi.

— Do czegoż to, na przykład?

— Do zamieszek pałacowych.

— Słusznie, przyjacielu! Właśnie do, pałacowych zamieszek. Ale w tych okrutnych czasach, kiedy głos ludzi, głos Kemi, tyle ma siły, co skrzeczenie żaby, nawet niewielka intryga pałacowa coś przecie znaczy. Król poróżnił się z królową. Dworzanie nawzajem patrzą na siebie zezem. Ukochana wstępuje na tron czy tylko na podnóże tronu. Powiedzmy — Kija. Jedni się nachmurzą, inni będą radzi. Faraon będzie musiał wybrać jedną ze stron, i to zdecydowanie. Jeżeli wyboru jeszcze nie zdążył dokonać.

— Trzeba sądzić, że zwycięstwo odniesie faraon...

— Najprawdopodobniej tak. Jest na wschodzie kraj. Tańczą tam węże przy muzyce piszczałek z trzciny. W tym kraju nawet nędzarze są mądrzy. Upodobnij się do jednego z nich —

albowiem sam jesteś nędzarz — i rozważ na zimno a mądrze. A więc zwycięstwo odniósł faraon....

— Dajmy na to.
— Co robi Naftita?
— Jest przygnębiona. Przybita bólem. Gryzie paznokcie, bo jest bezsilna.

— To nie wszystko!
— Cóż jeszcze?
— Nie wszystko, mówię. Gdzież jej gniew? Gdzie są jej przyjaciele — jawni czy skryci? Milczą?

— Myślę, że tak.
— Zastanów się: milczą do czasu! Zamkną się w sobie, będą trzymać język za zębami. Ale tylko do czasu. Ich godzina nadejdzie!

Gwiazdy zakreślają nieznaną drogę, jak gdyby wymalowane były na ogromnym półmisku. Mocno są przywiązane jedna do drugiej. Ich związek jest nierozzerwalny. I ten powolny obrót sklepienia niebios przykuwa uwagę obu rozmawiających.

— Czy widzisz gwiazdy? One płoną na niebie wiecznie. Ich światło widać będzie przez wieki. Wyobraź sobie, że tak samo wieczny jest dwór królewski ze wszystkimi dworzanami...

— Nawet nie napomykaj o tym! Już sama taka myśl może człowiekowi rozum pomieszać!

— Słusznie mówisz, słusznie. A więc dwór nie jest wieczny. I życie faraona ma także początek i koniec.

— Ma, ma, ku naszej radości!
— A jeżeli tak jest, to nie należy lekceważyć ani jednego przesunięcia w pałacowej konstelacji. Kija i Naftita — niechby nawet za panowania tego samego faraona — to nie to samo! Z pewnością będzie musiało się coś zmienić. Choćby nieznacznie, ledwie dostrzegalnie, ale się zmieni! A wtedy rozstrzygnij, co i jak będzie dalej. Teraz Naftita jest gorliwą pomocnicą faraona

w sprawach państwowych. A jaka będzie Kija?

— A cóż ja mam robić? Siedzieć z założonymi rękami?

— Nie, nie, nie!

— Działać?

— Tak, tak, tak!

— Ale przedtem trzeba się o tym upewnić...

— Szczęście nasze jest w tym, że ludzie — miliony ludzi — są obojętni wobec tego, co dzieje się w pałacu.

— Nie, nie są obojętni. Po prostu nikt ich o nic nie pyta. Ludzie są jak bydło: pracują, piją, jedzą, śpią, rozmnażają się, umierają. Pałac jest dla nich niedostępny, a władza faraona zbyt silna. A jednak ludzie są ludźmi. Ich słowo jest słowem. Nawet ich tajemne przekleństwa są straszne.

— A jeżeli tak?

— Poczekaj, muszę pomyśleć.

— Koniecznie!

— Na przykład, z Szerim...

— Z kim?

— Naradzić się...

— A gdzie on jest?

— Albo z Ka-Nefer...

— Dobrze, pogadajmy o Ka-Nefer!

Ona jest tam. Za ścianą. Ze swoim młodym i silnym mężem. Zdaje się, że jeszcze ciągle o czymś szepczą ze sobą. A może się całują? Oto skrzypi podłoga pod ich matą. Słysząc lekkie westchnienie. I kaszel. Kaszel mężczyzny... Ona mówi. Ona coś mówi. A on milczy. Tylko skrzypi podłoga...

— Chyba pokpiłem sprawę.

— Dzisiaj?

— Tak, dziś.

— Kiedy ona wyciągała nogi ku twoim biodrom?

— Tak.

— Nogi, które pachniały wonnymi olejkami?

— Tak.

Nefterufowie milczą. I jeden, i drugi. Patrzą sobie prosto w oczy. A w oczach ich odbija się całe niebo.

— Z pewnością powinienem stąd odejść. Nie wolno dopuszczać, aby do ważnej sprawy przyplątywała się miłość.

— Rozważ to wszystko.

— Możliwe, że ona dopnie swego...

— Rozważ to wszystko.

— Bo inaczej będzie mnie uważała za uschniętą trzcinę.

— Możliwe.

— Ale dokąd odejdę?

— Nie masz dokąd...

— Może by odszukać Szeriego?

— Lepiej uzbrój się w cierpliwość.

Jakaś dziwna, niekończąca się noc. Jak tam, w górach. Męcząca noc.

A dzień? Czyż będzie lepszy?

Noc, noc, noc...

Posłuchaj no, Pentu. Zdaje się, że ty drzemiesz?

— Nie, ja wcale nie śpię. Nawet nie chce mi się spać.

Rozmyślałam.

— Nad czymże?

— Nad twoimi słowami, najjaśniejszy panie.

— Ach... Ten ból w tyle głowy jakoś mi nie przechodzi.

— Wypij naparu z ziół, najjaśniejszy panie.

— Gorzki jest.

— Ale pożyteczny. Przyrządzają go plemiona, które żyją daleko stąd.

— Gdzież one żyją?

— Za ziemiami Hetytów, najjaśniejszy panie.

— Czyż i tam są jeszcze ziemie?

— Są! Ale dalej już tylko chłody i morze.

— Więc powiadasz, Pentu, że ten napar pomaga?

— Bardzo, najjaśniejszy panie.

— I wymyśliły go dalekie plemiona?

— Tak. Dalekie i dzikie.

— Jakże dzicy mogą wymyślić takie lekarstwo, jakiego nawet ty, Pentu, nie potrafiłeś przyrządzić?

Faraon pije gorzki napar i krzywi się. Ręką chwyta się za pierś, jakby go zemdliło. I pada na wznak na miękkie poduszki. I rozpościera ręce, jak gdyby modlił się do boga. Faraon lubi, aby w jego komnatach nocą było jasno jak w dzień. Dlatego właśnie palą się lampy.

W każdym rogu. Napełnione są tłuszczem rybim, czystym jak bursztyn, a pływa w nim knot lniany, sporządzony w specjalny sposób. Dlatego lampy prawie wcale nie wydzielają światła, hojnie rzucając jaskrawe światło na ściany i na sufit.

— Ja i tak nie zasnę, Pentu.

— Ja także.

— Czy to z mojego powodu?

— Nie, ze starości. Teraz już mogę nie sypiać. Ale kiedy miałem dwadzieścia lat, nawet trzem ludziom trudno mnie było dobudzić.

— Tak ci się chciało spać?

— Tak, bardzo mi się chciało. Nie mogłem otworzyć powiek. Ciągłe się zlepiały. To się zdarzało, gdy miałem lat dwadzieścia. I trzydzieści także. A teraz mogę nie spać.

— Jesteś po prostu dobry, Pentu.

— Nie, najjaśniejszy panie. Dobrze mi jest z tobą.

Faraon nieco unosi się na łokciach. Broda trzęsie mu się spazmatycznie. To od bólu w tyle głowy.

— W takim razie, Pentu, chcę ci zadać pytanie.

— Słucham cię, najjaśniejszy panie.

Faraon przymruża oczy. Jego twarz, ostra jak nóż, gotowa jest rozciąć rozmówcę.

— Odpowiadaj mi wprost, bez ogródek.

— Jak zawsze.

Faraon przysuwa się do Pentu coraz bliżej, coraz bliżej.

— Powiedz mi, Pentu, co ty myślisz o Kii?

— O niej?

— Tak.

— Martwię się, królu i panie.

— Z jakiego powodu?

Nie, faraon jest teraz wyraźnie nie w humorze. To przecie widać. Jest bardzo rozdrażniony. Jak w ciągu wszystkich ostatnich dni. Pentu myśli: „Trzeba go oszczędzać. Jest surowy.

Ale przede wszystkim surowy dla siebie. Zrobić Kiję współrządczynią to znaczy — nie żałować ani siebie, ani swojego królestwa. Kiedy osiąga się harmonię i szale państwa są w równowadze, nierozsądnie byłoby ją naruszać bez szczególnej potrzeby. Ale jeżeli wieczna miłość do królowej wygasła, to co robić? Okłamywać ją, siebie i całe państwo? Udawać, że nic się nie stało? Wówczas to kłamstwo zabije prawdę, która może jeszcze się przydać”.

Pentu odwołuje się do mądrości, która przecież powinna zatriumfować. Idzie wszak o to, że tak wielkie państwo jak Kemi nie powinno obchodzić się bez mądrości. Ani jednej godziny bez mądrości! To jest złota zasada. Trzeba jej przestrzegać. Trzeba się jej trzymać.

— Już to słyszałem.

Pentu puszcza te słowa mimo uszu. Takie rzeczy wybacza się tylko i wyłącznie jemu. Każdy inny za coś podobnego ciężko by zapłacił.

— Mądrość, najjaśniejszy panie, stanowiła — prawie zawsze — podstawę naszego państwa od czasów faraona Narmera...

— Jakże ty powoli i długo mówisz.

— A więc nie powinna opuszczać i ciebie. Ani na chwilę. Czy to jest konieczne, żeby do jednych nieprzyjemności dodawać jeszcze nowe?

— Co masz na myśli?

— Chociażby położenie na naszych granicach. Hetyci mówią: „W jednym kotle można ugotować tylko jedną polewkę, a nie dwie na raz”.

— A jeżeli się tę polewkę wyleje?

— Gdzie się wyleje?

— Chociażby tobie na głowę!

Starzec przymknął oczy. Pokornie złożył ręce na piersi. Faraon przewrócił się na brzuch. Ujął głowę w obie dłonie i mocno ją ścisnął.

— Zdaje mi się, że ból naprawdę się zmniejszył.

— Królu mój i panie, chcesz, to się gniewaj, nie chcesz, to się nie gniewaj, ja jednak coś powiem. Wzywam na świadków te gwiazdy, że mówię prawdę dla twojego szczęścia!

Faraon mruknął:

— Moje szczęście to szczęście Kemi.

— Prawdę powiedziałeś! Dobrześ powiedział! — Pentu zacierał ręce z radości. Okropne przyzwyczajenie!

— Przestań szeleścić dłońmi! — Faraon nie patrzy na staro Pentu. Gniewnie marszczy brwi.

— Najjaśniejszy panie, już przestałem szeleścić.

— A teraz mów dalej.

— Powiedziałem, że mówię prawdę tylko dla twego szczęścia. Czyż nie można mieć nałożnicy, nie odsuwając od siebie królowej?

— Kija to nie nałożnica!

— Można nawet kochać ją wielką miłością. Czyż w pałacu nie ma na to miejsca?

— Kochać potajemnie? — Faraon cisnął starcowi spojrzenie dzikiego zwierza.

— Dlaczego potajemnie? Po co szukać takich wyrażeń? Kochać skromniej. Nie wynosić swojej miłości na widok publiczny.

— Przecież to byłoby obraźliwe!

— Dla kogo?

— Dla Kii! Miłości nie trzeba się wstydzić. To moja zasada!

Pentu znowu swoje:

— Czyż nie miewałeś nałożnic?

— Alem ich nie kochał.

— I teraz nie będziesz kochał...

— Kogo?

— Jednej z dwóch.

Faraon potarł czoło. Przyłożył sobie do ogolonej potylicy zimną czaszę. Chłodna glina to jak miód na serce. Ból głowy już prawie minął. Jeszcze leciutko dokucza z tyłu. Ledwie- ledwie.

To bardzo dziwne: chłód na potylicy; a sercu tak przyjemnie...

— Nie ma w tym nic dziwnego — wyjaśnia Pentu. — Wszystkie wnętrzości człowieka łączą się między sobą podobnie jak kanały w naszym kraju. Woda płynie z Hapi do kanałów. W czasie wylewu. Z jednego kanału przedostać się można do innego. Serce i głowa stanowią niejako jedność. Dlatego nie trzeba podniecać ani mózgu, ani serca. Albowiem podniecają się razem. Niemal jednocześnie. Chłód na potylicy leczy serce. I nawzajem.

— Tak, tak to jest, Pentu.

— Powróćmy jednak do naszej rozmowy. Miłość dla faraona tak wielkiego jak ty — to są sprawy jego państwa. Wkłada w nie całe serce i cały rozum i już dla nikogo więcej nie ma miejsca na miłość...

Faraon pokręcił głową. Patrzył na gwiazdy i kręcił głową.

— Pentu, ja nie mogę żyć bez miłości.

Starzec nie rozumiał tego. Nie mógł tego pojąć nawet w dniach swojej młodości.

— Władza nad państwem po to właśnie stworzona jest przez boga, aby powściągać wysoki miłości — rzekł Pentu. — Mówię: wysoki. Czy zrozumiałeś moją myśl, najjaśniejszy panie? To znaczy, że każdy poryw miłosny, jeżeli wykracza poza ramy...

— Cóż to znaczy: poza ramy, Pentu?

— Jeżeli miłość jest niezwykła...

— Czyż to coś złego?

— Niezwykła miłość?

— Tak.

— Niezwykła — to znaczy, że jest w niej coś z szaleństwa — ciągnął dalej doradca faraona, całkowicie przekonany o swej słuszności. — A wszelkie szaleństwo jest przedmiotem troski władzy państwowej.

— Jak ty dziwacznie się wyrażasz! — skrzywił się faraon.

— Przedmiot troski państwowej! Ja takich słów nie rozumiem! Prosiłem przecież, abyś wypowiadał swoje myśli prościej. Zapomnijże już raz o tych zakurzonych papirusach. Mów ludzkim językiem. Zdarzało ci się bywać na rynku?

— Gdzie?

— Na rynku.

— A po co? — zdumiał się Pentu. Zdjął perukę i wytarł spoconą głowę.

— Po to chociażby, żeby nauczyć się tamecznej mowy.

Pentu się roześmiał.

— Tam właśnie tak mówią — powiedział ze śmiechem.

— Jak?

— Tamecznej... Gdzież podziało się piękno naszej mowy? Takiej płynnej, cyzelowanej mowy?

— Języka czasów Snofru? Czy może Chufu?

— A chociażby! Chociażby! — powiedział dworzanin opanowany śmiech.

— Nie, Pentu, tamten język umarł! Tylko tobie wybaczam te wykroczenia. Każdy inny sługa otrzymałby dziesięć uderzeń kijem.

— A ja się nie boję, najjaśniejszy panie.

— Dobrze, już dość. Nie chcę się spierać teraz, po nocy.

Głowa przestała faraona boleć. Paroksyzm zaczynał się zwykle całkiem nieoczekiwanie. I tak samo szybko mijał. Niekiedy bez pomocy naparu. Cóż to za choroba? Faraon wiele oddałby za to, aby go od niej wybawiono! Pomyślawszy nieco, powiedział do siebie: „Nie oddałbym Kii. Już lepiej niech mnie głowa boli. Wytrzymam ból. Obiecują mi leki z Ta-Neter. Gońcy wysłani zostali na wyspę Isi. Nie, już lepszy ten ból głowy, żebym tylko nie został bez Kii! Ona to moje życie”.

„Całą tę rozmowę o miłości faraon wszczął w jednym

jedynym celu: chciał zapewnić sobie moją zgodę na ogłoszenie Kii współrządczynią. A na co mu moja zgoda? Alboż będzie się liczył z moim «nie»? I tak zrobi to, co uplanował. Ale zgoda moja potrzebna mu jest na to, aby obudziwszy się pewnego razu w nocy, mógł sobie powiedzieć: «Nawet suchy Pentu, nawet i on pochwalił moje postępowanie»”.

„...Co jednak myśli ten starzec? Czyżby przypuszczał, że chcę zdobyć jego zgodę? Ależ przecie cały wszechświat — gdyby sprzymierzył się przeciwko mnie — i tak mnie nie przekona! Co powiedziane — to dokonane! Tylko łotr może poświęcić miłość dla sprawy...”

— Porozmawiajmy jeszcze trochę o miłości — rzekł faraon przewracając się na lewy bok i patrząc na starego dworzanina przez ramię.

— A ty, panie, nie masz zamiaru spać?

— Jaki tam sen! Widzisz, że nie mam go w żadnym oku!

— Faraon wyciągnął rękę po miedziane zwierciadło i przyjrzał się sobie. — Wyglądam, jakbym dopiero co zbudził się z głębokiego snu.

— Tak, to prawda, panie. Jesteś zupełnie jak ptak, co przed chwilą wyfrunął z gniazda.

— No, to pogadajmy o miłości.

— Jako twój wierny poddany, jako niegodny twój sługa, mogę wyrazić tylko niezadowolenie z powodu wszelkiej miłości, która mogłaby wywołać zamęt w duszy choćby jeszcze kilku ludzi w państwie. Albowiem nie bywa tak, że dwoje ludzi kocha albo rozchodzi się, a nikogo to nie obchodzi. A jeżeli obchodzi, to znaczy, że władza musi mieć własne zdanie. Nie mogę myśleć inaczej. W przeciwnym wypadku odmówiłbyś mi swej łaski.

Faraon nie odpowiedział. Patrzył w sufit, gdzie latało błotne ptactwo — niezbyt wysoko w niebie — i zazdrościł w tej chwili ptakom. „One nie potrzebują niczyjego pozwolenia na miłość. Niepotrzebne im niczyje zdanie o ich przyjaciółkach”.

Spojrzał z ukosa na Pentu. Staruszek siedział trzymając się prosto, jak gdyby nie przekroczył jeszcze dwudziestu lat. Powieki miał ciężkie, ale nie okazywał najmniejszej chęci do spania, a przecie to już niedługo będzie ranek. Niebo blednie za Grzbietem Wschodnim...

— No cóż — powiedział faraon w zamyśleniu — zrozumiałem cię dobrze. Oby tylko wszyscy rozumieli cię tak samo jak ja i obyś tylko mnie nie przeżył.

Starzec aż się wzdygnął. Słowa faraona brzmiały złowieszczo w tej komnacie, oświetlonej płonącymi lampami, w tej komnacie — centrum całego świata, gdzie każde słowo królewskie ma taką samą wagę jak największa płyta piramidy Chufu. Pentu czuł, że jego peruka zrobiła się nagle mokra od potu.

— Za stary jestem, abym cię mógł przeżyć, najjaśniejszy panie.

— Toteż ja mówię: nie daj boże, abys przeżył.

— Jak to rozumieć? — niemal wyjęczał starzec wyczuwszy jakiś niedobry sens w słowach faraona.

Ale Echnaton go uspokoił:

— Chcę powiedzieć, że po mnie — gdyby zdarzyło się ze mną coś złego — wystąpi przeciwko tobie tylu ludzi, że trudno ich będzie zliczyć.

Pentu westchnął z ulgą:

— Ja się ich nie boję, najjaśniejszy panie.

— Trzeba się ich bać strachem azjatyckiego zająca.

— Nie boję się ani ich, ani ich gróźb.

— Jesteś zbyt dufny w sobie, Pentu.

Faraon nieoczekiwanie przyznał się, że jest głodny. Pentu uznał to za dobry znak: chęć jedzenia czegoś zawsze jest objawem zdrowia. Echnaton klasnął w dłoń. Rozległ się tylko jeden suchy trzask.

Drzwi się otworzyły. W progu stanął ktoś, kogo Pentu nie widział. Faraon milczał. Jego jasność Pentu rozkazał nie odwracając głowy:

— Owoców i piwa... Nie, nie trzeba piwa! Owoców i wina!
— I zwracając się do faraona rzekł: — Nie obciążałbym żołądka zbyt prostym jadłem. Nawet i lekkim. Owoce zaspokoją głód, a wino przywiedzie uczucia twoje do równowagi.

Faraon powiedział, jak gdyby nie dosłyszawszy słów Pentu:

— Królowa przeniesie się do Pałacu Północnego. Nie jutro. Nie tak szybko. A ty, Pentu, obwieścisz o przejęciu jej praw przez mojego współrządcę.

— Kiedy?

— Kiedy? To trzeba obmyślić. Rozumie się — nie jutro. I nie pojutrze. Ale rzecz jest już postanowiona.

Pentu zadał teraz najcięższe dla siebie pytanie. Faraon na nie czekał.

— Najjaśniejszy panie, a czy wie o tym najjaśniejsza pani, matka twoich dzieci?

„...Te kaczki latają po niebie, jakby nic się nie działo. Czy tamten kaczor musi im oznajmiać, z kim będzie tej wiosny dzielił swoje suche łoże?...”

— Czy ona wie?

„Lata sobie, spogląda na nią i oddycha pełną piersią okrytą puchem...”

— Ona? — zapytał faraon z roztargnieniem.

— Tak, ona.

— Dowie się... Od ciebie... Ty jej to wytłumaczysz najlepiej...

Przyniesiono owoce — świeże winogrona, granaty, suszone figi sykomory. W złotym naczyniu wino — „Przepiękne Domu Atona”. Jest ono niczym krew, niczym agat w pierścieniu faraona.

Faraon napił się wina. Ale owoców nie tknął. Napił się jeszcze. Poweselał. Oczy mu się rozszerzyły. I kazał pić swemu doradcy. A potem powiedział:

— Pentu, nie masz chęci na przyjemną muzykę?

Starzec nie zdążył nawet otworzyć ust, a już faraon wydał

polecenie, aby muzykanci stawili się natychmiast.

— Pentu — powiedział Echnaton — pragnę radości. Wszak rzadko się ostatnio weselę.

— Dom Atona stał się ponury, najjaśniejszy panie.

Wypili jeszcze. Spróbowali trochę winogron. I owoców sykomyry także.

Faraon wysoko wznosił czarę wykonaną ze złota.

— Pentu, powinienem się pokrzepić, albowiem sprawy państwowe wezwą mnie niebawem do sali tronowej.

I faraon ruchem głowy wskazał na błędzące na wschodzie niebo.

— Jesteś jeszcze zupełnie młody — powiedział Pentu pijąc wino dużymi łykami. — Zupełnie młody. Czyż lat trzydzieści pięć to dużo? Spoglądam na ciebie i cieszy mnie, że masz tyle siły w swoich żyłach!

Faraon zasepił się nagle. Nos mu się zaostrzył. A oczy pobladły, jak gdyby na ich miejscu ukazała się woda. I wycedził przez zęby:

— Siły daje mi ojciec mój, wielki Aton...

Jego ciężka szczeka poruszała się ledwie dostrzegalnie. Ale się poruszała. I to było najstraszniejsze. Faraon spoglądał na dworzanina, ale go nie widział. Stało mu przed oczyma coś żółtego i ciężkiego. Jak gdyby wzrok jego nagle zgasł. Co to takiego? Może by przymknąć powieki? O tak, palcami. Jak przymyka się oczy zmarłym...

„...Co się z nim dzieje? Zbladł z gniewu. Powieki mu opadły niby wieka ciężkich skrzyń. Teraz najlepiej byłoby łyknąć naparu. To szybko ostudzi ogień, który ogrzewa kość potylicową od wewnątrz...”

Pentu rzucił się ku Echnatonowi, podtrzymał mu głowę i przytknął do ust naczynie z naparem.

— Pij — prosił — pij... To przejdzie.

Faraon upił trochę płynu, obliznął duże, mięsiste wargi i westchnął głęboko.

— Rozgniewałem się na ciebie, Pentu. Siadaj. Mój gniew nie trwa długo. Albowiem jesteś w moim sercu! A oczy przysłoniło mi coś bardzo żółtego. Jak owe polne kwiaty, których tak dużo jest nad brzegami Hapi.

Faraonowi wróciła zwykła barwa twarzy. Szeroko otworzył oczy i uśmiechnął się.

— Gdzież muzykanci, Pentu?

— Czekają twego rozkazu.

— Niech wejdą.

Czterej pieśniarze wpełzli do komnaty, nie śmiać spojrzeć na dobrego boga. Doczołgali się do kąta. Podniósłszy się, stanęli zgięci w pół. Byli to mężczyźni w średnim wieku. Krzepcy. Ze skłonnością do tuszy. W jednakowych perukach. W jednakim krótkim odzieniu.

Oto znowu uchyliły się drzwi i na progu ukazało się czterech muzykantów: czekali na klęczkach, nie śmiać podnieść oczu na faraona — władcę Górnego i Dolnego Kemi. I tak na klęczkach przesunęli się w kąt. I tam znieruchomieli. Tyłem do pieśniarzy, z głowami spuszczoneymi na piersi.

Po lewej stronie stali harfciarze z dwiema harfami: dużą o dwudziestu strunach, i małą — siedmiostrunową. Obok nich — duży i mały flet. Muzykanci także mieli odzież jednakową. Tylko że pieśniarze różową, muzykanci — białą. A peruki wszystkie jak dobrane: nie sposób jednej od drugiej odróżnić.

— Pentu — powiedział faraon kosztując jagód ciężkiego winnego grona — muzykanci i pieśniarze, kiedy gotowi są do pełnienia swoich obowiązków, powinni patrzeć przed siebie dumnie i uśmiechać się wesoło.

— Mówiłem im sto razy! — rozgniewał się Pentu, a zwróciwszy się do przybyłych warknął: — Co ja wam powtarzam bez końca? Nie stójcież jak kamienie. Przynosicie radość i upojenie, a gdzie na waszych twarzach ta radość i obietnica słodkiej

pieszczoty dla uszu waszych słuchaczy?

Pentu mówił słowami faraona. Jeżeli chodzi o niego samego, dawno wypędziłby precz tych obrastających tłuszczem próżniaków.

„On ich nienawidzi, ten Pentu. Nie rozumiem, dlaczego ich tak nienawidzi. A przecież — zdawałoby się — człowiek mądry...”

„Zmusiłbym tych darmozjadów do pracy w polu. Niechby hodowali zboże! Tak samo rzeźbiarzy i malarzy, którzy całym tłumem otaczają faraona. Każdy kawałek złota jest tak potrzebny, tak niezbędny! — a tu jacyś nicponie napychają sobie brzuchy wybornym jadłem, zawalają miasto kamiennymi płytami albo ogłuszają pałac dźwiękami fletów i harf...”

„...Ten Pentu nienawidzi muzyki z całej duszy. Bardzo trudno go zrozumieć. Niepodobna zrozumieć! Czyż on naprawdę przypuszcza, że Kemi — wielkie królestwo świata — może się obyć bez pieśni i malarstwa, bez hymnów i rzeźb?”

Faraon spytał z uśmiechem:

— Pentu, powiedz mi: skąd w tobie taka nienawiść do wszystkiego, co piękne?

— Nienawiść? — zdziwił się dworzanin, sam zaś pomyślał: „On czyta w moich myślach jak w starych napisach! On jest bogiem! To bóg! Wielki bóg, który nie ma równego sobie!...”

— Nie kłam przede mną, Pentu. Ja wszystko widzę!

Stary aż się spocił:

— Mówię najrzetelniejszą prawdę, najjaśniejszy panie.

Faraon machnął ręką: nie ma o czym gadać, niech już będzie. Wyciągnął się na łożu, ręce podłożywszy pod głowę. I przyjrzał się uważnie muzykantom i pieśniarzom.

— Hymn na cześć naszego ojca Atona! — rzucił rozkazująco.

Harfiarze uderzyli w struny. Flety zaśpiewały przeciągle i pieściwie. Śpiewacy zahuczeli, jak gdyby przed każdym z nich stało gliniane naczynie, dające echo.

„...Gdzie ten Pentu usłyszy coś podobnego? Może u Hetytów? Albo u Babilończyków? Albo u Sumerów? Tylko wielkie państwo Kemi zdolne jest stworzyć coś takiego ze strun i ludzkich głosów... Wielki, zaiste, jest kraj, który zrodził takiego twórcę muzyki jak Aga. Albo takich jak Ramerinta, Snofrunofru...”

A tymczasem rozbłysła zorza poranna. Zęby Grzbietu Wschodniego zrobiły się czarne. Podobne stały się do wielkich brył węgla, które zostają w wygasłym ognisku. Jest to pewny znak, że lada chwila ukaze się Aton — życiodajny i słonecznolico. I wyśle pierwsze promienie ku swemu synowi.

„...Zaiste, szczęśliwe jest moje królestwo, albowiem kąpie się w płomieniach ojca naszego, a pałac mój tonie w najśłodszych dźwiękach hymnu, jakiego nie znał wszechświat...”

Harfa. Flet. Duża harfa. Duży flet...

I głosy! Wielkie głosy wielkiego Kemi!

— Wina! — zakrzyknął faraon.

I pił wino — miłe Atonowi. Słuchał hymnu ku czci Atona.

Pentu jest rad. Pentu jest bardzo zadowolony. Dworzanin cieszy się zawsze, gdy faraon dobrze się czuje. To jest najwyższa nagroda dla Pentu...

Na krańcu miasta

Z nastaniem zmroku Tachura wybrał się na poszukiwanie paraschity. Szedł powoli. Przez wąskie i brudne uliczki. Nie chciał, żeby ktoś gapił się na niego ze zdziwieniem. Azjatycka broda już i tak zdradzała jego obce pochodzenie. Kierował się na wschód od Hapi, tam, ku skałom — nagim i szarym — gdzie budowano nowy nekropol. Dobrze zrozumiał wskazówki paraschity: trzeba znaleźć domek, który stoi na samiutkim krańcu miasta, jeżeli iść Drogą Zmarłych.

Mieszkańcy przedmieścia snuli się wśród zabudowań. Mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci. Wszyscy zdawali się być zajęci jakimiś sprawami niecierpiącymi zwłoki. Zupełnie jak mrówki w mrowisku. I prawdę mówiąc, mało kto zwracał uwagę na azjatyckiego kupca: stolica żyła życiem bujnym i skomplikowanym, cudzoziemcy nie byli tu bynajmniej rzadkością. Żadną rzadkością!

Tachura przyznawał niejedno tej stolicy.

„...Przecież tu trzeba robić tak: wykopać doły, przywieźć żywej ziemi, nasypać jej do każdego dołu i w każdym dole posadzić drzewo czy kwiatek. Po jednej roślince, które cenne są tutaj jak złoto. Chyba to właśnie uważać należy za największy cud w Achetatonie, nie zaś pałace, świątynie i domy. Chociaż i pałace, i świątynie, i domy godne są podziwu i wszelakiego naśladowania. Wprawdzie Niniwa jest jeszcze mała, ale rośnie z roku na rok! Dobrze by było, gdyby Niniwa mogła zrównać

się z Achetatonem, miastem, które wyłoniło się jak miraż przed zdumionym wędrowcem pustyni...”

W tej części miasta, przez którą szedł Tachura, nie ma śladu owego piękna, harmonii i czystości, jakie w sercu stolicy każdemu rzucają się w oczy. Tutaj mieszkają piekarze i szewcy, garncarze i kowale, kamieniarze oraz rzemieślnicy, którzy wyrabiają delikatne tkaniny z lnu. I drzewa są tutaj niższe, chorowite, o liściach żółknących z braku wody, ponieważ polewacze nie pracują tu tak gorliwie jak tam, bliżej brzegów Hapi, gdzie blask bije od pałacowych kamieni i gdzie rosną cieniste ogrody dostojników.

Tachura szedł, szedł, szedł: prosto, w lewo, prosto, w lewo. Znowu prosto. Uliczki podobne są jedna do drugiej. Po obu stronach niezliczone domki, maleńkie lepianki i po prostu jakieś psie budy, z których dolatują głosy ludzi, płacz dzieci. Rzekłbyś, niech tylko dmuchnie wietrzyk, a wszystkie te budynki się rozsypią.

Było upalnie. Niebo płonęło. Podobne do jasnoniebieskiej patelni, rozprażonej na ogniu. Ale tak rozprażonej, że można by na niej smażyć ryby. Zadziwiające, że niebo zachowało swoją barwę, że nie spłowiało.

Tachura się zasapał. Nieść tłuste cielsko wśród skwaru to nie takie proste. Może lepiej było doczekać wieczoru? Bądź co bądź, zrobi się chłodniej...

Niespodziewanie uwagę kupca zwróciły jakieś krzyki. Niezbyt głośne. Rozlegały się gdzieś przed nim, w odległości może pięćdziesięciu kroków. Kupiec uznał za rzecz rozsądną zwolnić nieco, nie śpieszyć się.

Ktoś wymyślał i awanturował się. Usiłowano go uspokoić. Krzykliwy zabijaka najwidoczniej nie zanadto dobierał słów. Prawdę mówiąc, nieczęsto zdarzało się Tachurze słyszeć mowę rozszoszczonych mieszkańców nowej stolicy. Nie sposób się tu

zanadto rozhulać: stołeczny semer ma słuch wrażliwy, a oko wszechwidzące.

Podczas gdy kupiec zastanawiał się, w którą by stronę dać nura, aby znaleźć się jak najdalej od awantury, z bramy wyskoczył na ulicę młody człowiek. Z nosa ciekła mu krew, czoło miał rozcięte jak nożem. Jego widok mógł przestraszyć każdego. Mężczyzna był dobrze zbudowany, muskularny, głowę miał ogoloną jak prawie wszyscy w tym kraju. Młody człowiek doprowadzony do szału.

Dostrzegli kupca mężczyzna oparł się o gliniany murek ogrodzenia, odetchnął głębiej i otarł zakrwawiony nos.

— Pomóż mi — powiedział zgrzytając zębami.

Z podwórza wybiegło jeszcze kilku mężczyzn. Rozmawiali między sobą bardzo głośno i niezbyt zrozumiale. Tachura domyślił się, że ma przed sobą ludzi, którzy tego sobie podpili. Jeden z nich zwrócił się do tego, co stał oparty o mur, z dosyć pojednawczą propozycją:

— Chodź, Pepi, poleżymy sobie na macie!

Jednakże Pepi w dalszym ciągu wycierał nos i pluł krwią. Tachura mimo woli znalazł się w bezpośrednim sąsiedztwie pijanych zabijaków.

— Panie — powiedział Pepi zwracając się ponownie do kupca — ja nie chcę... Nigdzie nie chcę!

— Zamknij gębę, Pepi! — krzyknął na niego jeden z mężczyzn.

— Nie! — wrzasnął Pepi. — Nie będę milczał!

Odszedł od muru i zachwiał się. Rzecz prosta, i on też był pijany.

Do Tachury podszedł wysoki, pięknie zbudowany, już niemłody mężczyzna. Smagły człowiek o czarnych oczach. Ale w porównaniu z barwą jego skóry oczy te wydawały się jasne.

— N-nie r-r-acz się n-niepokoić, p-p-panie! — Był to

najoczywściej jąkała. — M-myśmy tu w-w-wszyscy... ludzie s-swoi. Pepi po-po-powinien jechać n-na hetycką granicę. A tam... A tam... A tam...

Jąkała tupał, wymachiwał ręką, ale jakoś w żaden sposób nie mógł ruszyć z miejsca, na którym utknął... Kupiec czekał cierpliwie, aby się dowiedzieć, gdzie to jest owo „tam”.

— A tam jest wojna! — wyśpiewał jąkała. — Pe-pe-pi nie chce jech-jech-jech...

— Jechać — odpowiedział kupiec.

— Jech-jech-jechać — z trudnością dokończył jąkała. I nagle wyrzucił z siebie jednym tchem: — Miesiąc temu przyprował żonę.

Cudzoziemiec nie powinien był wtykać nosa w te sprawy. Tachura zastanawiał się, jakim by tu sposobem umknąć stąd jak najszybciej. Był dalej.

— To on jest rekrut? — zapytał przez grzeczność.

— Tak, rek-rek-rekrut. To niezły chło-chłopak. On nie jest wi-wi-winien: za dużo wypił, wypił ze zmartwienia, a przecież Pepi nigdy nie pił zbyt dużo...

Pepi odezwał się płaczącym głosem:

— Już lepiej, żebym pił! Lepiej, żebym umarł od jakiejś strasznej choroby... Panie, jaka jest najstraszniejsza choroba na świecie?

— Najgorsza choroba to chyba trąd — odpowiedział Tachura. — Ale na co ci taka choroba?

— Jak to, na co? — r wykrzyknął Pepi z płaczem. — Chcę na nią zachorować. I siedzieć w domu!

— Cu-cu-cudak! — wtrącił jąkała. — Przecież cię wy-wy-wygnają i będziesz żył w Pustyni Za-za-za-chodniej...

— No, to niech będzie i tak!

— Będziesz s-s-sał kamienie i ź-ź-źuł suche k-k-kol-ce...

— Dobrze, będę!

Pozostali mężczyźni, stojący za jąkałą, oburzyli się. Co ten

Pepi wygaduje? Trzeba zaciągnąć go siłą na podwórze.

— Nigdzie nie pójde — powtarzał Pepi uparcie. — Gdzie by tu zdobyć tego trądu? Powiedz mi, panie.

— Panie, nie rozmawiaj z nim...

— On ma nos rozbity.

— Bo przewrócił się na ganku...

— Trzeba go obmyć.

— Widzisz, jaki to uparciuch?!

— Pepi, posłuchaj się ich...

— Nienawidzę całego świata! I was wszystkich!

— Pepi, oni ci dobrze życzą — rzekł kupiec.

— Oni są tchórze — oto kim oni są! A ja nie chcę iść na śmierć. Bodaj przepadli i zginęli wszyscy Hetyci, wszyscy, od małego do dużego! Na co mi się oni zdali? Albo mi tu źle? Sprzykrzyła mi się już Nefernai czy co? Po co ja mam od niej uciekać? — Pepi przysunął twarz do twarzy kupca, który przyjrzał się jego pięknym rysom, widocznym spod krwi i kurzu. — Ja chcę trądu! Z całego serca to mówię!

— Jesteś bardzo pijany, Pepi.

Pozostali mężczyźni podeszli, do młodego człowieka.

— Idźcie precz! — zapiszczał Pepi cofając się tyłem ku murowi. — Będę bił! Idźcie precz, pókim dobry!

„To dziwne — pomyślał Tachura. — I w potężnym państwie Kemi lud jak to lud. Taki sam jak w Babilonie. Jak w Asyrii. Czyżby i tu, nad brzegami Hapi, pojawili się ludzie, którzy mogą nie usłuchać rozkazu faraona? Zresztą, co ja mówię? Małoż to było zamieszek w Kemi? Czy mało szlachetnych głów spadło na pełną kurzu ziemię? A ten Pepi, co nie chce ani wojować, ani służyć w wojsku! Ale czy dużo jest takich? W tym sęk!...”

— Schodził właśnie z ganku — odezwał się chudy dryblas. Reszta w milczeniu stała przy bramie. — Zrobił jeden krok, a wtedy piwo uderzyło mu do głowy...

- Tak dużo wypił?
- Pepi pił wino. Potem piwo. Potem wino. Potem znów piwo.

Pepi rycząc potwierdził, że wszystko tak właśnie było. Dodał tylko, że piwa wypił niedużo. Bo piwo to jest paskudna lura. Co innego wino!

Jeden z tych, co stali opodal — takie kwadratowe chłopisko, mające wygląd wieśniaka — powiedział:

- Panie, to było moje wino. Przywiozłem je na pożegnanie z Pepim. Kto wie, co on będzie pijał u tych przekłetych Hetytów?

Tachura uspokoił go — nie bez tajonej złośliwości:

- Tam też rodzi się dobre wino.
- Ale moje jest specjalne.
- Nie przeczę. W Azji bywają wina jasne jak poranny brzask i czerwone jak zorza wieczorna.

Pepi nadstawił ucha. Jego krewniacy spojrzeli po sobie.

- To w Azji są takie wina? — spytał dryblas nie ukrywając zdumienia.

Reszta powtórzyła zgodnym chórem:

- W Azji? Takie wina?

Pepi wyglądał strasznie. Krew zaschła mu na twarzy. Policzki miał zaczerwienione, miejscami brudne, gdzieniegdzie czyste. Zdawało się, że zapomniał o swoim zmartwieniu.

- Powiedziałeś: w Azji — zapytał chwiejąc się na nogach.
- W Azji? Ja ci powiem, co jest w Azji. Chcesz, to powiem?
- Powiedz!

— W Azji... — pijany próbował się uśmiechnąć. Usta mu się wykrzywiły. Dłonie zacisnęły się w pięści. — W Azji... jest dużo wszy... Dużo brudu... Skądże w Azji wino?

Tachura uznał, że najrozsądniej będzie zgodzić się z

pijanymi. Kiwnięciem głowy potwierdził, że w Azji są tylko wszy i brud. I nic więcej.

— Panie — odezwał się dryblas zrozumiawszy, że ma do czynienia z Azjata, w dodatku, jak można było sądzić po odzieży, z człowiekiem nie prostego stanu — panie, ty go nie słuchaj! Wiesz przecie, że pijany to jak szaleniec. Głowa pijanego nie pracuje. Pijak gada byle co!

Pepi wysłuchał spokojnie tych słów. Potem przykucnął pod glinianym murkiem i zapłakał na cały głos. Szlochał ukrywszy twarz w swych ogromnych dłoniach. Te ręce wyrządziłyby wrogom wiele szkody, gdyby razem z Pepim znalazły się w Azji.

Dryblasowi wstyd się zrobiło za krewniaka. Podeszedł do młodzieńca i trącił go w ramię. Ale pijany nadal gorzko szlochał. Cały się trząsał, jakby go szarpano za ręce i nogi.

— Pepi, przestań! Przecie pan na ciebie patrzy. Bardzo się dziwi twojemu zachowaniu.

Inni także podeszli do młodego człowieka. Nachylili się nad nim.

Tachura pomyślał: „Oto najlepsza chwila, aby wziąć nogi za pas...”

Tak też zrobił. Przyśpieszył kroku i niebawem zniknął za węglem. Odsapnąwszy kupiec przybrał postawę pełną godności i już spokojnie, bez pośpiechu, ruszył w swoją drogę. Zdumiało go owo zdarzenie z Pepim. Wiadoma rzecz, że nie brak na białym świecie amatorów życia w pokoju i w radości. Pod tym względem Kemi najwidoczniej niewiele różni się od innych krajów. Ale wyobrazić sobie coś podobnego w samej stolicy? Pod boki faraona, którego uszy sięgają krańców wszechświata i którego oczy widzą pod wodą i pod ziemią?

W rodzinnym kole

Poszedł — rzekł dryblas wyrzawszy za węgiel domu.

— Naj-naj-największy czas — dodał jąkała — żebyśmy się za-za-zabierali stąd!

Mężczyźni, wzięwszy pod ręce płaczącego, zaprowadzili go na podwórze. I zamknęli za sobą wrota.

Z ganku zeszła kobieta w podeszłym wieku. Chuda i smutna. Opanowana, choć zboląła. W czarnej lnianej narzutce. Ubrana była biednie. Ale postawa jej wyrażała dumę. Kobieta budziła mimowolny szacunek. Taka oto, nie stara jeszcze, ale widać, że dużo przeżyła.

— User — powiedziała do jąkały — coście wy robili na ulicy?

— Na-na-na... — wystękał zapytany.

— Rozumiem: namawialiście.

— Na-na-na...

— Przestań już, User, zrozumiałam. Ale po co było to robić na ulicy? Wobec wszystkich? A kto to z wami rozmawiał?

— Jakiś... jakiś p-p-pan.

Dryblas wyjaśnił:

— Z pewnością Azjata. A przy tym bogaty.

— Doprawdy, ja was nie rozumiem, mój Ani — mówiła dalej kobieta. Odwróciła się ku dwóm młodym niewiastom, które szły za nią. — Czyż kłótnie trzeba wyносить na ulicę?

Kobiety kręciły głowami, wyraźnie niezadowolone.

- Nie trzeba – przytaknęła dryblas Ani.
- Więc dlaczego poniosło was za bramę?
- To Pepi od nas uciekł...

Pepi stał pośrodku niedużego podwórka w otoczeniu bli-
skich. Uspokoił się. Opuścił głowę na piersi. Przestał płakać.

Starsza kobieta – nazywano ją Ta-Nefert – w dalszym cią-
gu nawoływała do rozsądku:

– Pepi już nie jest mały. Jeżeli musi wypłakać się jak ko-
bieta, niech to robi w domu. A wy – dodała obrzucając pozost-
stałych mężczyzn spojrzeniem pełnym wyrzutu – wyście nie
powinni byli wdawać się na ulicy w niepotrzebne rozmowy. I to
jeszcze nie wiadomo z kim!

User próbował się usprawiedliwić:

- Ja i A-a-ani... I Ma-a-aniaton...

Maaniaton – ten kwadratowy, co to miał wygląd wieśniaka
– przerwał:

– Droga Ta-Nefert, twój młodszy syn zachowywał się
bardzo dziwnie.

- Nie trzeba było tyle pić – odparła Ta-Nefert.

Dwie kobiety, stojące za nią, zgodnie kiwnęły głowami.

- A właśnie, że myśmy nie pili...
- Zalatuje od was winem jak z winiarni.
- To prawda – rzekł User – wypiliśmy troszkę.
- Straciliście rozum? Spójrzcie dokoła: w jakich czasach

żyjemy?

Mężczyźni zamilkli.

– No, w jakich czasach żyjemy? Nikt obcy nas nie słyszy,
mówcie śmiało!

- W przeklętych czasach – mruknęła Ani.
- To za łagodnie powiedziane! – zauważył Maaniaton.

— No, więc rozumiecie to sami. — Ta-Nefert westchnęła z ulgą. — I Pepi powinien rozumieć.

Pepi sapał w milczeniu.

— Człowiek w naszych czasach nie jest wart więcej niż surowa cegła...

— To prawda.

— Niech zdechnie kot, zaraz mu robią pośmiertne honory. Bogaty właściciel niesie go do paraschity. Kocią mumię grzebią uroczyście. A nas? Kto nas pogrzebie?

Ta-Nefert mówiła cicho. Bez pośpiechu. Zrozumiale. I nieco surowo. Nie żałując siebie i wszystkich pozostałych, którzy byli na podwórzu.

Pepi zdawał się rozumieć swoje przewinienie. Wydawało się, że w głębi duszy wyrzuca sobie brak umiarkowania i popełdliwość.

Mężczyźni także poczuli się winni. Było to widoczne. Usiłowali usprawiedliwiać się przed matką Pepiego. Ani — jej zięć, mąż jednej z owych młodych kobiet — rozumiał również, że zachował się jak dureń. Po co było pić z głupim Pepim? A teraz musi wypić to piwo, którego sobie nawarzył. Przecież tylko patrzeć, jak o całym zajściu doniesie ktoś władzom.

— Nieprzyjemności nie da się uniknąć — przewidywała Ta-Nefert. — W naszych czasach nawet szukać jej nie trzeba. Sama cię znajdzie! Na każdym kroku czyhają oczy i uszy faraona. Semerowie są okrutni. Książęta nie znają litości. A tu w dodatku jeszcze jakiś cudzoziemiec! No i na co ci było zdradzać się przed cudzoziemcem? Powiedz, po co?

Z pytaniem tym zwróciła się do Pepiego. Ale w synu jej zbudziła się dawna wściekłość:

— Pluję na waszego faraona! Na jego pałac! Na cały jego ród! Wcale się go nie boję!

User próbował zatkać chłopcu usta. Pepi jednak ugryzł go

w rękę, za co tamten wymierzył mu tęgi policzek.

— Odejdź! — zasyczał Pepi. — Chcesz, to nasikam na twojego faraona? A może chcesz, to mu na progu uwalę, o, taką kupę!

— Przestań gadać świństwa! — ostro odezwała się matka.

— Nie przestanę! Dosyć mam tego życia! Mogę skończyć ze sobą. W jednej chwili! A wy sobie dalej dźwigajcie jarzmo. Jak te nieme woły!

— Pepi, idź się wyspać — poradziła mu siostra, której ze strachu dusza uciekła w pięty.

— Nie chcę!

— Pepi, zgubisz siebie i nas!

— Ja nie chcę wojować!

— Ale po cóż krzyczeć o tym na ulicy?

— Bo ja mam króla gdzieś!

Ani rozzłościł się:

— Zamknij gębę, ty wariacie!

Pepi wyrwał mu się i pobiegł w kąt podwórza. Tam stanął bez ruchu pod murem, purpurowy ze złości. Matka krzyknęła rozkazującym głosem:

— Idź i odpocznij! Słyszysz?

— Nie mam po co odpoczywać! Zbrzydło mi takie życie!

— Żona cię nie pochwali!

— Nie potrzebuję jej pochwał!

— Pepi, synu mój, zlituj się nad nami...

Pepi obrzucił wszystkich straszonym spojrzeniem. Oczy mu nabiegły krwią. Zasyczał z wściekłości:

— Wy żalodne stworzenia! Dobrze, że was gnębią! Że wami gardzą jak psami! Że wyciskają z was siódme poty!

— Pepi, synu mój, zlituj się...

— Wcale mi was nie żal! I siebie też. Gdybym miał władzę,

spaliłbym to przekłete miasto razem z bebechami!

— Dobrze, pal. Tylko teraz przestań. Tylko nas nie gub. I nad sobą ulituj się choć trochę. I nad swoją młodą żoną się zlituj. Książę ci tego nie przebaczy! Słyszysz?

— Pluję na waszego księcia!

Pepi wybuchnął takimi dzikimi przekleństwami, że kobiety musiały się oddalić. Ta-Nefert powiedziała odchodząc:

— Zwiążcie go! Postradał zmysły!

— Mnie związać? Łziesz! — syknął Pepi. — Łziesz!

I runął na ziemię. Bez pamięci.

Ani powiedział:

— Zanieśmy go do domu. Aby dalej od grzechu.

Rozejrzał się dokoła: czy przypadkiem nie ma kogoś obcego? Wyrzwał i za wrota. Nie, byli sami. Sami swoi — rodzina...

Sennefer

Tachura dotarł w końcu do szerokiej Drogi Zmarłych. Przedtem niezgorzej nabłąkał się wśród uliczek i zaułków stołecznego przedmieścia. Miał wrażenie, iż wydostał się ze śmierdzącego dołu. Postanowił iść w prawo, tam gdzie sterczą skały, gdzie widnieje nagi Grzbiet Wschodni.

Droga była wybrukowana bazaltowymi głazami. Szczeliny między nimi zalano babilońską smołą i przysypano warstwą piasku. Wydaje się człowiekowi, że maszeruje przez pałacowy dziedziniec. Droga z prawej i lewej strony wysadzona jest palmami, sykomorami oraz drzewami, noszącymi nazwę „tuab”.

O tej godzinie pusto było na Drodze Zmarłych. Tylko kamieniarze, pracujący przy grobowcach, nie przerywali zajęć. Ludzie, którzy odwiedzali groby swoich bliskich, dawno już wrócili do domu. Któż by o tej porze miał chęć wlec się aż tutaj?

W pewnej odległości majaczyły dwa czy trzy domki. A dalej ciągnęła się poszarzała równina. Już niedaleko do ostatniego domku. Czy przypadkiem nie w tej oto pochylonej chałupie mieszka Sennefer?

Starzec zdawał się oczekiwać gościa. Siedział w kucki i żuł liście krzewu mu. Mają one w sobie moc słabego wina. Ciemnieją od nich zęby, a serce zaczyna bić przyśpieszonym tętnem. Tachura woli, rzecz prosta, wino. Jednakże ludzie biedni żują

liście mu, a wtedy przed ich oczyma otwierają się niebiosy i wyobraźnia stawia przed nimi złudę dostatniego życia. Tachura zdarzyło się żuć liście mu. Raz jeden. Kiedy omal nie zabłądził w Libii. W strasznej pustyni tego kraju. Liście zrodziły w nim złudne przeświadczenie, że oto ma przed sobą miasto, cel swojej podróży, że pod ręką jest woda — tylko ją czerpać! Tak przeleżał w półśnie kilka dni. Aż w końcu zabrała go ze sobą karawana. Oto jaka w tych liściach siła!

Sennefer już z daleka dostrzegł kupca. Szeroka i kosztowna szata Azjaty rzucała się w oczy już z odległości całej secheny. Starzec zdziwił się wprawdzie, że tak dostojny pan idzie o tej porze pieszo i bez przewodnika. A już naprawdę zdumiał się, gdy ów pan skrzył ku jego chacie.

Stary podniósł się nie wierząc własnym oczom.

— To ja, Tachura — powiedział kupiec. — Widzieliśmy się w sklepie Usercheta. Okazałeś mi wielki honor, przyjmując mój poczęstunek.

Wszystko powiedziane zostało zbyt jasno i zbyt prosto, by można było nie zrozumieć tych słów i nie przypomnieć sobie kupca Tachury.

— Jestem rad — odezwał się starzec — rad jestem bardzo. W Kemi istnieje zwyczaj, by gościa zaprosić do domu.

— Taki zwyczaj jest wszędzie, gdzie zdarzało mi się bywać.

— Ale na to trzeba mieć dom...

Tachura spojrzął na drzwi chaty. Niziutkie, całkiem niziutkie. Przejść przez nie nie sposób, jeżeli nie zgiąć się wpół. To ci drzwi! I domek taki sam, domek z surowej cegły. Kupiec rozważał z niepokojem: wciśnie się w te drzwi czy się nie wciśnie? Stary odgadł jego myśli.

— Nie, nie. Wejść to my tam wejdziemy! Tak czy owak, jest to dom. Trzeba w nim posiedzieć. Nie będziemy przecie rozmawiać tutaj.

— Tak, masz słuszość, Senneferze, chyba wejdziemy do środka...

Starzec wszedł pierwszy, jak gdyby pragnął przekonać gościa, że wejść można bezpiecznie. Małe kwadratowe okienko oświetlało izbę skąpym przedwieczornym blaskiem. Można powiedzieć, że właściwie było tutaj ciemno. Sennefer wydobył z ogniska węgielek i zaczął na niego dmuchać. Przy pomocy lnianego sznurka i tego węgielka zapalił gliniany kaganek.

— Usiądź — poprosił gościa nie przerywając swych czynności. — W kącie znajdziesz matę. Weź ją — jest czysta.

Lampka zamigotała nierównym czerwonożółtym światłem. Jakby wniesiono tu miedziane naczynia. I wszystko zrobiło się czerwonożółte: twarze mężczyzn, maty na podłodze, gliniane garnki na półkach.

— Biednie jest u mnie — mówił dalej Sennefer siadając na podłodze. — Biednie, ale czysto. Czyściej tu niż w pałacach faraona. Wierz mi: ja to mówię, Sennefer.

Tachura przyznał, że w chacie jest schludnie, że nawet kobieta nie byłaby zdolna utrzymać większej czystości. Kupiec wskazał ręką na sufit, podłogę, ściany, naczynia. W istocie, nie czuło się tutaj wcale owej ciężkiej, smrodliwej duchoty, panującej zwykle w chatach biedaków. Nie pachniało brudem ani piwem, ani mąką. Ale pachniało wonnymi olejkami. I smołą. I różami. Skąd róże w tej ciemnej i niskiej budzie?

Sennefer roześmiał się cicho. Zupełnie jakby psiak zaskomlał.

— Panie, zapomniałeś, że jestem paraschitą. Mam do czyszczenia nie tylko z kiszkaami i żółcią, płucami i śledzioną. Nie jestem zwykłym paraschitą, którego przepędzają i obrzucają kamieniami. Powierzono mi coś więcej...

Stary powiedział to z dumą, ale powściągliwie.

— Rozumie się, Senneferze, iż daleki jestem od myśli, bym miał przed sobą zwykłego paraschitę, który grzebie się w cudzych wnętrzościach...

— Nie w cudzych — poprawił go starzec — lecz w martwych.

— To jest przecież to samo.

— O nie, panie, mylisz się. Zmarły należy do bogów. Nie można o nim powiedzieć: „mój” albo „twój”. On jest boży!

— No tak, tak — zgodził się kupiec przez grzeczność. Nie mógł pojąć tego dziwnego zwyczaju — balsamowania zwłok. Po co to? Czyż nie prościej oddać je ziemi? Albo spalić, jak robią daleko na Wschodzie?

— Czym cię poczęstować? — zapytał starzec. — Mam tutaj liście mu, jak je nazywają w Ta-Neter. A myśmy to słowo przejęli. Na rynku tak samo nazywają owe liście.

— Szanowny Senneferze, zrób mi przyjemność...

Stary spojrział na kupca zdziwiony.

— Czy mogę — powiedział Tachura — jako gość prosić o wszystko, co mi się spodoba?

— Tak, możesz.

— Dzięki ci, Senneferze! Proszę tedy o jedno: Porozmawiaj ze mną, pozwól upoić się twoimi słowami i blaskiem twojego umysłu!

— O Azjaci! — wykrzyknął stary i klasnął w dłonie. — Ależ z was spryciarze! Rozbroiłeś mnie i muszę ci ulec.

— Tylko tego pragnę, Senneferze. Cóż może być przyjemniejszego nad rozmowę z tobą? Dobrze pamiętam, że jesteś z Sais. Zapamiętałem i twoją przelotną uwagę, że kiedyś zazna-
wałeś dostatku. Przypuszczam, że byłeś bogaty, że pochodzisz ze znakomitego rodu. Świadczy o tym i twoje czoło, i nos twój, i twoje ręce. Dobre mam oko i wiem, co to krew człowieka z-
cnego rodu.

Sennefer wysłuchał słów kupca, po czym rzekł:

— Cudzoziemcze, pamiętam twoją hojność. Wierz mi, że mógłbym odwdziżyć ci się tym samym, gdyby nie zniszczono mi domu, a mnie samego nie prześladowano. Czegom ja nie przeżył! Wydobywałem miedź na półwyspie Synaj. Byłem bliski śmierci w piaskach Reczenu, ścigany gniewem moich wrogów.

— Czy tak potężni są twoi wrogowie?

— Moi? — starzec uśmiechnął się gorzko. — Skinieniem małego palca niszczą wszystko, co żyje. Ich spojrzenie zamienia w popiół roślinność na ziemi. Jedno tchnienie ich nozdrzy obraca w proch całe miasta.

— Silnych, zaiste, masz wrogów, Senneferze, nie ma co mówić.

— A jeżeli mnie widzisz choćby takim, to tylko dlatego, że bądź co bądź jestem żywy. Żyję dlatego, że nie umarłem. A nie umarłem, bo gniew utrzymuje mnie przy życiu. A zemsta w sercu moim wciąż powtarza: „Musisz żyć, Senneferze! Żyć, aby się pomścić!”

— Dużo jeździłem po świecie, Senneferze. Znam wody, znam ziemie. Te, co leżą daleko na zachodzie, i te, co daleko na wschodzie. Jakikolwiek byłyby wzajemne stosunki między władcami, wszyscy pragną handlować. Szkoło z Dżahi budzi zachwyty kobiet w Kemi. Wonności z wyspy Isi oczarowują piękne Babilonki, których oczy rzucają powłóczyście spojrzenia. Jestem kupcem i granice stoją przede mną otworem, a strażnicy nie czynią mi przeszkód.

— Jeszcze by też! Jeszcze by też! — wykrzyknął Sennefer. — Kupiec to człowiek poważany.

— Po co ja to wszystko mówię? — Tachura zniżył głos. — Chcę posłuchać twojej pięknej mowy, pełnej szlachetności. Znam język waszego kraju. Ale kiedyś usłyszałem ciebie, powiedziałem sobie: „Tachuro, oto jest mowa godna wybranych”.

Starzec był zadowolony. Uśmiechał się. Człowiek jest

bardzo słaby, z trudnością opiera się pochlebstwu. Najsilniejsze nawet serce mięknie pod wpływem odpowiednio dobranych i obmyślonych słów pochwały. Jedynie piramida Chufu potrafi się oprzeć pochlebstwom, albowiem jest głucha. Sennefer powiedział:

— Szanowny panie, jeżeli spodobała ci się moja mowa, jest to zasługą moich rodziców, ludzi znakomitych w cudownym mieście Sais. Rosłem jak kwiatek, a uszy moje wchłaniały wiele słów pięknych i myśli wzniosłych. Zaiste, mało jest warte słowo, jeśli nie wyraża czegoś, co zapada w duszę głęboko i żyje tam na podobieństwo ptaka w gnieździe. To coś rodzi nowe myśli, a one niby ptaszęta zlatują z ust twoich. Albowiem zapłodniony byłeś wielką myślą. Słowa to bardzo wygodna maska. Powinny być niezwykle same w sobie. Ale za nimi, powtarzam, powinno stać Coś. Pojąłeś mnie?

Tachura skinął głową w milczeniu.

— Na czym polega piękno i urok papirusów z dawnych wieków? Zdarzyło ci się je czytać?

— Trochę, trochę, szanowny Senneferze — jednym tchem odparł kupiec.

— A ja ci powiem, co w nich jest piękne. — Stary się ożywił. Płynnymi ruchami rozkładał ręce i opierał je na biodrach. Ruchy te zdawały się pomagać mu w jaśniejszym wyrażaniu myśli. — W dawnych zwojach znajduję słowo, które samo ze siebie świeci mądrością. Czy gwiazda świeci? Tak samo świeci słowo. Tylko pamiętaj: dawne słowo! Tysiąc lat temu ludzie nie byli od nas głupszy. Mówili mało, więcej za to myśleli. I mieli słuszność. Ileż sensu jest w tym, że ktoś bezustannie gada? Przodkowie nasi uczą nas rozmyślać. A dzisiaj? Czyż nie jesteśmy świadkami strasznego upadku samej sztuki myślenia i „wyrażania myśli? Z tego właśnie dumni byli kapłani Amona

jeszcze w czasach Narmera. Teraz, zachęcony przez faraona, każdy szuka okazji, aby prześcignąć ulicznego handlarza, który kaleczy nasz boski język. Od kiedy to zieleniarze i szewcy stali się naszymi nauczycielami? Pytam: od kiedy?

Tachura powtórzył jak echo:

— Od kiedy?
— Od czasu, gdy na tron wstąpił... — Starzec zniżył głos jeszcze bardziej. — Od czasu, jak króluje ten... z wydłużoną głową i końską szczęką.

Mróz przeszedł kupcowi po skórze.

— Dlaczego szepcesz? Czy nas podsłuchują?
— Wszystko jest możliwe. Mówią ludzie, że i ściany dziś mają uszy.

Kupiec poczuł się nieswojo. Nie należał bynajmniej do nieśmiałych. Ale wpaść w łapy faraona tak ni z tego, ni z owego?...

Wstał, wyszedł na dwór, obszedł domek dookoła: nie ma nikogo! Wrócił na swoje miejsce i odetchnął z ulgą.

— Nikogo nie ma! Jesteśmy sami.
— Dlaczego sami? — uśmiechnął się Sennefer. — A ty?
— Co — ja?
— Czyż nie możesz mieć drugiej duszy?
— Ja? Drugiej duszy?

Sennefer uspokoił go. Właściciel sklepu Userchet uprzedził starego, kim jest Tachura. „Zaufaj mu całkowicie” — powiedział sklepikarz. Słowo Usercheta było dla Sennefera słowem prawdziwym, dźwięczącym jak w starodawnych zwojach.

— Zazartowałem, Tachuro. Skądże mógłbyś mieć drugą duszę? Szanowny Userchet mówił o tobie tak czule, że jesteś już w moim sercu.

Kupiec skłonił się z babilońską wytwornością.

— Czy koniecznie trzeba kaleczyć język odziedziczony po

przodkach? — zapytał powracając do poprzedniej rozmowy.

— O to właśnie idzie, że konieczności nie ma żadnej! Faraon jest jednak uparty. Na złość wszystkim kapłanom Amona postawił na swoim. I cieszą się z tego wszyscy handlarze. Cieszy się każdy, kto nie zna języka. Zresztą ktoś powie, czy faraon nie liczył właśnie na to. Oto w jakich czasach żyjemy!

— Czy trzeba to rozumieć tak, że język, skalany język, też stanowi część zamierzeń faraona?

— O tak! Właśnie tak! Wszystko obmyślone jest bardzo sprytnie. Dobrze wie tykwogłowy, do czego zmierza! Faraon prowadzi do tego, aby wszystko, co żyje, przygnieść sobą — na podobieństwo hipopotama potwornych rozmiarów.

— I to mu się udaje?

— Niestety, szanowny panie, udaje mu się. Na razie mu się udaje.

— I czyż nie ma komu zaprotestować?

— Nie!

— Boją się czy myślą tak jak on?

— Boją się. Tchórzą. Drżą ze strachu po kątach!

— I nie znalazł się nikt?

— Dlaczego nie? Znaleźli się! Tylko że jedni są już w wodzie, inni pod ziemią, a trzeci gniją w pustyni. Ale są jeszcze inni...

— Kto oni?

— Milczący. Z zaciśniętymi zębami. Uśmiechający się z przymusem. W oczekiwaniu.

— Jak to w oczekiwaniu, Senneferze? Na cóż oni czekają?

— Na swoją godzinę!

— Więc czekają tchórzliwie?

— Nie, nie tchórzliwie. Ale czekają! To karząca ręka Amona, która grozi niewidzialnym mieczem. Zapamiętaj moje słowa!

Kupiec rozważał słowa starego. W oczach jego, ciemniejszych od nocy, migotało żółtoczerwone światło kaganka.

„...Kto by pomyślał, że w tym państwie, gdzie wszystko podobne jest do żelaza — od faraona do ostatniego żołnierza — gdzie i słowo jest jak żelazo, znajdują się ludzie, którzy myślą inaczej, mają własne zdanie, żyją na przekór dobremu bogu i w dodatku jeszcze potajemnie mu grożą?”

Tachura nie był zdumiony tym odkryciem. Dawno już przestał się zdumiewać. Oczy jego przywykły do patrzenia na rzeczy niezwykłe, a uszy nauczyły się słuchać rzeczy zadziwiających. Wśród ludzkiej gromady zawsze znajdują się niezadowoleni. To jest zrozumiałe. Ale czyż ten paraschita, który zamieszkał w samym sercu wielkiego państwa Kemi, nie jest zjawiskiem zdumiewającym? Tym bardziej że nie jest bynajmniej osamotniony... Czemuż tedy błyskawica strzelająca z oczu faraona nie obróci tego starca w popiół? Gdzież jest wszechmocny semer Achetatonu, który wie, co się dzieje nawet na dnie Hapi?

„...Myśleć trzeba na podobieństwo ludzi dawnych i mądrych. Nie trzeba się śpieszyć. Cierpliwości, cierpliwości, cierpliwości...”

Kupiec spogląda na pomarszczoną twarz starego. Na jego zaciśnięte gniewnie usta. I na oczy ostre jak strzały. Nie, ten starzec coś wie. Widzi dalej, niż to się wydaje. I nie darmo osiedlił się tutaj, na samym krańcu Achetatonu...

— O, Senneferze, uważnie słuchałem twoich słów. Pozwól, że zadam ci jedno pytanie, którego źródłem jest moja nieświadomość, brak rozumienia i ciemnota.

— Mów, panie.

— Odpowiedz mi, Senneferze: czy nici, które wiążą w jedną całość lud państwa Kemi i jego władców, nie są niciami z żelaza?

— Z żelaza! — odparł bez namysłu starzec.
— No widzisz, Senneferze! — wykrzyknął kupiec, jak gdyby wygrał wielki zakład.

Stary się zdziwił:

— Co ja mam widzieć, szanowny panie?
— Żelazne nici! Żelazne państwo Kemi! Wszechpotęga faraona!

Sennefer pokręcił głową, podniósł prawą rękę do góry, jakby żądając ciszy i skupienia uwagi. I uśmiechał się tajemniczo. Uśmiech ten był ledwie widoczny, ginął w niezliczonych zmarszczkach dokoła ust. Starzec westchnął głęboko, jak gdyby żałował, że nie został trafnie zrozumiany.

— Panie, oto zobaczyłeś szeroki świat. Płynąłeś za słońcem ku zachodowi. Szedłeś na spotkanie słońca w dalekich krajach. Przecinałeś słońcu drogę podróżując w swoich sprawach z północy na południe i z południa na północ.

— Tak, to prawda.

— Uszy twoje były otwarte i serce ci biło, i oczy widziały świat.

— Tak jest.

Stary skrzyżował ręce na wychudzonej piersi, pokrytej żółtą, zwiędłą skórą. Popatrzył baczny spojrzeniem na kupca i powiedział bardzo powoli:

— Jakże więc możesz twierdzić, wbrew własnemu sumieniu, że wszystko, co żelazne, trwałe jest i nawet wieczne? Żelazo jest drogie, bardzo drogie! Któż o tym nie wie? Ale czyż jest długowieczne? Czy nie toczy go rdza?

— Prawda: toczy!

— Żelazo jest przydatne tam, gdzie trzeba. Jednakże państwo, zakute w żelazo, choćby wydawało się nie wiedzieć jak silne, staje się słabe.

— To zadziwiająca! — powiedział kupiec. Nie wiadomo, jak dalece szczerze były te jego słowa. Czy miał krótki rozum,

czy tylko pragnął uchodzić za naiwnego — Sennefer nie mógł tego odgadnąć. I w jednym, i w drugim wypadku starzec widocznie uważał, że powinien otwarcie wypowiedzieć swój sąd. W sercu jego wrzał wielki gniew, który nie pozwalał mu milczeć. To byłoby ponad jego siły. Tym bardziej że milczał niezmiernie długo; grzebał się we wnętrznościach nieboszczyków i milczał. Ile czasu można milczeć?

— Czemuś powiedział te słowa, szanowny panie?

— Jakie?

— Powiedziałeś: „To zadziwiające!” Czyż odsłoniłem przed tobą coś nowego? Coś, czego nie wiedziałeś?

Kupiec nie usiłował kluczyć:

— Nie, to wszystko nie jest zbyt nowe.

Teraz zdumiał się Sennefer:

— Powiem ci prawdę: to jest naprawdę zadziwiające! Wiesz wszystko sam, a jednak się dziwisz. Jak mam cię rozumieć? W głowie mi się zaczyna mącić.

— Senneferze, nietrudno mnie zrozumieć. Ja wiem, że żelazo rdzewieje. Wiem, że i żelazne państwo pokryć może rdza. Ale jaki to ma związek z wielkim i niezwykłym państwem Kemi? Jak rozważania twoje dopasować do władzy nieograniczonej, boskiej, wszechmocnej? Mówię teraz tylko o Kemi, które rękami faraona trzyma w strachu cały świat.

Sennefer odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Gardyka przesunęła mu się w górę. Skóra na gardzieli napięła się jak cięciwa, jednocześnie zaś na karku zgrubiła się w całe mnóstwo głębokich fałd.

„...Co ja słyszę na własne uszy? Co słyszę znalazłszy się na ziemiach wielkiego państwa Kemi? Gdyby tak o tym wszystkim wiedzieli Hetyci! Gdyby wiedzieli, ruszyliby prosto tutaj. Serca by w nich rosły! Ale nie, nie pomył się, Tachuro: starzec to jeszcze nie Kemi... A zresztą czy ów Pepi to także nie Kemi?

Czyż możliwy byłby jego płacz w państwie, któremu sądzone jest panować nad całym światem?”

A starzec śmiał się. Śmiał się do rozpuku, do łez. Żyły mu nabrzmiały, twarz poczerwieniała. I nie przestawał się śmiać.

„...On śmieje się ze mnie. Wydaję mu się dziwakiem. A może i głupcem. Niechże sobie myśli, co mu się podoba.”

Sennefer uniósł przymknięte powieki, twardymi pięściami otarł łzy. Kupiec — pełen szacunku — czekał chwili, gdy parashita nieco się uspokoi i uzna za możliwe podjęcie dalszej rozmowy.

— Nie obrażaj się na mnie, szanowny panie — powiedział wreszcie Sennefer. — Śmiałem się nie z ciebie. Pomyślałem nagle, że wrogowie Kemi są w czymś do ciebie podobni. Myślą: oto mocarz, powołany do rządzenia światem...

— Tak nie myślą.

— Oto jest państwo, niezwykione przez wieki...

— I tak też nie myślą.

— Oto jest władca krainy Kemi, mocniej dzierżący władzę w ręku aniżeli Chufu.

— Tak, tak myślą.

— A ja powiadam... — Starzec podniósł głos: — A ja powiadam, że to wszystko nieprawda! Powtarzam raz jeszcze: żelazo rdzewieje! A nas zakuto w żelazo. Ale ja widzę koniec. A ty?

— Jam przybysz z dalekiego kraju. Z uszanowaniem słucham słów twoich.

— Więc słuchaj: żelazo zardzewieje i nici pękną. A może przedtem jeszcze śmierć zabierze władcę i nici znikną same.

— Zabierze go śmierć?

— Tak.

— Kiedyż?

— Tego nikt powiedzieć nie może.

— I to będzie wybawieniem?

— Tak.

„...Złość zaćmiewa staremu i oczy, i rozum. Zbyt wielkie spotkało go nieszczęście z winy faraona, aby to, co go otacza, mógł widzieć takim, jakie jest w istocie...”

Starzec potrząsnął pięścią w powietrzu:

— Pamiętaj moje słowa, szanowny panie: żelazo jest zwodnicze. Nie trwa wiecznie.

Kupiec podniósł oczy ku górze i spojrzenie jego padło na granatowy czworokąt na ścianie. Był on bardzo ciemny, niemal czarny. Coś, jednak świeciło w głębi tej granatowej barwy. Zdawało się, że jakiś nieznany, ale całkiem zręczny w swoim rzemiośle malarz zawiesił na ścianie swoją pracę. Ale co to on przedstawił na tym dziwnym obrazie?

„...O bogowie, przecież to jest okno! Malutkie okienko w małej chatce paraschity. A granatowa barwa to kolor nieba, po którym przesunął się czarodziejski pędzel wieczoru...”

— Zasiedziałem się — powiedział kupiec.

— Nie mam cię czym poczęstować — ze smutkiem odezwał się starzec.

— A czyż rozmowa twoja nie była poczęstunkiem? Co może się z nią równać? Pieczona indyczka? Niedrogo kosztuje ona w sklepie Usercheta. Dziczyna z różną? I ta nie jest droższa. Ciastka? Zbyt słodko robi się od nich w ustach. Nie, Senneferze, lepszego przyjęcia niż rozmowa wymyślić nawet nie można!

— No cóż? Zapewne tak wypada mówić gościowi, który nie wynosi od ciebie nic w swoim żołądku.

Teraz nastąpiła wymiana wzajemnych uprzejmości, po czym kupiec ruszył z powrotem do miasta. Starzec powiedział sobie: „Nie przypadkiem zjawił się on w mojej chacie. Niech będzie, co ma być, niech wiedzą w Niniwie, co dzieje się w Kemi...”

Sennefer, odprowadziwszy gościa aż na drogę, wrócił do chaty i posilił się tak, jak czyniło to bardzo wielu ludzi na przedmieściach Achetatonu: pełnymi goryczy rozmyślaniami. Później zgasił kaganek i ułożył się na swoim posłaniu.

Nie spać i spoglądać w ciemną pustkę — cóż może być lepszego? Sennefer wsłuchiwał się w ciszę nocy: czy nie idą po niego strażnicy faraona? Nie, nie idą... A więc i oczy dobrego boga nie są wszechwidzące, a uszy jego wszechsłyszące.

Paraschita zaśmiał się cichutko z radości. I niebawem zachrapał.

W pracowni rzeźbiarza

Dzehutimes spogląda w szerokie drzwi: oto idzie ona, ta, której uroda nie ma równej sobie w całym wszechświecie... Za jego plecami stoją Achtoj i Tihotep. Patrzą na nią także. Ona zaś idzie wyprostowana, z cichym smutkiem na czole. Z jakimś nieuchwytnym uśmiechem na wargach. Taka nieduża, pięknie zbudowana kobieta. Z takim maleńkim brzuchem. Matka sześciu dziewczynek.

Na czym polega tajemnica jej czarującego piękna?.. Oto idzie, jest już blisko. A za nią śliczna Ka-Nefer i księżniczka Setepenra.

„...Chcę wiedzieć, gdzie leży główna siła jej urody. Czy w oczach, ozdobionych tymi rzęsami? Czy w ustach narysowanych staranną ręką twórcy wszechświata? W twarzy bogini? W czymże jest jej główna siła? Niepodobna bowiem wykończyć jej portretu, nie odgadłszy tego przedtem... Oto idzie królowa, a wraz z nią wschodzi zorza. Zorza ta rozjaśnia cały świat. Rozgrzewa serca... Oto idzie królowa...”

I nikt nie wita jej na ganku: Dzehutimes zabronił! Ona wchodzi po schodach i staje na progu. I nagle przed jej oczyma staje niby zjawia inny obraz: ona przychodzi tutaj. W to samo miejsce. Przed wieloma laty.

Stała tu wówczas jedynie szopa. Młodzi ludzie ugniatali glinę, ciosali kamień, odlewali formy gipsowe. Było to osiem lat

temu, właśnie zakończono budowę stolicy. Jej budowniczowie i rzeźbiarze pracowali w tymczasowych szopach i mieszkali w namiotach. Ona była młodsza i on był młodszy. Przysięgał jej wieczną miłość i niewątpliwie kochał ją wieczną miłością. Chwytała biegnące ku niej pełne zachwytu spojrzenia swych poddanych. Nie były to jednakże ckiwe, wiernopoddańcze spojrzenia. Jej postać budziła szczery zachwyty. Nie mogła nie budzić zachwyty! W jej oczach skrzyła się mądrość. Uroda jej odbijała się w jego oczach. Rzeźbiarze, którzy umieją cenić prawdziwe piękno, padali przed nią na twarz i z łękiem podnosili oczy, jak gdyby stało przed nimi słońce. Dobry bóg był z nią... Oto idzie o n, ona zaś — obok niego z lewej strony. Przeprowadza ją na to miejsce i wesoło kiwa głową młodemu rzeźbiarzowi. I mówi: „To jest Dzehutimes. Ręce jego są mądre i godne jego oczu, które widzą bezbłędnie. Rzeźbiarz musi mieć mądre ręce. Musi mieć bystre oczy...” I jeszcze raz powtarza imię: „Dzehutimes”. Młody rzeźbiarz czerwieni się, policzki mu płoną i, zaczerwieniony, pada jak długi na ziemię, ale natychmiast, na rozkaz faraona, podnosi się i staje wyprostowany, przęcał swą niewysoką postać. Dobry bóg, wierzący w siebie, w Kemi, w nią, w cały świat, czyni mu dobroduszną wymówkę: „Dzehutimesie, ile razy ci mówiłem, abyś nie tracił z oczu dostojności tej cudownej sztuki, którą opanowałeś w sposób doskonały? Wstańże!” Dlaczego najjaśniejszy pan mówił o doskonałości sztuki młodego rzeźbiarza, jeśli takiej doskonałości jeszcze wtedy nie było? A więc dostrzegł w niedoskonałych jeszcze formach zapowiedź przyszłej doskonałości!

Wtedy król oprowadzał ją po niewykończonych, nieprzytulnych pracowni. Ona szła cały czas u jego lewego boku, on zaś tak mówił do rzeźbiarzy: „Powinniście robić to, co widzi oko wasze i rozkazuje serce wasze”. I pytał z uśmiechem: „Dzehutimesie,

co widzi twoje oko?” „Ciebie, najjaśniejszy panie.” „A co jeszcze?” „Królową, wielką panią naszą.” „Gdzie ją widzisz?” „Obok ciebie, najjaśniejszy panie. Po lewej ręce.” „Słusznie, i tak nas właśnie sportretuj.” Potem faraon zdejmuje perukę i jego głowa — potwornie brzydka, podobna do sumeryjskiej podługowatej dyni — na cienkiej szyi lśni jak miedziana. „A teraz co widzisz, Dzehutimesie?” „Twoją głowę, najjaśniejszy panie.” „Portretuj ją, tak jak widzisz. Nieładną. Taki bowiem jestem.” „Moje uszy posłuszne są twojej mowie, oczy moje ozywają od słów twoich, królu i panie.” Dobry bóg się uśmiecha. I pyta: „Dzehutimesie, czy twoi pomocnicy wszystko słyszeli?” „Wszystko” — odpowiada rzeźbiarz. „Wszystko” — mówią jego pomocnicy. O, wielki boże, jak to było dawno i jak to było niedawno!

W oczach jej falują koła, podobne do tych, co zjawiają się na gładkiej toni stawu, gdy rzucić w nią kamień. Nieduży kamień. I rzucić niezbyt mocno... Cóż to się stało teraz? Czemu nie ma tu jego? I dlaczego nikt jej nie wita?

I nagle — w tejże chwili, gdy to sobie pomyślała — na samym progu pada przed nią rzeźbiarz. Twarzą do ziemi leżą i jego pomocnicy. Najjaśniejsza pani nic nie rozumie. Odwraca się ku Ka-Nefer. Wzrusza ramionami. Jest zdumiona. Pustki, prawdziwe pustki w podwórzu... i wielki pokłon — zakazany przez faraona w tym świętym przybytku sztuki!

Ka-Nefer kiwa głową: tak najwidoczniej być powinno; przed wielkością królowej każdy mieszkaniec Kemi pochyła głowę. Księżniczka wybiega naprzód i także patrzy na leżących mężczyzn. To przecie i przed nią padli plackiem ci ludzie! Tak sądzi Setepenra.

— Wstańcie!

To mówi królowa. Nie piękna dama, ale władczyni Kemi i

wszechświata. Głosowi jej posłuszni są nawet umarli. I rzeźbiarze wstają z ziemi otrzepując kurz ze swego odzienia.

— Najjaśniejsza pani! — mówi pełen zachwytu Dzehutimes, a w oczach jego lśnią gwiazdy północy. — Racz mnie wysłuchać, zanim gniew twój sprawiedliwy spadnie na głowy nasze. Zapytaj nas, dlaczego nie witaliśmy cię tam, u bramy. Zapytaj, dlaczego nie było nas na dziedzińcu. Zapytaj nas, o pani nasza!

— Pytam — odzywa się królowa. Mówi tak jak zawsze: cicho, śpiewnie, piersią, a nie wargami. Od tego głosu mocniej bije serce, które jej słucha. Od tego głosu, pełnego jej wielkości, szybciej krąży krew w żyłach.

Dzehutimes tylko czekał tego rozkazu:

— Najjaśniejsza pani, niegodny ciebie portret jest już gotowy. Znajduje się tam, w tamtym rogu pracowni. Różowy piaskowiec gotów jest ożyć w każdej chwili.

Achtoj ociosał kamień, który ma służyć jako strój głowy. Pomalowany został z należytych przepychem i mistrzostwem. Jestem gotów pokazać ci twój portret z różowego piaskowca i wydaje mi się, że w oczach twych dojrzymy łaskawą pochwałę dla naszych wysiłków. Ale czyż można pokazywać martwy kamień?

Królowa zwróciła się do Ka-Nefer.

— Można?

— Nie — odparła Ka-Nefer. — W pustyni dużo jest martwych kamieni. Więcej niżeli dosyć. Czyż pokazują je rzeźbiarze? Nawet jeżeli to jest różowy piaskowiec?

— Słyszałeś, Dzehutimesie?

— O, tak!

— To jest również i moja odpowiedź. Kamień, ożywiony ręką rzeźbiarza, jest dziełem godnym obejrzenia! Ale nie martwy kamień pustyni.

— Istotnie tak jest, najjaśniejsza pani!

Księżniczka klasnęła w rękę. Twarzyczka jej była rozpromieniona. Odbijał się w niej radosny blask twarzy matki, młodej i pięknej.

— Ja kocham żywe kamienie! — powiedziała księżniczka.

— Nawet dziecko — zauważyła Nefertiti.

Achtoj i Tihotep nie spuszczały oczu z królowej — oczu mistrzów, znawców swego rzemiosła. Achtoj spoglądał na prawą stronę twarzy Nefertiti, Tihotep na lewą. Patrzyli z pietyzmem i uparciem. Z miłością, ale badawczo. I ci, co rozrabiali glinę w sąsiednich pokojach, i ci, co tłukli gips i przygotowywali wodę, także obserwowali królową. I każde z tych oczu było niby oko mędrca odkrywającego wielką tajemnicę.

Dzehutimes nadal stał przed królową, jak gdyby zagradzał jej drogę do pracowni. Tak, on nie chciał, aby tu weszła nie wysłuchawszy jego wyjaśnień.

— Najjaśniejsza pani, jak już mówiłem, w tamtym rogu pod białym pokrowcem znajduje się twój portret. Jest gotowy. Prawie gotowy. Ale to jeszcze nie jest twój portret. Dlaczego nie mówi on twoimi słowami? Twoim głosem? Czemu nie uśmiecha się twoim uśmiechem? Czemu nam nie rozkazuje? Czemu nie wypowiada słów wielkich i tkliwych? Przecież to twój sobowtór. Cóż z tego, że ty jesteś z ciała i krwi, a tamten z różowego piaskowca? I piaskowiec jest tak samo nieśmiertelny, jak nieśmiertelne jest twoje oblicze!

— Ka-Nefer — powiedziała królowa — czy nie ukarać Dzehutimesa za tak wyolbrzymiony sąd o mojej osobie?

— Nie — odrzekła Ka-Nefer i dodała z iście kobiecą bezpośredniością: — To o sobie ma on przesadne pojęcie. Czyż tego nie czujesz?

— Doprawdy? — królowa skrzyżowała ręce na piersi. Czyniła tak, gdy pragnęła być tylko kobietą, potężną, wszechmocną w swoim pięknie, któremu niepodobna się oprzeć. Jak każda zresztą kobieta...

— Nie — odrzekł Dzehutimes — szanowna Ka-Nefer nie ma słuszości. Niezupełnie ma słuszość. Szukałem owego jedyne go rysu, który by ożywił portret, który zmusiłby krew do krążenia — prawdziwą, czerwoną krew — pod osłoną kamienia. Powiedziałem Achtojowi: „Znajdź ten rys. Jest on w twarzy najjaśniejszej pani”. Powiedziałem Tihotepowi: „Znajdź rys. Jest on w twarzy najjaśniejszej pani”. Nie wiem jednak, gdzie on jest: w kącikach ust czy na owalu powiek? Na czole czy na brodzie? Nie wiem, gdzie! Powiedziałem i tym, co mieszają glinę, i tym, co miały gips, i tym, co noszą wodę: szukajcie tego rysu, powiedzcie, gdzie on się znajduje, albowiem portret ciągle jeszcze jest martwy, a ma być żywy. I postanowiliśmy tak: ty, najjaśniejsza pani, pójdiesz od bramy do tego progu sama, bez nas. Będziesz myślała o swoich sprawach; rozgniewasz się, że lekceważymy swoje obowiązki, albo ucieszysz się, że nikt z nas nie przerwał biegu twych myśli. Będziesz sobą. A my postaramy się podpatrzeć ów jedyny rys, jedną kreseczkę na wielkim obliczu, która uwieńczy nasze trudy wielkim rezultatem! Nie po prostu rezultatem, ale rezultatem wielkim! Stałem tutaj i patrzyłem na ciebie. Obserwowali cię Achtoj i Tihotep. Cała pracownia spoglądała na ciebie z zapartym tchem. Oto wszystko!

Królowa poprawiła ciężkie kolczyki. Spojrzała Dzehutimesowi w oczy. Tak, to były oczy zakochanego. Oczy dzikiej sarny — niezmiernie czarne, a zarazem jasne niby zwierciadło. Przejrzeć się w nim można jak w wodzie. Ten młody rzeźbiarz ciągle jeszcze nie żonaty. Mówią, że nie ma też nałożnic... Czyżby to wszystko z powodu owej przysięgi? Ona pamięta to tak, jakby zdarzyło się wczoraj. Pamięta, jak powiedział: „Ten, kto trzyma taką rękę, powinien być jej wierny całe życie”. Na co królowa odpowiedziała: „Czyż ktokolwiek bywa wierny przez całe życie?”

Dżehutimes rzucił jej spojrzenie tych swoich oczu — oczu dzikiej sarny. Był bardzo dotknięty: dlaczego nie wierzy ona w szczerść jego słów? Oczywiście że przez całe życie! Królowa uśmiechnęła się wtedy swym tajemniczym, znaczącym uśmiechem. Jak gdyby mówiła: „Dobry, dobry człowieku! Kto słyszał zarzekać się na całe życie?” Rzeźbiarz zaczerwienił się gwałtownie. Oczy mu nabiegły krwią. Klęknął i powiedział, jak gdyby składał przysięgę: „Daję słowo, że będę wierny całe życie!” Czy naprawdę dotrzyma słowa danego w chwili uniesienia? „Wstań!” — rozkazała wtedy, on zaś usłuchał pokornie.

Od tego czasu minęło pięć lat. Od owego zdarzenia w pracowni. A rzeźbiarz Dżehutimes ciągle jeszcze nie jest żonaty, nie znalazł sobie pani domu. Może trzeba zwolnić go od przysięgi?

Królowa mówi:

— Pamiętam twoją przysięgę, Dżehutimesie.

I z lekka wyciąga ku niemu prawą dłoń. Owego dnia przed laty rzeźbiarz robił model jej ręki.

— Ja też pamiętam, najjaśniejsza pani.

Cóż, zrozumieli się nawzajem. Królowa idzie w stronę tego rogu pracowni, gdzie pod białym pokrowcem stoi rzeźba z różowego piaskowca. A po drodze, nie odwracając się:

— I cóż, Dżehutimesie, czy znalazłeś ten rys, którego szukałeś tak uparcie?

Dżehutimes zwraca się z tym samym, ale niemym pytaniem do Achtoja. Ów przeczy ruchem głowy. Tihotepowi wydaje się, że odkrył ten rys, ale nie jest bardzo pewny.

— Najjaśniejsza pani — wtrąca Ka-Nefer śpiesząc za wielką panią — nie znaleźli go. I z pewnością raz jeszcze wypadnie ci przybyć do tej pracowni, zanim się on znajdzie.

— Możliwe — zgadza się królowa — sztuka wymaga

nieustannych wysiłków. Napatrzyłam się na to. A przedtem zdawało mi się, że wymodelować portret to nic trudnego, wystarczy tylko zdecydować się na uwalanie sobie palców gliną.

Stała przed warsztatem. Cóż tam jest, pod tym białym pokrowcem? Kiedy tak stała przez chwilę, doznała nagle wrażenia, że spojrzął na nią król. Cudownym jakimś sposobem poczuła na sobie jego spojrzenie. Był jakby o coś zły, nawet oburzony na nią. Ale złość jego od razu minęła. Uleciała w mgnieniu oka. Król powtarzał z uśmiechem: „Kocham cię wiecznie... Kocham cię na wieki”. Nie chciała słuchać tych słów. Wtedy. A teraz już ich usłyszeć nie mogła. Ponieważ „teraz” to już nie jest „wtedy”. Gdybyż mogły zamienić się miejscami te dwa krótkie wyrazy! Ona była młodsza „wtedy”, a jednak rozumiała, że nie istnieje wieczna miłość, jak nie istnieje wieczne życie poza Polami Iaru... „Teraz” chce wierzyć w wieczną miłość, chciałaby myśleć, że jest taka miłość. Wszak i ten rzeźbiarz przysięga jej wieczne przywiązanie. A może to wszystko jest kłamstwem?

Dzehutimes w milczeniu zdjął białą płachtę z kamiennego posągu. Oddał ją Tihotepowi. I spojrzął na królową. Ka-Nefer nie spuszczała z niej oczu. Achtoj także... Tylko księżniczka ze zdziwieniem przyglądała się nie tej, lecz tamtej, innej matce, która miała twarz z różowego piaskowca.

Dzehutimes ciągle szukał owego rysu. Jedyne rysu, który mógł i powinien był tchnąć życie w zimny kamień. Królowej lekko drżały wargi. Twarz jej była pełna majestatycznego spokoju. Patrzyła nieruchomo. Bardzo długo. Spoglądała jak gdyby w zwierciadło i jakby nie rozumiejąc, co się stało.

Powiedziała cicho:

- Czyż ta praca nie jest skończona?
- Nie, najjaśniejsza pani.

- Cóż zostaje? Włożyć kamienne nakrycie głowy?
- Nie.
- A co?
- Znaleźć rys. Za wszelką ceną!
- A w przeciwnym razie?
- Portret zostanie w tej pracowni wśród prac niewykończonych.
- Co za okropność!
- Taka jest moja zasada.
- Okrutna zasada! Mnie się zdaje, że jeszcze chwila, a ten portret przemówi. To jest mój sobowtór. Czyż musi on rozchylić wargi i wypowiedzieć słowa, abyś był zadowolony ze swej pracy?

— Nie — odparł Dzehutimes — jeżeli poruszy ustami, każę go zabrać od siebie i wynieść jak najdalej. Rzeźbiarz winien tchnąć żywą duszę w martwy kamień. Wszelako istnieje granica. Kto ją przekroczył, zginie. Każdy ojciec i każda matka rodzają żywych ludzi. Ale rzeźbiarzami ich przecież nie nazwiesz, pani!

Królowa pomyślała chwilkę. Odwróciła się ku Achtojowi. Potem ku Tihotepowi. Mimo woli porównała ich z Dzehutimesem. I powiedziała sobie: „Ten z krótką rudawą peruką — taki nieduży, a taki wielki — urodził się rzeźbiarzem. Dzehutimes jest wybrańcem losu. Szczególnego. Niezwykłego”.

Ka-Nefer przypatrywała się wyrzeźbionemu portretowi z nieukrywanym zaciekawieniem. Uprzytomniła sobie w duszy, że dotychczas nie знаła królowej. A właściwie nie widziała jej taką, jaką zapewne jest naprawdę. Powiedzieć, że królowa jest ładniejsza, nie sposób. Twierdzić, że rzeźbiarz stworzył portret piękniejszy od oryginału, też nie można. I model, i ten różowy piaskowiec żyły samoistnym życiem, nawzajem od siebie niezależne. Obraz, który zrodził inny obraz, żył w tym świecie, tak jak żyją dorosłe dzieci z dala od rodziców. Same zdobywając sobie chleb powszedni, ciesząc się radościami i smucąc się w

bólu. Czy było to odkrycie Ka-Nefer? Czy Achtoj nie mówił jej właśnie o tym? Mówił. A jednak teraz dopiero zrozumiała, co to znaczy, że portret podobny jest do oryginału, a jednocześnie żyje własnym życiem.

Dzehutimes powiedział:

— Najjaśniejsza pani, tam oto, za zasłoną, stoją rzeźbione podobizny księżniczek. Czy życzysz sobie spojrzeć na nie?

— Tak.

Dał znak. Niewidoczne ręce rozsunęły zasłonę z gęstej tkaniny. I królowa ucieszyła się ujrzawszy córki umieszczone na półce z hebanowego drzewa. Nawet zmarła Meketaton stała tutaj — żywa wśród żywych.

— O wielki Atonie — odezwała się królowa — to one! Zupenie jakby się do mnie wyrywały. Tak, to one. I główki — wszystkie co do jednej — to główki moich córek!

Przy tych słowach poglaskała stojącą obok niej księżniczkę. Poglądziła jej włosy, namaszczone pachnidłami Reczenu i zaczesane do tyłu. I przewiązane wstążką.

— Czy nie wydaje ci się — powiedziała zwracając się do Dzehutimesa — że głowy te są nieco dziwne?

— Tak, tak mi się wydaje.

— Dlaczegoż więc nie poprawić by ich trochę?

— Najjaśniejszy pan odrzuciłby je.

— A ja? Czy mój sąd nic tu nie znaczy?

Głowa rzeźbiarza mocno była osadzona na szyi. Taka czworokątna głowa na ordynarnej chłopskiej szyi. Odezwał się w odpowiedzi:

— W tym wypadku słuszność ma król.

— A ja?

Dzehutimes spojrział w jej promienne źrenice, których już sam widok — to prawdziwe szczęście dla zwykłego śmiertelnika.

— Ty nie masz słuszności, najjaśniejsza pani.

Odwróciła się nagle. Tak nagle, że jej szata, gdyby nie była mocno przewiązana w pasie, spadłaby jej z ramion.

Królowa płonęła niczym poranna zorza nad Grzbietem Wschodnim. Nozdrza jej nabrały barwy różowej i rozszerzyły się. Brwi, podmalowane węglem drzewnym, pochodzącym z Ta-Neter, stały się podobne do dwóch skrzydeł.

— Lubię szczerość! — zaśmiała się królowa. — Lubię Dzehutimesa. A ty? — spytała zwracając się do Ka-Nefer.

Ale wszak i Ka-Nefer była kobietą:

— Pani, bywają mężczyźni jeszcze nieuleklejsi.

— Jak powiedziałaś?

— Nieuleklejsi.

— Wyraz ładny, choć nie całkiem poprawny... Z pewnością bywają.

Zza szarej zasłony powoli wysunął się Nefteruf. Taki potężny, taki mocny jak kolumna w świątyni Atona, podpierająca ciężki dach.

Nefertiti widziała go po raz pierwszy. Nie знаła go wcale. Był tak niepodobny do tych rzeźbiarzy tworzących żywe kamienie.

Nefteruf zgiął się w głębokim, najgłębszym, niesłychanie wytwornym ukłonie.

— Kto to? — spytała Dzehutimesa królowa.

— Pani — pośpieszyła z odpowiedzią Ka-Nefer — jeżeli kiedykolwiek będzie ci potrzebny niewolnik, nie znajdziesz bardziej oddanego. Chodził po ulicach z małą małpką. A teraz miesza glinę u sławnego Dzehutimesa.

Rzeźbiarz skinął potakująco głową.

Ka-Nefer obejrzała Nefterufa od stóp do głowy:

„...Kipi w nim siła. Pieni się jak woda spadająca z wysoka w skalne łożysko potoku”.

— Najjaśniejsza pani, on będzie wierniejszy od psa.

— Czy sam ci to mówił?

- Nie.
- Skądże więc możesz o tym wiedzieć?
- Spójrz na niego: te oczy pełne blasku błyskawic, te wargi drżące nabożnym wzruszeniem.
- Naprawdę? Wargi drżące nabożnym wzruszeniem?
- Ach, najjaśniejsza pani, może się myłę. Królowa uśmiechnęła się figlarnie:
- Żałowałabym tego.

„...Królowa wcale się nie rozgniewała. Okazała pełną łaskawości pobłażliwość wobec tego zuchwałego mężczyzny, spoglądającego na nią jak na równą sobie.”

Królowa powiodła powolnym spojrzeniem po portretach swoich córek i na chwilę znowu zatrzymała wzrok na niezwyklej postaci Neferufa. Ów zaś stał, skrzyżowawszy dłonie na piersiach i opuściwszy głowę, jak gdyby zjawił się tutaj, by prosić o wybaczenie. Królowa uśmiechnęła się do siebie: „W moim położeniu każda żywa dusza jest bądź co bądź oparciem...”

Dżehutimes dał znak Neferufowi, który pociągnął ku sobie brzeg zasłony. I dziewczęce kamienne głowy znikły. Neferuf także został za zasłoną. Królowa westchnęła z ulgą: zbyt mocno błyszcząły oczy tego nieznajomego.

— Dżehutimesie, wróćmy jednak do mojego portretu. Znalazłeś ów rys czy nie?

Rzeźbiarz nie śpieszył się z odpowiedzią.

Ku portretowi podszedł Achtoj i nakreślił w powietrzu linię dokoła ust: tutaj chyba jest właśnie ten poszukiwany rys. Tiho-
tep zaś wskazał brwi i zadziwiająco piękny wykrój nozdrzy...

Dżehutimes pogrążył się w jeszcze większej zadumie. Podparł ręką brodę. I myślał, myślał...

Tymczasem królowa obejrzała portret ze wszystkich stron. Uważnie. I nagle wyobraziła sobie, że jest zmarłą. Oto leży w roztworze soli, poprzednio wypatroszona już przez paraschitów. Jak ryba... A ten jej kamienny posąg stoi u wezgłowia.

I uśmiecha się... Albo coś jeszcze gorszego. Oto ona — za namową swej rywalki Kii i na rozkaz faraona — zostaje zaszyta w worek i delikatnie spuszczonej w wody Hapi. Tonie żywa. Nie ma czym oddychać... Zabili ją!... A ten kamienny posąg stoi na swoim miejscu i uśmiecha się. Z tak pięknie wygiętą szyją...

Pod królową omal nie ugięły się nogi. Ale opanowała się szybko: nie, ona nie okaże słabości! Ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej. Ani dziś, ani później!

Dzehutimes nie odrywając oczu od różowego kamienia powiedział:

— Najjaśniejsza pani, pomocnicy moi na pewno mają słuszość. Ale pozostaje rozstrzygnąć: czy rysu tego szukać nad oczami, czy koło górnej wargi. Będziemy jeszcze nad tym myśleć.

Dzehutimes kładzie dłonie na ramionach Achtoja i Tihote-pa, po czym mówi:

— Gdyby nie oni, nie ich oczy, nie ich ręce, Dzehutimes zapłatałby się w stu dziwnych zagadkach, jakie sztuka rzeźbienia co chwila nam zadaje.

Były to słowa wielkoduszne, ale królowa już ich ocenić nie mogła: przed oczyma jej znowu jęły przesuwac się obrazy przeszłości, kiedy stała tu obok niego, wśród zwałów gliny i utartego na proszek gipsu. Jakże była szczęśliwa i jak długowieczne wydawało się to szczęście!

— Chodźmy stąd — powiedziała królowa biorąc księżniczkę za rękę. Jakaś siła kazała jej obejrzeć się na zasłonę: stał tam Nefteruf.

Sorru, Sorru, Sorru...

Czym jest życie ludzkie? Czy naprawdę tylko cieniem na ścianie, jak twierdzi pewien pisarz starożytny? Czyżby tylko plamą światła na wodzie, jak mówił inny? Dlaczego Sorru jest smutna? Po cóż te myśli o cieniach, o śmierci?

Leży pólnaga. Jej piersi rozchyliły się w obie strony. W jego oczach chwieją się cienie. Te same, o których mówi Sorru. Mówi, ledwo poruszając wargami. Jakby mówiła do siebie. Leży na macie i jej smagłe ciało jest tylko trochę jaśniejsze od brązowej maty. A gdyby tak wziąć jej palce w swoje dłonie? Co ona powie: czyżby i jej palce to były cienie, koła na wodzie, miraża na pustyni? Oto te palce, cienkie niby trzcinki.

On do niej mówi:

— Ścisnę twoje palce.

Ona milczy.

— Skoro milczysz, to ścisnę.

Nawet brwi jej nie drgnęły.

— Jeszcze mocniej? Nie będzie bolało?

Oczy jej są smutne. Dotknęła wargami czarki z winem.

— Czy naprawdę nie boli?

...Alboż to wino jest lepsze niż aramejskie? Czyż w jej dalekiej ojczyźnie wino nie jest tak samo smaczne? Nawet lepsze!...

— Połamię ci palce...

Niby daleki sen budzą się wspomnienia o rudej ziemi i błękitnych rzekach. Przecież to było wczoraj! Zaledwie pięć lat temu! Czyż nigdy się ten sen nie skończy?

— One zaraz się złamią i zostaniesz bez ręki.

Jakże ci ludzie popadają w szaleństwo? Nie ci, których kęsają wściekłe psy, lecz ludzie, których nie kęsa nic prócz plu-skiew...

— Nie, szkoda mi twoich palców. Lepiej je pocałuję.

Biorą człowieka i odrywają go od matki i od ojca, od rodzinnej zagrody, od strzechy, i wiozą daleko. I tam, het, daleko, człowiek odchodzi od zmysłów. Po prostu traci rozum, przypuszczając, że tak być powinno. Taki człowiek staje się cieniem, który leży na ziemi w niezbyt jasny dzień.

— Jeżeli nie przestaniesz marzyć, to się rozgniewam.

Sorru siada na łóżku.

— Ja nie marzę.

— Myślisz o swoim ukochanym?

— O kim?

— O ukochanym?

— A któż to taki?

— Posłuchaj, Sorru. Chcesz, abym uwierzył, że o nikim nie myślisz?

— Nie chcę!

— Co to znaczy: nie chcę?

— To znaczy, że myślę. Właśnie. Mocno. Do szaleństwa.

Tihotep unosi się z lekka. Trochę się od niej odsuwa. Aby widzieć Sorru lepiej. Rzeźbiarze przywykli cofać się o krok, żeby łatwiej dostrzec różne drobne szczegóły na posągach.

— Pytam cię: gdzie jesteś teraz myślą? Czemu nie ze mną?

— Powiedzieć ci prawdę?

— Tak!

Sorru ponownie ułożyła się na plecach. Jej małe piersi są niby niedojrzałe gruszki. Jak piękne jest to smagłe ciało! Różowe są tylko policzki, płatki uszu i dłonie. I nogi ma piękne, takie długie. Stopy także całkiem różowe. Jakby dopiero przed chwilą Sorru przyszła na świat, jakby nie chodziła po ziemi. Pieszko.

— Pytasz mnie, Tihotepie, czemu nie jestem z tobą, ale gdzieś daleko. Swoimi myślami.

— Tak, pytam.

— Oto leżymy tu oboje u ciebie. Na twojej ziemi. A gdyby było nie tak?

— Jak to nie tak?

— Gdyby to był mój dom! Moja ziemia!

Tihotep się zdziwił:

— Twoja ziemia?

— Tak. Gdzieś w oazie pustyni aramejskiej.

— Obejmowałbym cię tak samo gorąco.

— A potem?

— Nie rozumiem.

— Objąłbyś mnie. A potem?

— Kochałbym cię. Myślałbym o tobie.

— Nie wierzę! Miałbyś co innego w głowie.

— Ale co, Sorru?

— Swój kraj! Przyznaj się, że tak by było!

— Pewno! Umarłbym — powiedział młody rzeźbiarz.

— Ze smutku? Z tęsknoty?

— Tak.

— Marzyłbyś o Kemi?

— Tak.

— No widzisz! — Sorru wpatrywała się w niebieski sufit. Oczy także miała niebieskie. A tam gdzie są źrenice, barwa była nieco ciemniejsza. On nazywał ją Niebieskooką. Przycisnął policzek do jej policzka.

„...Oto leżysz z prześliczną kobietą, myśląc jedynie o jej

niewypowiedzianym uroku, i nagle dowiadujesz się, że ona myśli i jest pełna troski. I goryczy, bólu jest pełna!...”

— Posłuchaj no, Sorru, a czy ty nie możesz nie poddawać się smutkowi? Albo chcesz może, abym i ja rozpamiętywał wszystkie niedole? Żebym je wspominał po to, by się przed tobą użalić i popłakać? Tak bardzo pragnąłem spędzić godzinę z tobą, a ty patrzysz gdzieś w dal. Prosto w niebo.

— Powinieneś wiedzieć, że jestem nie tylko z mięsa i kości.

— Wiem.

— Że po mojej głowie także snują się myśli.

— Wiem o tym.

— Że mogę się smucić. I nawet zapłakać.

— Zapłakać, moja Sorru, możesz. Nawet ci z tym do twarzy. Ja nie lubię takich chichotek, które są obojętne na wszystko. Ale zgódź się ze mną, że smutek to nie jest rzecz czysto kobieca.

— Męska?

— Przede wszystkim!

Tihotep nalewa wina do małej czaszy i podaje dziewczynie. Ona ani drgnie. Stawia więc czaszę między jej piersiami. Pochyła się nad nią i pije wino. Z czaszy, jak gdyby z piersi. Sorru mówi:

— Nalej i mnie.

Tihotep śpieszy spełnić jej życzenie. Czasza jest pełna po brzegi. Rzeźbiarz trzyma ją ostrożnie w dłoniach, aby wina nie rozlać. Sorru siada z ożywieniem. Już przygnęła gorącymi wargami do chłodnego brzegu naczynia. Bardzo dobre wino!

— Jeszcze! — mówi Sorru.

Tihotep ponownie napełnia czaszę. Ona pije jednym tchem i mówi:

— Jeszcze!

Wino — istna czerwona krew — z jednego naczynia przepływa

do drugiego, jeszcze piękniejszego. A jej wargi jakby przyrosły do czaszy.

— Jeszcze!

Tihotep jest w rozterce: czy nalewać?

— Jeszcze! Wcale nie jest mocne. I czasem masz jak naparstek.

Trzeba ustąpić. Nieczęsto wszak zdarza się przyjmować winem taką piękność jak Sorru. Jednakże Tihotep nie przestaje zadawać sobie pytania: „A co będzie potem?” Pijany mężczyzna budził w nim zawsze obrzydzenie. A pijana kobieta? Choćby nawet piękna? Nie, nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała pijana Sorru. Jest zupełnie naga, czarująca w tej nagości — po cóż jeszcze to wino?

Sorru wskazała oczami pustą czaszę. On jednak powiedział: „Nie”.

Kobieta nadal uparcie patrzyła na czaszę.

Rzeźbiarz był nieustępliwy. Prawie nieustępliwy. Sorru pogłaskała go dłonią, miękką jak ręka dziecka, i poddał się. Zmiękł. Niepodobna odmówić takiej pięknej dziewczynie jak Sorru.

Pociągnęła łyk. Jeszcze łyk. To wino kryło w sobie ogromną moc, toteż źrenice kobiety stawały się coraz ciemniejsze, a w samym ich środeczku rozpałał się żar. Ogień!

Ale Sorru nie dopiła ostatniej czaszy. Odsunęła ją ręką:

— Nie. Wino nie pomaga.

Włosy miała rozpuszczone. Piersi odchylone ku bokom. Usta półotwarte.

— Nie chcę wina. Chcę mówić. Mężczyźni nie lubią niepotrzebnych słów. Ci, co przychodzą do pokoi, leżących w głębi sklepu Usercheta. Płacą i żądają pieszczoty. Słów nie pragną. Ot, koleżance Mai jest bardzo dobrze. Ma pustki w głowie. Jej wszystko jedno, gdzie żyje...

— A tobie, Sorru?
— Mnie — nie.
— Czy piękny Achetaton to „wszystko jedno, gdzie”?
— Tak!
— Nie podoba ci się tutaj?
— Nie!
— Ludzie ze wszystkich krajów marzą o pobycie w Achetatonie.

— To tylko tobie tak się zdaje. I waszemu faraonowi. Ja wolę swoją rodzinną oazę w kamiennej pustyni.

— I brud?

— Może nawet i brud. Czyż ty naprawdę nie rozumiesz, że to życie, jakie ja pędzę w waszym przeklętym Achetatonie...

— Narzuć na siebie odzież, Sorru. Nie mogę rozmawiać. Zacznę cię całować.

Sorru ubrała się.

Słońce kryje się za żółtymi piaskami Pustyni Zachodniej. Cienie kładą się na ziemi — długie i ciemne. Tutaj, wśród cieni-
stych drzew, pod wysokim stropem altany, zdawała się zasty-
gać cisza. Przedwieczorna. Otwierająca drogę miłości. I niebo
ma tę samą barwę, co jej oczy. I niebo jest wysokie niby rozpię-
ty nad światem namiot. Jak sama cisza.

— Nienawidzę was — powiedziała Sorru twardo.

— I mnie?

— Nie wiem. Kemi to wróg swoich sąsiadów. Wasz faraon jest okrutny i nie przebacza obrazy. Chcę umrzeć.

Nie płakała. W jej oczach nie było ani jednej łezki. Tihotep jest zmieszany. Nie wie, co począć z rękami. Z całym sobą. Co on słyszy? Jakie słowa?

— Z takich jak ja wasz faraon robi niewolników. Obcina wrogom ręce. Przyniósł nieszczęście naszej oazie.

Tihotep słucha jej wypowiedzi. Jest cierpliwy. Znosi obelgi, jakich sam nie rzuciłby nikomu. Przeklinają go za coś, czemu nie jest winien.

Mówiła długo. Dopóki nie zaszło słońce. Nie tknęła ani wi-
na, ani owoców. Mówiła o ludzkiej dobroci, o miłości do ma-
łych oaz i ich mieszkańców. Wołała o litość. Ale kogo? Tihote-
pa, który nie obraził ani jednego kamiennego posągu, a cóż
dopiero żywej istoty?

Jej słowa brzmiały jak modlitwa. Ale do jakiego boga? Do
boga Kemi czy do aramejskiego? Mówiła zapominając stop-
niowo o swoim osobistym bólu, mówiła o sercach nieznających
wrogości. Zdawała się nie dostrzegać Tihoteпа. A może zapo-
mniała o jego istnieniu? Ta mała sprzedaj na kobietka z han-
delku Usercheta...

Czas mijał. Słowa jej płynęły budząc w sercu niepokój.
Chwilami spoglądał na nią uważnie: mała, płonąca żądzą Sorru
przeobraziła się w rozumną kobietę. Nieoczekiwanie przyszła
mu do głowy bluźniercza myśl, aby porównać ją z królową. Ale
natychmiast odpędził tę myśl od siebie, albowiem porównanie
nie wypadłoby na korzyść najjaśniejszej pani... Ta mała sprze-
dajna kobietka z handelku Usercheta...

Wreszcie umilkła.

A on czekał.

Sorru siedziała objawszy rękami przyciśnięte do piersi ko-
lana.

Tihotep czekał. Czy skończyła? Nie skończyła! Zbiera myśli?
Nie, już się wygadała. Sorru spuściła oczy. Spuściła głowę. I
włosy jej dotknęły maty posłania.

Zaczął ostrożnie. Niepewnie. Znał nieźle wszystko, co doty-
czyło pracy rzeźbiarza, w ogóle — sztuki. A tu nagle wypadło
mówić o wojnie i pokoju, o ludziach z rozmaitych krajów. Tiho-
tep poczuł ogromne ubóstwo swojej wiedzy. Nie, nie miał naj-
mniejszego wyobrażenia o Aramejczykach, o ich ziemi, o życiu.
Nigdy nie widział kraju Dżahi. Wyspę Isi znał również tylko ze

słyszenia. Tihotep nie dotarł nigdy w górę Hapi poza pierwszą kataraktę. Nie wojował. Nie był ranny. Cóż mógł powiedzieć? Jej, którą oderwano przemocą od rodzinnego ogniska, od matki i ojca, od braci i sióstr? Która pod obcym niebem doznała upokorzenia, głodu i chłodu?

I zaczął przypominać sobie słowa królowej, które sam słyszał i o których opowiadano. Wziął jej dłoń w swoją, głaszcząc tę małą rękę, delikatną niby płatek polnego kwiatu.

— Sorru, chcę ci coś powiedzieć i otworzą ci się oczy na niejedno. To będą słowa szczere. Zrobię wszystko, abyś mnie pojęła, a pojawszy stała się bardziej wyrozumiała dla tego kraju, gdzie znalazłaś dach nad głową.

— Co za dach? — zapytała Sorru złośliwie.

— Zwyczajny.

— Ty nazywasz dachem nad głową sklep Usercheta? A co byś powiedział, gdyby na moim miejscu znalazła się twoja siostra?

— Moja siostra?

— Tak. Rodzona siostra. Albo niechby nawet córka twojego wuja. Co byś powiedział?

— Nie myślałem o tym.

— A jeżeli pomyślisz?

Nie dawała za wygraną. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągnęła Tihotepa ku sobie blisko, zaglądała mu w oczy.

„...Jakże ja mogłem nie zdawać sobie sprawy, że ludzie na całym świecie są ludźmi? Oto jeszcze jeden przykład: Sorru! A przecież wydawała się beztroską ptaszyną, oddającą się miłości za kawałek złota...”

— Sorru, oto już dziesięć lat Kemi nie prowadzi wojny...

— Kto ci to powiedział? — pyta nie zwalniając uchwytu rąk, którymi oplótła jego szyję.

— Wszyscy o tym wiedzą.
— A ja?
— Co — ty?
— Mówisz „wszyscy”, to znaczy, że i ja. Ale ja jestem świadkiem czego innego: wojna trwa nieprzerwanie! Wre na granicach Kemi...

— Napadają na nas... Więc i wojna...
— Za cóż was nienawidzą?
— Kto nas nienawidzi?
— Wszyscy!
— Mogę powiedzieć tylko tyle: ani jeden nasz żołnierz nie przekroczył granicy na rozkaz faraona. Kemi daje przykład szlachetności. Sąsiedzi są przez nas szanowani, jak gdyby byli ludem Kemi. Istnieje najsurowszy rozkaz, aby pokój i przyjaźń panowały na granicach Kemi z państwami ościennymi. To jest wszystkim dobrze znane, możesz mi wierzyć!

— Więc dlaczego giną ludzie i nieustannie słychać szczeł mieczy i rżenie oszalałych koni?

— Idą przeciwko nam Hetyci, księżęta Reczenu, wasi księżęta, królikowie Dżahi, księżęta Etiopii. To oni napierają na naszych żołnierzy. Wierz mi, Sorru! A faraon jest przeciwny wojnie z sąsiadami!

— W takim razie sąsiedzi winni być o tym powiadomieni.
— To już zostało zrobione!
— Kiedy?
— Dziesięć lat temu. I pięć lat temu. I trzy lata temu. I trzy dni temu.

Puściła jego szyję. Nawet odsunęła go od siebie. Wprawdzie niebrutalnie, albowiem okazał się istnym dzieckiem, które spogląda na świat niewidzącymi oczami. Powiedziała mu o tym swoim wrazeniu. Tihotep, ku zdziwieniu Sorru, przyznał jej słusność. Uśmiechnął się gorzko. Pomyślał chwilę i powiedział:

— Z pewnością masz rację, Sorru. Dzień i noc myślę

tylko o swoich rzeźbach. Nawet kiedy śpię, wydaje mi się, że mam w rękach glinę i że ugniatam ją palcami. Dopiero kilka dni temu, zobaczywszy ciebie, zacząłem myśleć również o tobie.

— Jak o kawałku gliny?

— Prawie! — Odpowiedź była szczera.

I to jej się podobało.

— Miła mi jest twoja szczerość. Poczułam ją jeszcze tam, w sklepie... Więc co ty o mnie myślisz?

— Ciągle jesteś tutaj, o tu! — Tihotep dotknął palcem czoła.

— A Mai?

— Co Mai?

— I ona też tam jest?

— Tylko ty jedna tutaj jesteś.

— Tylko, tylko, tylko?

— Tak.

— Nie, ty mi odpowiedz: tylko, tylko, tylko?

Roześmiał się. I żeby zrobić jej przyjemność, wykrzyknął:

— Tylko, tylko, tylko, tylko!

— O, tak to lubię!

Rzeźbiarz objął jej ciało. Potem, okrywając ją pocałunkami, schodził coraz niżej, aż przypadł ustami do jej nóg. I całował je, jak gdyby pił, jak gdyby pił wodę w Pustyni Zachodniej. Chciwie, chciwie! Leżał u jej nóg — niby człowiek, przerażony wyciem pustynnej burzy piaskowej i oczekujący od ziemi obrony i ratunku. I w przyływie serdecznego uczucia wyszeptał:

— Sorru, kocham cię bardzo. Okazałaś się mądrzejsza ode mnie. Oczy twoje dalej widzą niż moje.

Sorru jest mądra. Ale to przecież kobieta. Więc mówi:

— Prawdę powiedziałeś o Mai?

— Najprawdziwszą!

— Mai jest piękna. Umie oczarować, urzec. Nikt nie oprze

się jej czarom, jeżeli ona tego zapragnie. Jej dziewięć zaklęć może zadać cios w samo serce.

— Nie wierz temu, Sorru.

— Gotowam nie uwierzyć. Z całego serca. Ale sama wszystko widziałam. Chcesz, żeby i ciebie urzekła?

— Nie wystarczyłoby jej sił.

— Mai uczyła się u pewnej Babilonki. Takiej starej. Bez-
zębnej. Ona pokochała Mai jak córkę. Musisz dać słowo, że
będziesz się jej wystrzegał.

— Daję!

— A przysięga? Gdzie przysięga?

Tihotep przysięgł. Wrócił mu dobry humor. Ująwszy Sorru
pod brodę odwrócił jej głowę nieco bokiem i patrzył z zachwy-
tem. Jako rzeźbiarz i jako mężczyzna.

— Oto jest twarz, którą chciałbym wykuć w kamieniu. I
będziesz stała w pracowni obok królowej. Mogę to zrobić...

— Żebym ja stała obok niej? — przerwała Sorru.

— Tak.

— Obok żywej?

Rzeźbiarz jak gdyby oprzytomniał. Zmrużył oczy, przyglą-
dając się Sorru dokładniej.

— A ty byś chciała stać razem z żywą?

— Tak. Choćby dlatego, żeby nie leżeć w tylnych pokojach
Usercheta. Jeżeli stoi się obok królowej... Och, żebyś ty wie-
dział, jak wstrętne są dla mnie mężczyźni!

On przekręca jej głowę troszkę w prawo, potem troszkę w
lewo.

— Jesteś stworzona, aby żyć w kamieniu... W różowym
kamieniu, Sorru... Jeżeli światło padać będzie z tej strony,
oświetlając twój lewy policzek, piękność twoja się potroi. I
kamień będzie wart sztaby złota. A może jeszcze więcej.

— Cóż może być więcej warte?

- Ty! Ty jesteś więcej warta!... A więc i ja — tak jak oni?
- Nie rozumiem.
- I ja jestem dla ciebie wstrętny?
- Co znowu!
- Nie, chyba lepiej, żeby światło było z prawej...
- Tylko z tobą mogłam porozmawiać o swoim bólu.
- To prawda?
- Tak, prawda.
- I nos twój jest zdumiewający. Takiegom jeszcze nie widział... Dlaczego tylko ze mną? Budzę w tobie ufność?
- Tak.
- Ale jestem wszak taki sam jak wszyscy...
- Z początku także mi się tak zdawało. Bałam się myśleć o tobie inaczej. Aby się nie oszukać. Ale potem zrozumiałam, żeś ty nie taki jak oni. Jesteś mężczyzną, ale troszeczkę innym. Ty masz duszę! I już nie mów mi ani słowa o kamieniu. Z nimi jestem kamienna, a z tobą — żywa. Słyszysz? Ani słowa! Rozbierz mnie... A teraz pocałuj... Nie, ty nie jesteś taki jak wszyscy, Tihotepie! Inny jesteś, zupełnie inny.

Współrzędczyni

Mahu i Pentu stawili się u faraona natychmiast. Faraon miał na sobie odświętny strój, który mu służył w szczególnie uroczystych okolicznościach. Pod białą-czerwona koroną Górnego i Dolnego Kemi król wydawał się wyższy i bardziej postawny. Jak mawiali dworzanie — w koronie było mu bardzo do twarzy.

Na lewo od faraona stała Kija — nałożnica. Tak nazywały ją złe języki, co prawda — tylko cichaczem, szepcząc do ucha przyjaciółom, najzupełniej poufnie. Spojrzenie jej wielkich i nieco skośnych oczu jak gdyby zastygło w zdumieniu. Zdawała się oczekiwać jakiegoś niebezpieczeństwa, nie wiedziała jednak, skąd może ono nadejść.

Zobaczyła dworzanie i nozdrza jej się rozděły ni to z gniewu, ni to z jakiegoś wewnętrznego napięcia, które nagle wzrosło na widok tych dwóch wchodzących — Pentu i Mahu.

Nie, nie spodziewała się po nich niczego dobrego. Gdyby to zależało od Pentu i Mahu, Kija od dawna już gnęłaby gdzieś w Pustyni Synajskiej... Istnieją tam, jak wieść niesie, całe osiedla trędowatych. Pentu i Mahu w głębi duszy stali po stronie królowej, przeciwko Kii, a kto wie! — może i przeciwko samemu faraonowi. Nikt nie może tego wiedzieć z pewnością: póki palma jest zdrowa i kwitnie, wszyscy spoglądają na nią z nabożną

czcią, ale wystarczy... Właśnie, co będzie potem, kiedy palma któregoś z najbardziej nieszczęsnych, czarnych dni runie?...

Faraon skrzyżował ręce na piersi. Wyraz twarzy miał skupiony, jak gdyby nikogo nie dostrzegał w tej komnacie.

Mahu i Pentu zgięli się w głębokim, pełnym czci pokłonie. Na chwilę zakryli sobie oczy dłońmi na znak tego, że stoi przed nimi prawdziwe bóstwo, które promienieje oślepiającym, jakkolwiek niewidocznym światłem.

Faraon chwilę milczał. Trwało to dłużej niż zazwyczaj. Znaczyło to, że sprawa jest poważna.

„...Czyżby Mahu niczego się nie domyślał? — przebiega przez głowę staremu Pentu. — Sapie niczym hipopotam w bagnie. Zamiar najjaśniejszego pana jest jasny i nie wymaga żadnych zbędnych wyjaśnień: królowa zostaje odsunięta całkowicie! Jej miejsce zajmie ta oto, nastroszona niby wróbel w czas niepogody...”

„...Pentu albo zwariował, albo robi z siebie głupiego — myśli Mahu. — W najtrudniejszych, najcięższych momentach Pentu udaje człowieka niedołęznego albo nieświadomego rzeczy. Raz nawet udawał głuchego. Jest to bardzo wygodne wówczas, kiedy udawanie nie budzi jakichś szczególnych podejrzeń. Stało się właśnie to, co po pałacowych korytarzach rozgłaszano szeptem. Faraon zaledwie pomyślał, a już języki roznoszą jego myśli. Taka jest głęboka mądrość życia. Nadeszła godzina: na zmianę królowej Nef ertiti idzie inna królowa — Kija...”

Faraon głaszcze brodę, która bywa przyklejana przy uroczystych okazjach. „...Oto przybiegli na moje wezwanie jako te psy... Czy domyślają się, czego od nich żądam, czy trzeba będzie tłumaczyć im to, co jest oczywiste, zrozumiałe nawet dla ślepca?...”

Oczy Kii spoczęły na dwóch starcach — tłustym i chudym. „...O boże! Czyż podobne ruiny mogą przynieść pożytek tak

ogromnemu państwu jak Kemi? Po co najjaśniejszy pan trzyma ich przy sobie, zamiast dobrać sobie ludzi młodych, pełnych sił i zdecydowania, zuchwałych w swoim uporze i pracowitości?” Faraon zapytał:

— Co słyhać na północy, Mahu?

Północ to Hetyci... To Mitami. To Reczenu. To Dżahi. Północ to nieustanna wojna, trwająca od narodzin Kemi po dziś dzień, od faraona Narmera do najjaśniejszego pana, Echnatona — Życie, Zdrowie, Siła! Północ to teraz hańba dla wojsk Kemi, które się cofają na podobieństwo lwa czołgającego się na brzuchu, z rykiem i klapaniem zębów. Dlatego rozmowa na temat północy jest szczególnie poufna...

— Pytam, Mahu, co dzieje się na północy.

Król mówi surowym tonem. Może wybuchnąć gniewem. Za chwilę. I nawet nie zauważysz tej chwili. Ale lw takim wypadku miej żal do siebie!

Mahu zerka na Kiję — znacząco: czy aby można przy niej?

— Słyszałeś, Mahu?

— Tak, najjaśniejszy panie.

Kija z ukosa rzuca spojrzenie na niego, tego otyłego człowieka, z którego — oby jak najrychlej! — wycisną to, co jest niepotrzebne. Ot tak, wytopią jak tłuszcz z ryby i koniec!...

Pentu przychodzi z odsieczą niezdarnemu Mahu:

— Najjaśniejszy panie, w kraju aramejskim dokonano napaści na nasze twierdze...

— Co?! — faraon zdaje się nie widzieć nikogo. — Jak?! Na wszystkie twierdze na raz?

— Nie. Na dwie. Te, które są bliżej góry zwanej Muffa. Tę górę utraciliśmy.

— Mała czy duża jest ta góra?

— Rozciąga się z północy na południe. Tutaj — dwa secheny od podnóża do podnóża. A ze wschodu na zachód jeden

sehen. I około trzystu łokci na wysokość.

— Góra nie jest duża — mówi Kija.

Faraon się zgadza: nieduża jest, można nawet powiedzieć — górka. Kiwa głową w stronę Kii.

Mahu jakby przytomnieje. Wraca mu dar mowy. I stary dworak spieszy się — bardzo się spieszy! — aby zakomunikować faraonowi coś ważnego.

— Najjaśniejszy panie! Otrzymałem wiadomość: w Re-czeniu wojska nasze są w odwrocie. Niektóre pułki pobiegły... W nieładzie...

— Jak to pobiegły? Dokąd? — Kija marszczy gęste, sztywne brwi.

— Pobiegły do tyłu.

Król zwraca się do Kii:

— Kiedy idzie o wojska, nigdy nie mówi się: „pobiegły naprzód”. Nawet wówczas, kiedy żołnierze idą do natarcia, ostrzem swoich kopii dotykając pleców nieprzyjaciół.

— Tak, najjaśniejszy panie, zrozumiałam.

I jej pulchne, trochę bezwstydne wargi uśmiechają się do faraona. Potem Kija odwraca się do dworzan i wargi jej zaciśkają się w wąską, zimną kreskę.

Ta lwica jeszcze pokaże pazury. I będziemy wspominać dobrym słowem królową naszą Naftitę, czasem może surową, ale zawsze sprawiedliwą...”

„...Tak zachowuje się królowa, która panowała już co najmniej dziesięć lat...”

„...Zuch Kija! Oto tak, tylko tak, droga Kijo, osłodo duszy mojej, podpora ciała mego, płomieniu, co rozgrzewa stygnącą krew moją!...”

Mahu mówił dalej z ożywieniem, jakie nawiedza dworzan nie od razu, lecz stopniowo. Ożywienie takie mija nierychło. Siady jego pozostają na całe lata. Dworzaniowi w takim wypadku wyrasta na plecach garb od niezliczonych objawów wierności wobec pana i władcy.

— Królu i władco, który jesteś Życiem, Zdrowiem, Siłą! — Niewielki ukłon głową również w stronę Kii. — Na samym brzegu morza, nieco powyżej linii, jeżeli ją przeciągnąć od Kodszu do wybrzeża, żołnierze nasi cofnęli się także...

— Nie wytrzymali nacisku wroga?

— Bali się wpaść w zasadzkę.

— Dobrzy wojacy!

— Najjaśniejszy panie! Tam tysiąc żołnierzy padło.

— Jakim sposobem?

— Hetyci napierali.

— Co? Nawet napierali?! Mówiłeś przecie, że nasi lękali się zasadzki.

— Zasadzka towarzyszyła natarciu wroga. Jeden jego zamiar ściśle łączył się z drugim. Planując urządzenie zasadzki, która byłaby uwieńczeniem natarcia, wróg...

Faraon zaczął szarpać brodę:

— Mahu, ile razy cię uprzedzałem: wypowiadaj się językiem jasnym i prostym.

Mahu pochylił się w służalczym ukłonie.

— Ile razy?

— Wiele razy.

— Tak, właśnie wiele razy. Kazałem odrzucić język okrytych kurzem zwojów. Spójrzcie przez okno, a ujrzycie najpiękniejszy spośród tworów Atona, wielkie miasto Słonecznolicego. Czyż przy pomocy języka, podobnego twojemu, zdołalibyśmy je zbudować w tak niezmiernie krótkim czasie? Nie zrozumieliby cię budowniczo wie, wysmialiby cię, a zamiast pałaców i świątyni wzniesliby coś bezsensownego.

— To święta prawda, najjaśniejszy panie! — mówi Kija.

— Prawda, prawda! — przytakuje Pentu.

Jeszcze chwila i Mahu rzuca się na ziemię, gdzieś pomiędzy faraonem i Kija: nawet nie całkiem jest jasne, przed kim. Jeszcze chwila i czołem dotknie drobnych stóp kobiety pięknie

zbudowanej, gorącej niby kawałek słońca.

— Przebacz, wielki władco Kemi — bełkotał ochryple Mahu. — Przebacz!

Faraon machnął ręką. I jakby nikogo nie dostrzegając u swoich nóg powiedział do Kii:

— Czy nie wydaje ci się, że Hetyci robią się zbyt zuchwali?

— Tak jest — odparła Kija.

— Widzi jaśniejący na niebie Aton, żem świadomie unikał starć z Hetytami. Wydałem rozkaz, aby nie niepokojono Rzeczenu. Powiedziałem Horemhebowi: z naszej strony nic nie ma budzić niechęci Etiopów. Do Libijczyków wyciągnąłem dłoń przyjaźni. Powiedz mi, byłoż to wszystko czy tylko mi się tak wydaje?

— Było!

— W takim razie, czyż to nie dziwne, że za całą tę ustępliwość odpłacają mi niewdzięcznością? — Faraon zachowywał zewnętrzny spokój, połączony z nastrojem uroczystym, jak gdyby przed nim stali nie dwaj — Pentu i Mahu — ale setki dworzan.

Kija słuchała faraona z nabożnym skupieniem, jakby widziała go po raz pierwszy albo pragnęła utrwalić sobie w pamięci jego obraz przed mającym nastąpić długim rozstaniem.

W Pałacu Północnym

Księżniczka Meritaton znalazła królową pogrążoną w ci-
chym smutku. Nefertiti siedziała w kącie swej ulubionej kom-
naty ozdobionej malowidłami Beka. Przedstawiały one ogród,
roztaczający aromaty ogród w dniach miesiąca epifi. Na ścia-
nach — soczysta zieleń. Na suficie — zieleń, przez którą prze-
śwituje błękit niebios. A na posadzce — woda, żywa woda, led-
wie tknięta drobnutką falą. A w wodzie — ryby: węgorze, kar-
pie, sumy o szerokich pyskach, złe szczupaki. Nawet w upalne
dni tutaj, w tej komnacie, zdaje się panować chłód, tak żywo, w
tak naturalnych barwach stworzyli artyści malarze przy pomo-
cy martwych farb ten ogród i staw.

Królowa siedziała na miękkiej macie, podgiąwszy nogi i
oparłszy łokcie na haftowanej złotem poduszce.

Meritaton skinęła głową mężowi, który stał w progu, i we-
szli oboje cichutko, niemal na palcach. W komnacie panował
półmrok, płonęło tylko jedno światło. Była przedwieczorna
cisza, tak wielka, że dzwoniło od niej w uszach i słyszało się
bicie własnego serca.

Księżniczka usiadła obok matki i objęła ją ramieniem.
Smenkare usadowił się na niskiej ławie. Młody człowiek wy-
glądał tak, jakby dopiero co przeszedł ciężką chorobę: twarz
jego była blada, oczy — dobre chłopięce oczy — pozbawione
blasku.

— Mamo — powiedziała księżniczka dotykając ręką dłoni królowej — nie trzeba... Nie smuć się...

— Nie mogę — szepnęła matka.

Smenkare przypomniał sobie, że nieraz królowa sama dawała otuchy innym, nawet faraonowi. Ona to właśnie zaszczerpiła mu nieustępliwą stanowczość, która niekiedy opuściła chorowitego faraona. Czyżby z kolei nadszedł czas, gdy pocieszać trzeba królową, mówić jej słowa, w które nikt nie wierzy i w które uwierzyć niepodobna? Sokół zawsze powinien liczyć się z możliwością upadku. Z największej wysokości! O czym rozmawiać z królową? Czy tylko siedzieć ot tak, jakby u ciała zmarłego?... Na szczęście — jak to nieraz bywało — z pomocą przyszła słaba, a zarazem silna kobieta. Królowa spytała:

— Co słyhać w pałacu? Co mówią?

— O czym, mamo?

— O mnie, na przykład.

Meritaton uważa, że należy trzymać się jedynie prawdy, nawet w tych ciężkich chwilach. Tego uczył ją ojciec. Tak wychowywała córki królowa.

— Wielu ci współczuje. Ale gorliwie padają plackiem przed współzręczynią...

Nie chciała wymawiać tego nienawistnego imienia: Kija! Królowa wlepiła wzrok w jeden punkt: liść winogrodu, taki świeży i jasny. Co pragnęła z niego wyczytać? Czy obraz zdawała się widzieć?

— Nie — rzekła.

— Co: nie?

— Nikt mi nie współczuje. I nie trzeba mi tego! Grono, które upadnie na ziemię, już nie jest winogrodem.

— Mamo...

— Wysłuchaj mnie do końca. Wszelkie współczucie dla mnie odrzucam! Współczujących będę uważała za swych wrogów. Współczuć należy nie mnie, lecz Kemi. Myślę o tym, co

będzie dalej. Trzeba myśleć o bogu, o wielkim Atonie. Powinien żyć w sercu całego Kemi niewzruszenie. Trzeba myśleć o tym, co robić będą nasi żołnierze na granicach Kemi. Trzeba myśleć o tym, co zamierzają czynić wyznawcy Amona, którzy nie złożyli broni. I o tym — a to jest najważniejsze — jaki jest tok myśli najjaśniejszego pana.

— Mamo, cokolwiek mówić będą, pałac jest po twojej stronie.

— Mury?

— Dlaczego mury?

— Fundamenty? Schody? Okna? Drzwi?

— Ja mówię o dostojnikach, mamo.

— Oni są jak cienka palma: zawieje wiatr — i kłaniają się w jedną stronę. Ale z tą samą łatwością prostują się i z taką łatwością zginają się w drugą stronę. Nie, córko moja, nie wspominaj o dostojnikach!

— Ależ ja sama od nich słyszałam...

— Nie bali się o tym mówić?

— Nie.

— To bardzo zły znak. Wierz mi: to nic dobrego! Kemi trzyma się dzięki żelaznemu rygorowi. Bez niego czeka nas zguba. Słowo, powiedziane w Achetatonie, powinno tak samo wyraźnie brzmieć w Ta-Neter, w Reczeniu czy w Pustyni Libijskiej. Władza faraona nie podlega żadnej wątpliwości. Jest zbyt boska, aby zwykły śmiertelnik mógł mieć o niej własne zdanie, a tym bardziej wydawać o niej sąd pod lada pozorem. Nawet i dostojnicy! Uprzedzałam o tym twego ojca. I nieraz. Ale on, jak widać, słuchał innych słów. Ta kobieta bierze na siebie zbyt dużo!

— Cóż teraz będzie, mamo?

Nefertiti dzielnie znosiła cios, który jednakże okazał się dla niej w pewnej mierze niespodziewany. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej stosunki z faraonem układają się coraz gorzej.

Częściowo przypisywała to intrygom Horemheba i jego partii. Można było przypuszczać, że faraon ogłosi swym współrządcą księcia Smenkare. Bardzo być może, że ich czysto rodzinne stosunki uległyby jakiejś zmianie na gorsze. Z czasem. Ale zrywać z nią tak nierozważnie? I bez zastanowienia ogłaszać współrządczynią tę Kiję? Wszak to wszystko — czy się chce, czy nie — stawia pod znakiem zapytania wiele innych spraw, bynajmniej nie rodzinnych! To nie może nie zachwiać boskiego imienia Atona. Faraon własnoręcznie zadaje cios swojemu dziełu, cios, którego skutki wyjdą na jaw może nie od razu, ale wyjdą na pewno. Albo może on przypuszcza, że imię Amona jest zapomniane całkowicie i ostatecznie? Albo że całkiem wyginęli kapłani, którzy nienawidzą faraona? I kapłani, i ich bogaci protektorzy...

Smenkare zaproponował królowej swoje usługi. Coś w rodzaju pośrednictwa, na przykład. Mimo wszystko był jeszcze blisko tronu.

— Pomówię z królem. Nie uwierzę, aby czynił to wszystko w napadzie choroby. Na pewno zechce mi wyjaśnić, co się dzieje. Zapytujemy się tu nawzajem: dlaczego Kija i co to za jedna?

— Niedobrze się stało — powiedziała księżniczka. Uściśnęła rękę matki. Matka odpowiedziała jej tym samym.

— Nasza droga królowa snuła dopiero co bardzo słuszne uwagi na temat spraw państwowych. Współrządczyni Kija to wyzwanie rzucone całemu światu, całemu narodowi. Jest to postępowanie, które niepostrzeżenie może podkopać same podstawy wielkiego Kemi. I wobec tego należałoby zapytać, droga królowo, na co się zdała ta niewiarygodna walka, toczona w ciągu siedemnastu lat? Cierpienia, męki, strata sił — na co to było, jeżeli teraz zadaje się cios wszystkiemu?

Królowa ze smutkiem wzruszyła ramionami. I rzekła:

— Opowiedz mi, co było dzisiaj.

Smenkare spojrział na żonę. Wydało mu się, że skinęła przyzwalająco: można, opowiadaj. Młody człowiek trochę się zawahał — czy coś ukrywać, czy upiększać?

— Droga królowo...

— Słucham — odparła glucho Nefertiti.

— ...Najjaśniejszy pan, wbrew zwyczajowi, sam ogłosił...

— Ona tam była? W oknie?

— Najjaśniejszy pan obejmował ją wpół... — Smenkare zająknął się przy tych słowach.

— Słucham. Oczekuję prawdy!

— ...obejmował ją wpół. Stali w Oknie Zjawień, a wszyscy na ich widok padli plackiem na ziemię. Wykrzykiwali jej imię i prosili o łaskę.

— Długo to trwało?

— Niezbyt długo. Najjaśniejszy pan rzucił złoto. Dużo złota!

— A cóż ona?

— Ta kobieta stała obok niego. Z nosem zadartym do góry w sposób wyzywający. Jakby z nią sam bóg rozmawiał. Zadzierała nos wysoko!

Księżniczka potwierdziła tę relację. Tak, wszyscy zwrócili uwagę na jej nos. I oczy miała promieniejące radością.

— Mówcie, mówcie...

Królowa zdawała się pragnąć, aby ją dręczono wyliczaniem najdrobniejszych nawet szczegółów, które były dla niej upokarzające. Jakby to ponizenie sprawiało jej satysfakcję. Jakby tę całą czasę goryczy chciała wypić do dna jak najprędzej.

— Droga królowo, on ją przy wszystkich całował...

— Tak, to do niego podobne...

— Twoja córka zamknęła oczy, by tego nie widzieć.

— Po co?

— Żeby nie widzieć.

— Przeciwnie. — Królowa westchnęła. — Dlaczegoż nie

widzieć? Wszystko to dzieje się u nas, w Kemi. Po cóż więc zamykać oczy? Gdyby mnie tam wezwano, właśnie patrzyłabym szeroko otwartymi oczyma. Wiedźcie: lud Kemi naniże sobie w pamięci każdy drobiazg, pisarze zanotują go na papiirusie. Przyszłe pokolenia będą znały wszystko i ocenią po swojemu...

— Mamo, ale to bardzo długo! — Córka była bliska płaczu.

— A potem? — zapytała królowa niecierpliwie.

„...Za kataraktami Hapi jest dużo skał. Są mocne jak niebo. Gdyby nasza królowa zmieniła się w jedną ze skał, nie byłoby w całym świecie skały od niej mocniejszej...”

— A potem?

— Powiedział, że zadowolony jest ze swoich poddanych. Powiedział, że będzie dla nich dobry i łaskawy, albowiem tego pragnie ta kobieta.

— Dobry i łaskawy?

— Tak. I że nowe hymny poświęci współrzędzyni, a te hymny będą najpiękniejsze ze wszystkich, jakie stworzył.

— To możliwe. A potem?

— Potem myśmy zjawili się u ciebie.

— Po co wezwał was do Okna Zjawień?

Smenkare miał zupełnie określone zdanie w tej sprawie: po to, aby królowa dowiedziała się o wszystkim z pierwszej ręki. I aby dokuczyć jemu, Smenkare.

— Tak, z pewnością — przyznała królowa.

Niedaleko od niej — może w odległości jednego łokcia — wśród soczystej trawy zerowała lękliwa kuropatwa. Podniosła w górę prawą nóżkę, głowę odwróciła do tyłu. Oczy jej są podobne do ziarenek czarnego piasku. Malują się w nich czyste zamiary i czujność. Tę kuropatwę królowa szczególnie lubiła. Mogła godzinami spoglądać na nią z upodobaniem. I zdawało jej się, że ptak myśli o tym samym, o czym ona myśli. O każdej

porze! W radości. W bólu. W chwilach trwogi. Jaka to cudowna kuropatwa! Ot i teraz. Coś skrada się w zaroślach, słychać szelest suchych liści — i kuropatwa jest zaniepokojona. Serce jej zabiło mocniej ze strachu. Czyż nie to samo przeżywa teraz królowa? Czy się nie lęka? I czy nie takie same są jej oczy?

— Córko moja, ani ty, ani twój mąż nie powinniście sprawiać wrażenia, że... Nie powinniście się martwić.

— Oczy mam pełne łez.

— Otrzyj łzy.

— Serce zbyt mocno odczuwa krzywdę.

— Uspokój serce. Teraz każda wasza łza i każde smutne westchnienie będą uciechą dla tej kobiety.

— Cóż więc mamy robić?

— Promienny nasz bóg Aton nie opuści Kemi. Będzie z nami w te trudne dni. I obecne, i przyszłe.

Głos królowej zdradzał wewnętrzne drżenie. Ale oczy jej były pogodne i nikt by nie odgadł, że serce jej pełne jest niepokoju, a dusza niesmaku, jak po wypiciu przekisłego piwa. Zięć uznał za stosowne oddalić się. Wydawało mu się, że matka i córka znajdą wśród rozmowy słowa szczególne, które przyniosą im spokój, przywrócą niejaką równowagę ich siłom duchowym zachwianym przez ostatnie wydarzenia, kto wie — może fatalne w skutkach. Jego wysokość podniósł się ostrożnie i wyszedł. Równie ostrożnie przymknął za sobą drzwi.

Pałac pogrążony jest w ciemnościach. Gdzieś, w końcu korytarza, jak gdyby na końcu świata, płonie lampka. Smutny pałac z przepelnioną bólem królową. Różnie bywa w życiu. Zdarza się i coś takiego: żył sobie wesoły pałac, potężny, rozbrzmiewający śmiechem, pełen ruchu i działania, a stał się grobowcem.

Jego wysokość wyszedł na balkon. Oparł się o balustradę. Spoglądając w ciemność myślał o przyszłości, a właściwie

o dniu jutrzejszym i pojutrzejszym. Co ich wszystkich czeka? Co krajowi gotuje faraon? Jakie są zamiary Kii? Czy naprawdę faraon zapomni całkowicie o swej wiecznej miłości do Naftity, miłości, o której wiedział nawet ostatni nemhu, miłości opiewanej w hymnach, odtwarzanej w malowidłach, uwiecznionej przez rzeźbiarzy i skrybów? Jego wysokość rozumiał: skończyły się lata spokojne. Nastął czas niepewności, lęku i walki. Ale walki — z kim? Z faraonem? To niemożliwe. Z Kija? To byłoby to samo co z faraonem! Z Horemhebem? Z Pentu? Kto, jaki mędrzec powie, z kim nastąpi walka? Ale nadchodzi z pewnością chwila próby. Trzeba być przygotowanym na wszystko.

Oto leży przed nim ogromny kraj. Rozpostarł się od górnych katarakt Hapi do morza Wielkiej Zieleni, ku któremu płynie Hapi. I dalej, za Wielką Zielęń, do posiadłości azjatyckich, do państwa Babilończyków. Ogromny kraj, ogromny naród! Ale cóż to wszystko warte jest bez boskiej głowy?! Jeżeli Wielki Dom w Achetatonie zachwieje się w oczach świata, cóż wówczas stanie się z Kemi? Odwróć się przyjaciele, nabiorą śmiałości wrogowie, którzy już i tak zaczynają się burzyć...

Ale im bardziej zastanawiał się nad tym wszystkim jego wysokość, tym silniej odczuwał swoją bezsilność w sprawach państwowych. Całkiem niedwuznacznie odpowiedzieć mógł na jedno tylko pytanie: między królem i królową wszystko jest skończone. Szczeliny w kamieniu nie da się zamurować — zawsze pozostanie szczeliną. Faraon nie należy do tych, którzy zawracają z drogi, nie cofa się, postanowień nie zmienia. Daj boże, aby na tym się tylko skończyło. Wysiedlenie do Pałacu Północnego nie jest jeszcze czymś najgorszym z tego, co spotkać może wysoko postawione osoby. Faraon Amenhotep III dał swego czasu piękny przykład, jak należy poskramiać krnąbrnych: worek, nieduży sznur, którym ten worek się

zawiazuje, i święte wody Hapi, Tak doprowadza się do milczenia tych, co narażają się na nie znający granic gniew faraona.

Mrówki przebiegły po grzbiecie Smenkare. Nie opodal pałacu powoli, majestatycznie płynie Hapi, niosąc na sobie odbicie nieba. Gwiazdzistego. Tajemniczego.

Tymczasem za drzwiami, bardzo blisko młodego księcia, płakała królowa. Objęła ramieniem córkę i płakały obie. Kobieta wzięła w niej górę nad mężem stanu. Ta, która przez lat siedemnaście niezmiernie pomagała faraonowi, teraz oto nie potrafiła się opanować! Dała upust swoim uczuciom, swoim łzom, swemu bólowi...

Na próżno w przytulnej komnacie latają wszystkie ptaki Hapi i szumią trzciny: grobowiec jest grobowcem!

Punkt widzenia piekarza

Niedaleko domu Ka-Nefer, na rogu sąsiedniej uliczki, mieszkał i prowadził piekarnię szanowny Maaniaton. (Dawniej Maaniamon. Proszę nie mylić z krewniakiem jąkały Usera.) Człek czterdziestopięcioletni. Z brzuszkiem oraz z praktyczną głową na karku. Z zadyszką oraz przenikliwym spojrzeniem: wiedział, co dzieje się nawet pod ziemią. Jakby dopiero co rozmawiał z kretami i susłami. Jednym słowem — spryciarz nad spryciarze. W sprawach handlowych — w miarę krętacz. I niewątpliwie uczciwy domator.

O sprawach ważnych miał zwyczaj wypowiadać się w sposób nieco lekceważący. Przez słowo „lekceważący” należy rozumieć niejaką beztroskę. Jedni przypisywali to jego bezmyślności, inni kontaktom z kancelarią semera Achetatonu. Podejrzewano go o donosicielstwo. A donosiciele, jak wiadomo, od niepamiętnych wieków służyli jako prowokatorzy. Jeżeli nie skierujesz uwagi swych rozmówców na odpowiedni temat, to bardzo często nie będzie co donosić.

Przyznać trzeba, że Neferuf z początku wziął go za donosiiciela. Wystrzegął się spotkania z nim, gdy kupował chleb dla Ka-Nefer (należy wszak spełniać pewne czynności domowe, jeśli się żyje — można powiedzieć — na łaskawym chlebie). Wszelako przyjrząwszy się uważniej, zbiegły skazaniec doszedł do wniosku, iż rzecz ma się inaczej. Maaniaton to nie żaden

donosiciel, tylko po prostu gaduła, jakich jest wiele na białym świecie. Raczej nawet coś wręcz przeciwnego. Jak mawiali dowcipnicy: piekarz na pewno miał w głowie przeciąg. Niemniej przeto myślał on niekiedy w sposób oryginalny.

I nawet mądrze. Nigdy nie wymagał od ludzi, aby brali aktywny udział w rozmowie. Był szczęśliwy, jeśli słuchali go uważnie i nie przerywali jego wywodów.

Tego samego dnia, kiedy rozeszły się słuchy o nowej współrządczyni faraona, Nefteruf czekał właśnie na chleb ze świeżego wypieku. Maaniaton popijał piwo i częstował nim Nefterufa. Robotnicy uwijali się koło pieca, kłócili się niezbyt głośno, żądając od dwóch usługujących im niewolników to drewno, to wody, to mąki.

— Słyszałeś nowinę? — zapytał piekarz. Koniecznie chciał pierwszy zakomunikować stołeczną plotkę.

— Nowinę? Nie, nie słyszałem.

„...Ten piekarz najwyraźniej jest podniecony. Z pewnością to jakaś ważna nowina. Jeżeli mnie teraz ucieszysz, kiedyś mu się wywdzięczę. Jest bardzo wzburzony. Pije piwo niedużymi łykami. Zupełnie jakby chciał sobie ochłodzić serce...”

— A więc tak — rzekł piekarz — najjaśniejszy pan dokonał wyboru. Nareszcie wiemy, kto jest jego współrządcą.

— Co? Alboż dotychczas nie było wiadomo?

Piekarz także się zdziwił:

— A ty co? Domyślałeś się może?

— Ja? Nie!

— A mnie się zdaje, że wszystko ci już opowiedzieli.

— Nic a nic, szanowny Maaniatonie. Po prostu sądziłem, że to królowa jest współrządczynią.

— Posłuchaj, Nefterufie, to nie to samo, co błaznować z małpką. Mówię o ważniejszych rzeczach. O sprawach

państwowych. A ty bóg wie do czego zmierzasz. Od razu widać, żeś człowiek ciemny.

Nefteruf o mało się nie obraził, ale opamiętał się od razu: czyż może obrażać się człowiek mały, jakiś tam uliczny figlarz? (Tak właśnie Nefteruf przedstawił się swego czasu ośmielony przez właściciela promu.)

— Dlaczegoż to, szanowny Maaniatonie?

— Dlatego, żeś jest niczym!

— A ty?

— Ja przecież coś niecoś znaczę. — Piekarz pomyślał chwilę i powiedział: — Ale wobec semera jestem bałwan. Wobec jego żony — także bałwan. Wobec króla — zero, proch u jego nóg. Ot, kto ja jestem!

Piekarz mówił z upojeniem i o swojej znikomości, i o swojej wyższości wobec Nefterufa. Pochodził z nemhu, z tych samych zarozumiałych nemhu, którzy poczuli się ludźmi za panowania faraona Naf-churu-ria. Znali jednak swoje miejsce, które im nieustannie wskazywano. Z kolei znowu byli zadowoleni, że mogą najzwyczajniej w świecie osadzić innego, który stoi niżej od nich.

Maaniaton wytrzeszczał gały. Zasapał się. Zakaszłał:

— Tak, tak, Nefterufie, ty jesteś człowiek ciemny. Mówiąc po prostu — bałwan. A właściwie — to głupiec! Powiedz, że nie!

— No, widzisz...

— Co widzę?

— Ty mnie przecie mało znasz...

— Ja?!

Nefteruf wyjaśnił z pośpiechem:

— Chcę powiedzieć, żeś na pewno nie widział, jak ja pracuję z małą.

— I ty to nazywasz pracą?

— A czyż to nie praca? Piekarz splunął z pogardą:

— Nie, tyś już nie powinien tak myśleć!

— Postaram się, panie Maaniaton.

Piekarz przyjrzał się Nefterufowi uważnie. Tak uważnie, że tamtemu przemknęło przez głowę, czy przypadkiem Maaniaton nie poznał w nim arystokraty z Wasetu?

„...Ten mistrz wypieku rozprawia o wszystkim z taką swobodą... Zachowuje się tak dziwnie. I nie lęka się uszu swoich czeladników. Czy tej piekarni strzegą sami bogowie, czy może semer Achetatonu jest spokrewniony z tym domem? Bo jeżeli idzie o donosicielstwo, to raczej nie ma o tym mowy. Albowiem ten mąż nikomu nie pozwala ust otworzyć...”

— Posłuchaj, Nefterufie — powiedział piekarz rozważysz sobie coś niecoś w myśli. — Dlaczego ty mi się tak strasznie podobasz?

— Ja? — zdziwił się były skazaniec.

— Tak, ty. Wyobrażam sobie, jaki by z ciebie był pomocnik. Z tymi twoimi rączyskami. I z tym twoim lwim cielskiem. Jeżeli zechcesz rzucić te swoje małpy, moja piekarnia będzie na twoje usługi.

— Ja... miałbym być piekarzem?! Ależ ja nigdy w życiu nie widziałem, jak ciasto... — Nefteruf urwał nagle. Zbyt pospieszył się z odpowiedzią. I dokąd to mu tak spieszno? Czy za rogiem czekają na niego małpy w klatce?

— Nie obrażaj się, Nefterufie. Wcale nie chciałem obrazić twoich małpek. Powiedziałem to tylko dla przykładu. Jeżeli ci nagle strzeli do głowy... Chcę powiedzieć, że byłoby mi przyjemnie. Jestem nawet gotów wziąć cię jako współnika. Zważ tylko: nie każdemu jest dane prowadzić w stolicy piekarnię. Nawet taką nędzną jak moja.

„...Nigdy nie trzeba popuszczać cugli językowi. Wyrwiesz się z czymś nie w porę i wpadniesz... Sam będziesz siebie przeklinał. Nic złego mi ten piekarz nie proponuje. W moim położeniu — to prawdziwe szczęście. Pomyśl, Nefterufie, pomyśl dwa i

trzy razy. Ka-Nefer to kobieta uparta. Jeżeli już czegoś zapragnęła, dopnie celu. A tyś powinien wiedzieć, Nefterufie, że niewierności kobiety zamężnej ukryć się nie da. W każdym razie, wcześniej czy później, wychodzi na jaw. Przecie nie jesteś koń...”

— Masz słuszność, szanowny Maaniatonie. To, co mi proponujesz, zasługuje na uwagę. A pieczenia chleba nie da się porównać z małpami. Pozwól mi się zastanowić nad tą propozycją, jeżeli jej nie cofasz.

— Ja? Cofam? — oburzył się piekarz. I krzyknął: — Ej ty, Hapu! Chodź no tutaj, Hapu!

Hapu zjawił się od razu. Rudy czeladnik. Obsypany mąką. Żwawy chłopak, może dwudziestopięcioletni.

— Słucham, panie.

— Powiedz temu panu, co warte jest moje słowo.

— Przez ciebie powiedziane?

— Tak, przeze mnie!

— O, panie, nie znam nic pewniejszego., Wychodzi ono z twoich ust niby czyste złoto. I nie ciemnieje. Nie przybiera żadnego innego znaczenia. Albo razi jak miecz, albo niesie ze sobą szczęście na podobieństwo bóstwa.

— Słyszysz, Nefterufie?

— Tak, panie.

— Ej Nofer, Nofer! Ty głuchy zającu! Chodź no tu!

Nofer, podobny do źle wypieczonego chleba, wtoczył się do izby — ciężko, z tupaniem. Był to człeczyna małego wzrostu, ale tłuścioch. Wargi miał grube. Uszy wielkie. Usta od ucha do ucha. Wysokie czoło i z daleka widoczny nadłamany nos.

— Oto mój przystojniaczek! — Piekarz wskazał pokrakę palcem, aby nie było najmniejszej wątpliwości, kto tu jest przystojniaczek. — Nofer, co ty możesz powiedzieć o moim słowie?

Nofer się uśmiechnął, rzekłbyś, skosztował patoki; mlasnął

wargami, zupełnie jakby ktoś przebiegł bosymi stopami po suchej ziemi. I zaczął bąkać przez nos:

— M... m... m... twoje słowo... mocne... i... i... i... jak ta... m... m... m... ta kość...

— Dobra, wynoście się! — rozkazał piekarz czeladnikom. — Nefterufie, sam wszystko słyszałeś. Prawda? I wcale nie umawiałem się z nimi. Chcesz, to zawołam swoich niewolników? To Azjaci! Umyłem ich i ogoliłem. Wyglądają przyzwoicie.

— Wierzę, wierzę! — zapewnił pospiesznie Nefteruf. — Ka-Nefer tak cię chwaliła, że aż byłem zazdrosny.

— Ka-Nefer to piękna kobieta. — Piekarz obliznął się. — Czcigodna kobieta. Czcigodna pani domu.

— Rozumie się, rozumie się.

Maaniaton mlasnął językiem i pogroził Nefterufowi palcem.

— Powiedz no, a nie wpadła ci w oko ta piękność?

Zrobił taką minę, jak gdyby już coś niecoś o tym wiedział...

— Mnie?

— Tak, tobie.

— Jestem tylko gościem w jej domu.

— No to co z tego?

Nefteruf rozłożył ręce. Co ten piekarz taki dociekliwy? Jakby chciał mu coś udowodnić, ale czeka, aż winowajca sam się przyzna. Winowajca? Ale czymże zawinił?... Nie, piekarz po prostu żartuje. Sam ma brzydkie myśli. A podejrzewa innego. To wszystko...

— Ja widzę, widzę, Nefterufie! Nie przeszedłeś ty koło niej obojętnie. Jeszcze by też! Smakowity kąsek, nie ma co gadać!

I piekarz zaczął się śmiać. Łyknął piwa i śmiał się dalej. Nefteruf nieco się zmieszał. Tak, zmieszał się naprawdę. Albo raczej — niezadowolony był z żartów piekarza.

— Dobrze — powiedział Maaniaton opanowując się po

trochu. — Chętnie wierzę, że oparłeś się pokusie. Ale gotów założyć się z tobą.

— Ze mną?

— Tak, z tobą. Dawaj rękę!

— O co chcesz się zakładać?

— Nie o co, tylko o ile. O dziesięć dzbanów wyborowego piwa.

— Ale o co idzie?

— Ja mówię: ona cię opęta. Weźmie cię siłą. Co ty na to?

Nefteruf nie mógł wyobrazić sobie głupszej sytuacji. Co to za zakład? W dodatku bardzo obraźliwy: i dla niej, i dla niego! Ale co tam! Piekarz trzymał tuż przed nim swoją włochatą łapę.

— Dawaj swoją! Podaj mi swoją! — krzyczał.

Nefteruf miał wielką ochotę dać w pysk temu ociekającemu tłuszczem piekarzowi! I wyjść... Ale czy on, były skazaniec, po to tutaj przybył? Po to, żeby się bić z Maanatonem?

I podał mu rękę. I uściśnęli sobie dłonie. I Maanaton „przeciał” ręce lewą dłonią: zakład stanął! I piekarz się uspokoił. Wypił resztę piwa.

Nefteruf ostrożnie powiedział:

— Ale zaczęliśmy wcale nie od tego.

Piekarz wytrzeszczył oczy:

— A od czego?

— Eee... Tak! Tyś powiedział, że najjaśniejszy pan, który jest Życiem, Zdrowiem, Siłą, wybrał sobie nowego współzadcę.

— Tak, tak! Tak, tak, tak! — niemal zaśpiewał lekkomyślny właściciel piekarni. — Prawda! Bywa tak przecież, że zahaczysz o coś — i poszło! Najjaśniejszy pan — Nefer-cheper-Ra Wen-Ra Echnaton — Życie, Zdrowie, Siła! — istotnie wybrał sobie współzadczynię, a królową Naftitę wygonił precz. Leje ona lzy w Pałacu Północnym.

— Królowa płacze?
— A co jej pozostało? Zazdrość! Najjaśniejszy pan wczoraj rano ukazał się w Oknie Zjawień. Najjaśniejsza pani, Kija, była, powiadają, jak słońce, jak bóg wschodzący! — Piekarz opowiadał to ze złośliwą satysfakcją, niezrozumiałą dla Neferufa.

— Widzę, że ci dosoliła ta Naftita, panie Maaniaton.
— Czyż tylko mnie?! — Piekarz podniósł zaciśniętą pięść, jakby komuś grożąc. — Ja i moi przyjaciele nie jesteśmy może bogaci. Każdy z osobna. Ale my to siła! Nie boimy się nawet dostojnych osób. A kto w ostatnich czasach podjudzał faraona przeciwko nam? Kto?

— Czyżby królowa?
— Ona! Dopóki tam w pałacu walczyli przeciw Amonowi i innym nieczystym siłom, byliśmy im potrzebni. A kiedy Amon został obalony, a arystokracja uszy wzięła po sobie — widzisz ty, co się dzieje? Kłopot im sprawiamy. Już nie jesteśmy ludzie. Rośnie nowa arystokracja. Prosto z błota! A kto budował to miasto? My! Kto pomagał królowi? My! A teraz, kiedy stolica jaśnieje na cały świat, na śmietnik z nami! A wszystko to jest sprawka królowej! Wierz mi!

„...Chyba już czas, żebym sobie poszedł. Niech on mi da chleb i uciekam stąd. Rozkrzyczał się ten piekarz. Nie daj, wszechwidzący boże, gotów tu jeszcze zajrzeć który z tych urzędników!...”

— Szanowny panie Maaniaton, czy chleb dla pani Ka-Nefer nie jest jeszcze gotowy?

Piekarz nie chciał go wypuścić. Jeszcze się nie nagadał. Nie będzie przecież prowadził rozmów z tymi bydlakami, co pozabawieni są nawet twarzy ludzkiej! Co pieką chleb w okropnym zaduchu.

— A czy ty się bardzo spieszysz?
— Bardzo.
— Szkoda. Tyle mam jeszcze do powiedzenia! Tak dużo zebrało się w duszy! Kiedyż przyjdiesz?

- Nie później niż jutro.
- A pracować ze mną chcesz?
- Pozwól mi to rozważyć przez noc.
- Daj ucho! — I piekarz szepnął do Nefterufa: — Tylko zakładu w tę noc nie przegram!

I roześmiał się. Śmiejąc się poszedł po chleb, wyniósł dwa bochny — gorące, pachnące, pszeniczne — i wręczył je Nefterufowi.

— Pamiętaj o mojej prośbie, słyszysz? Nie tknij gospodyni... Bo przegrasz do mnie piwo!

Nefteruf z przyjemnością cisnąłby w łajdaka tymi bochenkami. Ale dobrze pamiętał, kim jest, po co tu przybył i w imię czego żyje. Żeby tylko nie spudłować. Przez byle głupstwo.

Chleb palił go w dłonie. Świeży pszeniczny chleb...

CZEŚĆ DRUGA

W parku Pałacu Południowego

Wspaniały wieczór: ciemnogramatowe niebo, złocisty księżyc, jakby przed chwilą odlany w synajskich kopalniach miedzi, czarnozielone palmy i sykomory, nieruchome niby granitowe skały.

Tutaj, w oddalonym zakątku pałacowego parku, jest prawie bezludnie. A tam, na stawie, muzyka i śpiew, śmiechy i jaskrawe światła. Faraon wypoczywa z Kiją.

Staw jest dość rozległy. Dość głęboki. Mierzy trzysta sześćdziesiąt łokci na długość i sto osiemdziesiąt na szerokość. Głębokość jest prawie równomierna — siedem łokci. Pośrodku stawu wysepka — odpoczynek dla wzroku: z palmami, wielobarwnym namiotem, zieloną przystrzyżoną trawą.

Woda barwy nieba. Nocami czarna jak atrament. A światła na niej jak żywe.

Królowa-matka Teje przywiodła tutaj jego wysokość Ejego, dawnego przyjaciela jej zmarłego męża. Wymówiła się od zabawy bólem głowy. Co prawda faraon zrobił uwagę, że „już od czasów króla Dzesera wszystkie dostojne damy, kiedy pragną się oddalić, skarżą się na ból głowy”.

Królowa wybrała miejsce odsłonięte — z dala od murów, drzew i krzaków. Tak łatwiej ustrzec się obcych uszu.

Rozejrzeli się bez pośpiechu dokoła: nie ma nikogo!

W oddali rozbrzmiewała muzyka. Przypominała śpiew tysięcy ptaków, obdarzonych przez naturę wysokim kunsztem śpiewaczym. Wydawało się, że nawet promienie księżycy dzwonią jak struny, taki był ten wieczór i taka muzyka...

— A mnie wcale nie jest wesoło — odezwała się królowa.

— Gdyby to ode mnie zależało, nie byłbym się tutaj zjawił. Nie wiem, dlaczego tu jestem. Wydaje mi się, że długo leżałem powalony ciężką niemocą: wszystko się we mnie przepaliło, nogi ledwie mnie noszą. Głowa moja jest pusta. Jak tykwa. Droga Teje, nie mam przed tobą tajemnic: sprawy stoją bardzo źle.

— To samo chciałam ci przed chwilą powiedzieć, dostojny Eje. Komuż to powiem, jeśli nie tobie? Bliscy odchodzą. Jedni na Pola Iaru, inni coraz dalej od twego serca. Powiedz mi, co się stało? Syn mój mnie unika, jak gdybym przybyła z wrogiego obozu. Cóż będzie dalej?

Królowa mówiła cicho, niemal szeptem. Stała wyprostowana — taka drobna — tuż obok Ejego, który był wysoki i suchy niby stara topola.

— Dla królowej Naftity wszystko skończone — rzekł Eje szorstko. — Już nigdy nie zjawi się ani tu, ani w głównym pałacu. Można powiedzieć, że została uwięziona. Jak ptaszek w złotej klatce.

— On tak postanowił?

— Na razie nie. Ale wszystko ku temu zmierza.

— Nie można go od tego odwieść?

— Znasz przecie jego charakter.

Królowa westchnęła głęboko. Drobna Mitannijka o zadartym nosku. Amenhotep III wyswatał ją sobie kiedyś od króla Mitanni. Jednakże nie przyniosła ona pokoju między obu krajami.

— Niestety! — powiedziała Teje. — Znam go dobrze... Kiedy syn mój się urodził, wszystkim nam się zdawało, że

nawet jednego dnia nie przeżyje. A jaki się stał potężny!...

— Duchem — sprostował Eje.

— Tak. Duchem. Rzucił swych wrogów na kolana. Obalił Amona! Kto inny potrafiłby to zrobić?

— Tylko twój syn!

— Tak, tylko mój syn. I oto gdy osiągnął szczyt, dzieje się z nim coś niepojętego... Pytam: co się stanie z Kemi?

Eje odpowiedział:

— To, co mu jest sądzone.

— Czyż w sprawach państwa wypada powoływać się na los?

— Nie — odparł Eje. — Ale od jakiegoś czasu... Idzie o to, że nikt nie wie, co zamierza robić Kija. Jakie są jej plany? Kto wie! Faraon zakochany jest w niej po uszy...

— Tak, ale syn mój umie oddzielić uczucia od spraw publicznych. Ta cecha charakteru nigdy w nim nie zawiodła. Przypomnij sobie, co mówiłeś kiedyś.

— Co mianowicie? Co masz na myśli?

— Powiedziałeś mi pewnego razu: „Twój syn skręci kark. Wziął się do czegoś, co jest ponad siły. Nie tak łatwo złamać kapłanów Amona. Albowiem cała arystokracja stoi murem za nimi”.

Eje nie zaprzeczył. Tak, istotnie mówił coś podobnego. O ile go pamięć nie myli, chciał wtedy przestrzec przed nieprzemysłanymi krokami. Obalić Amona w Kemi — było to równoznaczne ze strąceniem Księżyca z nieba, tego samego Księżyca, co świeci tak jasno.

— Syn twój postanowił dokonać tego niesłychanego dzieła w ciągu jednego roku. Wysłuchawszy moich argumentów, zmienił termin: dwa lata! A pochłonęło to dziesięć lat potu, krwi i życia! Dziesięć lat na to, aby można było w końcu powiedzieć: Amon został obalony! Ale ja ciebie pytam: Czy Amon obalony został naprawdę? Czy kapłani jego są zwyciężeni?

Czy arystokracja, która sprzeciwiała się zamierzeniom faraona, została strącona w otchłań?

— Tak — odparła bez wahania królowa.

— Nie! — tym samym tonem zaprzeczył kapłan.

— Jesteś pewny, Eje?

— Tak.

— Czy masz dowody?

— Tak. Czy widziałaś, jak ogień tli się w popiele? Nie dojrzysz go okiem. Jeżeli przyłożyć dłoń do popiołu, żar daje znać o sobie. Sądzę, że i w Kemi, w jego głębi, tli się coś podobnego. Ale nie tak łatwo dostrzec to przez popiół. Królowa starała się widzieć przez warstwę popiołu.

— Mówisz o...

— Tak, o Nafticie... Ona pomagała twemu synowi. Pomagała mu widzieć to, czego niekiedy nie potrafił uchwycić wzrokiem.

Muzykę słychać było wyraźnie. Zwłaszcza gdy docierała tu z powiewem wiatru znad Hapi. Zanosily się śpiewem flety. Zupełnie jak słowiki...

— Wcale nie znam Kii — niemal jęknęła królowa-matka.

— Nie, widziałam ją. Jest piękna, powabna. Ale do tego nie mogę dodać nic więcej. A przecież ona jest współrzędczynią!

Teje wymówiła to ostatnie słowo tak znacząco, że Eje nadstawil ucha: może stara królowa wie coś więcej, niżeli mówi? Czy syn nie dzieli się z nią swymi tajnymi zamiarami?

„...Ależ nie, nie! Stara Teje, miła stara Teje nie okłamała mnie nigdy. Pamiętam, jak lekceważąc niebezpieczeństwo zjawila się raz u mnie, aby przekazać mi najważniejszą tajemnicę faraona: wyprawę przeciw Hetytom. Tajemnicę Amenhotepa III, swojego męża... Teje i teraz nie będzie nic ukrywać, jeżeli tylko zdobędzie najmniejszy choćby sekret...”

— Zataja przede mną swoje myśli — poskarżyła się Teje na syna. — Milczy jak sfinksy w świątyniach Men-Nefer. I o nic nie mogę go zapytać, ponieważ ciągle jest z nim ona.

Flety wyciągały wesole trele. Jedynie w Kemi potrafią grać w podobny sposób i słodzić słuch swojego władcy. W całym świecie nie ma lepszych fletów!...

— Nie wiem jak ty, Eje, ale ja jestem pełna smutnych przeczuć.

— Jakich?

— Sama nie mogę zdać sobie z nich sprawy. Zwierzęta podobno przeczuwają trzęsienie ziemi. Rozbiegają się w różne strony. Kryją się w ustronnych miejscach. Kto je uprzedza o nadchodzącym nieszczęściu?

— Nie wiem.

— I ja nie umiem powiedzieć...

— Tyś przecie nie zwierzę, Teje.

— Jam matka, Eje.

Orkiestra zagrała melodię taneczną. Do fletów i harf przyłączyły się bębny. „Niewolnice wykonują ulubiony taniec faraona — pomyślał Eje. — Czy nie zanadto przesadzamy? Król wyczuwa niebezpieczeństwo nie gorzej niż każde zwierzę. Jeżeli znajduje czas na weselenie się, to znaczy, że nie jest tak źle, jak nam .się zdaje...”

— Wierzę w niego — Eje wskazał głową w stronę stawu.

— A bóle głowy?

— Młody jest jeszcze. Ma dopiero trzydzieści pięć lat, Teje.

— Jest całkiem mały. Dla mnie. I powinnam o nim myśleć. Nic z tego, co czyni syn, nie może, nie powinno rozsypać się w ciągu jednego fatalnego dnia!

Bębny szalały. Ich łomot zagłuszał nawet dźwięki pozostałych instrumentów.

— Nie — odparł Eje. — To się nie stanie.

- Jesteś zupełnie pewny?
- Eje wyciągnął do przodu swoją smagłą mocną rękę.
- To jest ręka. Prawda? Tak właśnie jestem pewny.
- Bardzo, bardzo?
- Tak. Bardzo!
- Zawsze ufałam twojej mądrości. Twoim uczuciom.

Eje podniósł w górę dłoń protestując przeciw temu wyrażeniu — „twoim uczuciom”. Co mają z tym wspólnego uczucia? Mowa przecież o rządzeniu państwem. Takim jak Kemi: ogromnym, silnym, kwitnącym. Sprawa nie polega na uczuciach. Na czym opiera się potęga i trwałość państwa? Na bezwzględnym posłuszeństwie ludu. Dopóki słowo faraona jest święte i żelazne, poty zapewniona będzie trwałość władzy państwowej...

- Tak, tak. Rzecz jasna — mruknęła Teje myśląc o swoim.
- Eje mówi dalej:

— Granit jest mniej mocny i bardziej podatny na zniszczenie aniżeli nasze państwo. Zaprawdę uszy ludu są na jego plecach! Dobrze słyszą kij, kiedy spada na grzbiet, i dobrze rozumieją jego język. I słowo-kij z czasem zrobiło się słowem-kamieniem, słowem-skałą. Kemi trzyma się na tym słowie! Jeżeli chcesz sprawdzić moc Kemi, zapytaj wprzód: jakim stało się słowo, nasze starodawne słowo, które wywodzi się z Wielkiego Domu?

- Budzisz pewność w duszy mojej, Eje.
- Mówię prawdę, Teje!... Słowo faraona jest równie twarde, jak było w niepamiętnych czasach. Więcej! Jest jeszcze twardsze, albowiem kije semerów działają z większą wprawą. Sami bowiem semerowie i wszyscy książęta nauczyli się słuchać króla tak, jak nikt jeszcze dotąd nie potrafił. W żadnych czasach!

„...Mój syn zaszedł zbyt daleko. Dzieło jego potrzebuje trwałej podwaliny. A czy ona jest?...”

Eje był jednak święcie przekonany: podwalina jest, niezachwiana! A może uspokajał starą królową, mówiąc tak tylko dlatego, że wypadło tak powiedzieć? Jego oczy... One nie oszukiwały. Ale czy można ufać oczom królewskiego dworzani-
na? Życie w pałacu jest jak waga: w każdą szalę wpatrują się bystre oczy. Setki oczu. To żądnych władzy, to pragnących bogactwa, to próżnych, to zawistnych, to wrogich. O boże, czegoż to nie bywa w pałacach!

— Powiedz mi, Eje, czy znasz Kiję?

— Bardzo mało.

— Trzeba, abyś zaznajomił się z drugą osobą w państwie.

— Po co?

— Żeby wiedzieć, jak masz się zachować w odpowiednim czasie.

— Czy zależy to od młodej kobiety imieniem Kija?

— Ależ ta młoda kobieta jest współrzędną!

Eje spojrział na Teje dziwnie, bardzo dziwnie. Trudno byłoby powiedzieć, czy się uśmiechał. Wargi jego drgnęły. Takie mięsiste, dobre wargi. (W każdym razie — nie złe...) Eje jest zgodny i ustępliwy. To nie budzi wątpliwości. Eje oddany jest faraonowi tak samo, jak oddany był jego ojcu, Amenhotepowi III.

Ruszyła powoli szeroką aleją. Poszedł obok niej i nieco z tyłu. Muzyka zdawała się sama ku nim zbliżać. Jak gdyby płynęła na ich spotkanie. Flety wygrywały istne słowicze trele. Harfa brzmiała teraz wyraźniej. Zwłaszcza wtedy, gdy milkły bębny.

Zaczął znów mówić. Jak najciszej. Aby tylko ona mogła go dosłyszeć.

— Teje, oto moje zdanie. Mam nadzieję, że nie różni się od twojego. Bardzo żałuję, że nastąpiło zerwanie z królową. Naftita była mu podporą. Jemu i nam wszystkim. Była mężczyzną, gdy rzecz dotyczyła spraw państwowych. To jest bardzo ważne, droga Teje, aby nawet w łóżu szeptano mężczyźnie niezbędne słowa. Pożyteczne dla Kenii. Nie wiem, co będzie szep-
tać Kija.

- I ja także nie wiem.
 - Ale dopóki on jest zdrowy, nic nie budzi we mnie lęku.
 - We mnie też.
 - On nie zawróci z drogi.
 - A Horemheb?
 - Co Horemheb?
 - Jego się boję. I tej szramy na jego twarzy się boję. I jego wzrostu. I oczu. I uczuć, jakie są w jego sercu.
 - Którego on wcale nie ma.
 - To prawda: nie ma serca... Niech syn mój wyśle go do Ta-Neter. Albo do Reczenu. Albo do Libii.
- Eje pokręcił głową, po czym zapytał:
- Czy widziałaś piramidę faraona Chufu?
 - Zawsze koło niej bywam, gdy odwiedzam Men-Nefer.
 - Rozkaż ruszyć ją z miejsca. Teje spuściła głowę:
 - Rozumiem. W takim razie lękaj się Horemheba.
 - Wyraziłaś się nie tak, jak należy.
 - A jak należy?
 - Lękajmy się wszyscy Horemheba!
 - Jeśli tak wolisz, Eje, jeśli wolisz...

Do końca alei jest jeszcze dość daleko. Ale już widać staw, wysepkę na nim i pływające łodzie. Na brzegach, na wysepce i na łodziach płoną światła. Dużo światła. Odbijając się w lekko zmarszczonej powierzchni wody — światła wydają się jeszcze liczniejsze. I wtedy zdaje się, że świat cały tonie w blaskach.

Eje i Teje podeszli do brzegu. Właśnie w tej chwili przepływała łódź faraona. Na lamparcich skórach rozłożyła się w niej Kija. Leżała tak, jak gdyby urodziła się królową. Echnaton zauważył matkę. Podniósł rękę w górę, pozdrawiając ją tym gestem. Wyglądało na to, że faraon weselił się beztrząsco i o

niczym innym nie myślał. Od dawna już tak się nie bawił. Kija udawała, że zajęta jest własnymi myślami i nie dostrzega nic i nikogo.

Muzykanci płynęli za swoim władcą. Na osobnej łodzi. Grali, jak się to mówi, z całej duszy.

Osobista straż faraona — zawsze uzbrojona od stóp do głów — i dzisiaj stała w pełnej gotowości bojowej. Na wysepce, na brzegach, na murach, otaczających pałac. Eje zwrócił uwagę na to, że straży było dziś więcej niż zwykle. I nie omieszkał wskazać królowej-matce na tę okoliczność.

— On się weseli — zauważył Eje — nie zapomina wszakże o tym, co najważniejsze.

Teje chwyciła go za rękę i przerywanym głosem spytała:

- Eje, a czy przed nią można się ustrzec?
- Przed kim, Teje?
- Przed śmiercią.

Roześmiał się jakoś sztucznie. To było aż nadto wyraźne: roześmiał się z przymusem.

— Teje, cóż to za myśli?! W taki piękny wieczór! Ja...

Powstrzymała go:

— Dobry, dobry Eje! Oboje jesteśmy już niemłodzi. Przewiduję dzień, w którym odejdziemy — każde z osobna — na Pola Iaru. Wcześniej z pewnością ja, ty nieco później. Czyż nie przystoi myśleć o tej godzinie? Cokolwiek powiesz, Eje, wolałam zawsze ten świat od Pól Iaru. Tak myśleli i moi przodkowie. I oni przekazali mi to odczucie. Wraz ze swoją krwią. Ale zostawmy to w spokoju. Myślę o synu. On jest wielki. Potężny. W zenicie sławy i wielkości. Nawet tutaj, na gładkiej toni tego stawu, on jest bogiem, władcą wszystkiego, co żyje. A ja myślę o śmierci. Przy dźwiękach tej czarującej muzyki. Pytam ciebie: gdzie jest jego śmierć? Poleciał wykuć w Górach Wschodnich

grobowiec dla Naftity. Teraz — dla Kii. Dla mnie jest już prawie gotowy. O sobie zaś nie „myśli. Powiedz mi, któż zamiast niego zatroszczy się o jego wieczne mieszkanie? Kto?!

Eje rzekł:

— Współrzędczyni.

Królowa machnęła ręką niechętnie.

— A może jego wysokość Smenkare?

— Ten chłopiec, Eje?

— Czemuż by nie? — odparł Eje i, dodał niepewnie: — Może jego wysokość Tutanchaton?

— Ten biedaczek jest jeszcze słabszy. Bardzo go kocham. Wyrósł na moich rękach. Ale jest tak chorowity!

— Zważ, Teje, że syn twój także nie wydawał się siłaczem. Sama tak mówiłaś. Jednakże popatrz no, jakim wspaniałym dziełom potrafił sprostać.

— Coraz częściej narzeka na bóle głowy. Pentu nie nastarczy leków. Nie, nie minie bez śladu ani obalony Amon, ani pohańbieni jego kapłani, ani tajna czy jawna wojna z Wasetem!

Znowu przepłynął obok nich faraon wraz z Kiją. Tym razem uśmiechnęła się do królowej. Przyjaźnie skinęła głową. I łódź ponownie rozplynęła się w ciemnościach i w łunie światła rozrzuconych w świątecznym nieładzie.

— Młoda jest i piękna — rzekła królowa jakby z zazdrością.

Nie, nie powiem jej tego, co myślę. Gdy w państwie zdarza się coś niezwykłego, należy przyjrzeć się temu uważnie. Różne rzeczy działy się tu w ciągu dwóch tysięcy lat! Królowie nie tylko rozchodzili się z królowymi, ale czasem zmuszali je do wiecznego milczenia na dnie Hapi lub w falach Wielkiej Zieleńi.

Wszelako Naftita to nie zwykła królowa. Była duszą tego

działa, o które walczył faraon. Była i przy nim, i w jego sercu! I nie darmo przysięgał jej wieczną miłość. Kiedy królowa Naftita w istocie uwięziona jest w Pałacu Północnym, trzeba uważniej rozejrzeć się dokoła i ustalić, co wraz z nią opuściło Wielki Dom, a co zostało. Gdy na morzu powstaje fala, nigdy nie bywa samotna. Tuż za nią biegną inne. Co to za fale i w czyją burzę uderzą? Gdzie jest Pentu? Teraz bardzo jest potrzebny...”

— Tak głęboko zamyśliłeś się, Eje, że nie słyszysz mego głosu.

— Doprawdy, Teje? Zabolalo mnie w piersiach i pomyślałem, czy nie od tego nocnego chłodu?

— Być może, Eje. Czas już i na mnie. Trzeba wracać do domu. Modlę się do boskiego Atona, aby zachował Kemi i jego władcę.

— I ja się modlę, Teje.

Podprowadził ją do lektyki. Teje odwróciła się ku niemu i szepnęła niemal błagalnie:

— Nie opuszczaj mnie, Eje.

Kapłan złożył jej głęboki pokłon. Haftowaną złotem zasłonę zasunęto i krzepcy chłopcy — niewolnicy etiopscy — w otoczeniu straży ruszyli rytmicznym krokiem, niosąc ciężką lektykę.

Na Wyspie Uciech

Ożywiony, z rumieńcem na policzkach, Echnaton zeszedł z pokładu łodzi i skierował się ku Podcieniom Rozmyślań. Na podłodze leżały tam nowiutkie maty oraz poduszki — twarde i miękkie. Na niskich stoliczkach — indyczki na zimno, wino w wysokich i wąskich naczyniach, owoce. Faraon lubił, aby chleb podawano w ostatniej chwili przed jedzeniem: pachnący chleb prosto z gorącego pieca!

Kija zajęła miejsce obok faraona. Zażądała zimnej wody i owoców na miodzie.

Muzykanci wysiedli na brzeg naprzeciwko pałacu. Straże w milczeniu zajmowały wyznaczone im miejsca. Dworzanie półgłosem rozmawiali w alejach.

— Wydało mi się — powiedziała Kija — że królowa jest czymś zaniepokojona.

— Z pewnością ci się zdawało.

— I Eje... Albo jest niezdrów, albo także czymś się niepokoi.

— Też ci się zdawało!

Kija roześmiała się głośno. Chwyciwszy jego rękę, ucałowała ją gorąco.

— Kocham bardzo! — wyznała.

Promieniała radością. I oczy, i twarz, całe ciało! Kija emanowała ze siebie światło zupełnie jak słońce. Boże, skąd w niej

tyle siły żywotnej — kobiecej, nieprzebranej siły?! Czy naprawdę sążone jest wyczerpać się kiedyś temu światłu, które przynosi sercu tyle radości? Faraon porównywał ją w myśli do pęku złocistych promieni w ciemnościach, to do najśłodszej pieśni, to znów widział w niej po prostu kobietę z ciała i kości, ale zrodzoną w niebie, poczętą tam, gdzieś w najczystszych i najwyższych sferach.

— Zdawało ci się — powtórzył. — Przeciwnie, oboje byli weseli przy obiedzie. Czyż tego nie zauważyłaś?

— Pewnie myślałam tylko o tobie.

— To źle.

— Myśleć tylko o tobie?

— Tak.

Kija była zdziwiona. Zaczęła szybko oddychać. Nie mogła pojąć, o czym on mówi. Dlaczegoż to miałoby być źle, że faraon, że mąż — jest w jej myślach? Jako współrzędniczni, ona powinna, nawet musi, rozumieć wszystko!

— Utnij mi rękę — rzekła z uśmiechem, wyciągając ku niemu matową dłoń, którą z lekka dotknęła opalenizna — utnij mi rękę, ale nie pojęłam twoich słów.

Wziął tę długą dłoń o długich palcach w swoją brzydką małą rękę. Nie, nie widział nic podobnego! Nigdy!

— Droga Kijo, powinnaś zastanawiać się nad sprawami państwowymi. Wszak jesteśmy już teraz nie w łodzi, tylko w Podcieniach Rozmyślań. O mnie później...

— To prawda! — wykrzyknęła jak mała dziewczynka. — A ja zapomniałam! Obiecuję ci tutaj, w tym miejscu, wyrzucić z głowy wszystko prócz spraw państwowych.

Poklepał ją po policzku. I natychmiast uprzytomnił sobie, że nigdy nie widywał takich policzków: jędrnych, delikatnych, zdrowych. „Jestem szczęśliwy” — rzekł sobie w duchu. I długo spoglądał na nią szeroko otwartymi oczyma...

— Dobrze — powiedział potrząsając głową — zaraz wyjaśnimy jedną sprawę. Winowajca zostanie surowo ukarany!

Faraon rozkazał, by na wyspę przewieziono dostojnika, który kierował sprawami korespondencji z obcymi państwami. Czekał on już na wezwanie na brzegu stawu. Ze zwojami papiirusów w rękach. I nie bez lęku.

Niebawem ów zwierzchnik pisarzy — niemłody, chudy mężczyzna na krzywych nogach — padł plackiem na ziemię przed najjaśniejszymi osobami. Poleżawszy jakiś czas, uniósł nieco głowę: powoli, powoli, powoli, aby nie oślepnąć od blasku boskiego oblicza.

— Wstań, Usenineferze! — rozkazał faraon.

Pisarz podniósł się i stanął w pewnej odległości, niezbyt wszakże daleko, musiał bowiem dobrze słyszeć każde słowo królewskie. I natychmiast zamienił się w słuch.

— Powiedz mi, Usenineferze, jaki jest mój rozkaz w sprawie korespondencji z państwami zagranicznymi?

— Aby wszystkie pisma pokazywać tobie, królu i władco.

— A ponadto?

— Aby zapytywać ciebie, królu, zanim się je ułoży.

— A jeszcze?

„...Co może być jeszcze? Najjaśniejszy pan pyta zbyt surowo. To znaczy, że zwierzchnik pisarzy zapomniał o rzeczy najważniejszej...” Kija niecierpliwie czekała na odpowiedź Useninefera.

— Pisać wszystkie dokumenty w języku tego państwa, do którego pismo zostaje wysłane — powiedział jednym tchem szef pisarzy.

— Tak, słusznie!... Czemużeś w takim razie wysłał pismo do króla Mitanni w naszym języku?

Useninefer usiłował sobie przypomnieć, kiedy to i jakie pismo wysłane, zostało do Mitanni. Znacomita pamięć faraona zdumiewała wszystkich. Pamiętał wszystko. Wiedział, ile jest

miar ziarna w spichrzach, ilu żołnierzy na granicy i ile garnizonów na obcych ziemiach. Faraon wiedział wszystko, albowiem był bogiem. O czym przekonał się po raz nie wiadomo który oblany potem ze strachu zwierzchnik pisarzy Useninefer.

— A wieszże ty, o jakim piśmie mowa?

Useninefera olśniła nagle świadomość, więc powiedział: „Tak!”

— Najjaśniejszy pan chce usłyszeć twoje słowo o tym nieszczęsnym piśmie, Usenineferze!

Pisarz powiedział patrząc prosto w źrenice Kii:

— Najjaśniejszy panie, żądamy wydania zbiega, który zabił swojego naczelnika w Reczeniu północnym. Wsadził mu nóż w plecy, między łopatki, i uciekł do Mitanni. Zgodnie z umową król Mitanni obowiązany jest wydać przestępcę.

Faraon kiwnął głową: wszystko to prawda.

— Ale powiedz mi, Usenineferze, w jakim języku napisałeś owo pismo?

Urzędnik uderzył się w czoło:

— Zasłużyłem na karę, królu i panie! Dokument napisany został w naszym języku.

— A należałoby?

— W języku Mitannijczyków, najjaśniejszy panie.

Faraon umilkł. Wzrok jego napotkał spojrzenie Kii. Władca proponował, aby ona powzięła decyzję. Zrozumiała to.

— Wycofać pismo! — rozkazała Kija. — Napisać nowe!

Useninefer ponownie padł plackiem. Nosem grzebał w ziemi. Lizął ją językiem, jak cielak liże bryłę soli.

— Pismo jest daleko, najjaśniejsza pani! Gонец królewski pędzi szybciej niżeli wiatr!

Wtedy faraon sięgnął ręką w fałdy swej szaty i wydobyl stamtąd papirus.

— Ten? — spytał.

Useninefer nie wierzył własnym oczom! „To bóg! To bóg! To bóg! On sięga przez pustynię. Przez Wielką Zielen. Przez góry. Oto nogi moje osłabły całkiem. Kolana moje zamieniły się w wodę. I wszystkie moje kości zamieniły się w wodę...”

Faraon zacisnął wargi. Oczy jego zrobiły się jak ziarnka piasku. W słoneczny dzień. Takie świecące punkciki. Jest w nich wiele gniewu. Jest wściekłość. I szczęki mu zadrgały. Zupełnie tak samo jak przed atakiem padaczki.

Szef pisarzy podrapał sobie nos o ostry piasek. Pacnął bowiem o ziemię jak o powierzchnię wody. I jasnoczerwona krew ukazała się na jego nosie. I na lewym policzku także.

A faraon nie spuszczał zeń wzroku. Dobry bóg zawrzał niby woda w kociołku żołnierza na wyprawie wojennej: powoli, powoli... Tym większy niepokój chwycił każdego, kto był świadkiem jego gniewu.

— O wielki, o boże nasz, który życiem obdarzasz wszystkie istoty, który gniewem płoniesz na podobieństwo ojca naszego Słońca, jeżeli spodoba ci się nastawić uszy swoje na głos, posłuszny woli twojej...

— Spodoba się!

Szef pisarzy nabrał otuchy...

„...Pan mój i władca zwraca ku mnie uszy swoje. A gniew w oczach jego, podobny do burzy piaskowej w pustyniach na zachodzie, mija jako i ona. I łaska jego idzie w ślad burzy niby orzeźwiający chłód...”

— Winowajca będzie srogo ukarany, najjaśniejszy panie, a oczy i ręce moje wiernie służyć będą tobie...

— I najjaśniejszej pani — dodał faraon wskazując Kiję ruchem głowy.

— ...i najjaśniejszej pani. Nie będziemy szczędzić ani pleców, ani szyi, ani palców, aby tylko odkupić winę swoją. Dokument ja sam przepiszę w języku mitannijskim i wyślę przez

umysłnego, zgodnie z rozkazem twoim, królu

— Dobrze!

Useninefer podniósł się szybko i strzepnął pył ze swojej szaty ledwie dostrzegalnym ruchem rąk. Po czym cofnął się ze zwojem w rękę. Aż do samej wody. Tam wsiadł do łodzi. I nie przestając bić pokłonów odpłynął na drugi brzeg.

Następnym na przesłuchaniu okazał się semer Achetatonu, jego jasność Psaru-młodszy. Syn Psaru-myśliwego. Nieustraszonego łowcy zwierząt. Trafiającego w oczy, w kącik wróblego oka. Z odległości trzydziestu kroków. Psaru-młodszy pracował w warsztacie szewskim, kiedy zauważył go faraon. Psaru-młodszy zginał plecy szyjąc buty, gdy faraon rozkazał mu: „Psaru, wstań! Od dziś będziesz służył mnie”. A po czterech latach powiedział mu król: „Psaru, służyłeś mi wiernie. Pragnę widzieć cię na czele mojej przepięknej stolicy, która niby niedawno narodzone dziecko czysta jest i jasna”. Psaru z woli faraona został semerem stolicy nad brzegiem życiodajnego Hapi. Psaru sam, własnoręcznie, kładł kamienie w fundamenty miasta. Widział, jak tysięczne rzesze niewolników — Azjatów i Etiopów — budowały domy i świątynie, kopały stawy i zbiorniki wody, sadiły drzewa i przeprowadzały drogi. Majstrowie ze starożytnego Men-Nefer — ludzie wielkiej biegłości, ludzie o złotych rękach — wstawiali w oknach płytki miki i kosztowne barwne szkło z Dżahi. Dzień i noc pracowali budowniczowie. Rzeźbiarze i malarze współzawodniczyli między sobą w swojej sztuce, albowiem król poświęcał im szczególną uwagę.

Była pustynia i na jej miejscu stało miasto bajecznej piękności, jakiego nie widziano w całym świecie. Miasto oglądali przyjezdni z sąsiednich oraz z dalekich krajów, posłowie i kupcy. I wszyscy się dziwowali, albowiem duma Azjatów Niniwa wydawała się w porównaniu z Achetatonem jakby wioską

w pobliżu stolicy. I wszystko to sam widział Psaru-młodszy. Dokonał się cud: stolica rosła w oczach. Jakby zrodziła się z jałowych piasków. Sama. Całkiem jak w baśniach z czasów faraona Chufu!

Gdyby Psaru-młodszy z łaski faraona nie był sam świadkiem wszystkiego, nie wiadomo zaiste, czy uwierzyłby w taki cud. Wszak wielu, słuchając jego opowiadań, kręci głową z niedowierzaniem. To przeważnie cudzoziemcy. To również ci, co mieszkają w Wasecie albo Men-Nefer i nie wyjeżdżają stamtąd, jak gdyby byli przykuci do swych ulubionych miast. Te starodawne miasta — takie jak Ej-n-ra, jak Sais — owiane są legendami. Tam każdy kamień zdolny jest opowiedzieć całą najdawniejszą przeszłość Kemi — od założenia państwa przez faraona Narmera aż do dni naszych. Ale niechże nie znają tych opowieści i legend kamienie Achetatonu. Jest zamiast nich bajeczna stolica, nowa, jasna jak dzień i potężna jak serce lwa. A kto został mianowany semerem tego miasta? Nieznany nikomu Psaru-młodszy! Podniesiony z kurzu i błota. Z ciasnej komórki. Z cuchnącego warsztatu. A kto to uczynił? Król! Który nie zważał na pochodzenie Psaru-młodszego. Który pragnął widzieć dokoła siebie mniej ludzi ze znakomitych rodów, a więcej biegłych i jemu oddanych. Tak bowiem rozkazał mu ojciec, wielki Aton, przechadzający się po niebie jak po własnym dziedzińcu!...

Faraon powitał semera stolicy niedobrym spojrzeniem. I długo, długo milczał. Ani słowem nie odezwała się i Kija. Spuściła wzrok. Nieszczęsny semer dygotał ze strachu, nie wiedząc, czym się naraził wielkiemu faraonowi. W owej chwili z przyjemnością by gryzł własnymi zębami kawałek granitu, byleby mógł stąd odejść, póki cały. Ale któż może powiedzieć, co ma w myśli dobry bóg, dopóki nie otworzyły się jego usta i słowa

jego nie dosięgły ludzkich uszu? Może złąje za niedbalstwo, a może za takie samo przestępstwo obmyśli straszną karę, którą potem długo wspominać będą mieszkańcy Kemi? Ale jest jeszcze straszniej, kiedy król milczy, kiedy rzuca spojrzenie na podobieństwo lecącej strzały. Wówczas błagasz boga: oby prę-dziej! Czyń, co chcesz, byle tylko prę-dziej!

Faraon odezwał się głosem głuchym, jak gdyby wychodzą-cym spod ziemi:

— Psaru, uszu moich dosięgły niedobre wieści. Miasto, które jest mi droższe od mego serca, okazuje nieposłuszeń-stwo...

— O nie, wielki królu, tego nie będzie nigdy!

— Chciałem powiedzieć: nie całe miasto. Ale jego niegod-ni mieszkańcy.

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Jeden z rekrutów płakał jak kobieta. Nie chciał pod-nieść miecza w obronie swojej ziemi. I jeszcze inny poszedł za jego przykładem.

— Najjaśniejszy panie, oni nie byli w zмовie. Nawet je-den o drugim nie wiedział.

— Tym gorzej!

— To piskłeta, które nie chcą opuścić swojego gniazda. To kochankowie, którzy przyrośli do łędźwi żon swoich.

— Czyż można usprawiedliwiać żołnierza, dla którego łoże kobiety ważniejsze jest niż losy Kemi?

— Nigdy, najjaśniejszy panie!

— Jeżeli żołnierza oczekują żołnierskie czyny?...

— Nigdy, najjaśniejszy panie!

Faraon przyjrzał mu się bacznie:

— Co nigdy, Psaru?

— Chcę powiedzieć, najjaśniejszy panie, że nie ma uspra-wiedliwienia dla żołnierza, który uchyla się od służby w woj-sku.

— Czy tylko ci dwaj okazali nieposłuszeństwo?

— Nie, najjaśniejszy panie! Pięćset kijów dostał jeszcze pewien młody kamieniarz. Za to samo.

— Żyje?

— Umarł, najjaśniejszy panie. Z upływu krwi.

— I to wszystko dzieje się w mieście, które ci powierzyłem?

Semer milczał. Było mu wstyd. Bardzo wstyd! Czemuż w tej chwili nie rozstąpi się ziemia i czemu w jej straszną paszczę nie runie semer Psaru?

Faraon rzekł zwracając się do Kii:

— Czy to wszystko przypisać trzeba mojej łagodności?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Może wobec tego niedbalstwu semera?

„Oto nadeszła moja śmierć z ręki tej pięknej kobiety, która płonie miłością do najjaśniejszego pana” — rzekł sobie w duchu Psaru-młodszy.

Kija, pomyślawszy chwilę, powiedziała:

— Psaru nie jest winien.

Faraon drgnął. Jak gdyby to jego oskarżono. Wlepił spojrzenie w Kiję. Pytające spojrzenie.

— W takim razie, Kijo, z pewnością ja jestem winien?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Któż zatem?

— Na pewno nie semer Psaru! Czyż nie ukarał młodego kamieniarza?

— Wszystkich trzech — wtrącił Psaru drżącym głosem.

— Ach tak? To jeszcze bardziej łagodzi winę semera. Gdzież tu jego niedbalstwo? Zaiste, nie sposób podejrzewać swoich sług o wszystko zło. Powszechna podejrzliwość jest niebezpieczna. Wtedy bowiem nawet najwyższy władca nie uniknie podejrzeń.

Faraon wesolo rozłożył ręce. Psaru zaś przeraził się takiej obrony. Gotów był całkiem się jej wyrzec. Król wie, co mówi.

Nie ma tutaj miejsca na żadną wątpliwość...

Ale on, Echnaton, myślą jest gdzieś daleko. W sferach nadobłocznych, gdzie króluje jego ognistożłoty ojciec. Król rozmawia z nim — jak zawsze w chwilach zadumy.

I faraon raczył powiedzieć:

— Kija ma słuszność. Ma słuszność!

Potem pomilczał i dodał:

— A Psaru nie ma słuszności. Najmniejszej słuszności!

I nagle przeszył semera zimny dreszcz. Biedak wyglądał jak skamieniały. Albowiem zbyt ciężkie dla serca są słowa władcy.

A Kija podobna była do młodej lwicy gotowej stoczyć walkę w pojedynkę. Faraona ubawiła ta nagła gotowość.

„Przeżyłem lat trzydzieści pięć. Widziałem zło. Widziałem dobro. Czyniłem sam jedno i drugie. Osiągnąłem niespotykaną władzę i cały świat jest u moich nóg. I oto dziś widzę kobietę, która bez wahania i bez obawy przeciwstawia się mojej woli...”

Ale czemuż to zapomniał o tej drugiej? O tej, która nieraz przeciwstawiała mu własny sąd. Ścisłej, własne myśli dodawała do jego myśli. A wtedy wydawało się, jakoby w sporze on zwyciężył, a nie ona. I czyniła to w imię ogólnego dobra. Czyżby król zapomniał o tym wszystkim?

Semer stał bez ruchu. Drzewa w ogrodzie jakby znieruchomiały z nim razem. I księżyc na niebie. I staw, w którym płonąły odbłaski lamp, i dworzanie — milczący i poważni.

Kija mówiła w podnieceniu:

— Nie mogę pojąć słów twoich, najjaśniejszy panie. Jedno drugiemu przeczy. Jeżeli jedno mówi „tak”, to drugie — „nie”. Błagam cię, wytłumacz mi, abym mogła wyrobić sobie jasne pojęcie.

Ale faraon pokręcił głową. Podniósł prawą rękę i dłonią chwycił się za potylicę. Potem powiedział:

— Oto ktoś przyłożył rozżarzoną miedź, a ona parzy mnie tutaj. Jakby ów ktoś wypalał mi piętno. A czyż ja jestem bezduszne bydło, które piętnują w obcym stadzie? I skąd ten ból? Czy tak podoba się ojcu mojemu, który pływa w sferach niebieskich, gdzie wszystko jest czyste i spokojne? Kto mi da odpowiedź?

I faraon jęknął.

Kija wstała przerażona pochylając się do przodu. Próbując zajrzeć mu w oczy. Wstrzymał ją jednak władcym gestem lewej ręki, nie odrywając prawej od głowy.

— Nie trzeba, Kijo! Ja rozmawiam z nim!

Ale ona dała znak semerowi, który szybko cofnął się ku łodzi stojącej przy niskim brzegu. I kiedy sternik zanurzył wiosło w wodzie, semer spojrzął na księżyc i w myśli złożył mu dziękczynienie. Było mu wszystko jedno, kto to jest: bóstwo czy zły strażnik świata! Psaru-młodszy nie miał wątpliwości, iż jego obrońca i dobroczyńca jest tam, w górze. Na niebie. A jaki jest, to nie ma znaczenia.

Faraon odzyskał przytomność. Ból z tyłu głowy przestał mu dokuczać. Przesunął się ku skroniom i tam zaniknął. Jak gdyby wyparował. Faraon poweselał. Jak zawsze po ataku. I teraz dopiero zauważył, że nie ma semera.

— Kazałam mu się oddalić, najjaśniejszy panie.

— Jaka z ciebie mądrala!

— Lepiej ci już?

— Tak.

I jak zawsze po paroksyzmie bólów faraon poczuł wielki przypływ sił. Przyciągnął Kiję do siebie i szepnął jej do ucha:

— Chcę być z tobą. Tylko z tobą. Z tobą jedną.

Szeri

Zdumiała Nefterufa ta wiadomość: do stolicy przybył Szeri. Po co? Kiedy? Nie mógł tego pojąć. Młody mężczyzna, który o przyjeździe Szeriego dał znać w sposób jak najbardziej poufny, nic na ten temat nie powiedział. Były skazaniec natychmiast podzielił się nowiną z Ka-Nefer.

- On jest tutaj? — spytała niezmiernie zdziwiona.
- Tak.
- Gdzie się zatrzymał?
- W domu pewnego paraschity.

Ka-Nefer zmarszczyła brwi. Przyzwyczaiła się do wielu rzeczy, ci patroszyciele nieboszczyków jednak budzili w niej odrazę i lęk.

— To nic, to nic — uspokoił ją Nefteruf — paraschita to nie najstraszniejsze stworzenie. Interesuje mnie coś ważniejszego.

Nefteruf zaczął wsłuchiwać się w odgłosy, dochodzące z ulicy. Było tam jednakże cicho o tej porannej godzinie. I Achtoj spał jeszcze w swoim pokoju. Można więc było całkiem bezpiecznie prowadzić rozmowę.

Nefteruf mówił dalej:

— Co oznacza to niespodziewane przybycie Szeriego? Jak mógł się na to zdecydować?

Ka-Nefer rozłożyła swe prężne i długie ręce o długich, prężnych palcach. Nie umie dać na to odpowiedzi. Sama oczekuje

wyjaśnień. Od Neferufa. Ka-Nefer jest niezwykle piękna tego ranka. Jak gdyby wczoraj nie była zmęczona. Jak gdyby wyspała się należycie. Jakby nie rozmyślała przez pół nocy nad najrozmaitszymi sprawami.

Neferuf w kompletnej rozterce przeszedł się po pokoju. W tej chwili piękna kobieta przestała dlań istnieć. Cała jego uwaga skupiała się na sprawie, która kryła w sobie coś bardzo dziwnego. Istotnie, przyjazd Szeriego to znak, że sytuacja stała się bardzo poważna. Ale na czym ta zmiana polega? Co zapowiada?

I Neferuf zaczął mówić jakby do siebie:

— Przypuśćmy na chwilę, że nasza sprawa przybiera jak najgorszy obrót. W takim razie Szeri nie powinien pokazywać tu nosa. Po co włożyć do piekła? Wystarczyłoby dać nam jakiś znak. A więc chyba sprawy nie stoją tak źle. Jeżeli nie stoją źle, to jak przedstawiają się naprawdę? Czy nadszedł czas działania? Możliwe.

W takim razie słuszne jest jego zjawienie się w stolicy.

Tutaj może być bardziej pożyteczny niż gdziekolwiek indziej. Poczynam się myśleć, że tak właśnie rzeczy stoją, nie inaczej. — Zatrzymał się na chwilę i popatrzył na nią rozpromieniony. — Dochodzę tedy do ostatecznego wniosku: zwycięstwo nasze jest bliskie!

Jego rozważania zdziwiły Ka-Nefer. Wszystko w nich było na pozór logiczne. Ale jednocześnie nie zawierały nic określonego. Nic uzasadnionego. Wszystko, co mówił, pochodziło z uczucia, z serca, nie z rozsądku! Czy dopuszczalne jest coś podobnego w poważnym przedsięwzięciu?

Odgadł jej myśli.

— Ka-Nefer, jestem człowiekiem. Niejeden popełniłem błąd w życiu i na pewno jeszcze nieraz się pomylę. Czy mnie słyszysz?

— Tak, słyszę — odparła spokojnie.

— A mnie się zdawało, że jesteś daleko stąd.

— Nie. Ja też rozmyślam.

— Powiedziałem, że na pewno nieraz popełnię w życiu pomyłkę.

— Gdyby nie było takich, co się myślą, Nefterufie, to skąd by się brali mędracy?

Roześmiał się:

— Masz słuszność. Ja już się nagadałem. Teraz kolej na ciebie.

Ka-Nefer to kobieta mądra. Mimo swego młodego wieku. W jej głowie żyją tysiące węży, a każdy z nich posiada rozum naj-mędrszego z ludzi. Ka-Nefer widzi dalej niż ktokolwiek. Węch ma czulszy niżeli zwierzę. To chodząca ostrożność i przezorność. Oto kim jest Ka-Nefer!

— Z dnia na dzień jesteś mądrzejszy — odezwała się mrużąc figlarnie oczy.

— Ja?

— Tak, ty, Nefterufie. Już nie przeklinasz faraona. Zrozumiałeś, że lżenie to próżne zajęcie. I niebezpieczne. Czyny — oto co bardziej przystoi mężczyźnie!

Nefteruf zerwał z głowy perukę i cisnął ją w kąt.

— To prawda! Nie mam nic do powiedzenia. Rad jestem, że zmądrzałem. Byłoby gorzej, gdybym usłyszał od ciebie, że jestem głupia! Ale to drobiazg... Czyż nie widzisz, że cały zamieniam się w słuch?

Kobiecie nieśpieszno było dzielić się z nim swymi poglądami:

— Dowiesz się wszystkiego dziś jeszcze, Nefterufie.

— Czy mam się przygotować na jakieś niebezpieczeństwo?

— Być może. W naszym położeniu to nigdy nie zawadzi.

— Jeśli nawet Szeri powie: „Opuść to miasto”, nigdzie stąd nie pójdę.

— Z tego domu czy z miasta?

— Z miasta!

Było jej trochę przykro to słyszeć. Lepiej gdyby powiedział:

„Z tego domu”. Starła się jednak nie myśleć o tym.

— Ja znam Szeriego — rzekła. — To człowiek, który widzi pustynię za górami, a za pustynią oazę. Szeri nigdy nie pójdzie prosto przed siebie, wystawiając pierś na nieprzyjacielskie strzały. Miejsca umocnione będzie próbował obejść. Wyszuka sobie takie ścieżki, którymi nie chadzał nikt.

— To bardzo źle! — wykrzyknął. — Ja wolę prostą drogę niż okólne ścieżki. Wolę odwagę.

Ka-Nefer uśmiechnęła się. I Nefteruf odczuł nagle jej wyższość nad sobą.

„...Jest bardzo mądra. I rozum jej może odstraszyć niejednego mężczyznę. Jeżeli Achtoj jeszcze o tym nie wie, to jedynie dlatego, że całkiem pochłonięty jest swoimi rzeźbami. Ważniejsza dla niego glina niż myśli żony; głąb jej serca mniej dla niego znaczy niż kawał obrobionego kamienia. Rzeźbiarz bodaj nie podejrzewa nawet, z kim dzieli łożę. I tak jest dobrze! Co by się stało, gdyby wyczuł jej przewagę tak samo jak ja?...”

— Nie masz słuszności, Nefterufie. Nie trzeba wystawiać piersi na pociski wroga. Nawet żołnierz nie powinien tak postępować. A cóż dopiero człowiek, który trzyma w rękach nici wiążące go z losami wielu ludzi — bliskich i dalekich? Czyż ma prawo iść przebojem?

Nie sposób było nie zgodzić się z nią, toteż Nefteruf odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

— No widzisz, i ty się zgadzasz! Chcę powiedzieć rzecz następującą: Szeri nie bez powodu przybył do stolicy. Pójdę za nim, nawet gdyby zawiązano mu oczy. I zrobię wszystko, co rozkaże. Wierz mi, on wie niejedno, czego my dwoje nie wiemy. Jeżeli tak jest, to może niebawem wypadnie nam i pierś nadstawić, i oddać życie. Albo też będziemy triumfować. Faraon, wierz mi, wie dużo, ale nie wszystko. Nad pałacem już od

wielu lat stoi, niby groźny cień, Eje, ten sam Eje, który jest u boku faraona! Horemheb także mota własne intrygi. Dowódca straży Mahu również nie śpi. Pentu stara się przeniknąć wicher, który huczy wokół pałacu. A faraon przez ten wicher odcięty jest od ludzi niby palma otoczona ze wszystkich stron piaskami. I to jest dla nas szczęście. Im faraon słabszy, tym lepiej!

— Powiedz mi, o mądra — odezwał się Nefteruf szeptem — czy naprawdę chwieje się ta nienawistna palma? Ja tobie wierzę! Potrzeba mi twoich słów!

Nie dziwiła się jego słowom, pełnym podziwu i pochwały. Przyjęła je jak coś należnego.

— Tak, Nefterufie, ona się chwieje. I chyba nawet mocno.

Patrzył na nią z zachwytem jak na bóstwo. Ten surowy człowiek, który zakosztował mroku ziemi. I zniżając głos jeszcze bardziej, zapytał, jakby się zwracał do prorokini:

— A czy ja ujrzę cel mego życia? Czy zobaczę palmę rzuconą w proch?

— Tak — odpowiedziała Ka-Nefer po prostu.

Były skazaniec wstał gwałtownie i cofnął się o kilka kroków.

— Dlaczego ja tobie tak wierzę, Ka-Nefer? Ja, który niczemu i nigdy nie wierzyłem?

I to, co usłyszał, kazało mu ufać jej jeszcze bardziej. Bardziej niżeli sobie. Niż bogu. Niż wszystkim bóstwom Kemi.

— Dlatego, Nefterufie, że mnie kochasz...

— Coś powiedziała?

— Kochasz.

Przy tych słowach Ka-Nefer przeciągnęła się rozkosznie. Jak dziecko. Jak gdyby nikt i nigdy jej nie kochał. Jakby po raz pierwszy doświadczyła tego uczucia.

A on raz jeszcze przekonał się o jej wyższości. Podobny był

do chłopca, którego przyłapano na drobnej psocie, który czuje wyrzuty sumienia, a jednak nie chce uznać swej winy..

— Nie trzeba — rzekł twardo — nie mówmy o tym. .

Ale przysięgam na bogów, że przypomnę ci ten wczesny ranek i twoje słowa.

Ukryła twarz w dłoniach. Jakby czymś zawstydzona.

Były skazaniec podszedł ku niej ostrożnie i spojrzął na jej pochyloną postać niby na ożywcze źródło bijące w pustyni. Lecz nie, nie wolno ani na chwilę zbaczać na manowce. Coś stanie się dziś wieczorem. W domku paraschity Sennefera. A kobiety? U nich serce ma pierwszeństwo. Rozsądek zaś — nawet u tak mądrych jak Ka-Nefer — zajmuje pośledniejsze miejsce.

Powoli odwrócił się od niej, podszedł do ściany i oparł się o zimne cegły. Aby się nieco ostudzić. A ona powtarzała:

— Kochasz... Kochasz... Kochasz...

— Zamilcz — szepnęła błagalnie.

— Kochasz.

— Ja cię proszę!

— Kochasz.

— Ucieknę z tego domu.

— Kochasz.

— Niechże będzie, jak mówisz. Tylko zamilcz!

Drżał na całym ciele. I usłyszał głos, dobiegający z niebios:

— Nie ukrywam tego, Nefterufie: wszedłeś do mego serca. Zechciej tylko ruszyć palcem, a pójdę za tobą i nie obejrzę się na próg domu swego. Albowiem dusza moja jest z tobą. Oto mówię i tylko bogowie są świadkami. I jeżeli zechcą wysłuchać mojej prośby, będę najszczęśliwszą z kobiet.

Były to słowa kobiety silnej, rozsądnej i pełnej miłości. On teraz nie może już zapanować nad swoim uczuciem, które — widzą to bogowie! — hamował w sobie, zgodnie z przysięgą,

złożoną tam, w głębi gór. Powiedział wówczas: „Nie zaznasz, Nefterufie, nigdy żadnej radości ducha ani ciała, dopóki nie pomścisz swoich bliskich, dopóki nie zostanie pomszczona krzywda, jaką wyrządził faraon! Aż do owej chwili nie zaznasz ni radości, ni śmiechu, ni miłości, bez których człowiek nie jest człowiekiem!” Tak mówił sobie Nefteruf, gdy wydobywał złoto dla skarbcza władcy Kemi. A może tutaj, w Achetatonie, złamał swoją przysięgę?

W tej chwili wszedł Achtoj, rzeński, wyspany, umyty. Pozdrowił panią domu i gościa. Był pełen sił i chęci do pracy. Achtoj oświadczył z radością, jak gdyby dalej prowadził przebraną dopiero co rozmowę:

— Dżehutimes znalazł ów rys, który ożywił twarz królowej. Wziął dłuto i wyłobił maleńkie bruzdeczki w kącikach ust. I żywy kamień stał się jeszcze bardziej żywy. Kto tylko spojrzy na portret najjaśniejszej pani, nie może powstrzymać się od słów zachwytu.

— To dobrze — powiedziała Ka-Nefer obojętnie.

— Jeszcze by też! Królowa jakby ponownie wprowadzona została na tron. Tym razem nie przez kapłanów, lecz przez rzeźbiarzy!

— Tak jest — przytaknął Nefteruf. — O mało nie upuściłem naczynia z wodą, kiedy zobaczyłem kamienny posąg, który wygląda jak żywy.

Przy śniadaniu Achtoj w dalszym ciągu z uniesieniem wyrażał się o rzeźbie. Niebawem cały świat podziwiać będzie mistrzostwo Dżehutimesa.

— Tak? — wymknęło się Ka-Nefer.

— Rozumie się! — oświadczył Achtoj stanowczo. Podniósł wysoko kawałek pieczonej gęsi. — Przysięgam na ten najsmakowitszy kąsek!

— Czy królową może to teraz obchodzić?

Achtoj przestał jeść. Wlepił pytający wzrok w Ka-Nefer. I powiedział zwracając się do Nefterufa:

— Jak widzę, ona już całkiem pogrzebała królową.

Nefteruf wzruszył ramionami: on się na tym nie rozumie.

— Chciałeś co powiedzieć?

— Ja? Nie, nic. I co miałbym mówić? Ja jestem człowiek mały. Idź, przynieś wody! Pomóż rozrobić glinę! Oto moja rzecz. I jeszcze jedno: pragnę jak najrychlej uwolnić was od mojej osoby, stanąć na własnych nogach.

— Słyszysz? — zwrócił się Achtoj do żony. — Gość nasz widocznie jest z nas niezadowolony. Chce jak najprędzej z nami się rozstać.

— Czy to prawda? — Ka-Nefer udała zdziwienie.

— Prawda, ale nie całkiem — rzekł były skazaniec. — Dobrze mi tutaj. Nawet za dobrze. Ale nie trzeba nadużywać cierpliwości miłych gospodarzy...

— Napijmy się wina — zaproponował Achtoj. — Ono poprawi stan ducha.

Nefteruf nie kazał się zapraszać. Przywarł ustami do czarki niczym spragniony podróżny.

Niebawem Achtoj i Nefteruf wyszli z domu. Czekala na nich robota w pracowni Dzehutimesa.

Zjawienie się Szeriego w domku Sennefera było niespodzianką. Paraschita własnym oczom nie wierzył. Szeri był bez peruki, zakurzony i zmordowany jak kamieniarz. Jego kwadratowa twarz, kanciaste szczęki, równy, niewystający podbródek zdradzały dawnego Szeriego-arystokratę, człowieka woli i rozumu. Już od progu oświadczył:

— Przyjdzie tu dwóch. Pierwszego raczej nie znasz. Ale kiedy zjawi się drugi, nie powinieneś okazywać ani zdziwienia, ani strachu.

— Strachu?

— Tak.

— Któż to będzie?

- Dowiesz się w swoim czasie.
- A tamten... pierwszy... to kto taki?
- imię jego Nefteruf...

Nefteruf. Dziwne imię. Mało znane w dolinie Hapi.

— To jest imię zmyślane. Ten, co je nosi, uciekł z kopalni. Człowiek znakomitego rodu. Został zesłany i zbiegł. Jest w nędzy. Jego krewni zginęli albo wiodą marne życie w górach. I przeklinają dzień, w którym przyszedł na świat. Nefteruf zjawił się tutaj, aby ich pomścić.

Szeri podniósł prawą rękę w górę i mówił dalej:

— Tak to jest, szanowny Senneferze. Jedni zostali paraschitami, inni nędzarzami, jeszcze inni zdziczeli jak wilki. Ale łączy ich wszystkich jedno: nienawiść do faraona, nienawiść do jego imienia i do wszystkich jego zwolenników.

- I pragnienie zemsty — dodał Sennefer.
- Prawdę mówisz, szanowny!

Paraschita usadowił gościa na macie, a sam wyszedł na dwór.

Jest już późno. Miasto śpi. Na głównych bramach pałacu wygaszono światła. Pierwsza nocna zmiana straży obchodzi opustoszałe ulice. Do przystani pałacowej nie przybija już żadna łódź. Przewoźnik stolicy ostatni raz przyjmuje na pokład zapóźnionych podróżnych. Zbliża się północ.

Dokoła chaty paraschity pusto jest i ciemno. Ponura cisza ogarnia ziemię.

Sennefer trzykrotnie obchodzi swój domek naokoło. To stoi i wsłuchuje się w ciszę, to przypada do ziemi i rozgląda się bacznie — niczym zwierz w szuwarach Hapi. I uspokojony wchodzi z powrotem do chaty, aby dać znać Szeriemu, że wszędzie panuje spokój. A kiedy na drodze dały się słyszeć kroki, Sennefer uprzedził go natychmiast:

— Ktoś idzie.

Wyszedł na próg. I niebawem wprowadził Nefterufa.

— Jestem — powiedział przybyły.

— I ja jestem — odparł Szeri.

Uścisnęli się mocno. A Sennefer starannie zamknął drzwi na drewnianą klamkę.

— Sennefer — powiedział Szeri bez dalszych wyjaśnień. — Został paraschitą. Zmuszony jest grzebać się we wnętrznościach nieboszczyków. I to ten wielki Sennefer, syn Usersaata z Ej-n-ra! Dom jego wydano na pastwę ognia, całe mienie rozgrabiono, ziemię zagarnął faraon.

— Rad jestem, że cię widzę, Senneferze — powitał go Nefteruf. — Bezstronny Szeri zawsze mówi czystą prawdę. Przywykłem mu wierzyć. Wystarczą jego słowa, aby imię twoje stało mi się drogim.

Sennefer skłonił się z uszanowaniem.

— Szanowny Nefterufie, nie gardź moim jadłem, siądź ze mną do skąpej wieszczy. Nie oczekiwałem wcale ani Szeriego, ani ciebie. A żołądek mój przywykł do niedostatku.

— Nefterufie — rzekł Szeri — uprzedziłem Sennefera. Chcę to samo powiedzieć i tobie. Zaraz przybędzie tutaj, do tej chaty, pewien wielki pan... Dostojnik dworu... Ani ty, ani Sennefer nie powinniście okazywać żadnego zdziwienia. Ani słowami, ani swoją postawą.

Porywczy Nefteruf nie wytrzymał:

— Do nas? Dworzanin?!

— Ciszej, ciszej, Nefterufie! Nie zapominaj nigdy, że w stolicy mają uszy nie tylko ściany, ale i podłogi, i stropy! Stolica to jedno ogromne ucho. Słyszysz ono nawet szelest w szuwarach Delt. Strzeż się szpiegów, Nefterufie! Miarkuj swoją popędliwość, bądź człowiekiem zimnym jak ryba. To moja wielka prośba. A właściwie rozkaz.

— Będę posłuszny — bąknął Nefteruf.

— Z tym ważnym gościem rozmawiać będą tylko ja. A wy słuchajcie i zapamiętajcie.

— A jeżeli zwróci się do nas?

— Odpowiadajcie krótko. Jak najkrócej.

Szeri był skupiony i opanowany. Jak gdyby przygotowywał siebie i swych zwolenników do wielkiej próby. Siadł na podwiniętych nogach, ręce skrzyżował na piersi. Spoglądał prosto przed siebie. Gdzieś daleko. Poprzez ściany tej chaty.

Nefteruf znał go od dawna. Razem chodzili do szkoły. Uczyli się razem w Wasecie. Razem zgłębiali tajniki hieroglifów. Niemal jednocześnie otrzymywali kije, jakie im spuszczał szczerą ręką uczony kapłan. Szeri zawsze różnił się od innych chłopców. Nawet już w owych latach. A teraz jest uznanym przez wszystkich wodzem niewidzialnej, starannie zakonspirowanej opozycji. Jej głową. A w razie potrzeby — jej dowódcą. Wokół niego skupiają się wszyscy niezadowoleni, wszyscy przeciwnicy faraona. Jak należało przypuszczać, któryś z owych malkontentów usadowił się w pałacu. Byłoby bardzo ciekawe dowiedzieć się, kto to taki. Ale ostatecznie to nie jest tak ważne. Rzecz najważniejsza, że jest Szeri, któremu wszyscy bezgranicznie ufają. Bez takiego zaufania niepodobna byłoby marzyć o walce z faraonem.

Sennefer wyszedł na dwór i znowu trzykrotnie obszedł chatę dokoła, bystro wpatrywał się w ciemność, przypadał do ziemi i węszył w nocnym powietrzu. Wszędzie było cicho. Zupełny spokój panował w tym zagubionym kącie stolicy. Więc Sennefer wrócił na swoje miejsce rzuciwszy krótko:

— Nikogo!

Szeri zaczął z daleka:

— Na nieszczęście ludu Kemi narodziło się dwóch faraonów: Echnaton i jego ojciec, Amenhotep III. Co było przedtem? Kemi kwitło, panował powszechny spokój i porządek.

Ludzie pracowali. Za nich myśleli faraonowie, którzy rządili krajem opierając się na arystokracji. Na przykład Totmes III wojował, budował kanały. A opornych zsyłał na wygnanie za piątą kataraktę. Albo na Pustynię Libijską. Czy było źle? Kemi kwitło! Wrogowie jego drżeli. A teraz co? Gnębią nas wrogowie. Już nie kłaniają się nam w Dżahi. Lekceważą nas Hetyci. Mitannijczycy śmieją się z nas i drwią. Etiopowie czekają tylko sposobnej pory, aby nas zniszczyć. I to wszystko po upływie wielu lat od chwili, gdy przodkowie nasi obalili panowanie Hyksosów i na tronie Kemi zasiadł król Jahmes I. A cóż jest teraz? Zamiast posuwać się naprzód i trzymać naszych wrogów w przyzwoitej odległości...

Szeri popatrzył kolejno na Sennefera i na Nefterufa.

— On — Szeri wskazał palcem przez lewe ramię w stronę miasta — on nie wymyślił nic lepszego, aniżeli rozpędziwszy się na podobieństwo bodliwego barana zwalić posąg Amona. Był przekonany, że jego łeb wytrzyma to uderzenie. Ale wszak nawet nosorożec, straszny zwierz południa, może łeb sobie roztrzaskać. O jakieś mocne drzewo albo o kły słonia. Można zerwać imię wielkiego boga Amona z murów świątyń i z obelisków, ale niepodobna wyrwać go z serca ludu. Można zapędzić do kopalń i zamęczyć setki znakomitych ludzi Wasetu, Men-Nefer i Ej-n-ra, ale to nie wystarcza do zdobycia życzliwości nawet pogardzanych nemhu. A dlaczego? To bardzo proste!

Szeri wytłumaczył. Dlatego, że nemhu żądają nie hymnów ku czci Atona, nie poezji, lecz rzeczy bardziej istotnych. A mianowicie: dostojęństw, ziemi, udziału w zyskowych wyprawach przeciwko obcym państwom. Oto czego chcą nemhu! A co im daje faraon? Na razie same tylko obietnice. A przecież minęło całe dziesięć lat. Obietnice, obietnice, obietnice! Końca im nie ma. Powtarzają się jak modlitwy. Z taką samą wiarą w ich

skuteczność, z tą samą monotonnością i — niestety! — z tym samym skutkiem, co modlitwy do fałszywego boga.

Nefteruf i Sennefer z zaciekawieniem słuchali jego rozważań, chociaż ani jednego, ani drugiego nie potrzeba było o czymkolwiek przekonywać. Ich nienawiść do faraona była nieprzejednana. Zrodziła się nie dziś i nawet nie wczoraj.

— A dalej? — upomniał się Nefteruf.

Szeri odpowiedział bez pośpiechu:

— Zrozumcie mnie: ciągle prowadzę do tego, abyście dokładnie uprzytomnili sobie, co dzieje się w kraju.

Więc tak: niezadowoleni są nemhu, rośnie zawziętość arystokracji, pośród zagnanych w kącie kapłanów Amona wrota oburzenia. Czegoż trzeba więcej? Na to mamy i oczy, i uszy, aby wszystko widzieć, wszystko rozumieć. A cóż wynika z tego, co usłyszeliście ode mnie?

Na pytanie to Szeri sam odpowiedział:

— Oto co wynika: nasze wielkie państwo stoi na glinianych nogach. Zmajstrował je garncarz i dopasował do reszty. Czyż wielkie państwo utrzyma się na glinianych nogach?

— Do czasu...

— Słusznie mówisz, Senneferze. A czas ten może nadejść rychlej, niżeli sądzisz.

— A może już nadszedł?

— Przyszedłem do tego miasta po to, aby powiedzieć wam: tak, ten czas nadszedł!

Nefteruf zastygł w bezruchu. I Sennefer także. Lecz zbiegły zesłaniec nagle chwycił rękę Szeriego i ucałował ją w milczeniu — podobnie jak pies, który po swojemu wyraża wdzięczność dobremu panu.

Sennefer rozłożył ręce i modlił się gorąco do bogów.

Nagle za drzwiami rozległy się kroki.

— On! — powiedział Szeri. — Otwórz, Senneferze.

Starzec podniósł się szybko i podszedł do drzwi.

— Śmiało, Senneferze!

Szeri nawet nie dopuszczał myśli, że może to być ktoś inny niż ten, na którego czekali. A Sennefer, ostrożnie odsunawszy drewnianą zasuwę, odemknął drzwi. Wąskie pasmo niezbyt jasnego światła padło na tego, co stał za progiem.

Po chwili wszedł do chaty otyły mężczyzna. Sapał i dmuchał, jak gdyby dopiero co wyszedł z wody. Któż to taki?

— Pozdrawiam cię, Mahu! — powiedział z cicha Szeri. I podniósł się, aby powitać wchodzącego.

Tak, był to Mahu, dowódca straży pałacowej, w którego rękach każdej chwili spoczywało bezpieczeństwo i życie faraona. Mahu, któremu całkowicie ufał władca obu krain Kemi. Który był oczami, uszami i podporą faraona w pałacu. Któż nie znał Mahu? Nawet dzieci słyszały jego imię. Straszono nim nieposłusznych i swawolnych. Dzieciom mówiono: „Przyjdzie tu zaraz Mahu i sprawi ci lanie.” „Mahu obetnie ci uszy.” „Śpij, bo cię zabierze straszny Mahu.” Nawet więc dzieci zawierały znajomość z owym Mahu, a cóż dopiero mówić o dorosłych? Imię jego budziło w sercach przerażenie; na dźwięk tego imienia dreszcz przebiegał po grzbiecie każdego, kto znajdował się między Deltą a Etiopią. I semerowie rozumieli dobrze, co za ptaszek z tego Mahu. Jeżeli jego jasność Eje uosabiał w ich pojęciu spryt i podstęp, Horemheb — nieokiełznaną wojowniczość, to Mahu ucieleśniał bezprzykładne okrucieństwo, jakiego być może nie domyślał się sam faraon. Niejeden zadawał sobie pytanie: „Jak faraon — Życie, Zdrowie, Siła! — znieść może człowieka o tak okrutnym sercu, człowieka tak nieubłaganego jak Mahu? Czyż to jest bezwzględnie konieczne dla władzy faraona?” I oto tenże Mahu zjawia się tu, w tej chatce. Po co?

„...Jeżeli i Mahu jest tutaj — pomyślał Nefteruf — to znaczy, że sprawa wygląda o wiele poważniej, niż można by się

spodziewać. Jeżeli żywy bat faraona — a Mahu to właśnie bat! — uznaje za możliwe opuścić pałac i pogadać ze spiskowcami, to sprawa jest już na wpół wygrana. To znaczy, że władza się chwieje, chwieje się mocno. Zresztą i Szeri nie narażałby z błahej przyczyny ani siebie, ani swoich zwolenników...”

„...Wielki Amon wezwał tutaj tego Mahu, który jedynie w ten sposób może odkupić swoją winę przed bogiem — myślał Sennefer. — Tę okazję zsyła mu Amon-Ra, albowiem Mahu jest winny nie mniej aniżeli faraon. Oto co warta jest trwałość władzy, usiłującej zniszczyć bóstwo, które żyje w ciele i krwi całego państwa Kemi, wszystkich jego mieszkańców...”

„...Oto są ci trzej — myślał Mahu. — Jeden z nich to nieszczęsny paraschita, drugi — człowiek nieznany światu, ale, sądząc z wyglądu, dosyć stanowczy. Czy można oprzeć się na równie znikomiej i pożałowania godnej sile w tak niesłychanie trudnej sprawie jak walka z faraonem?...”

Nie kwapił się, aby zasiąść tu razem z nimi. Spode łba przypatrywał się izbie i znajdującym się w niej mężczyznom.

— Jesteś tutaj wśród ludzi godnych zaufania, Mahu — odezwał się Szeri uznawszy za konieczne upewnić o tym gościa. — Chcę powiedzieć, że każde twoje postanowienie zostanie między nami. Nikt, oprócz tych ścian, nigdy się o tym nie dowie.

— Ściany bywają równie niebezpieczne jak ludzie — rzekł Mahu. I usiadł na niskiej ławeczce.

— Szanowny Mahu — zapytał Sennefer — czyżbyś i ty lękał się szpiegów?

Mahu milczał długo. Zacierał ręce, jak gdyby mu zziębły. Sapał głośno. Rzuczał zaciekawione spojrzenia na każdego z trzech mężczyzn. Takie bystre spojrzenia. Niby kamyczki w locie.

— Kiedy jeden — zaczął wreszcie Mahu — postanawia

śledzić drugiego, wówczas werbuje szpiegów. Nie jednego, nie dwóch i nie trzech. Dużo szpiegów! Albowiem jeden podejrzany zawsze związany bywa z wieloma innymi. A więc sieć szpiegowska się rozrasta. Co robić? Wypada śledzić i szpiegów. Oraz szpiegów, którzy szpiegują tamtych. Co z tego wynika?

Szeri potakiwał głową. On dobrze wiedział, co z tego wynika.

— Jak się sporządza liny okrętowe? Bierze się lniane włókno. Nie grubsze od włoska. Włókno do włókna. Jeszcze jedno włókno — i już jest surowa nić. Surowa nić do surowej nici, aż utworzy się nić gruba. Z tysiąca takich nici, wprawnie splecionych, powstaje w końcu lina gruba jak ręka. A już w takiej linie znaleźć początkowe włókno, zbadać wszystkie zakręty jego drogi byłoby równie trudno, jak znaleźć w Pustyni Zachodniej rzucone tam ziarnko piasku. Do czego zmierzam? Oto do czego: gdy wielki władca werbuje gromadę szpiegów, których liczba niesłychanie wzrasta, to każdy z nas ma taką samą szansę, by wpaść w ręce tych ludzi, zawsze i wszystkiego ciekawych. I już nawet chorobliwie ciekawych. Nie jest ważne, w imię czego zostali oni powołani, kto ich zgromadził i dokąd kierował. Ja śledzę ciebie, ty mnie, my obaj — trzeciego, we trzech — czwartego. A może ten czwarty śledzi mnie albo ciebie? Powiem krótko: ten, co stwarza taką siłę, często sam wpa-
da w jej sieci. Powiedz mi, Szeri, mam słuszność czy nie mam?

— Masz — bez wahania przyznał Szeri.

— Oto dlaczego i ja boję się tych ścian, chociaż sam wysy-
łam szpiegów.

— Wyjdę popatrzeć, czy wszystko jest w porządku — po-
wiedział Sennefer.

Mahu się uśmiechnął. Ten uśmiech na jego purpurowej
twarzy w nikłym świetle kaganka był raczej niepokojący niż
dobroduszny.

— Nie trudź się, Senneferze, wszyscy jesteśmy pod czujnym okiem moich ludzi. Otoczyli twoją chatę ze wszystkich stron.

Nefteruf skurczył się mimo woli, jak gdyby ktoś się na niego zamachnął. Jedynie spokój Szeriego powstrzymał byłego skazańca od ucieczki.

Mahu powiedział:

— Czas mija, Szeri. Co masz mi do powiedzenia? I czy ja powinienem cię wysłuchać w obecności tych szanownych panów?

— Tak, Mahu.

— No to cóż? Zamieniam się cały w słuch.

Szeri oświadczył twardo:

— Każdy z nas gotów poświęcić własne życie.

Mahu kiwnął głową.

— Wszyscy razem albo pojedynczo!

— Rozumiem, Szeri.

— Powiedzieliśmy sobie: życie albo śmierć!

— Godne słowa.

— Dłużej niepodobna go znosić...

— Chcesz powiedzieć: Echnatona?

— Tak! Sponiewierane imię Amona musi być przywrócone do czci.

— Po co?

— Jak to, po co? — zdziwił się Szeri.

— Właśnie: po co?

— Aby wielkość Kemi była wieczna...

— Taaak...

— By poniżone znakomite nazwiska odzyskały swoją poprzednią siłę i znaczenie.

— Nieźle by było...

Nagle rozległo się zgrzytanie zębów. Rzekłbyś, głodny lew wyrósł spod ziemi. I na widok ludzi zazgrzytał zębami, czując przedsmak zdobyczy. Tu, w tej chacie, istotnie znajdował się lew — w postaci Nefterufa.

— Szanowny Mahu — rzekł, z trudnością się opanowując,

by nie podnieść głosu i nie krzyżeć. — Oto moje ręce, zdolne rozszarpać dzikiego bawołu. Weź je i rozkaż im coś spełnić. Coś, czego nikt jeszcze nie widział. O czym nikt nigdy nie sły-szał. Długo były bezczynne. Zdolne są wymierzyć cios, od któ-rego świat zadrży!

Jakby pragnąc przekonać się o tym, Mahu odwrócił głowę i spojrział na ręce Neferufa. Włochate, muskularne, pulsujące krwią.

— Mało — mruknął dostojnik pałacowy.

— Czego mało?

— Rąk.

Szeri rzekł:

— Mamy więcej.

— Gdzie?

— Tu, w tym mieście...

— A jeszcze?

— W Wasecie.

— Mało.

— W Men-Nefer.

— Mało.

— W Delcie.

— Jeszcze nie dosyć.

— I w pałacu.

Mahu spojrział pytająco na Szeriego:

— W pałacu?

— Tak.

— Któż to taki? Można wiedzieć?

— Tak.

— Któż więc?

— Ty!

Mahu się uśmiechnął:

— Uważasz, że to dosyć?

— W zupełności!

Północ dawno minęła

Obudzono go na rozkaz faraona i przyprowadzono do pałacu. Pisarz Bakurro istotnie był zdziwiony: o tak późnej godzinie? I wzywa go król we własnej osobie? To coś niebywałego! Albo bardzo dobrego, albo niezwykle złego.

Spoglądał na strażników uzbrojonych w piki i lekkie tarcze, myślał jednak o swym położeniu. Niedużego wzrostu, chuderlawy, pisarz wyglądał żałośnie w porównaniu z krzepkimi żołnierzami straży pałacowej. Ktoś patrzący z boku mógł odnieść wrażenie, że prowadzą aresztowanego.

Oto idą. Przecinają dziedziniec. Jeszcze jeden dziedziniec. Ogród. Dziedzińczyk. Jeszcze jeden dziedzińczyk. Ogród. Sala. Jeszcze jedna sala. Sala kolumnowa. Otwarty dziedzińczyk. Sala. Komnaty. Korytarze.

Przed niedużymi drzwiami — stają. Strażnicy nie śmia przestąpić progu. W milczeniu wskazują klamkę. Bakurro liczy uderzenia serca: raz, dwa, trzy... Nie zliczy ich! Stoi przed królewską sypialnią. Sanktuarium, o którego ujrzeniu nawet nie marzył. Nie pragnął tego nawet we śnie... Niech będzie, co ma być: pisarz otwiera ciężkie drzwi.

Król siedzi podwinawszy nogi pod siebie. Na miękkich poduszkach. W jasnym świetle lamp. W lekkiej odzieży. Rozpiętej na piersi. Trzyma się ręką za pierś z lewej strony. Na pierwszy

rzut oka wydaje się wyniosły. A w istocie ma wyraz smutku na twarzy i w oczach.

Bakurro pada czołem na zimną posadzkę, na której wymalowana jest soczysta trawa.

— Siadaj! — Faraon wskazuje gestem ręki długą, niziutką ławkę. — Jesteś zdziwiony, mój Bakurro?

Przybyły już się nie boi. Nie wiezieć czemu, nagle nabrał śmiałości. Jest zdolny nawet odpowiadać. I jasno myśleć.

— Nie, najjaśniejszy panie.

Oto on, dobry bóg. Nieduży, słabowity. Można by powiedzieć, że niemal sobowtór Bakurra. Jeżeli mówić o ramionach, brzuchu i nogach.

— Nie dziwisz się, że zostałeś wezwany tak późno?

— Nie... Kemi żyje i działa w dzień i w nocy. Wymaga, aby poświęcać mu uwagę i w dzień, i w nocy.

— To prawda — odezwał się faraon kierując na pisarza wskazujący palec lewej ręki. Prawą w dalszym ciągu masował serce. — Dlaczego ty się tak dziwnie zachowujesz, Bakurro?

— Ja?

— Tak, ty. Często ci się przypatruję. W sali tronowej. Nie jesteś taki jak wszyscy. Według mnie, zawsze myślisz o czymś swoim. Jesteś wiecznie nieobecny, choć znajdujesz się w pobliżu.

— Rozmyślałem niekiedy, najjaśniejszy panie.

— To dobrze. Myśl różni człowieka od bydła. Myśl, która nie zna snu — w nocy ani w dzień.

— Zaiste tak jest, najjaśniejszy panie.

— Dawno już zwróciłem na ciebie uwagę. I zapragnąłem pomówić z tobą... Ile masz lat?

— Czterdzieści, najjaśniejszy panie.

— Jesteś troszkę starszy ode mnie.

— O pięć lat, najjaśniejszy panie.

— Czyż to dużo?

— Tak, dużo. Ja już czuję starość.

— Naprawdę? — ucieszył się faraon. — A ja nie!
— Życie, Zdrowie, Siła! — wykrzyknął Bakurro w nagłym przypływie uczucia.

— Często, często się tobie przyglądam, Bakurro.
— Nie zauważyłem tego, najjaśniejszy panie.
— Nie jesteś taki jak inni. Czy dostałeś jakieś nagrody?
— Tak. I to nawet najwyższą.
— Kiedy i za coś ją otrzymał?
— Przed chwilą. Ale za co, nie wiem. Ta rozmowa jest najwyższą nagrodą dla śmiertelnika!

Czy mówi prawdę? Czy to prawda, Bakurro? Podnieś no oczy na króla... Patrz prosto! Patrz bez mrugania!

„Nie, ten skryba mówi prawdę. Znałem jego ojca. Także skrybę. I ojciec jego ojca też, zdaje się, był pisarzem. Ale, o ile mnie pamięć nie myli, nie są to ludzie zbyt wysokiego pochodzenia. Uczciwi, uczciwi ludzie! I po cóż miałby kłamać? W jego czarnych oczach kryje się tylko prawda. Oczywiście nie mru-gają. On ich nie chowa, nie patrzy w bok...

— Czy ty umiesz mówić prawdę, Bakurro?

Pisarz nie śpieszył się z odpowiedzią.

— Czy jesteś człowiekiem, który chodzi prostą drogą, Bakurro?

— Najjaśniejszy panie, tobie powiem tylko prawdę.

— To bardzo dobrze! Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak to dobrze! Nie można żyć z człowiekiem pod jednym dachem i okłamywać go. To jest nie do zniesienia! A dach mamy wspólny — niebo!

— Prawdę powiedziałaś, najjaśniejszy panie... Od dzieci swych żądam tylko prawdy.

— Cóż, Bakurro, jesteś na słusznej drodze. Ale powiedz no mi, co ty myślisz o faraonie? Kiedy go słuchasz, gdy mówi. Albo gdy zapisujesz jego słowa. W sali tronowej... Ja widzę niejednego pisarza na wylot, zupełnie jak przez płytki miki. I nieraz

zadają sobie pytanie: o czym ten skryba myśli w tej chwili?
Jakie myśli opanowują ciebie?

- Kiedy zapisuję słowa twoje, najjaśniejszy panie?
- Tak. Moje słowa. Tylko mów prawdę!
- Moje zdanie nikogo nigdy nie interesowało.
- Nawet twojego naczelnika?
- Tak. Nawet jego.
- Choćby twoje zdanie o papirusie, na którym piszesz?
- I to go nie interesowało.
- Choćby o atramencie?
- Po co? On sądzi, że i beze mnie wie wszystko.
- Choćby o jakimś hieroglifie?
- O niczym!

Faraon pomyślał: jakże można żyć na świecie, jeżeli nasz sąd nikomu nie jest potrzebny? Postawił się na miejscu tego skryby, którego obudzono wśród nocy. Może być, że właśnie spał on w tym czasie z żoną. Wszak mogło być i tak!

- Posłuchaj, Bakurro: spałeś sam czy z żoną?
- Z żoną.
- Młoda jest?
- Dwa razy młodsza ode mnie.
- Z pewnością mnie przeklinasz?

Pisarz poczerwieniał jak babiloński indyk.

— Dobrze — powiedział faraon. — Nie ty, to żona twoja gderze.

— To wezwanie obudziło w nas zbyt wielki niepokój, aby ona mogła gderać.

— A więc to tak? No, a gdybyś po prostu położył się spać osobno?

— Rozumie się, że byłaby obrażona. Przywykliśmy kłaść się razem. Zwłaszcza w nocy.

- Co?! Kładziesz się z nią do łóżka i w dzień?
- Jeżeli się trafi wolny czas.

— Podobasz mi się, Bakurro. Czy naprawdę ona jest taka gorąca?

— Tak, najjaśniejszy panie. Wszak ma dopiero dwadzieścia lat. Poza tym jest na wpół Azjatką, na wpół Murzynką.

— Gdzieżeś ty znalazł takie połączenie dwóch ogni?

— Tutaj. W stolicy.

Faraonowi oczy zabłysły po łobuzersku. Był zachwycony prostotą skryby. Wezwał go jednak nie po to, by mówić o młodych i gorących żonach.

— Czy myślałeś kiedy o państwie Kemi i jego władcy?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Cóżeś myślał?

— Bardzo się boję...

— Mów, mów — dodawał mu otuchy faraon.

— Oglądam się za siebie i widzę szereg dziesięcioleci, setek lat. Gubią się one gdzieś daleko, daleko... Wydaje mi się, że pogrążam się w noc, która nie ma końca. Tak ogromny jest ten czas, co stoi za nami. Potem patrzę przed siebie...

— I cóż? — przerwał mu faraon niecierpliwie.

Pisarz wzruszył ramionami. Nie miał chęci martwić faraona. Ale faraon czekał. W napięciu. Wysunął naprzód swoją potężną dolną szczękę.

— Wydaje mi się, jakoby przed nami na drodze naszej była mgła.

— Co? Co? — wykrzyknął faraon.

— Mgła.

— Co za mgła?

— Mrok, najjaśniejszy panie.

— Hm... Mrok... Co to za mrok? Nie możesz wytłumaczyć tego dokładniej?

— Mogę.

— O co więc idzie? Czekam, Bakurro!

— Najjaśniejszy panie, zadaję sobie pytanie, co stanie się

z Kemi za sto lat. Słucham twoich słów, zapisuję, co mówisz, a siebie pytam: co się stanie z Kemi za sto lat? Co będzie z naszymi wnukami i prawnukami?

— Czy to wchodzi w zakres twoich obowiązków, Bakurro?

— W tym właśnie cała sprawa, że nie! Dlatego kryję w sercu swoje tajemne myśli. Zostają ze mną. Jest mi lżej z nimi. I ciężej.

Pisarz przestał mówić.

„...Ciekawy z niego człowiek! Oto siedzi i zapisuje cudze słowa. A ma niemało swoich! Warto by je zapisać w porę. Bakurro spogląda w przyszłość. A przecie to jest obowiązek faraona. Powinność i prawo jego najbliższych pomocników. Oni także obowiązani są patrzeć w przyszłość. Ale czy który z nich co powie?! Milczą, a jeżeli otworzą usta, z pewnością skłamią. A ten — nie. A ten, jak widać, jest prawdomówny...”

— Bakurro, mówże, mów! — rozkazał faraon. — Co widzisz oprócz mgły?

— Czyż to mało?

— Prawdę mówiąc — nie. Ale czyż mgła się nie kończy? Ma ona zwyczaj się rozpraszać, wyparowuje...

— Nie wiem — odparł Bakurro pośepnie.

— Ale czemuż to mgła? — dopytywał się faraon. — Rozkazuję ci: dopowiedz swoją myśl do końca. Odsłoń przede mną tok swoich rozważań!

Pisarz niespodziewanie chwycił się za głowę.

— Najjaśniejszy panie! — omal nie krzyknął. — Racz zwać sam. Państwo Kemi ze wszystkich stron jest ściśnięte, jak beczka do wina obręczą. Są takie beczki w Mitanni... Drewniane. Wyobraź sobie teraz: znający się na rzeczy bednarz sporządził tak mocne i tak ciasne obręcze, iż każda drewniana klepka, z jakich beczka się składa, krzyczałaby na całe gardło, gdyby umiała krzyżeć.

— Dlaczego by tak krzyczały, Bakurro?

— Dlatego że jest im ciasno; dlatego że nie mogą odechnąć swobodnie. Tak samo i państwo Kemi: każdy z jego synów ściśnięty jest ze wszystkich stron, nie może się poruszyć, obręcz nie zostawia mu najmniejszej możliwości zejścia z wyznaczonego miejsca. Jak wiadomo, nie każdy żołnierz potrafi sprostać surowym wymaganiom, jakie mu stawiają dowódcy. A cóż można powiedzieć o zwykłym człowieku, o jakimś Psaru-rolniku, o jakimś Bakurro-przewoźniku? Oni ledwie dyszą, najjaśniejszy panie. Władza książąt jest surowa: tego ci nie wolno, tamtego nie wolno! Tego nie mów, o tym nawet nie myśl! Idź w prawo, a nie w lewo! Teraz w lewo, a nie prosto! Powiedz mi, najjaśniejszy panie, ile tych zakazów: tego nie wolno, tamtego nie wolno — wytrzymać może nawet tak niezmiernie cierpliwy człowiek jak nasz?

Król bębnił palcami po kolanie. Pragnął słuchać, nie zaś mówić. Słuchać nie przerywając swemu rozmówcy. Kiwnięciem głowy zachęcił pisarza do dalszych wynurzeń.

— Najjaśniejszy panie, dlaczego na pustyni jest tak dużo piasku? Skąd wziął się piasek? Przedtem, w dawnych czasach, były tam same kamienie: duże, średnie, małe. Ale kamienie. Jednakże słońce paliło niemiłosiernie. Od rana aż do wieczora. Zaledwie zdążyły przez noc ostygnąć, ponownie rozprążyły się w nieznośnej spiekocie. A kiedy okazało się, że niepodobna przewidzieć do końca tej próby, kamienie zaczęły pękać jeden po drugim. Nie mogły znieść żaru. I w miejscu, gdzie był kamień, legły grubą warstwą tysiące ziarenek piasku. Zasypały one wszystko, co żyło, każde źdźbło, i tak powstała pustynia. Jeżeli obręcz, o której mówiłem, będzie się nieustannie zaciskać, to czym to się skończy?

— Chcesz powiedzieć, że pustynią?

Pisarz kiwnął głową. A twarz jego przybrała taki wyraz, jak gdyby kraina Kemi w jego oczach zamieniła się w wypaloną

słońcem pustynię. Bardzo mu żal Kemi, gdzie się urodził, gdzie wzrósł i gdzie zostanie pochowany z honorami albo bez nich.

— Najjaśniejszy panie, ludność państwa podobnego do Kemi nie może wiecznie żyć niby żołnierze w koszarach wybudowanych gdzieś w prowincji Goszen albo na ziemi Synaj.

— Zatem przepowiadasz naszemu krajowi zagładę?

— Krajowi — nie. Ale obecnemu państwu — tak.

— Rychłą?

— Tego nie wiem.

— Czy mówiąc o mgle, właśnie to miałeś na myśli?

— Tak.

Król opuścił duże, ciężkie powieki:

— Powiedziałeś rzecz straszną, Bakurro.

— Tak. Ale ty sam kazałeś mi być szczerym.

— Bakurro, powiedz mi, czy według ciebie mogę coś uczynić, aby rozproszyć mgłę?

Pisarz czuł się niesłychanie niezręcznie: iść przeciwko własnemu sumieniu nie mógł, a nie miał odwagi powiedzieć wszystkiego do końca. Zarazem jednak zbyt daleko już zaszedł w swojej szczerości, zatrzymywać się więc teraz byłoby czymś po prostu bezsensownym. Albowiem jeśli zasłużył już na gniew króla, to spóźnionym milczeniem winy nie odkupi.

„...Już ze sześć lat obserwuję tego skrybę. Jest coś niezwykłego w jego pilności oraz w owej skłonności do rozmyślań, która, być może, opanowywała go pomimo jego woli. Wspominałem go nieraz. Ale czemuż ani razu nie znalazłem wolnej chwili, aby z nim pomówić? Czyż tylko Mahu albo Pentu, tylko Eje albo Horemheb mogą prowadzić ze mną rozmowy? Zresztą co ja mówię? Czy mało razy rozmawiałem z najrozmaitszymi ludźmi spośród nemhu czy po prostu biedaków? Jednak dobrze trzeba się naszukać, aby znaleźć tak szczerego człowieka jak ten Bakurro...”

- Mów dalej, Bakurro.
- Racz słuchać, najjaśniejszy panie.

Bakurro uspokoił się zupełnie. Serce jego biło równym rytmem. I oddychał równo, spokojnie. Jak gdyby rozmawiał ze swym serdecznym przyjacielem, nie zaś z władcą wszechświata.

Ale Echnaton nagłym ruchem ręki powstrzymał pisarza: poczekaj! Usta otworzył szeroko, jakby mu brakło powietrza. Trwało to kilka chwil. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Ale już po chwili faraon się uśmiechnął.

- Lepiej mi teraz — powiedział,
- Co ci jest, najjaśniejszy panie?
- Nawet nie wiem. Boli mnie, o, tutaj. — Ujął dłoń pisarza i przyłożył ją sobie do serca. — O, tu. Nie wiem, Bakurro, od czego to może być.

- Po prostu zmęczyłeś się, najjaśniejszy panie....
- A ciebie serce boli, Bakurro?
- Boli.
- Często?
- Nocami.
- Teraz podobasz mi się jeszcze bardziej. Mamy obaj nie tylko jednakie troski, ale i chorobę... A czym ty się leczysz, Bakurro?

- Niczym.
- A nie pijesz takiego paskudztwa? — Faraon podniósł do ust gliniane naczynie i upił z niego trochę cuchnącego płynu. — Doradza mi to Merira. A w tym flakonie jest lekarstwo Pentu. Jeszcze gorsze. Każdy z nich nazywa swój lek eliksirem życia. Ja piję z obu naczyń. Po kolei. Na przemian. Co ty na to powiesz?

- Nie ufasz im, najjaśniejszy panie?
- Ja?
- Tak, ty.
- Czyż syn Atona może zniżyć się do czegoś takiego? A w jakiż sposób mogłoby mi to zaszkodzić?

— Na przykład — odebrać życie.

— Tak myślisz?

Faraon lekko spojrzał na pisarza, jak gdyby ów dobył nagle noża zza pasa. Ale zaraz potrząsnął swoją małą peruką. I roześmiał się głośno:

— To niemożliwe, Bakurro! Niepodobna nie wierzyć! Inaczej całe życie stanie się nieustanną męką. Albowiem nawet wszechpotężny syn boga Atona nie może się obyć bez rąk ludzkich. A skoro nie może, to powinien ufać. Nie może nie ufać. Choćby najbliższym.

— A jeżeli oszukają?

— Mówisz nie tak, jak trzeba, Bakurro. Powiedz raczej: a jeżeli oszukują?... W czasie teraźniejszym! Tak, tak! Niemiłosiernie mnie nabierają. Gdzie tylko mogą. Schwytałeś — ukarż. Nie schwytałeś — no to wierz. Tak dzieje się od czasów faraona Narmera. Czy masz coś szczególnego, co byś mógł doradzić w zamian?

— Nie mam, najjaśniejszy panie. Tyś uczynił rzecz niemożliwą, gdy otoczyłeś chwałą wielkiego naszego boga Atona i wyszydziłeś wiarę w Amona. A przecież wiara w Amona zrodziła się dawniej niżeli Narmer. Ty to uczyniłeś, panie i władco. Więc czyż być może, abyś nie zdołał zwyciężyć oszukaństwa?

— Chcesz to wiedzieć?

— Bardzo.

— Słuchaj tedy: nie mogę! Boga zwyciężyć łatwiej.

Tym razem za serce chwycił się Bakurro.

— Błagam cię, najjaśniejszy panie, nie mów, nie trzeba! Usłyszeć z ust twoich podobne wyznanie to znaczy stracić wiarę w siebie, w samo życie!

— Niemniej jednak tak to jest. — Oczy faraona błysnęły, mocno zacisnął wargi, obudziło się w nim coś drapieżnego. Jak gdyby przyjemnie mu było pomęczyc tego małego pisarza, który zbyt wiele myślał.

Bakurro miał wygląd człowieka bardzo przynębionego.

— A teraz, panie, powiedzieć mogę jedno: mgła nie tylko

się nie rozproszy, ale ostatecznie pochłonie całe państwo Kemi. A wówczas — wykorzystując tę osłonę — zgniecie nas albo Hetyta Suppiluliuma, albo Mitannijczyk Tuszratta, albo jeszcze jakiś inny niegodziwiec. Teraz już mogą to powtórzyć nawet na torturach. Po tym, co usłyszałem od ciebie.

Faraon machnął ręką. Było coś beznadziejnego w tym geście. A może pisarzowi tylko się tak wydało?... Wszystko być może o tak późnej godzinie, kiedy boli serce i w głowie dokucza jakiś ciężar...

— A któż tobie, Bakurro, zabroni powtarzać prawdę?

— Może Eje?

— Nie.

— Pentu?

— Nie.

— Mahu?

— Nie.

— Horemheb?

— Nie.

— Ale ja nie chcę powtarzać tej prawdy!

— Tak, rozumie się. Tym bardziej że jest ona niebezpieczna. Na to oni ci nie pozwolą. Ale sami będą radzi, jeżeli słowa twoje się sprawdzą.

— Czyż tak nienawidzą Kemi?

— Nie. Nienawidzą mnie!

Faraon wypowiedział te słowa z taką obojętnością, jak gdyby mówił o wyższości fig nad winogronami albo też odwrotnie. I uśmiechał się przy tym. Jakby przyglądał się walce baranów z Reczenu. Albo kogutów z Dżahi. Oznajmił to tak, jakby wiedział o tym od dawien dawna. A teraz jedynie powtórzył prawdę, która go już znudziła.

— Jesteś wielki, bardzo wielki! — gorąco i szczerze powiedział pisarz.

— Tak cię zdziwiły moje słowa, Bakurro?

— Nie.

- A cóż?
- Twoja cierpliwość, panie! To ona mnie wprawiła w tak przygnębiające zadziwienie.
- Zły to styl, Bakurro. Za dużo archaizmów. No któż w naszych czasach mówi: „wprawiła mnie w zadziwienie”? To trąci kurzem starych papirusów, Bakurro. A tyś wszak nie zwykły pisarz, ale królewski!
- Skryba zaczerwienił się. Jak chłopiec. Podniósł ręce na wysokość swoich uszu i złożył głęboki pokłon.
- Wybacz mi, najjaśniejszy panie. Zanadto grzebię się w starych pismach... To z pewnością bardzo źle.
- Bynajmniej — rzekł faraon. — To całkiem niezłe. Trzeba jednak pozostawać sobą. Zrozumiałeś mnie?
- Tak, panie, zrozumiałem.
- A teraz pomówmy o cierpliwości. Ci ludzie — faraon szerokim gestem wskazał na drzwi — podobni są do kukieł, jakie pokazuje się dzieciom w czasie ulicznych widowisk. Są one bez duszy i bez serca. To właśnie jest to, co nazywane bywa władzą państwową. Bez nich Kemi zginie. Bez nich młodzi przestaną szanować i słuchać starszych. Dzień zmieni się w noc, a noc w dzień.
- Głos faraona brzmiał twardo, rozkazująco.
- Nie — odparł Bakurro — to jest właśnie to, co nas gubi.
- Co ty mówisz? Alboż Kemi istnieje zaledwie jeden rok?
- Nie, nie jeden.
- Dzięki władzy!
- Być może...
- Dzięki dyscyplinie, która jest jak granit.
- Być może... Ale przypomnij sobie, najjaśniejszy panie, o obręczach i beczce...
- No?
- Beczka się trzyma, dopóki obręcz jest mocna i dopóki pełno w niej wina lub piwa. Nie daj boże, aby płyn wyciekł:

beczka się rozeschnie. Nie pomogą obręcze. Rozpadnie się. A potem już się jej nie pozbiera.

— Ale przecież bez obręczy rozpadnie się jeszcze prędzej.

— Być może. Ale nawet przy najmocniejszych obręczach się rozsypie, jeżeli pusto będzie w jej wnętrzu.

— Masz na myśli nie beczkę z Mitanni?

Skryba powiedział cicho, bardzo cicho i z pokorą:

— Mam na myśli życie, najjaśniejszy panie. Tylko życie.

Faraon podniósł się powoli. Trzymając się za serce, głęboko westchnął: raz, drugi, trzeci.

— Chodźmy na górę — zaproponował nagle.

Wyszli na korytarz i niezbyt szerokimi schodami wydostali się na płaski dach. Było tu chłodno. Lekki wiatr dął od rzeki. Niebo było wysokie, usiane gwiazdami. Wielkie miasto spało od dawna i śniło. Kto powie, jakie to były sny? Tego nie odgadnie nawet dobry bóg. I kto by mógł przypuścić, że w głowie tego całkiem jeszcze niestarego skryby roi się od takich myśli? A tymczasem patrzcie no: człowiek okazał się nieprzeciętny, naprawdę szczerzy i pełen ciekawych spostrzeżeń. Kto by się tego domyślił patrząc na pilnego skrybę Bakurro? Dobrze to, że król ma wzrok bystry niczym ptak nechbet!... I jeszcze owe sny! Ile ludzi, tyle snów. Zwłaszcza w Achetatonie, gdzie wre życie, bujne życie stolicy, gdzie żyją tysiące dostojników, wyższych urzędników, przeróżnej starszyny, skrybów, rzeźbiarzy, bu-downicznych, właścicieli winnic, sadowników...

Faraon ciągle jeszcze trzymał się za serce.

— Ładnie tu jest — powiedział.

— Bardzo ładnie, najjaśniejszy panie.

— I sercu lepiej.

— Mojemu też, najjaśniejszy panie.

— Świeże powietrze prędzej uleczy niż wszystkie zakłęcia

Pentu.

- Nigdy ich nie słyszałem.
- I lepsze jest od jego leków.
- Możliwe.

Faraon chwycił rękę pisarza — tą swoją delikatną, nieco wilgotną dłonią.

— Bakurro! Wszak nie ma bardziej wspaniałego boga niżeli Aton!

— On jest naszym ojcem i opiekunem, najjaśniejszy panie!

Faraon podprowadził pisarza na skraj szerokiego tarasu.

— Spójrz, Bakurro, świat jest zimny, ciemny i ślepy. A czemu? Bo ojciec mój, wielki Aton, odszedł ze sklepienia niebios. Wyobraź sobie na jedno mgnienie, co by się stało, gdyby odszedł na zawsze? Znikłoby ciepło z pól, kanałów, rzek i mórz. Rośliny przestałyby rosnąć.

Wszystko, co żyje, wyblakłoby. Zwiędło. I w końcu by zmarło.

Twarz faraona wydawała się szarawo-niebieska. Bezkrwista. Sprawił to księżyc. A oczy jego zaświeciły w ciemności jeszcze silniej. Trudno się było od nich oderwać.

Król podszedł ze skrybą ku wschodniej stronie tarasu. I wskazał ręką łańcuch gór, który raczej odgadywało się w dali, niż dosięgało wzrokiem. Król spoglądał na pisarza, a rękę wyciągnął przed siebie niby wódz, który wzywa do natarcia.

— Ale wystarczy, by ojciec mój, Aton, ukazał się nad grzbietem gór i brzeżkiem swej tarczy spojrzął na Kemi, a już wszystko, co żyje, wyrывa się ku niemu, wszystko się raduje i głosi chwałę jego imienia. Niesie on nam ciepło i światło. Życiem obdarza ziemię. Powiedz mi: gdzie, czyj i jaki bóg może wziąć na siebie tyle troski o dzieci swoje?

— Nie ma takiego boga! — wykrzyknął pisarz w ekstazie.

— To prawda, Bakurro! I oto on jest ojcem moim, który postawił mnie u steru Kemi, nad ludem wielkim, potężnym jak cały ten kraj, niewyczerpanym przez wieki jako wody Hapi. — Faraon podszedł nagle blisko ku swemu poddanemu i zaczął mówić szeptem, jak gdyby zwierzał mu się z sekretu: — Bakurro, jedynie mnie dane było odsłonić tajemnicę króla i władcy — ojca mego — i oznajmić ją ludziom, otworzyć im oczy i pozwolić im oglądać jego czyny. Nocami, gdy wszystko śpi, gdy śpisz także ty, słyszę głos jego, który rozkazuje synowi swemu, aby spełnił jego wolę w Kemi i we wszystkich ziemiach ościennych. Tak, Bakurro, ja to mówię, albowiem jest to prawda!

Zimno przeszło pisarza na wylot, tak przenikliwie, że przypało go o drżenie kolan. Faraon wydał mu się nagle ogromnym, zaiste kolosem sięgającym głową nieba. Skryba padł na kolana i całował jego nogi i jego szaty. Dobry bóg był miłościwy — nie odtrącał swego niewolnika, lecz mówił dalej:

— W imię boga mojego, ojca mojego, starłem w proch mnóstwo fałszywych bogów. Całą gromadę bogów z Amonem na czele, ze wszystkimi kapłanami ich oraz zausznikami. Zepchnąłem do ściekowych rowów wszystkie imiona bogów Kemi, bogów każdego miasta z osobna i wszystkich miast razem wziętych.

Bogów, którzy deprawowali serca przez tysiąc lat i jeszcze lat tysiąc. Strąciłem ich niby stare gliniane naczynia — i roztrzaskali się na kawałki, i nie da się już teraz pozbierać nawet okruchów. Uczyniłem to i przez wieki wieków tak będzie, nie zaś inaczej! Tak będzie, Bakurro, jedynie tak! Światło silniejsze jest ponad wszystko. A bóg nasz ma to światło. Ogień gorętszy jest od wszystkiego. A bóg nasz ma go także.

Faraon Echnaton uroczyście wyrecytował nowe wiersze:

W SERCU JEGO — OGIEŃ WSPANIAŁY,
GOREJĄCY PŁOMIENIEM WIECZNYM.
NA CZOLE JEGO — OGIEŃ ŻŁOTY.
NIE STYGNĄCY,
NIEŚMIERTELNY,
ŻYCIODAJNY OGIEŃ!...

Nie skończył mówić. Schwycił się za serce — któryż to już raz owej nocy! Uśmiechnął się jakby w poczuciu winy:

- Bakurro, dlaczego boli serce?
- Zmęczyłeś się, najjaśniejszy panie. Za dużo pracujesz.
- Tak każe mój ojciec...
- On pragnie, abyś żył długie lata.
- Wiem.
- Zasmuci się, gdy pozna, że serce cię boli.

Faraon zrobił kilka kroków. Raz jeszcze przeszedł się po tarasie. Tam i z powrotem. Oddychał głęboko.

- A teraz... nie boli.

Dobry bóg był rad: nie boli! Ręce skrzyżował na piersi. I obracając się powoli na obcasach połączonych sandałów, uważnym spojrzeniem ogarniał całe miasto — dzieło rąk swoich. Zrobiwszy pełny obrót, powiedział:

- Śpi. Pójdźmy spać i my...

Nagrody

Nazajutrz w południe ku mostowi, przerzuconemu przez Drogę Faraona, napływać zaczęli dostojnicy. Jedni szli pieszo, innych niesiono w lektykach. Wodzowie wojsk przybywali na rydwanach bojowych. Droga Faraona została niebawem zatarasowana gruntownie — ani przejść, ani przejechać. Jedyne tuż przed mostem zostało trochę wolnego miejsca.

Na lewo i na prawo od drogi ciągnęły się wzniesione z cegły mury pałacu, przerywane tu i ówdzie pylonami albo niewielkimi uliczkami, które oddzielały jeden dziedziniec od drugiego lub ogród od dziedzińca. Na pylonach łopotały różnobarwne chorągwie. Żołnierze straży pałacowej, ustawieni po obu stronach mostu u jego filarów, wysoko trzymali falujące sztandary. Lekki gwar polatywał nad cizbą odzianą w stroje okazałe, odświętne.

Ale mało kto wiedział, dlaczego, z jakiej to przyczyny zebrali się dworzanie i dostojnicy. Można się domyślać, że król albo kogoś nagrodzi, albo obwieści jakieś ważne postanowienie. Od dawna już przyzwyczajono się do tego, iż nie odwołuje się do rady starszych, ale za każdym razem dobiera sobie doradców według własnego uznania. Z jakiegoż to powodu jednak odbędzie się uroczystość? Nie wiedział tego nawet Eje. Ale udawał, że jest we wszystko wtajemniczony.

— Czy twoja jasność — zwrócił się do niego Tefnacht, naczelny budowniczy wszystkich pomników królewskich — nie zechciałby nam powiedzieć, co nas czeka za kilka chwil?

Eje uśmiechnął się zagadkowo:

— Bardzo chciałbyś dowiedzieć się o tym, Tefnachcie?

— Nie, doprawdy — wmieszał się do rozmowy Nechempaaton (jako zarządca winnic królewskich, wedle prawa stał opodal mostu, na którym, tylko patrzeć, ukaze się najjaśniejszy pan) — co to będzie? Zapewne czeka kogoś nagroda...

Eje zauważył ironicznie:

— Czyż zebrano by nas tu po to, aby udzielać nagany?

I znowu na jego beznamietnym i mądrym obliczu ukazał się zagadkowy uśmiech. „...Coś niedobrego dzieje się z naszym królem. Jeszcze nie tak dawno kroku nie zrobił, by przedtem nie zasięgnąć rady. Inna sprawa, iż faraon mógł postąpić inaczej, wbrew radom. Jak to mówią: wedle własnego widzimisię. A teraz?... Teraz jedynie Kija, Kija, Kija... Teraz ona rozstrzyga o losach Kemi, jeżeli słowo «rozstrzyga» ma zastosowanie wobec kogokolwiek, kto stoi u boku faraona...”

W stronę Ejego precyzyjnie się: naczelny jubiler faraona — Meriptah, stary budowniczy i rzeźbiarz — Bek, nadęty magnat Jahmes, ogromny czarnoskóry Panehesi, wreszcie Parennefer, który obmywał ręce króla. Wszyscy płonęli z ciekawości. Eje nadal udawał, że wie wszystko.

Niedaleko od nich stał Tutu, zarozumiały i sprytny Tutu, zarządzający sprawami zagranicznymi państwa oraz zarządca wszystkich królewskich wachlarzy. Milczał z miną człowieka, który jest głęboko zamyślony. Eje niepostrzeżenie obserwował go spod oka: może ten pochlebca poinformowany jest lepiej?

Do Tutu nachylił się Horemheb i coś mu szeptał do ucha. Tutu kiwnął głową. Horemheb wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jeszcze coś powiedział. Tutu kiwnął znowu.

„...Szcwany lis Tutu z pewnością już dawno wszystko wywęszył. Bez porównania lepiej niż Horemheb. Ten żołdak. Nic nie ukryje się przed Tutu. I tacy ludzie zawsze cieszą się poważaniem. Są potrzebni. Nie można się bez nich obyć. Jedyna rzecz, której nie potrafi Tutu, to pisanie hymnów. Za to wychwała króla pod niebiosa. Z miną znawcy. Można by pomyśleć, że przez całe życie sam nic innego nie robił, tylko układał hymny.

— Dostojny Eje coś przed nami ukrywa — powiedział Parennefer. Miał gardłową wymowę i nie zawsze można było zrozumieć, co mówi. Kiedyś golił brody.

Z bałwiera wyrósł na wielkiego człowieka. Ale bałwanem pozostał.

Eje tylko uśmiechnął się znacząco. Bek — chudy, stary bu-downiczny, którego życie nauczyło mądrości — dodał od siebie:

— Prawem władców jest ukrywać swe zamiary. Prawem sługi dochodzić ich i odkrywać.

— Co właśnie ja robię — mruknął Parennefer.

— Na razie bez powodzenia. Ja wolę co innego...

— Co mianowicie?

— Uzbroić się w cierpliwość.

Parennefer uśmiechnął się, Bek zaś zapytał:

— Co, czyż nie tak, Parenneferze?

— Tak, tylko tak, szanowny mistrzu.

Nagle wśród dostojnego tłumu rozszedł się przyciszony gwar. Zagrała ukryta pod mostem orkiestra. Chór kapłanów zaintonował uroczystą pieśń. Jeszcze chwila — i oto w górze, w wielkim oknie, ukazał się faraon Nef-churu-ria Nefer-cheper-Ra Wen-Ra Echnaton. Nieco z tyłu kroczyła najjaśniejsza pani, Kija.

I każdy, kto stał przed obliczem faraona, pochylił się w głębokim pokłonie, długo nie podnosząc głowy. I nie było nikogo, kto by się nie pokłonił. Nie było nikogo, kto nie okazałby królowi pokory i bezgranicznej miłości. A orkiestra grała uroczysto i głośno.

Faraon, zmrużywszy oczy, uważnym spojrzeniem ogarnął drogę. Co za przyjemne widowisko! Najpierw ludzie Kemi zgięli się w wiernopoddańczym pokłonie. Plecy, plecy, plecy. Głowy gdzieś tam w dole. Same plecy!

Muzyka nagle umilkła. Ciżba ludzka powoli prostowała grzbiety. Teraz rozległ się głos zarządcy komnat królewskich, dostojnego Ipi. Czytał ze zwoju papirusu. Stał tuż za najjaśniejszymi osobami.

Eje pomyślał:

„...A przecie tak niedawno wszystko było inaczej... Obok władcy stała Naftita. Otaczały ich prześliczne córeczki. Ale czas leci szybko. Nie zdążysz się obejrzyć, a już nad twoją siwą głową zjawia się nowy rozkazodawca...”

Eje rozejrzał się dokoła — powoli, dostojnie, z uśmiechem, który miał na zawołanie. A oczy badawcze i czujne. A w głowie różne, bardzo różne myśli. I o tym, i o owym. Mówiąc nawiasem, także i o przyszłym władcy. Gdyby z faraonem stało się coś najgorszego... Któż to będzie? Kto?... Jakoś nie widać ich wysokości Smenkare i Tutanchatona. Więc któż?

Eje prześlizguje się baczny spojrzeniem po twarzach: tłustych, chudych, starych, wyglądających jeszcze młodo, naprawdę młodych, młodzieńczych. Któż z nich? Kto?... Ten? Przenigdy! Ciężko, niby granitowy obelisk, sterczy na drodze Horemheb. Nie patrzy na nikogo. Ani w górę, ani w dół, ani w prawo, ani w lewo... Horemheb, Horemheb... Eje mówi: „nie” — i spojrzenie jego prześlizguje się dalej, dalej — dokolusienka. Gdzież jednak jest ten Smenkare? Czyż to nie on miał

przyobiecane współwładanie? Czyż nie on jest prawowitym następcą tronu?

Ipi obwieszcza królewski edykt. Łaska królewska nie ma granic. Wyróżnia ona każdego wiernego sługę; Choćby znajdował się nie wiedzieć jak daleko. Oko najjaśniejszego pana jest pewne. Hojność jego — powszechnie znana. Oto i dziś otworzyło się wielkie jego serce na spotkanie swoich sług, którzy obecni są tutaj, u podnóża wysokiego mostu, na Drodze Faraona.

Pada wśród ciszy imię Ejego. Faraon uśmiecha się do swego starego nauczyciela. Ręce Kii rzucają złoto. Czyste złoto. Połykujące w słońcu jak ogień.

Eje jest wdzięczny. Podnosi z ziemi nagrodę. A król się uśmiecha. Obdarza go swoją łaskawością i złotem. Dobry bóg wyciąga nad nim ręce, które wyróżniają nagrodą wiernego sługę.

Pada imię Tutu... Imię Horemheba... Panehesi, Pauach, Chotiani, Jahmes, Nechempaaton, Ipi, Juti, Bek, Dzehutimes, User, Pentu, Api...

Te i mnóstwo innych imion. Znane wszystkim. W obydwóch krainach Kemi. Imiona rozbrzmiewają na drodze. A każdy z wymienionych głośno wynosi pod niebo najjaśniejszego pana i najjaśniejszą panią, cały Wielki Dom dobrego boga... Nagrody, nagrody, nagrody... Bardzo dużo nagród. Sypią się niby gwiazdy w porze spadania. I cały świat w radosnym uniesieniu spogląda na faraona. Faraon dziękczynnym gestem wyciąga ręce do swojego ojca. Który jest w górze. Który jest w niebiosach, nad samą jego głową. Którego każdy, promień to anch — życie. Który obdarza ciepłem wszystko, co tylko istnieje na ziemi.

Głos czytającego Ipi wymienia imię Bakurro.

— Kto to taki? — pyta Horemheb.

Tutu ze zdziwieniem wzrusza ramionami.

— Kto to jest?

Eje z trudnością przypomina sobie to imię. Któż to taki?

Czym zasłużył na łaskę króla? Jaki to Bakurro? Może pisarz? Bo jeżeli nie, to co za jeden?

Na środek koła wychodzi Bakurro: wyprostowany, blady, wzruszony. Tak, to pisarz. Pada na twarz. Leży plackiem. Faraon na razie milczy. Ale oto rozlega się krótkie: „Wstań”.

Pisarz się podnosi. Nie jest godzien. Nie śmie podnieść oczu.

- Bakurro — słyszy pisarz głos faraona.
- Bakurro — odzywa się Kija.
- On jest tutaj, niewolnik twój — mówi Bakurro.

I do stóp jego sypie się nagroda. Bakurro nie może nadążyć, by pozbiierać złoto z ziemi. Znowu i znowu złoto pada z nieba. A wszyscy ze zdumieniem spoglądają na ten dziw, albowiem nagrodę otrzymuje nieznanym pisarz. I wszyscy zadają sobie pytanie: za co? Jedni — z wielkim zaciekawieniem, inni — z zawiścią.

Bakurro jest ogromnie zmieszany. Przytłoczony. Nie spodziewał się tego. Ale któż się spodziewał? Pisarz cofa się ku otaczającym go ludziom. Żeby tylko nie nastąpić niechcący któremuś z dostojników na nogę!... Ponownie zagrała orkiestra. Chór zaczął śpiewać uroczysty hymn ku czci Atona, który z nieobjętych wzrokiem głębi niebios spogląda na wielkich tego świata.

Faraon powoli przechodzi ku zachodniej części pałacu. Obok niego Kija. Taka piękna w owym dniu. Miła sercu najjaśniejszego pana i wielkiemu bogu w niebie.

Flety nadal zanoszą się najśłodszymi trelami. Głosy męskiego chóru rozbrzmiewają słowami gorącej miłości do boga Atona.

Wyżsi dostojnicy powoli ruszają ku bramie na prawo. Aby spożyć obiad z faraonem. Na świeżym powietrzu. Pod szerokim namiotem pośrodku szerokiego dziedzińca pałacowego.

Bakurro zostaje sam. Z wielką nagrodą. Bardzo ciężką. A zdaje mu się, że to wszystko jest tylko snem. Ścisłej mówiąc, dalszym ciągiem wczorajszego snu, kiedy wrócił do swego domu po rozmowie z faraonem.

Bakurro jest sam.

Zupełnie sam.

Decyzja

Nefteruf ostrożnie przestępuje próg. Tak wchodzi lew na leśną polanę: bezgłośnie, gotów na wszystko.

— Czy sama jesteś, pani?

Ka-Nefer kiwa głową: tak, sama. Achtoj został zaproszony na ceremonię rozdawania nagród koło Pięknego Mostu, przeluconego nad Drogą Faraona.

— Gość do ciebie, pani.

Spoza pleców Nefterufa ukazał się Szeri. Z pozoru — spokojny. Skupiony. .

Ka-Nefer wyciągnęła do niego obie ręce. Była bardzo uradowana. Dawno już nie widziała Szeriego. To jej nauczyciel. Jej wybawca. Ka-Nefer przyklękła.

— Witam cię całym sercem, czcigodny Szeri — rzekła.

Podniósł ją szybko i po ojcowsku ucałował w czoło. Przycisnął do serca.

— Wiedziałem, że wyrośniesz na piękną kobietę. Ale nie sądziłem, że serce twoje będzie niby krzemień. I cała będziesz jak krzemień.

Usadowiła drogiego gościa. Przyniosła dzban zimnego piwa, pszennych placuszków i cielęciny na zimno. Szeri nie tknął jadła. Natychmiast przeszedł do rzeczy. Jak gdyby nie miał ani chwili czasu.

— Musimy porozmawiać, Ka-Nefer.

— Prócz nas nikogo tu nie ma.

W izbie panował półmrok i dzięki temu było tu chłodniej.

Wszyscy troje siedzieli na matach. Lekka zasłona w oknie falo-
wała pod tchnieniem wiatru od rzeki.

— Ka-Nefer, chcę, żebyś знаła mój pogląd na rzecz. Jeśli zauważysz jakąkolwiek nieścisłość w tym, co powiem, przerwij mi od razu. Sprawa jest zbyt wielka i dlatego obmyślona musi być wszechstronnie. I nikt nie powinien wstrzymywać się od robienia uwag — czy to ostrych, czy życzliwych. Powtarzam: zbyt wielka jest sprawa, którą podjęliśmy. Zwolennicy nasi patrzą na nas z ufnością. Hańba nam, jeżeli popełnimy błąd z powodu własnej zarozumiałości czy przez nieświadomość.

— Masz słuszość, Szeri.

Szeri uczynił ruch, jakby rozwijał zwój papirusu, po czym zaczął mówić powoli i cicho, rzekłbyś, czytał z tego zwoju:

— Zacznę od przypuszczenia. Przypuśćmy, że wkrótce bogowie przywołają faraona na Pola Iaru. To może się zdarzyć. I z woli bogów. I z woli ludzi. Takich jak my tutaj. A zatem faraon już nie żyje. Powiadam: przypuśćmy! Kto może go zastąpić? Że tak powiem: na zasadzie prawa. Kto?

— Jego wysokość Smenkare — rzekła Ka-Nefer.

— A Tutanchaton? — rzucił pytanie Nefteruf.

Istotnie, te dwie osobistości wydawały się głównymi pretendentami do królewskiego tronu Kemi. I nie tylko trójce rozmawiających w domu Ka-Nefer. Znawcy dynastycznego prawa następstwa byli tego samego zdania. Ale Szeri, nie wiedząc czemu, powtórzył: „Przypuśćmy. Przypuśćmy”.

— Przypuśćmy, że stanie się tak, jak mówicie: Smenkare albo Tutanchaton. Pierwszy, chociaż młody, ale wszak coś nie-
coś już reprezentuje, drugi zaś to jeszcze zupełnie chłopiec. Zresztą Smenkare także nie jest mężem o wielkim doświadczeniu. Nie ma chyba więcej niż dwadzieścia trzy lata.

— Zważ — wtrącił Nefteruf — że ten, obecny, wstąpił na tron... Kiedyż on wstąpił?...

— Mając siedemnaście.

— A widzisz!

— To prawda — zgodził się Szeri. — Niemniej jednak to nie są mężowie stanu. Chłopcy! A zwyrodnialec, podobny dzisiejszemu, rodzi się raz na sto lat. Zgodzicie się ze mną?

Ka-Nefer skinęła głową.

— W takim razie — mówił dalej Szeri jeszcze bardziej ścisząc głos — pozostaje wyjaśnić, kto będzie stał za ich plecami? Kto? — Szeri zatrzymał się na chwilę. Popatrzył na Nefterufa. Na Ka-Nefer. — Kto? Eje? Tutu? Horemheb? Pentu? Oto ilu ich jest! Eje to człowiek bardzo sprytny. Dwulicowy. Niebezpieczny. Skryty. Cicha woda. Może modlić się do Atona. Ale nie tylko. Jeżeli trzeba, będzie bił pokłony do ziemi Amonowi. Wierzcie mi, tak to jest.

Nikt jednakże nie zamierzał się z nim spierać.

— Tutu... Kiedy mowa o intrygach pałacowych, nie wolno nikogo tracić z oczu. Nawet takiego szcwanego lisa, jakim niewątpliwie jest Tutu. Zna obce języki. Klepie po hetycku z łatwością. Wypowiada się i w mowie Mitannińczyków. Rozumieją go Aramejczycy. I Etiopowie także. Nie można odmówić mu zdolności. Zdolny jest, powiedziałbym, do wszystkiego. Ale ma wielu niechętnych. Pytanie, czy potrafi odznaczyć się czymś szczególnym.

— Jeżeli tylko nie zwącha się z Horemhebem albo jeszcze z kimś innym.

— Sądzę, że to jest niemożliwe, Nefterufie. Ale jak wam się podoba sam Horemheb? Ten wódz w pełni sił, zabijaka, awanturnik, żołdak?

(Ka-Nefer znała go dobrze. Nawet podobała mu się, bardzo się podobała. Przemilczała to jednak, rozumie się. To prostak również i w stosunkach z kobietami. Siła fizyczna, jak mawiają

sprzedawcy piwa, wprost tryska z niego. To nieposkromiony byk! To lew na łowach! Diabeł, nie mężczyzna!)

Ka-Nefer uśmiechnęła się mimo woli. Uśmiech ten nie uszedł uwagi Nefterufa.

„...Nie przypadkiem drgnęły tej ślicznotce wargi na dźwięk imienia Horemheba. Mogę zrozumieć jego gust. Tak samo zresztą jak i jej. Tacy podobają się kobietom. Pociąga je brutalna siła. I w dodatku, to wojskowy! Na bojowym rydwanie. Czegoż trzeba więcej?”

Szeri powiedział:

— Oto kto jest niebezpieczny! On! Na wypadek jakichś wahań, które mogą zdarzyć się w pałacowych murach, dzielny wódz na czele ciężkozbrojnych żołnierzy może dużo zdziałać. Dlatego właśnie chcę, aby Horemheb nie zniknął z naszego pola widzenia. Dalej, Pentu. On jednak jest za stary. Lubi mędrkować. Często buja w obłokach. W ogóle zaś pełen jest miłości do ludzi. Tacy nie umieją zagarniać władzy.

Ka-Nefer była zdumiona, że Szeri, który mieszka z dala od stolicy i rzadko się tu zjawia — jedynie na krótkotrwałe wypadki — tak doskonale orientuje się we wszystkim. Najwidoczniej ma tu dobrych informatorów. I z pewnością nie jednego i nie dwóch. Inaczej skądże czerpałby swoje wiadomości o życiu w pałacu?

— Rozumiecie mnie? — mówił Szeri dalej. — Powiedzmy, że wyrusza na Pola Iaru faraon, który już dawno powinien był zostawić w spokoju kraj i naród. Jego miejsce zajmie, dajmy na to, Smenkare. Znając go, musimy wszakże zdawać sobie sprawę, że istotnym władcą będzie..! no, chociażby Eje albo Horemheb, albo Tutu. Na co możemy liczyć w takim wypadku?

Nefteruf zacisnęła pięści:

— Gotów jestem na wszystko i obojętne mi, kto będzie później! Byleby nie ten, co rozproszył nas po świecie, zrobił z nas nędzarzy, włóczęgów, głodne szakale pustyni! Czy

naprawdę to takie ważne — kto?! Według mnie” najważniejsze jest to, aby nie był on. Samo wspomnienie o tym chudolicym potworze, o tym zniewieściałym stworzeniu przywodzi mnie do szaleństwa. Nie trzeba rozważać, co stanie się potem! Powiedz, co robić teraz! Nie żal mi życia! Oddaję je bez wahania! Powiedzcie tylko, co mam robić! Dajcie mi miecz do ręki i wskażcie, kiedy i dokąd iść!...

Gniew zawrzał w nim z poprzednią siłą. Gotowość czynu — niewzruszona. Szeri położył dłoń na jego ramieniu. Potrzyzymał chwilę. Milczał. Uspokoił.

— Nefterufie, zawziętość twoja szlachetna jest i słuszna. Proszę cię jednak, wysłuchaj mnie do końca. Rozważmy sprawę wspólnie. Ale spokojniej. Spokojniej.

— Jestem tutaj cały miesiąc i dokuczyla mi bezczynność.

— Zgadzam się: dokuczyla. Ale czyż przypuszczałeś, że wszystko dokona się w jeden dzień?

— Nie, nie w jeden...

— Najmniejsza omyłka — i przepadliśmy! Przepadłaby sprawa, dla której tu jesteśmy, dla której gotowiśmy oddać życie!

— Rozumiem wszystko, Szeri. Ale chcę powiedzieć jedno: jest mi obojętne, co będzie później. — Nefteruf podkreślił intonacją głosu słowo „później”. — Ważne jest tylko, aby nie było jego! — Podkreślił z naciskiem i ten zaimek. — Posłuchaj, Szeri: ktokolwiek zjawi się potem, nie może być gorszy niż ten! Nigdy!

Szeri machnął ręką niecierpliwie.

— Klnę się na bogów, że wyważasz otwarte drzwi. To prawda, że bardzo ważne jest, aby go się pozbyć. Jednakże trzeba myśleć o przyszłości. Czyż mamy, jak dotychczas, ciągnąć dalej swoje żalosne bytowanie? Wyobraźmy sobie, że zjawi się niejaki Horemheb i potopi nas wszystkich oraz wszystkich naszych zwolenników w wodach Hapi. Powinniśmy liczyć się z tym czy nie?

Pytające spojrzenie, pełne wyrzutu, Szeri utkwił w Neferufie. Czekał na odpowiedź. Czekał na wyrażenie ufności ze strony tamtego.

— Szeri, ty dużo widzisz, a jeszcze więcej wiesz. Ale powinienś zrozumieć moją niecierpliwość.

— Rozumiem ją.

— Powiedz mi słowo. Daj rozkaz... Wskaż palcem drogę, a pójdę tą drogą. Bez namysłu... Z mieczem w ręku!

Szeri był nieugięty:

— Nie, Neferufie, nie będę rozkazywał. Nie będę przed czasem wskazywać palcem. Ponieważ niepowodzenie to koniec wszystkiego.

— Najważniejsze, aby ten koniec nadszedł i dla niego!

— Bądź rozsądny. I możesz nie wątpić: zwycięstwo przyjdzie!

— Samo?

— Z tobą! Z nią! Ze mną! Z nami! — powiedział Szeri wskazując kolejno Neferufa, Ka-Nefer i siebie. — Czy to jest jasne?

— To prawda — rzekł były skazaniec.

— Teraz jeszcze dwa słowa i przejdę do tego, co ciebie, Neferufie, ciekawi najbardziej. A więc tak: jest rzeczą najbardziej prawdopodobną, że o swoje prawa do tronu upomną się Smerkare i Tutanchaton. Powtarzam raz jeszcze: zarówno jeden jak i drugi nie stanowią wielkiej siły. Nawet jako faraonowie. Wypadnie nam więc mieć do czynienia albo z Ejem, albo z Horemhebem, albo z Tutu i Pentu...

Neferuf był wtajemniczony w owo „nam”. Szeri miał na myśli silną partię opozycyjną, która działała w głębokiej tajemnicy. Istnienia jej domyślał się zresztą sam faraon, domyślało się też jego otoczenie. A przecie w samym otoczeniu faraona znajdowali się ludzie, którzy w tym czy innym stopniu popierali

partię arystokracji i kapłanów Amona. Mahu dokonał własnego wyboru. Jeżeli zaś idzie o takich dostojników, jak Eje i Horremheb, to ci dwaj od dawna nie okazywali szczególnego zapachu we wspieraniu faraona. Co roku mieli sposobność się przekonać, że robi on wszystko po swojemu, coraz częściej obywatując się bez ich rad. Związek starego boga Amona i starej arystokracji, która w intrygach osiągnęła najwyższą doskonałość — to zbyt twardy orzech, aby go można było zgnieść zwykłym sposobem. Nawet wówczas, gdy ma się władzę faraona obu krain Kemi. Nawet przy pomocy dobrze wyćwiczonej armii urzędników... Szeri brał to wszystko pod uwagę. Nie spieszył się. Cóż znaczy rok w takiej sprawie jak walka nie na życie, ale na śmierć? Jedna chwila! I trzeba tu działać bezbłędnie. Ludzi zaś w rodzaju Nefterufa, niewątpliwie pożytecznych w określonym czasie, należy trzymać w cuglach. Są zawzięci, i to bardzo dobrze. Ale zawziętość nie zawsze bywa dobrym doradcą. Raczej przeciwnie...

— Na czym polega rzecz najważniejsza? — mówił Szeri dalej, bez pośpiechu, jak gdyby opowiadał dzieciom baśń o Sinuhe i strasznej żmii, rozumiejącej ludzki język. — Słuchajcie mnie uważnie. Tego, co powiem, nie powtarzajcie nawet w myśli. Zapomnijcie o tym. Aż do specjalnego, umówionego znaku. Nie powinny tego słyszeć ani ściany, ani okna, ani drzwi, ani podłoga, ani sufit. O uszach ludzkich nawet nie mówię.

Szeri poprosił o czystą wodę. Nie o wino albo piwo, lecz o wodę.

„A więc i on ma w duszy ogień — pomyślał Nefteruf. — Serce jego jest niczym kamień w słonecznej spiekocie — lada chwila pęknie. To człowiek zimnej krwi tylko z pozoru. Troskę i strach ukrył głęboko. I z tego powodu jemu, być może, jest bardziej ciężko niżeli nam...”

Szeri wypił kilka łyków wody i odstawił czasę na ławkę.

Nagle Ka-Nefer zauważyła, że jego palce drżą. Ledwie widocznie. Prawie niedostrzegalnie. Ale drżą. Szeri mówił teraz tak cicho, iż miało się wrażenie, jakoby mówił tylko do siebie. A oto co powiedział:

— Nie byłbym wart więcej niż pęknięty garnek, gdybym nie pomyślał o tym, co ma się stać z faraonem. On musi odejść! Dokąd chce. Na Pola Iaru. Władca, który nie szczędził ani bóstw, ani znakomitych ludzi państwa Kemi i jego sławnego grodu Wasetu, nie powinien budzić litości. Cokolwiek by się z nim stało. Pomyślmy: cóż może się z nim stać?

Szeri zagiął jeden palec i powiedział:

— Może umrzeć własną śmiercią.
— Dlaczego ma umierać? — spytał Nefteruf.
— Jak każdy, kto żyje. W swoim czasie.
— Kiedy? Dzisiaj czy za dziesięć lat?
— Tego nikt nie wie. Ale on jest chory. Może nawet umiera w tej chwili.

Nefteruf omal nie podskoczył. Ze zdziwienia. Z radości. Gotów był ucałować Szeriego.

— Nie, nie — powstrzymał go Szeri — on raczej o tym nie myśli. Ale, jak każdy, może umrzeć w dowolnym dniu i godzinie. Dziś, jutro albo za lat dziesięć...

Nefteruf jął sapać ze złości.

— ...Albo za lat dziesięć. Tak. Po com ja to mówił? Po to, abyśmy nie zanadto liczyli na śmierć naturalną, lecz byśmy działali sami. Przypomnijmy sobie, jak zabity został faraon Teti...

— Wysłała go na Pola Iaru straż przyboczna — mruknął Nefteruf.

— To prawda. A faraon Amenemhat I?
— Zabity został we własnych komnatach.
— Tak było!
— Cofnąłeś się do zamierzchłej przeszłości, Szeri. A my żyjemy w nowych czasach. Sądzę, że faraon jest bardziej przezorny...

— Możliwe. Ja jednak sędzę...

Nefteruf mu przerwał:

— Nie mów dalej, Szeri. Wysłuchaj mnie. Nadszedł mój czas. Pozwól i mnie powiedzieć słowo... Ja ci opowiem, jak zginie. Popatrz tu: widzisz moją rękę? Mogę nią położyć byka. Dzikiego. Młodego czy starego. A teraz patrz! — Nefteruf wyrwał zza pasa sztylecik. — Oto on! Sięga do serca jak pszczoła do dna kwiatu. Wypędzi duszę z ciała w mgnieniu oka. Wszystko może... W moich rękach. Oto on, oto moja ręka i — ja!

Oczy Nefterufa poczerwieniały z wściekłości. Palce zaciśniętych pięści zbieleły mu z wysiłku. Sztylet kołysał się i wił we wszystkie strony na podobieństwo żmii.

Szeri rad jest bardzo. Szeri zaciera ręce. Ka-Nefer pije wino duszkiem. O, jakież to bohater ten Nefteruf!..

— Nefterufie, pokazałeś nam, jak... Aleś nic nie powiedział o tym, kiedy i gdzie...

— Nad tym trzeba pomyśleć... Faraon bywa w pracowniach rzeźbiarzy. W pracowni Dżehutimesa noszę wodę i rozrabiam glinę. Czekam na niego. Ręce mam całe w glinie i czekam. Zamiatam podłogi i czekam. W końcu jednak chyba się go doczekam!

— Czy to ty umieściłaś Nefterufa w pracowni? — spytał Szeri.

Ka-Nefer skinęła głową.

— To bardzo dobrze.

Ka-Nefer powiedziała:

— Pośpiech ma swoje złe strony. Zwłoka też. Gdzież jest środek, ten prawdziwy środek, tak nieodzownie nam potrzebny? Weźcie pod uwagę to, że faraon ma dobry słuch i długie ręce. Kto może twierdzić, że faraon żyje w zupełnej nieświadomości? Kto powie, że on nic nie wie o nas? A ten Mahu? Czyż to jest bóg? To także człowiek. I jemu też nieobca jest zdrada. A jeżeli nagle uzna, że sprawa nasza jest przegrana?

Szeri jednak stanowczo odrzucił to podejrzenie. Kto jak kto, ale Mahu powiedział swoje słowo. Zdrada kosztowałaby go zbyt dużo, o czym wie doskonale... Szeri zwrócił się do byłego skazańca:

— Proszę tylko o jedno i jedno nakazuję: nie wolno ci przedsięwziąć nic takiego... Rozumiesz? — nic! — dopóki nie uwiadomisz nas: mnie albo Ka-Nefer. Jeżeli faraon zjawi się w pracowni, przyjrzyj mu się, oblicz sobie wszystko dokładnie, zachowaj jednak zimną krew. Weź się w garść!

Nefteruf mruknął coś niezrozumiale.

— Coś ty powiedział, Nefterufie?

— Nic.

— Zrozumiałeś mnie?

— Tak.

— Nie spiesz się. Jeżeli mówię to ja, wiem, co mówię. Słyszysz, Nefterufie?

„...Jest wściekły. Zupełnie jak zwierzę. Nic nie słyszy. Nawet nie może słyszeć...”

Szeri popatrzył na byłego skazańca. Przyglądał mu się dość długo. Wielka jest nienawiść tego potomka znakomitego rodu Wasetu, wielka i głęboka krzywda, jakiej doznał od faraona. Nefteruf dokona swego. Dokona z pewnością... Niechże będzie, co ma być!

Ulubieni semerowie

Horemheb podjechał ku domowi Ejego na swym bojowym rydwanie. Ogniste rumaki nie tyle dowiozły go tutaj, co doleciały na skrzydłach. Niby owe ptaki ze starodawnych baśni.

Wodza przeprowadzono przez ogród, który rozrósł się bujnie, jak gdyby rósł już całe stulecie. Sykomory były tu nadzwyczaj cieniste. A granaty? Gdzie szukać lepszych niżeli te? Palmy także jedna piękniejsza od drugiej. A klatki z małpami? Gdzież są klatki z małpami?

Pokazano mu klatki. Ileż ich tu było i jakie! I małe jak pieski, i puszyste jak kotki, i takie o czerwonych zadach, z grzywami jak u lwa. Czy to prawda, że kolekcji tych małp pozazdrościć może królewski zwierzyniec?

Zarządca komnat, witając Horemheba, potwierdził, że należące do Ejego małpy górują różnorodnością odmian nad małpami faraona.

— Jak powiedziałeś? — przerwał mu Horemheb.

— Twoja jasność, powiedziałem: małpami faraona.

Zarządca komnat był młody i nieco kulawy. Porządnie się zaczerwienił uświadomiwszy sobie, że powiedział coś dwuznacznego. Horemheb roześmiał się głośno i z lekka uderzył młodego człowieka pięścią w brzuch.

— Dobrze powiedziane: małpy faraona! Przysięgam na boga, że dobrze! Jak się nazywasz?

— Nachtiu, twoja jasność.

— Wspaniale, przepięknie, Nachtiu! Masz słuszność: my wszyscy jesteśmy małpy faraona! Małpy najjaśniejszego pana. Cha-cha-cha! Wszak i ty także jesteś małpą!

Nachtu zrobił się purpurowy. Był bardzo zmieszany. Jak rozumieć tego wodza-prostaka? „Dobrze im żartować i kpić. A jeśli ta rozmowa dojdzie do uszu królewskich? Co to znaczy — małpy faraona? Można to zrozumieć jako poniżenie samego siebie. Ale można i całkiem inaczej... Co tam jemu się stanie? Nie! Horemheba nikt nie będzie brał na spytki. Kiję mogą poskakać po plecach Nachtiu. Najzwyczajniej w świecie...”

— Twoja jasność, ja miałem na myśli prawdziwe małpy. Te, co są w królewskim zwierzyńcu.

Horemheb rozstawił szeroko nogi, wziął się pod boki, wypiął do przodu swoją potężną pierś. Zabawnie wywracał wielkimi oczami i śmiał się z cicha.

— Nachtiu, a cóż ja miałem na myśli, co?!

— Twój nieszczęsny sługa nie może tego wiedzieć.

— Ano, popatrz mi w oczy!

„...Horemheb to najulubieńszy semer faraona. Tak samo jak Eje. Tylko że Eje jest stary, a Horemheb w kwiecie wieku. Jedno słowo jego jasności i Nachtiu kości swych nie pozbiera!”

— Patrz mi w oczy, patrz!

„...Chłopak jest, jak widać, z tych tchórzliwych. To bardzo zabawne: małpy faraona! A czyż tak nie jest? Jesteśmy wszak właśnie małpami faraona. Biegamy zupełnie jak w klatce. Wywracamy koźły. Potrząsamy zadami — jeden czerwonym, drugi kościstym...”

Twarz biednego Nachtiu przypomina księżyc, który jest na niebiosach: od ucha do ucha tyleż, co od czoła do podbródka. Jednym słowem — prawdziwy syn Kemi. Tylko że kulawy. Jest to wielki defekt. Dla żołnierza. Ale dla zarządcy komnat to z pewnością zaleta. Nie na darmo trzyma go u siebie Eje... A czy tego Nachtiu są czarne, czarniusieńkie. Jak węgiel.

— Co, przestraszyłeś się, Nachtiu? ,
— Nnie — odpowiedział z trudnością zapytany. Horemheb wziął go za brodę jak chłopczyka:

— Naurągałeś nam od małp. I słusznieś zrobił!

— Nie, nie! — wykrzyknął Nachtiu, przerażony.

Ale Horemheb już go nie słyszał. Kroczył w stronę szerokiego ganku. A Nachtiu stał w najwyższym pomieszczeniu, zgoła nie pojmując, co się właściwie stało. A co będzie, jeżeli Horemheb powtórzy owo nieszczęsne wyrażenie panu Eje i może jeszcze w jakimś szczególnym znaczeniu? Nie, trzeba podsłuchać, co Horemheb powie gospodarzowi.

Nachtium rzucił się w kierunku północnego ganku, ku krzakom, które tam rosły.

Eje przyjął znakomitego gościa w wielkiej sali i zaprowadził na ganek — spokojny zakątek, do którego nie dochodził chłodny powiew od rzeki.

— Zajmujący ten twój sługa — rzekł Horemheb. — Który? — spytał Eje.

— Nachtiu.

— Tak, to jest chłopak z głową na karku.

— Od razu to zauważyłem. Naurągał nam od małp faraona.

— Co?

— Od małp faraona...

Nachtium nie słyszał już nic więcej. Dostyc było i tego. Wyszedł ostrożnie z krzaków i całym pędem — na jaki tylko pozwalało mu kalectwo — rzucił się przed siebie. Trzeba przecie naradzić się z kimś nad tym, co robić. Co robić, jeżeli Horemheb ni z tego, ni z owego oskarży go o ciężki grzech gadulstwa?...

A Eje i Horemheb prowadzili dalej rozmowę, zupełnie zapomniawszy o małpach faraona.

— Czcigodny Eje — mówił wódz. — W Azji przyciskają nas tak mocno, że niebawem nie zostanie tam ani skrawka ziemi z naszych dawnych posiadłości

— Przyciskają, powiadasz?
— Tak, najczcigodniejszy. Jeszcze nigdy nie doznawaliśmy takich upokorzeń od Azjatów.

- Tak?
- To jest najzupełniejsza prawda.
- Jakież to okropne!

„...Stary udaje, że o niczym nie wie. A tymczasem wie doskonale wszystko. I w dodatku — z pierwszej ręki. Od jego ludzi roi się w całym państwie Kemi, od Dety do Gór Skalistych. A on udaje, że dopiero co się obudził...”

— Tak, czcigodny Eje. Niejednokrotnie zdawałem z tego sprawę najjaśniejszemu panu...

- No i co?
- Nic z jego odpowiedzi nie zrozumiałem.
- Czy zawierały tak głęboką myśl?

„...Stary chce mnie złapać za słowo. Ale to mu się nie uda...”

„...Ten wódz należy do takich, którym lepiej nie kłaść do ust palca, bo odgryzie. I nawet nie przeprosi za to”.

— Możliwe, że słowa najjaśniejszego pana były równie obrazowe i głębokie jak jego hymny. Ale ja jestem prostak. Rozumiem tylko rozkazy.

Eje spojrział na niego z ukosa: ty, bracie, nie udawaj niewowłęcia.

— Tak, rozumie się, słowa najjaśniejszego pana nie zawsze dostępne są dla naszych umysłów. Przez usta jego przemawia bóstwo, które nam świeci i grzeje nas. Trzeba natężyć uwagę, aby pojąć całkowity sens jego słów.

— Czcigodny Eje! Słowa, jakie raczy wygłaszać faraon Echnaton — Życie, Zdrowie, Siła! — nigdy me będą przez nas całkowicie rozumiane. Czymże bowiem jesteśmy w porównaniu z synem boga? Zaiste, małpami, o których mówił Nachtiu. Faraon Echnaton — Życie, Zdrowie, Siła! — widzi wszechświat,

słyszysz bicie serc naszych. On jest tutaj, na tym progu, i mówi do nas: pokój wam, sługi moje, raby moje!...

— ...małpy moje.

— Co?

Eje najspokojniej w świecie powtórzyl:

— Małpy moje.

Horemheb nie zamknął otwartych ust. Ze zdumienia.

Eje powiedział:

— Ot co, szanowny Horemhebie. Albo będziemy się nawzajem oszukiwać i darmo czas tracić, albo porozmawiajmy jak ludzie, których żywo obchodzi pomyślny rozkwit Kemi. Ja tak myślę. Wiem, że i ty sądzisz tak samo. Nie możesz inaczej. Prawda?

Horemheb machnął ręką: ma chłop rację, czas już zaprzestać udawania głupiego, czas pogadać otwarcie.

„...Eje albo mnie zdradzi, albo w istocie jest z czegoś niezadowolony. Na wszelki wypadek będę się miał na baczności. Ten stary nie należy do takich, co mówią prosto. Oprócz każdej wypowiedzianej myśli ma w zapasie jeszcze dwie: jedną na własne usprawiedliwienie, jeżeli to będzie potrzebne, a drugą dla zadania ciosu. A więc trzy myśli na raz. To więcej niż dosyć...”

„...Zawadiaka? Awanturnik? Grubianin? Ten zuch zajdzie wysoko, jeżeli zawczasu nie podetnie mu się skrzydeł. Mówiono mi i, jak widać, nie bez powodu, że spogląda on nieco dalej niż na Etiopię i półwysep Synaj. Pycha wodzów nie zna granic, jeśli poczują, że dano im swobodę i pozwolono działać wedle własnego uznania. Taki dowódca obiera sobie za wroga nie tyle Tuszratę czy Suppiluliumę, ile własnych przyjaciół, których łatwiej mu będzie osiągnąć...”

Eje powiedział:

— Tak, masz słuszość, Horemhebie: Azję tracimy. Wprawdzie nie ostatecznie. Jest jeszcze możliwość uratowania tamtejszych naszych posiadłości.

— Jest, twoja jasność. Jest!

Uprzejmy gospodarz zapytał gościa, czego miałby chęć skosztować: pieczonej gęsi lub indyczki, kawałka wołowiny z rożna czy serca cielęcego na dereniowym kijku? Horemheb udał, że się zastanawia. Wreszcie powiedział, iż Pentu nie radzi nadużywać mięsa. Pentu mówi: jak najmniej mięsa, a jak najwięcej zieleniny, nawet zwykłej trawy. Na pytanie Ejego, czy w takim wypadku nie przeobraziłby się w zwierzę przeżuwające, Horemheb oświadczył, że Pentu pozostawia to zagadnienie otwartym. Okazuje się, że w Mitanni jest piękny zwyczaj: jedzą tam mięso tylko gotowane a jedynie wyjątkowo pieczone na rożnie. Eje powiedział, że istotnie jest to piękny zwyczaj. Prawdopodobnie woda, wrząca woda, wymywa z mięsa jakieś cząstki szkodliwe. Ale jeśli słuchać Pentu do końca, do najdrobniejszych jego rad, to absolutnie nie wolno pić wody, zwykłej wody z błogosławionego Hapi oraz wody z oazy na pustyni. Horemheb przyznał się, że i jemu Pentu radził nie pić wody. Twierdzi on, że człowiek składa się z wody i ognia. Między wodą i ogniem trwa wieczna walka: raz zwycięża ogień i wtedy człowiek pragnie wody, innym razem zwycięża woda i wtedy człowiek tyje. Nie ma potrzeby dodawać wody do wody. Co na to powie szanowny Eje?

Semer uśmiechnął się, po czym tajemniczo mrugnął w stronę wodza. Czyż to wymaga specjalnych wyjaśnień? Jeżeli stawiamy zagadnienie: czy można pić wodę, czy nie wolno, to najlepiej — dla uniknięcia duchowej rozterki — pić wino albo piwo.

— Ho! — wykrzyknął wódz klasnąwszy w dłoń. — Mądrości twojej, Eje, przeniknąć niepodobna. Jeżeli woda budzi wątpliwości, to wino czy piwo są napojami, które nie pozwalają na dwa różne komentarze. A skoro tak, to picie wina jest prawdziwym szczęściem dla mężczyzny. Woda i ogień zawarte w winie, zwłaszcza w dobrym winie, tak się zaprzyjaźniły, że

nigdy człowiekowi nie szkodzą.

Słowa te gościnnie gospodarz ocenił na swój sposób i rozkazał sługom, aby otworzyli najlepsze amfory z zeszłorocznym winem — białym i czerwonym — i przynieśli w kilku dzbanuszkach. O ile wino zostało wybrane dość szybko, to z wyborem jadła gość wyraźnie zwlekał.

- Gęś jest tłusta — powiedział.
- Indyczka usunie tę wadę gęsi.
- Jadłem indyczkę dziś rano.
- W takim razie wołowina. Ten kawałek, gdzie mieszczą się nerki.

Horemheb się roześmiał:

- Ten zatem, który jest bliżej moczu?
- Jeśli wolisz...
- Nie mogę pojąć, dlaczego najlepsze kawałki to właśnie te, które są najbliżej nerek?
- Widocznie dlatego też i człowiek poczyna się gdzieś między moczem i kałem.

— Słusznie! — wrzasnął wódz. — Jeżeli przepiękne stworzenia, za jakie uważam kobiety, poczynają się niedaleko moczu, to ja bez wahania wybieram nerkową część wołowiny!

„...Ten prostak ma ograniczone możliwości błysnięcia jakimś bardziej subtelnym dowcipem. Biedny Horemheb! Namioty, życie spędzone na biwakach i musztra nie mogły wyrobić w nim delikatnego smaku. Zresztą może to i lepiej. Mocz to też niezły cel dla żołnierskiego humoru. Oto teraz wódz trochę sobie wypije, a wtedy pójdą w ruch opowiadania, od których uszy wędzną...”

Nie pomylił się Eje. Wystarczyło, by Horemheb wysuszył dwie czarki wina, a już zaczął opowiadać nieskończenie długą historię o pewnym Mitannijczyku, który prowadził ścieżką jakiegoś Hetytę i ten wpadł do dołu z łąjnem; za to Hetyta

uraczył Mitannijczyka piękną kąpielą: namówił go na skok do basenu, który okazał się napełniony moczem... „Cały obóz — pomyślał Eje — na pewno rży z radości, kiedy opowiada się podobne historie”.

Horemheb wszakże nie jest takim prostakiem, jak by się mogło wydawać. Swoją karierę wojskową całkowicie zawdzięcza faraonowi. Ród jego, powiedzmy szczerze, nie odznacza się ani świetnością, ani bohaterskimi czynami. Faraon dostrzegł w nim jednak coś i rzekł: Horemheb będzie wodzem! I tak się stało. Prosty oficer przeobraził się w umiłowanego semera. Rozumie się, iż czegoś takiego nie zdobywa się jedynie ordynarnymi żartami. Nie można przeczyć, że Horemheb zdolny jest do wielu rzeczy. Jeżeli trzeba, pójdzie choćby po głowach przyjaciół. Wyrzutów sumienia nie poczuje, tego można być pewnym. Co jeszcze? Jest śmiały. Natarczywy. Nie liczyć się z nim po prostu niepodobna. Ma za sobą realną siłę — armię. W rękach ma miecz.

Horemheb pochłonął mięso jak wilk pożerający antylopę. I niebawem ogarnął go nastrój stateczny i błogi.

Eje — ten niezwykle doświadczony i sprytny mąż stanu, posiwiały w pałacowych intrygach — czekał na główny temat rozmowy, który skłonił Horemheba do odwiedzin. Jednakże pajak się nie spieszył: po ledwie dostrzegalnym drzeniu pajęczyny poznał, że chwila jest bliska...

Horemheb niespodziewanie przerwał swoje dowcipy, spojrzenie jego zatrzymało się na czarze z winem. Następnie podniósł w górę oczy, podobne do dwóch czarnych jak smoła śliwek, i rzekł:

— Czy nie wyjaśniłbyś mi, Eje, co takiego dzieje się z faraonem Echnatonem — Życie, Zdrowie, Siła!

Eje pokręcił głową w milczeniu. Czyż Horemheb nie orientuje się sam, co się dzieje z królem? Jednocześnie stary semer wyczuł, że wódz próbuje nawiązać z nim szczerą rozmowę.

Z pewnością coś go niepokoi. Eje bardzo pragnęły się dowiedzieć, co to za niepokoje. Ogromnie by pragnął! Ale słów zachęty Horemheb od niego nie usłyszy. Eje będzie jedynie słuchał. Będzie milczał i słuchał.

„...Stary wszystkowiedzący lis. Ale udaje, że dopiero co się narodził. Eje napracował się nieźle dla dobra faraona. Rady jego były najważniejsze we wszystkich dziełach, podejmowanych przez władcę. Rady jego i jeszcze bodaj rady Meriry, póki tamtego nie zwała z nóg choroba. Teraz czeka, żebym gadał ja. Więc mam być wylewny, a on będzie kiwał w sposób nieokreślony głową. Jeżeli jego faraon raptem zwęszy tę naszą rozmowę, Eje jak zawsze nie będzie miał z tym na pozór nic wspólnego... Nie, nie ma tak dobrze! Niech no ja go trochę pomęcę...”

Horemheb upił łyk wina:

- Niepokoi mnie jego zdrowie...
- Mnie także, czcigodny Horemhebie.
- Czy nie można by przekonać króla, że powinien więcej oddawać się odpoczynkowi niż sprawom państwowym?
- Mnie się to nie udało. Spróbuj ty.

„...A więc milczysz, Eje? No, cóż, spróbujemy z drugiego końca. Połaskotałem cię trochę pod pachami i nic z tego. A może by tak spróbować w pięty?”

— Czcigodny Eje, najjaśniejsza pani, Kija, bardzo się wszystkim podobała w dniu rozdania nagród.

- Tak?
- Bardzo, bardzo! Zachowywała się z należytą powagą i dostojnie. I ani razu nie skorzystała ze swego prawa nagradzania kogoś we własnym imieniu.

— Cóż, Horemhebie, skromności trudno jej odmówić. Będą musieli to przyznać nawet jej przeciwnicy.

— Była niezwykle olśniewająca w swojej purpurowej szacie. I ze złotym ureuszem bardzo jej do twarzy.

— Słusznie mówisz, Horemhebie, słusznie.

„...Ten semer stał niemal u kolebki Naftity. I nie jest bynajmniej obcy starej królowej Teje. I przyczynił się w jakimś stopniu do tego, aby faraon został tym, czym został. Zgadza się z faraonem, zawsze, we wszelkich okolicznościach. Ale trzeba oddać sprawiedliwość temu semerowi: żaden sąd nie ujawniłby jego udziału w jakiegokolwiek sprawie — ani w złej, ani w dobrej. To trzeba umieć! Trzeba mieć do tego szczególny charakter!”

— Ze wszystkich stron, czcigodny Eje, słyszałem jedno: król dokonał wyboru! Król zatrzymał spojrzenie na najbardziej godnej!

— Możliwe, Horemhebie, możliwe.

— Urodzić sześć dziewczynek i ani jednego chłopca — to także do niczego! Nieszczęsna Naftita, usunąwszy się do Pałacu Północnego, powinna to rozumieć.

— Oczywiście, oczywiście.

— Najjaśniejszy pan dzień i noc marzył o synu. Kochając ją.

— Tak, tak, tak.

— Ale syna jak nie było, tak nie ma.

— Tak, syna nie ma...

— Najjaśniejszy pan dokonał wyboru...

— Dokonał, dokonał wyboru, Horemhebie.

Eje zaproponował gościowi kawałek pieczonego mięsa, porcję zaiste lwią: ogromny kawał, czerwono-brązowy, krwisty i zalatujący dymkiem ogniska.

Horemhebowi oczy zapłonęły na ten widok.

— Nakładaj, szanowny Eje! Nie ma co, nakładaj.

Czarny niewolnik wyszczerzył zęby w uśmiechu i zręcznym ruchem wyciągnął rożen. Mięso klapnęło na wielki gliniany półmisek.

— Aby nie obrazić naszego Pentu, weź sobie tej zamorskiej zieleniny. Przywieźli mi ją z wyspy Isi. Uwielbiają ją podobno Hetyci.

— A czego oni nie uwielbiają? — zapytał Horemheb. — Wszystko zeżrą. Gadaj, co chcesz, ale to jednak Azjaci. Chociaż trochę lepsi i trochę czystszy od tych Babilończyków i Reczenian.

— Mitannijczycy także lubią zieleninę.

— Tak. Mają taką pachnącą. Troszkę ostrą. Troszkę kwaśną.

— Mają nawet gorzką.

— Przekonałeś mnie, Eje. Biorę sobie ten snop zieleniny. Tylko jeżeli zmienię się w cielaka, grzech spadnie na ciebie.

Wypili zdrowie najjaśniejszego pana, wypili za pomyślność Wielkiego Domu w Achetatonie, za Kemi. Horemheb powiedział kilka słów, Eje zaś trzy razy więcej i bardziej kwieciście. Jak gdyby za ich plecami stał sam faraon albo dowódca jego szpiegów Mahu. Po namyśle Horemheb zagrzmiął pochwalnym hymnem ku czci ziemskiego bóstwa. Eje słuchał go uzbroidszy się w cierpliwość (tej mu nie brakowało).

— Słusznie, Horemhebie, słusznie — potakiwał gospodarz.

Horemheb, zapalając się coraz bardziej, zaczął wynosić pod niebiosa poczynania wojenne najjaśniejszego pana, których — jak wódz przyznawał w duchu — w ogóle nie było, jeżeli nie liczyć hańbiącego odwrotu w Azji, w Pustyni Libijskiej i w Etiopii. Cóż zatem właściwie pozostaje? Parady wojskowe na pałacowym placu?

Eje udał nierozgarniętego baranka. Cały czas kiwał i kiwał głową, popijając wino. Raz tylko wtrącił słowo w niekończącą się orację Horemheba. Geniusz faraona jest niedościgły i nie ma granic — mówił Eje. Ale najlepszy ze swoich twórców, armię, istotnie unieśmiertelniał na wieki czynami wojennymi...

— Czym? — zapytał Horemheb, bacznie nadstawiając ucha.

- Czynami.
- Jakimi, Eje?
- Wojennymi. Wojennymi.

Na szyi wodza napęczniały żyły. Poczzerwieniał jak indyk i zmiądzzył kość zębami. Eje aż drgnął na dźwięk tego trzasku.

„...Eje drwi. Wyraźnie drwi. Tylko z kogo? Z faraona czy ze mnie?...”

— Eje, czy przez czyny wojenne twój jasny i głęboki umysł rozumie odwrót?

- I odwrót także.
- Taką bezładną ucieczkę, Eje?
- A czemuż by nie?! Jeżeli nie ma innego wyjścia.
- Zostawienie swojej ziemi wrogowi, Eje?
- Tak.
- I bydła, Eje?
- Niestety, tak.
- I ludzi, Eje?
- Wszystko się zdarza, Horemhebie, wszystko się zdarza.

Tylko największy człowiek, równy umysłem najjaśniejszemu panu, mógłby ogarnąć jednym spojrzeniem wszystkie jego działania, którymi są nasze zwycięstwa.

„...Stanowczo ktoś tutaj siedzi. W tych krzakach. Albo za zasłoną na drzwiach. Inaczej niepodobna byłoby czarnego nazywać białym. Eje najwidoczniej uplanował podstęp. Ale jaki? I po co? Żeby zaszkodzić swojemu gościowi?...”

Zapadał zmierzch. Eje kazał przynieść lampy. Takie większe. Alabastrowe. Nie tyle po to, by wzmocnić światło, ile dla ciepła: Eje nie lubił chłodnych wieczorów miesiąca paopi. Lepszy jest epifi — z upałem, z ostrymi zapachami łąk i pól, skrzypieniem wozów, które zwoziły płony. W miesiącu epifi można puścić w ruch wachlarze, a zimne piwo przezwycięża skutki skwaru. Paopi zaś, wymaga cieplej odzieży, noce wtedy bywają

zbyt chłodne, a od strony Deltę wieje prawdziwe zimno. Już nie takie jak w miesiącu farmuti, ale bądź co bądź zimno.

Trzy lampy ustawiono dokoła spożywających obiad mężów. Od razu zrobiło się przytulniej. I nieco cieplej. Horemheb poprosił, aby lampy odsunięto dalej. Jest mu nie tylko nie za chłodno, ale wprost gorąco. Wystarczającą ilość ognia zawiera wino.

A Eje obłożył się skórkami jagniąt. Nogi okrył skórą lamparta.

— Człowiek powinien wystrzegać się chłodu w miesiącach farmuti i paopi — powiedział jakby na usprawiedliwienie.

Horemheb dorzucił wesoło:

— A w epifi — upału, a w miesiącu tot — wody, w miesiącu chojak znowu — chorób płucnych. Słowem, przez cały rok!

— A jednak przede wszystkim w miesiącach farmuti i paopi! Kiedy to woda zwycięża w człowieku ogień. Tak uczy Pentu.

Horemheb machnął ręką:

— Jeśliby człowiek miał słuchać mędrców, to zawczasu powinien położyć się w sarkofagu, już w dniu swego urodzenia! Mało czytałem, bardzo mało. Ale wiem, że są mądrzy ludzie, co piszą tak: rób tylko to, co sprawia ci przyjemność, co przynosi ci zadowolenie. Ja trzymam się tej zasady.

— Ludzie, którzy mieszkają na zachód od Hetytów, jak twierdzą nasi żeglarze, postępują w myśl twojej zasady, Horemhebie. Są jednakże między nimi i mądrzy, i głupi! Dlatego że w każdym narodzie jest równa liczba jednych i drugich.

— Głupich jest więcej, Eje.

— Nie przeczę. Wpadł mi kiedyś w ręce bardzo stary zwój. Odebrano go pewnemu rabusiowi, okradającemu groby. Ten łotr wlaź do zagubionego w piaskach grobowca, okradł go,

przy czym samo złoto, jakie wyniósł, warte było dwadzieścia debenów. Odebrano mu dobrze zachowany zwój. Heka-chasut owej miejscowości, gdzie schwytano złodzieja, podarował mi ten zwój. Powiedziane w nim jest, iż głupcy rodzą się na przemian z mądrymi jak chłopcy i dziewczęta. Dzieci, poczęte w miesiącu epifi, mówi się tam, głupsze są od poczętych w miesiącu mechir.

— O wielki Atonie! — wykrzyknął Horemheb. — To dla mnie prawdziwa radość.

— Dlaczego, Horemhebie?

— Najjaśniejszy pan urodził się w miesiącu chojak, był zatem poczęty przez swych królewskich rodziców w miesiącu mechir.

Eje się uśmiechnął. Wydawało się jednak, że Horemheb mówi poważnie. Tak poważnie, iż gospodarzowi zachciało się śmiać z całej duszy. Jednak rozsądek, jak zawsze, wziął górę.

— O tak, Horemhebie, i mnie to cieszy. — Eje, pomyślawszy chwilę, zapytał: — A kiedy tyś był poczęty, Horemhebie?

— W miesiącu mesore. W czasie wylewu Hapi.

— Szczęściarz!

— Tak, nie skarżę się na swój miesiąc. A ty, Eje, kiedy? Czy twoja matka może to ukrywała?

— Nie, ja wiem wszystko. Niestety, w miesiącu epifi!

Horemheb się roześmiał. Potrząsnął semera za ramię.

— Nie wierz, Eje, staremu zwojowi. Lepiej mnie uwierz: jesteś mądrzejszy niżeli wszyscy, urodzeni we wszystkich miesiącach roku! I w mesore, i w chojak, i w tot. Jednym słowem, we wszystkich, ale to wszystkich miesiącach!

— Łagodzisz mój gniew na miesiąc epifi.

— A niedoczekanie jego! — odparł żołdak nie zrozumiałszy ironii. — Ja bym też chciał się urodzić w tym samym miesiącu co ty!

— Dziękuję ci.

Horemheb zapytał gospodarza, czy nie poda czegoś słodkiego. Dobre byłoby ciastko ak! Takie z orzechem. Z ciasta przyrządzonego na miodzie.

— Będzie, będzie i ak.

— Po pieczonym mięsie zawsze chce mi się czegoś słodkiego — przyznał się wódz. Jego silny organizm mógłby się domagać i napoju wa-am, który niejednego od razu zwala z nóg. A przyrządzają go tak: czerwone wino mieszają z białym, dodają mocnego piwa i kilka łyżek miodu. Do naczynia z tą mieszaniną wrzuca się pokrajane brzoskwinie, jabłka albo gruszki. Popijanie tego napoju to prawdziwa przyjemność, szczególnie jeśli organizm jest silny i kompletnie zdrowy.

Przy słodyczach Horemheb zapytał obcesowo:

— Co zamierza robić nowa pani Wielkiego Domu?

Eje rozłożył ręce.

— A ja wiem — oświadczył Horemheb z wyrazem prostackiej figlarności.

— Co?

Eje odłożył ciastko, którego zresztą nie tknął.

— Wiem — powtórzył wódz.

— Słucham cię.

— Powiedzieć otwarcie?

— Tak, otwarcie.

Horemheb powiedział takim tonem, jak gdyby chodziło o jeszcze jeden kawałek ciasta ak, które okazało się wyśmienite:

— Ukłęcać głowy. Jak kurczętom. Najpierw tobie. Potem mnie. Potem Mahu. I jeszcze Tutu. I jeszcze...

— Zaczekaj, zaczekaj — powstrzymał go Eje. — To jest coś z baśni.

— Jakich znów baśni?

— Najzwyczajniejszych. Takich dla dzieci.

— Wybacz, czcigodny Eje, jeżeli nie utrafił. Ale obowiązkiem moim jest zawsze mówić prawdę. Zwłaszcza tobie.

Zresztą... — Horemheb podniósł czarękę w górę. Popatrzył na nią ode dna. — Zresztą być może, iż wszystko to są baśnie. Przecież ja wiem, jak ciebie król kocha. Nigdy nie ukrzywdzi swojego umiłowanego semera.

Eje sposepniał nagle. Po chwili rzekł:

— Kocha nie tylko mnie. Również i ciebie darzy nie mniej gorącym uczuciem. Już ja wszystko dobrze wiem, czcigodny Horemhebie.

— Co robią dwaj ulubieni semerowie najjaśniejszego pana, kiedy są razem? — Horemheb podniósł w górę czarękę. — Piją na cześć najjaśniejszego pana — Życie, Zdrowie, Siła! Niechaj dobry bóg króluje sto lat w swoim Wielkim Domu! Tylko sto lat! Nie mniej!

Wypili.

„...Horemheb wytrzymał. Mocny ma charakter, ani słowem nie wygadał się na temat celu swojego przybycia. Jednakże można tego i owego się domyślać. Żołdakowi się zdaje, i nie bez podstaw, że w Wielkim Domu dzieje się niedobrze. W Wielkim Domu są wielkie nieporozumienia, niesnaski. To jest jasne. Czy Horemheb chciał zapewnić sobie moje poparcie? Czy też uprzedza mnie o jakimś niebezpieczeństwie? Ale o jakim? Trzeba mieć się z nim na baczności. Zdradzi cię i nawet okiem nie mrugnie. Wpakuje ci sztylet nie przestając się uśmiechać... A swoją drogą, on jest czymś poważnie zaniepokojony...”

„...Ten Eje udaje sfinksa. Jednego z tych, co sterczą z porzbijanymi nosami pośród piasków, niedaleko Men-Nefer. Sumienie mam czyste, przyjechałem do niego z otwartym sercem. A on?...”

— Czcigodny Eje, mądrość twoja znana jest w obydwóch ziemiach Kemi. Nie darmo ludzie mówią: oto jest człowiek, który mądrze myśli. Nie darmo mówią: oto człowiek, który jest godzien być pierwszym semerem. Nie darmo mówią: oto człowiek, którego ręka zna wszystkie tajemnice pisma, prawdziwy

wielki pisarz! Ucho najjaśniejszego pana nakłania się ku tobie, albowiem tyś jest rozum i sumienie Kemi. Semerowie dają ci posłuch mówiąc: oto on, nasz nauczyciel. Wierz mi, czcigodny Eje, mówię to nie dlatego, że skosztowałem jadła z twojego stołu i spróbowałem twego znakomitego wina, lecz dlatego, że było to potrzebą mego serca i mego języka.

„...O bogowie, postawcie tamę siłom ziemskim, jeśli zechcą utrwalić władzę tego Horemheba!”

„...Starcze, kiedyż nareszcie wybawisz nas od twojej obłudy i wiecznego «ani tak, ani nie»? Czyż długo jeszcze ma stać pustką twój grobowiec? Czy zbrakło miejsca na szerokich przestrzeniach Pól Iaru?...”

Tak rozmawiali w ową godzinę zmierzchu dwaj wielcy semerowie, dwaj ulubieńcy faraona Echnatona. I ani jeden wieszcz w Kemi, ani jeden śmiertelny czy nieśmiertelny nie mógłby przepowiedzieć, że owego wieczoru miesiąca paopi siedzą naprzeciwko siebie dwaj przyszli faraonowie wielkiego imperium.

Ich próżność łaknęła zaspokojenia.

Jednakże oni sami okazali się słabsi od własnego losu.

Miłość, miłość, miłość...

Tihotep żyć bez niej nie mógł. I czarnookiej Sorru też brakowało czegoś, jeżeli nie widziała Tihotepa chociażby z daleka. Samego lub spożywającego obiad w sklepie Usercheta w towarzystwie przyjaciół-rzeźbiarzy. Niekiedy myślał o tym, aby uczynić ją panią swojego domu. Userchet zapewne zażądałby wykupu. I to niemałego... Słusznie mówią, że nie ma żony skromniejsza] niż Aramejka. Żartownisie powiadają, że jeśli człowiek chce być szczęśliwy, to powinien wziąć sobie trzy żony: rdzenną Kemiankę, która będzie oszczędnie prowadziła gospodarstwo, Mitannijkę, która mu się nigdy nie znudzi, i Aramejkę — aby w domu panował spokój i zgoda.

Przyjaciele radzili Tihotepowi, by decydował się jak najszybciej. Proponowali mu swoje usługi w prowadzeniu pertraktacji z Userchetem. „Sorru przeszła przez ogień i wodę — trudno o lepszą żonę”.

Tego wieczoru zjawiała się u niego odziana w swoją najdroższą szatę z najcieńszego babilońskiego jedwabiu. Dokoła szyi miała korale z Dżahi, na rękach bransolety z „niebiańskiego żelaza”. Była chłodna jak czysta woda w najlepszej z oaz. Przyłgnij do niej ustami, upij choćby odrobinę, a zrozumiesz, co to za чудо!

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, jak gdyby widział tę dziewczynę po raz pierwszy. Dlaczego ona z dnia na dzień staje

się piękniejsza, jakby bardziej przejrzysta, bardziej nieważka, wyższa, szczuplejsza, czulsza, gładsza, gorętsza i bardziej pociągająca? Co za siła w niej działa, przeobrażając ją z grzesznego, ziemskiego stworzenia w istotę, która zstąpiła z nieba?

Tihotep nasłuchiwał się o rozmaitych staruchach, co to swoimi czarami potrafią dokonać cudów niewiarygodnych. Mężczyzn zmieniają w osły, piękne kobiety w brzydule, kobiety potwornie brzydkie w wyjątkowe piękności... Sorru nie potrzebuje usług podobnych staruch. To rzecz oczywista. A przecież to wprost nieprawdopodobne: ona kwitnie, coraz bardziej zdumiewając swoją urodą.

Wydawał się zdziwiony, nawet jakby przygnębiony i zakłopotany. Uroiło się jej nagle, że o niej zapomniał. Zdarza się tak z tymi, których dosięgnie złe spojrzenie. Może to jakie zazdrośnice? Które niezbadanymi drogami przesłoniły mu oczy na podobieństwo mgły?...

Stoją tak naprzeciwko siebie. Za jego progiem. W jego domu. Pośród lamp oświetlających pokój niepewnym blaskiem.

— Powiedzże choć słowo — prosi dziewczyna.

On mówi:

— To ty? Sorru?

— Ja! Tylko ja!

— Powiedz mi, kto cię stworzył taką piękną?

— Alboż jestem piękna?

— Nieporównanie piękna! I z każdym dniem piękniejsza!

Sorru omal nie płacze z radości. Ależ nie! Płacze naprawdę. Łzy spływają jej po policzkach.

— Któż jest tym czarodziejem?

— Powiedzieć?

— Powiedz.

A ona szepcze:

— Miłość.

- Kto?
- Miłość, miłość, miłość — powtarza Sorru. — Twoja miłość!

Tihotep stoi smutny. Jego młoda twarz trochę się wydłużyła, trochę przybladła.

— Co ci jest? — szepcze Sorru. Robi dwa kroki i obejmuje go ramionami za szyję. Ostrożnie. Wspina się na palce.

Potrząsnął głową. Jak senny koń, który sen od siebie odpędza. Jak ptak, który rozprostowuje skrzydła. I znowu zobaczył ją w całej krasie, w całym żywym pięknie. Objął ją, wziął na ręce i zaniósł na łożo.

Ułożyli się tuż obok siebie. Ujął jej palce w swoją dłoń, sam zaś spoglądał w sufit. Smutny jak poprzednio, machinalnie bawiąc się jej palcami.

Sorru czuła, że Tihotep jest duchem gdzieś indziej. Nie mogła tego nie odczuć, nauczyła się bowiem obserwować mężczyzn i na podstawie nieznacznych zmian w wyrazie twarzy określać, w jakim są nastroju. W końcu nie wytrzymała i zapytała z cicha:

- Jesteś, zdaje się, niezadowolony, że tu przyszła... Możeś niezdrów?
- Zgadłaś.
- Więc niezdrów?
- Tak. Ale to szczególna choroba.
- Jakaż?
- Nawet nie choroba.
- A co takiego?
- Jak by ci to wytłumaczyć, Sorru? Szczególny stan duszy, kiedy wydaje się, że nic nie boli, ale coś dręczy całe ciało.
- Jest na to dobry sposób, Tihotepie.
- Wino?
- Tak.
- Nie, Sorru, ono nie pomoże.
- Czemu?

Przymknął oczy nie przestając bawić się jej palcami.

Sorru przyłgnęła do niego. Uniosła się nieco i ustami przywarła do jego warg. Tym razem jednak sztuka jej okazała się bezsilna.

Sorru nie spuszczała oczu z Tihotepa. Jego spojrzenie, zawsze takie bezdennie głębokie, dziś nagle stało się płytkie, zbladła żywa barwa jego oczu. Sorru była rozgoryczona: czyż naprawdę tak kończy się miłość?

Objął ją, przycisnął usta do jej ucha i szepnął:

- Nie gniewaj się, Sorru. To taki nastrój...
- A kto temu winien?
- Nie ty.
- Więc któż?

Tihotep uniósł się trochę. Posadziwszy Sorru obok siebie, objął ją w pól.

- Winien jest temu może sam bóg.
- Bóg?
- Tak, Sorru. Innych winowajców nie widzę. To bóg obdarza dobrem i złem. On zsyła łaskę lub odsuwa jednych od drugich. Nikt, kto kocha Kemi i oddany jest najjaśniejszemu panu, nie może się nie smucić. — Widząc jej wzrok pełen zdumienia Tihotep pojął, iż słowa jego wymagają bardziej szczegółowych wyjaśnień, na które nie miał ani sił, ani chęci. Dlatego powiedział półgłosem i jednym tchem: — Zerwanie króla z Naftitą jest czymś więcej, niż się wydawało. Gdy w domu powstaje szczelina, trzeba sprawdzić, dokąd to pęknięcie sięga...
 - A dokąd ono sięga, Tihotepie?
 - Nie sięga może nigdzie, lecz obawiam się, że odsłania ziejącą mroczną pustkę.
 - To jest coś strasznego.
 - Pustkę, która może pochłonąć nas wszystkich.

Proroctwo, nienależące, rzecz prosta, do najprzyjemniejszych. Młoda kobieta nie od razu zdała sobie sprawę, co to takiego może się zdarzyć.

— O jakiej ty pustce mówisz, Tihotepie?

Szczerze jej pozazdrościł. Jakże to? Trzebaż jeszcze wyjaśnić, o jakiej pustce mowa? A czy w ogóle niepokoi ją cokolwiek, co bezpośrednio nie dotyczy miłości? Na przykład los Kemi?

— Co? — zdziwiła się Sorru.

— Los Kemi — powtórzył rzeźbiarz.

— Kochany, kochany — zagruchała — ty mnie poplątałeś z królową. Czy nawet z samym faraonem. Powiedz mi: prawda, żeś poplątał?

— A więc nie nabijasz sobie głowy podobnymi drobiazgami?

— Otwarcie mówiąc, nie. A ty?

— Jak by ci tu powiedzieć? Niekiedy tak. Nie ukrywam tego, nabijam sobie głowę!

— Słuchaj, Tihotepie. Jesteś godzien być jeżeli nie faraonem, to semerem. A ja pomyślałam, że zakochałeś się w jakiejś pięknotce. Powiedz, nie zakochałeś się? Przysięgnij, że nie!

Odwrócił się nachmurzony. Doprawdy, czegoż można oczekiwać od takiej ślicznotki? Pocałunek jest dla niej droższy od nieba, pieszczota — to jej słońce, słowa miłości — to wszystkie gwiazdy niebieskie. O wielki boże, cóż za lekkomyślność!... Chociaż, co prawda, czy Sorru nie była zupełnie inna wówczas, kiedy mówiła o swojej ojczyźnie? A może los Kemi nie niepokoi jej właśnie dlatego, że to jest dla niej kraj obcy? Albo też miłość zrobiła tę Sorru taką lekkomyślną?

— Czy ty, Sorru, nigdy nie usiłujesz spojrzeć w przyszłość?

— Gdzie?

— W przyszłość.

— To znaczy: gdzie?

— Gdzieś tam... W jutro... Może w pojutrze... Słowem — w przyszłość.

- A po cóż, kochany?
- Aby żyć.
- A bez tego nie można?

Miała tak dziecięco delikatny, tak naiwny wyraz twarzy, że nagle zrobiło mu się wesoło. Upadł na łożo i roześmiał się cicho.

- Co ci jest? — spytała. — Czemu się śmiejesz?
- Tak sobie, po prostu... Ty jesteś albo bardzo mądra...

Zaciął się przy tych słowach.

- Albo... mów dalej... Dokończ, Tihotepie.
- Albo bardzo głupia.

Sorru wcale się nie obraziła:

— Na pewno głupia. Teraz jest mi wszystko jedno. Bylebyś ty mnie kochał!

I co jej na to powiedzieć? Wiadomo przecie, że kobiety są jak te rośliny na łąkach. Trawie potrzebne są soki, potrzebne światło i ciepło słońca. Może jeszcze i świergot ptaków. I nic poza tym jej nie obchodzi. Miłość jest dla kobiety wszystkim. Bez miłości żyć ona nie może. Dla miłości zniesie wszelkie próby. Wsadzić ją z ukochanym na pusty okręcik, a popłynie do Ta-Neter. I choćby jeszcze dalej! A Pustynia Zachodnia? Czyż może być przeszkodą dla zakochanej kobiety, której serce podąża za innym sercem?

— Posłuchaj, Sorru, czy w życiu są rzeczy ważniejsze niż miłość?

— Nie wiem. Może ty mi powiesz, co mianowicie jest ważniejsze.

- Powiem.
- A ja słucham.
- Na przykład — sprawy państwowe.
- Troszczy się o nie faraon.
- Przypuśćmy.

— I jego semerowie.
— Dobrze!
— I heka-chasutowie.
— To także prawda!
— No widzisz! — zakończyła Sorru. — Jest komu pomyśleć o sprawach państwowych.

— Mówisz o czymś zupełnie innym! Pozwól, że ci to wytłumaczę po swojemu... Wyobraź sobie, że jutro tracimy dach nad głową...

Sorru nie zdziwiła się ani trochę:

— A czyż wszyscy mają dach nad głową? Znam takich nemhu, co mieszkają w norach, zupełnie jak szczury. Zasłaniają sobie usta rękami, żeby nie za głośno krzyczeć, i przeklinają faraona i jego semerów.

— Ho, ho! A czemuż to oni przeklinają?

— Bo żyją jak pod krokodylem. Wiesz? Jak człowiek, co się dostał pod takiego potwora. Wprawdzie nemhu przypuszczali, że wszystko lada chwila się zmieni, że arystokracja została obalona i nastał ich czas. Ale okazuje się, że tak nie jest! Że jest całkiem inaczej! Wielu, bardzo wielu spośród nemhu ssie skórę. Surową skórę zamiast mięsa. Czyż to jest życie? A ty mówisz — dach! Bez dachu można się jeszcze obyć. Ale bez chleba, jak?

Tihotep spowaźniał:

— Posłuchaj, Sorru. Według mnie, ty żyjesz... No, co najmniej niegłodno. Skąd bierzesz te wiadomości?

— Czyż ja nie mam oczu?

— Mam i ja oczy.

— No, więc źle widzą.

— Przecież nie jestem ślepy!

— Można nie być ślepym, a jednak nie widzieć.

— Ty mnie zadziwiasz!

Sorru objęła go za szyję. Przysunęła się do niego tuż tuż. Bliziućko, twarz w twarz.

— Powiedz mi, Tihotepie, ale powiedz szczerze: co ty

wiesz o życiu biedaków? Co wiesz o życiu innych miast? O życiu różnych wiosek i osiedli, dalszych i bliższych?

Wydała mu się silna, uparta. Trzęsa nim, jak gdyby pogrążony był w głębokim śnie.

— Odpowiesz mi cokolwiek?

Uśmiechnął się:

— Kocham cię.

— Nie! To nie wystarczy! Sam chciałeś, żebym myślała nie o miłości. Odpowiadaj: czy ludzie mogą żyć gorzej, niżeli żyją?

Tihotep milczał.

— Pies także istnieje. I bydło domowe też. I zwierzęta na pustyni. Zupełnie tak samo, jak istnieją nemhu: od świtu do świtu — w pracy, w troskach, z nadzieją na lepsze życie po śmierci. Czyż nie tak?

— Ty wiesz lepiej.

Wydeła wargi. Ręce opadły jej na kolana. Spuściła głowę.

— Tihotepie, ty nie widzisz nic poza swoimi kamiennymi posągami.

Roześmiał się i upadł na łożo.

— Dla ciebie kamień to życie. Żyjesz przy pałacu niby jaki semer. Spójrz, ile nędzy dokoła... Ile nieszczęść!

Rzeźbiarz słuchał nie przestając się śmiać.

— A najniezwyklejsza ze wszystkich jestem ja!

Tihotep podniósł się w mgnieniu oka i ostrożnie objął ją ramieniem.

— Ukochana — powiedział — gdyby nie istniała królowa Naftita, powiedziałbym, że ze wszystkich kobiet świata tyś jest najprawdziwszą kobietą.

— Mówisz zanadto po uczonemu. Nie bardzo dobrze cię rozumiem.

— I nie próbuj zrozumieć! Ja sam nie zawsze pojmuję własne słowa. Chcę powiedzieć, że nieoczekiwanymi zwrotami

swych myśli i nastrojów okazujesz to, co jest samą kobiecością.

— Okazuję? — zdziwiła się Sorru.

— Kobietą ze wszystkimi jej zaletami i wadami.

„...Tihotep jest uczony, mądry, wie mnóstwo rzeczy. Nie darmo przyjaźń okazuje mu Dzehutimes, który, jak mówią, jest wielkim rzeźbiarzem. W naszym sklepie Dzehutimes siedzi zawsze na honorowym miejscu. Szanują go. Tihotep to jego bliski przyjaciel. I nie wiedzieć czemu, przygnębiony...”

— Czy ty kochasz Naftitę?

Rzeźbiarz klasnął w dłonie:

— Co ty pleciesz?

— Przecie sam powiedziałeś.

— Co powiedziałem?

— Że Naftita jest ci droższa niż ja. Że gdyby nie ona... I dlatego jesteś w złym nastroju.

Tihotep rzekł:

— Żebyś nie nabijała sobie głowy wszelkimi głupstwami, muszę ci coś niecoś wyjaśnić. Wyobraź sobie, że człowiek wsiada do łodzi, aby przepłynąć Hapi w tym miejscu, gdzie jest szczególnie dużo krokodyli. Wsiada do łodzi, płynie i — co za okropność! — stwierdza silny przeciek. Burty się rozeschły, smoła poodpadała i woda leci jak przez kanał nawadniający w miesiącu mesore. A na tamtym brzegu stoi najpiękniejsza z kobiet. Jego ukochana. Najwierniejsza mu kobieta. I on chciałby ją pojąć za żonę. Ale łódź nie może dopłynąć do brzegu. Nieubłagane idzie na dno. A żarłoczne paszcze krokodyli suną ku niemu. — Tihotep zamilkł. A potem spytał: — Co na to powiesz?

Sorru dosłownie zmartwiała ze zgrozy. Wyobraziła sobie żywo ową nieszczęsną kobietę, która czeka na ukochanego. O biedna, biedna kobieta na tamtym brzegu Hapi! Czy naprawdę będzie widziała, jak on ginie?... Sorru ukryła twarz w dłoniach.

Wydalo jej się, że słyszy krzyki, rozdzierające duszę i głośne niby grom — gorzki płacz kobiety, która traci ukochanego... Kiedy Tihotep z pewnym wysiłkiem odjął jej ręce od twarzy, po policzkach Sorru spływały wielkie łzy.

— Ty płaczesz, Sorru?

Skinęła głową wśród pochlipywań.

— Nie przejmuj się tym, proszę cię.

— Żal mi jej.

— A jego?

Sorru nie odpowiedziała. Jej naiwność była równie bezgraniczna jak naturalna. Duszę miała tak czystą jak dopiero co wyprodukowany papirus: zapisać go można dowolnymi znakami! Tihotep usiłował złagodzić wrażenie, jakie na młodej kobiecie zrobiło opowiadanie, które było przecież fantazją.

— Sorru, ja miałem na myśli Kemi, kiedy mówiłem o tej łodzi. W postaci płynącego łodzią przedstawiłem siebie...

— A ta, co stała na brzegu?

— To ty.

Usłyszawszy te słowa, Sorru rozszlochała się na dobre. Musiał zdobyć się na nie lada wysiłek, aby ją trochę uspokoić. Pomógł wreszcie środek najprostszy i wypróbowany: długi, gorący pocałunek.

— Pytałeś mnie, Tihotepie, czy są rzeczy ważniejsze od miłości. Nie, nie ma! Czy w swojej historii o łodzi żałujesz kawałka drewna, który utonie? Nie, ty żałujesz miłości, która ginie z nim razem! Miłości nie wolno porównywać z niczym. Jest wyższa od boga.

— Nie bluźnij!

— A ja mówię, że jest wyższa — powtórzyła Sorru z uporem.

— Dla was, Azjatów, to wszystko jedno — czy bóg, czy miłość!

— Nie, wcale nie wszystko jedno, Tihotepie. Miłość jest wyższa ponad wszystko! A wy tutaj, w Kemi, za dużo naczycaliście

się starych zwojów i dlatego wiedza przesłania wam najszlachetniejsze uczucia. Nie dalej niż dzisiaj rano dwaj panowie pokłócili się w sklepie Usercheta. Doszło do obelg. Siedli potem — każdy w innym kącie i zaczęli pisać skargi do sądu. Czyż tak postępują mężczyźni?

— A jak, Sorru?

— Już lepiej rozstrzygnąć spór walką wręcz.

Tihotep pomyślał, że na domiar wszystkiego ma przed sobą dzikuskę. Czyż można uważać bójkę za coś bardziej odpowiedniego niż rozprawa sądowa? O wielki boże, jakże ci Azjaci są zacofani, jacyż oni są ciemni! Nawet prześliczna Sorru gotowa jest rozstrzygać spory przy pomocy swoich piastek.

Ona zaś była pełna pogardy dla owych dwóch, co się pokłócili:

— Nastroszyli się jak te wróble, wydostali przybory do pisanania i papirus i dalejże pisać skargi! Szybko, szybko! A potem polecieci do sędziego, żeby szukać sprawiedliwości.

— Postąpili rozsądnie, Sorru.

— I ty byś także wypisywał skargę?

— Gdyby się okazało, że to jest konieczne...

— Pewien mąż zastał u swojej żony kochanka...

— To bardzo przykre.

— I co on zrobił, Tihotepie?

— Nie wiem.

— Pociągnął kochanka do odpowiedzialności sądowej. Zebrał świadków i udowodnił tamtemu niegodziwość.

— Postąpił zgodnie z prawem. Czyż nie, Sorru?

Nie, to już przekracza jej wyobrażenie o zazdrości i wierności. Mąż powinien był odrąbać głowę i jej, i kochankowi!

— Co za okrucieństwo! — wykrzyknął rzeźbiarz.

— Nie — odparła stanowczo. — Kto kocha, gotów jest na

wszystko! Czymże jest człowiek bez miłości? To zwyczajny kamień na drodze. Głaz. Ludzi nieczułych nienawidzę z całej duszy!

„...Ta kobieta to lwica, lwica! Z taką samą pasją rozszarpie wroga i obdarzy pieśczętą ukochanego. Taka nigdy nie doceni piramidy Chufu, najwspanialszego dzieła Chemiuna, ani rzeźb Irtysena, albowiem nie mają one nawet pośredniego związku z uczuciami, które przepelniają serce Sorru. Poprzednio porównywałem ją, jak i wszystkie kobiety, do rośliny. Ale nie, to jest lwica! Zarówno jej myśli jak i postępowanie są niepohamowane jak u lwicy. Tak właśnie jest!...”

— Dobrze — powiedział pojednawczym tonem — niech już będzie, że my, mieszkańcy Kemi, jesteśmy zanadto wyrachowani, niezdolni do zazdrości, nie zanadto wojowniczy i zbyt wielką wagę przywiązujemy do praw.

— Jesteście po prostu piniacze — zauważyła Sorru dobrodusznie.

— To mocno powiedziane.

— I sprawiedliwie. Wam tylko dać sposobność do wypisywania skarg, do włóczenia się po sądach.. Odebrać wam kawałek ziemi, setną część arury, zaraz lećcie do sądu! Zdradziła żona — do sądu! Sąsiad obraził — do sądu! Niewolnik uciekł — do sądu!

Tihotep złapał się za głowę.

— Sorru! — krzyknął. — A co byś ty robiła będąc mężczyzną?

— Co? — Oczy Sorru błysnęły złowieszczo. — Zarznąłabym tego, co by mnie obraził. Własnoręcznie!

— No cóż, Sorru, muszę ci zatem wyznać, że ja wcale nie jestem takim mężczyzną, jakich ty uważasz za godnych tej nazwy.

— Kiedy mowa o tobie, Tihotepie, to jest mi to całkiem obojętne. Ty i tak jesteś najlepszy z mężczyzn. Oto jeszcze jeden dowód, że miłość jest ponad wszystko.

Objął ją i zaczął całować. Powoli zrzuciła z siebie jedwabną szatę. A on przywarł ustami do jej pępka, takiego małego jak u dziecka. Do jej brzucha, ciepłego i prężnego, zupełnie jak świeżo upieczony chleb. Pokrytego równą opalenizną.

Wziął ją na ręce. Obszedł pokój trzy razy dokoła. Całując Sorru. Nie przestając jej całować.

— Niosę cię jak światło — powiedział czule.

— Masz duże i silne ręce.

— Niosę cię jak tajemniczy aromat, niewypowiedzianie piękny.

— Jesteś utkany z żył, Tihotepie.

— A piersi masz jak dwa ptaszki. Zaraz pofruną — jak powiedziano w pewnym starodawnym zwoju.

— Więc i w zwojach są piękne rzeczy? Ale moje piersi nie pofruną nigdzie, pragną ciebie.

— A gorąca jesteś niby kamień wśród pustyni w upalny dzień...

Wśród rzeźbiarzy

Juti i Bek byli w pracowni Dzehutimesa, gdy niespodzianie zjawił się tam faraon wraz z Kiją. Dzehutimes pokazywał swoim przyjaciółom szkic płaskorzeźby na kamiennej płycie: król wyciąga ręce do boga Atona, jak gdyby wygłaszał uroczysty hymn ku czci bóstwa światła i ciepła. Achtoj i Tihotep stali z tyłu, za gośćmi, z szacunkiem słuchając objaśnień Dzehutimesa. Wtedy właśnie zjawił się faraon z Kiją. Towarzyszyła im eskorta ze straży pałacowej.

Rzeźbiarze nie od razu zauważyli dostojne osoby. Rozległo się niecierpliwe tupanie koni zaprzężonych do królewskiego rydwanu. I w tejże chwili ukazał się faraon. We własnej osobie. A za nim Kija.

Stary Bek szybciej od innych padł na kolana witając dobrze boga. Reszta poszła za jego przykładem.

— On! — powiedział głośno jeden z tych, co w sąsiednim pokoju miesili glinę. Owo „on” wymówione zostało bardzo wyraźnie. Nie potrzeba było nawet pytać, co to za „on”.

Nefteruf skoczył ku zasłonie, aby mieć pewność, że przybył istotnie „on”. Były skazaniec ostrożnie rozsunął ciężkie fałdy materii. I zobaczył, jak dobry bóg uśmiecha się po królewsku, oglądając pracownię i patrząc na klęczących rzeźbiarzy. Że to jest właśnie „on”, mógłby powiedzieć każdy, nawet przybyły z

daleka cudzoziemiec. Było coś osobliwego w tej niepokążnej figurze, w tej ostrej niby sztylet twarzy, w jego oczach, w całej postaci. Siła? Chyba tak. Boskość? Chyba tak. Pewność siebie? Chyba tak. Wszystko razem — i jedno, i drugie, i trzecie, raczej tak.

Kija trzymała się skromnie, jakby na uboczu. I ona również miała w sobie coś wzniosłego — trzeba oddać jej sprawiedliwość. A może wydawała się taka dzięki bliskości królewskiej osoby? Tak czy inaczej, była wszak królową. Można mieć do niej taki czy inny stosunek, wielkości jednak odmówić Kii nie sposób...

Nefteruf ponownie przeniósł wzrok na faraona. Więc to on! I oto jaki jest ten mocarz! Jedno jego słowo wystarczyło, aby cały świetny ród Nefterufa runął w proch! Jedno tchnienie jego ust — i Nefteruf znalazł się pod ziemią. Głęboko pod ziemią. Aby ryc ziemię na podobieństwo kreta. I wydobywać złoto dla faraona.

Ręka byłego skazańca mimo woli sięgnęła po sztylet, z którym nie rozstawał się on w dzień i w nocy... Oto — jeden skok! Na podobieństwo lamparta. I kończą się wszystkie wątpliwości. Zemsta zostaje dokonana. W mgnieniu oka Kemi zdobędzie nowego władcę. A z nowym władcą...

Czoło Nefterufa pokryło się potem. Z napięcia. Były skazańiec nie odrywał oczu od faraona. Patrzył aż do bólu w skroniach. Cóż oddzielało go od najważniejszego władcy Kemi? Dziesięć łokci i zasłona? Czyż to jest przeszkoda? Toć to jeden, zaledwie jeden skok...

„Osiem lat marzyłem o tym spotkaniu... Dzień i noc. Dawno już postanowiłem, jak postąpię w takiej chwili. Mówiłem sobie: nie będę myślał. Mówiłem sobie: to będzie uderzenie piorunu! Mówiłem sobie...”

W tym momencie ktoś łagodnie położył dłoń na ramieniu Nefterufa. Położył ją bardzo delikatnie. Ale ręka była ciężka.

Cieęższą trudno sobie wyobrazić. I Nefteruf posłyszał za sobą sapanie. Tak sapie nosorożec, gdy zwietrzy niebezpieczeństwo.

Nefteruf odwrócił się gwałtownie. I zobaczył przed sobą czarną twarz i białe zęby. I czerwone wargi. Nefteruf zobaczył czarnoskórego. Stał oto przed nim taki ogromny. O wielkich rękach. Muskularny. Kędzierzawy. Uśmiechał się. Był to uśmiech dobry i niedobry zarazem. Nefteruf nie od razu pojął, co to ma znaczyć.

Czarny wielkolud powiedział cicho, cichuteńko:

- Wygląda bardzo ładnie.
- Tak — wyrwało się Nefterufowi.

Czarnoskóry mówił dalej:

— Widziałem, panie, z jaką miłością spoglądałeś na naszego władcę — Życie, Zdrowie, Siła! Ja także go Kocham. Wszyscy go Kochamy. On jest jak Hapi. Taki wielki.

Od czarnego zalatywało czosnkiem. I mięsem. Seplenił. Nefteruf z trudnością go rozumiał.

- Tak, tak — szepnęła tylko.
- Patrz, patrz — radził dryblas nie odrywając dłoni od ramienia Nefterufa. Ten zaś dobrze rozumiał jedno: jest w mocnych objęciach. Był to najwidoczniej ktoś ze straży przybocznej króla. Nefteruf rozumiał bardzo dobrze: faraon jest od niego tak daleko jak gwiazda Sotis, która rządzi wylewem Hapi. To rozumiał! I rozumiał jeszcze, że nie należy się ruszać. Ani naprzód, ani w tył. Ani w prawo, ani w lewo... Żegnaj, marzenie!...

— Patrz, patrz!

Tymczasem najjaśniejszy pan uważnie przypatrywał się kłęzącym. Jakby troszkę zaczepnie... Może mu się co nie podobało? Ale co? Wszak faraona nikt się tu nie spodziewał. Rzeźbiarze nie przywdziali, rzecz prosta, odpowiedniego stroju. Z wyjątkiem Jutiego i Beka, którzy byli gośćmi. Dżehutimes i Achtoj — cali w glinie. Tihotep — żółty od kurzu.

Faraon odwrócił się do Kii i powiedział:

— Ci ludzie to rzeźbiarze. Równych im Kemi nie zna. Żaden rzeźbiarz świata nie jest godzien stanąć obok nich.

Zdawał się mówić: patrz, jacy to oni są, a przecie w porównaniu ze mną są prochem.

Kija kiwnęła głową. I z lekka przymrużywszy oczy stała, jak przedtem, w milczeniu. I cały jej wygląd świadczył o tym, że pełna jest czci dla tych znakomitych ludzi Kemi. Którzy są wiernymi poddanymi również i jej królewskiej osoby. To są jej niewolnicy. Posłuszni jej słowu.

Teraz faraon zwrócił się do rzeźbiarzy. Mówił półgłosem. Z wyrzutem. Jakby miał do nich jakiś żal. Powoli zginał prawą rękę w łokciu i przykładał ją do piersi. I znowu ją opuszczał. Bez pośpiechu. Ruchem płynnym. Dwa czy trzy razy zwracał się do Kii — jakby pragnąc, aby jego myśli dotarły do jej świadomości. Jak gdyby mówił przede wszystkim do niej. Nie było chyba drugiego władcy Kemi, który bardziej niż najjaśniejszy pan byłby odpowiedni do sprawowania tej wysokiej, boskiej godności. Słów jego bacznie słuchali rzeźbiarze, którzy czekali na znak, aby podnieść się z kolan. Że zaś znak nie był dany — czy to rozmyślnie, czy też przez roztargnienie pana i władcy — klęczeli nadal. Niebawem wyjaśniło się jednak, iż faraon nie był roztargniony, lecz postępował w sposób przemyślany, jak we wszystkich swoich dziełach.

Teraz powiedział:

— Wszyscy zostaliśmy stworzeni przez jednego boga i pana, Atona, którego błogosławieństwo jest z nami! Albowiem jest to bóg — władca wszystkiego, co istnieje na ziemi i co sam stworzył. Najjaśniejszy pan, ojciec mój niebieski, mówi ze mną i moje słowa to jego słowa, wypowiedziane przez niego w świętych i tajemnych rozmowach. Kemi to najdoskonalszy twór

boga wszechświata, pana wszechwidzącego, wszechtworzącego. A najlepsi w Kemi — to rzeźbiarze i pisarze jego, budowniczo-
wie i muzykanci. Albowiem to, co tworzą, jest bezcenne. Oznajmiam wam w imieniu ojca mojego, który pędzi na złotym rydwanie przez błękitne pole niebios, iż nie godzi się wam, najgodniejszym synom Kemi, klęczeć tak oto, nawet w mojej obecności. To mówię ja... Mówię wam... Bek, najmędrzy i najbardziej zasługujący na szacunek, który jest tutaj, oraz wszyscy pozostali, którzy są tutaj, powinni podnieść się dumnie. I wyprostować się. Ponieważ na nich spoczywa błogosławieństwo ich króla i ojca ich króla, który pędzi po niebie.

Tak powiedział najjaśniejszy pan i niewolnicy jego dźwignęli się z ziemi. Zgodnie z jego życzeniem. Albowiem wola pana i władcy jest prawem dla jego niewolników.

Teraz Kija zrobiła kilka kroków naprzód i znalazła się pośród przesławnych rzeźbiarzy. A zwracając się do faraona, rzekła:

— W uszy moje weszły słowa głębokie, pełne prawdy i mądrości. Niech odtąd tak właśnie będzie pod tymi stropami, gdzie każda ręka jest nieoceniona i wślawia państwo nasze i Wielki Dom, schronienie dobrego boga.

— Dzehutimesie — powiedział faraon — pokaż swe prace, których nie zdążyłem obejrzeć. Daj rozkaz oczom moim, bo kamienie ożywają pod uderzeniami twojego młotka.

Dzehutimesie dobrze umiał słuchać rad i pouczeń najjaśniejszego pana. Podobnie zresztą — Bek i Juti. Ci zaś, co nie bardzo to potrafili, dzisiaj w dalekiej pustyni piją z bukłaka cuchnącą wodę. I śni się im po nocach to przepiękne miasto. I pracownie, w których nawet władza faraona ma swoje granice. Ponieważ faraonowie mogą dokonywać podboju Libii czy

Reczeniu, ale nie ma siły, oprócz siły rzeźbiarza, która mogłaby wyrzeźbić rzecz piękną. Faraon nieraz wyrażał tę prawdę w swych sądach o dziełach sztuki. A dziś wypowiedział ją w formie tak zdecydowanej, że słów jego niepodobna było pojąć w dwojaki sposób.

Dzehutimes pokazywał swoje kamienie i modele gipsowe. Przechodził od jednej pracy do drugiej. Najjaśniejszy pan oglądał każdą rzeźbę wnikliwie, z największą uwagą.

A strażnik nie odstępował Nefterufa. Ten czuł jego gorący oddech na karku. I zrozumiał były skazaniec, że nie odcepi się od niego ten dryblas. Zauważył jeszcze kilku ludzi stojących w bacznej gotowości po rozmaitych kątach pracowni. I nie pojmował, skąd się tu wzięli. Było jednak oczywiste, iż straż faraona jest niezawodna i godna zaufania. Wszelka więc myśl o zamachu to oczywiste szaleństwo... I od tej chwili Nefteruf udawał najwierniejszego z poddanych. Zachwycał się faraonem ponad wszelką miarę. Wzdychał w pełnej podziwu pokorze. I powtarzał:

— O, jaki on wielki! O, jaki mądry!

I za plecami słyszał:

— Tak. Tak. Tak...

Faraon podszedł do jednej z rzeźb, najwyraźniej niewykończonych i dlatego przykrytej grubym płótnem. Dzehutimes był pewny, że faraon każe zdjąć pokrowiec. Czy przyjemnie będzie jemu, a zwłaszcza Kii, stanąć twarzą w twarz z posągami królowej Naftity? Domyślny i bystry faraon, rzekłbyś, przez płótno dostrzegł to, co ukrywało ono przed oczami postronnych.

Zawrócił na miejscu i powiedział:

— Czy nie należy mocniej podkreślać kształtu twarzy i ciała, który ma pewne swoiste, oryginalne rysy? Niepodobne do innych? I całkiem wyrzec się upiększania?

Nie wiadomo, do którego z rzeźbiarzy zwrócone było to pytanie. Bek, jako najstarszy, odpowiedział:

— Najjaśniejszy panie, to właśnie jest dla nas najbardziej palący problem. O ile mi wiadomo, już w najdawniejszych czasach — w czasach, powiedzmy, Imhotepa — byli mądrzy ludzie, którzy uważali, iż trzeba uchwycić to, co najważniejsze.

Faraon zauważył z uśmiechem:

— A jednak wszystkich przedstawiano podobnych do Ozyrysa albo do Tota.

— Tak. To było.

— Dlaczego?

— Ponieważ, najjaśniejszy panie, nie znalazł się człowiek, który potrafiłby zrozumieć tę prawdę aż do końca i opowiadać ją innym. Podobnie jak czynisz to ty.

Ile w jego słowach prawdy, a ile pochlebstwa? Znając Beka faraon nie miał chęci zastanawiać się nad tym. Byłoby to obraźliwe dla Beka i niezbyt przyjemne dla faraona. A zatem w słowach Beka brzmi sama prawda. Mówiąc otwarcie, czyż to nie on właśnie, Echnaton, nieustannie domagał się jednego: nie niewolniczego naśladownictwa, lecz zgodności z naturą, podkreślania tego, co znamienne, i lekceważenia szczegółów? Nie, Bek nie schlebia. I na cóż by się zdało staremu rzeźbiarzowi pochlebstwo na progu śmierci? Nawet odstraszący wypadek z rzeźbiarzem Mai, zesłany pod błahym pozorem do kamieniołomów w charakterze zarządcy, nie może mieć wpływu na postawę i słowa śmiałego Beka...

W ten sposób król przekonał sam siebie, że Bek mówi prawdę, mówi szczerze i trzeba okazywać mu zaufanie.

— A gdyby znalazł się taki człowiek? — spytał faraon powracając do słów Beka.

— Wówczas Dzehutimes narodziłby się o tysiąc lat wcześniej.

— I nie byłoby go wśród nas?

— Tak, królu i panie.

Faraon wznosił ręce ku niebu:

— Dziękuję ci, ojczynie mój, iż Dżehutimes żyje właśnie w moich czasach! — Powiódł spojrzeniem po wszystkich obecnych, po czym dodał: — I ty, Beku. I ty, Juti. I ty, Achtoju. I ty...

Faraon zaciął się.

— Tihotep — odpowiedział Dżehutimes.

— I ty, Tihotepie! Dobrze, że żyjecie teraz w tym sławnym mieście! — Zwrócił się do Kii, by potwierdziła tę myśl.

— Tak! To bardzo dobrze! — przytaknęła Kija.

— Ale przy sposobności parę słów o stolicy — mówił dalej faraon. — Bądźmy szczerzy: została zbudowana może nie byle jak, jednakże niezbyt solidnie. I nie bardzo starannie...

— Żądałeś pośpiechu, panie — rzekł Juti.

— To prawda. Ale stolica jest zbudowana, a teraz powinniśmy myśleć o jej długowieczności i pięknie.

Dżehutimes powiedział:

— Zaiste, tak jest.

— Słowa tu nie wystarczą — odparł faraon. — Chodźcie, pokażę wam ślady pośpiesznej roboty. Na każdym kroku.. Prawie na każdym. Co? Czyż nie jest tak?

Znowu nie było wiadomo, do kogo zwracał się z tym pytaniem.

— Tak — przyznał Dżehutimes. — Tak jest w istocie! — A do siebie:

„...Najjaśniejszy pan widzi przez ziemię. Wie, co dzieje się w niebiosach. Miałżeby nie znać miasta, które sam wznosił?”

Faraon oparł się o ścianę. A myślą był gdzieś bardzo, daleko.

Kija zapytała Dżehutimesa:

— A co jest pod tym pokrowcem?

Rzeźbiarz nie od razu odpowiedział. Wszyscy spuścili wzrok

ku ziemi. Wszyscy, oprócz króla, który był gdzieś daleko.

— Najjaśniejsza pani, to głowa pewnej kobiety...
— Naprawdę? — Kija płonęła z ciekawości. — A czy nie można by zobaczyć?

— Praca jest nie całkiem skończona...
— To bardzo dobrze... Chciałabym wiedzieć, jak wyglądają niewykończone prace.

Rzeźbiarz, nie śmiać odmówić, by nie okazać nieposłuszeństwa, zerwał pokrowiec. I Kija wpatrzyła się... W nią, bardzo dobrze znaną... Poczula się nagle nieswojo pod mądrym, poślizgliwym i wesołym spojrzeniem tej kobiety...

Potem zwróciła się do Dzehutimesa:

— A według mnie ta praca jest gotowa. Nie pochlebiliście jej ani trochę. Ona jest naprawdę piękna.

Faraon jakby przyszedł do siebie. Przyjrzał cię rzeźbie.

— Trzeba ją skończyć — doradził. — Trzeba uwieńczyć nakryciem głowy.

Powiedział to tonem beznamiętnym i apatycznym. Wydawało się, że faraon jest zmęczony. Albo też nadal myślni był gdzieś daleko.

— Tak — odrzekł Dzehutimes — teraz pracujemy nad nakryciem głowy. Nareszcie znaleźliśmy odpowiedni materiał. Potrzebne są nam też kamienie do oczu. Nie zwykłe, ale o wyjątkowej przezroczystości.

— Trzeba skończyć... Trzeba skończyć... — powtórzył faraon i skierował się ku wyjściu. I w tejże chwili, gdy odwracał się twarzą w stronę drzwi, wzrok jego napotkał oczy Nefterufa. Błyszczące w fałdach zasłony. Były skazaniec zobaczył jego oczy — czarne, trochę zadumane, a trochę chorobliwe. Wiele można było odczytać z tych oczu! Faraon nie zwrócił uwagi na Nefterufa: małoż to ludzi patrzy na królewską osobę?

Król szedł powoli. Widocznie czekając na Kiję, która rozmawiała jeszcze z rzeźbiarzami. Ciągłe o tym samym, niewykończonym, według Dzehutimesa, portrecie Nefertiti. Dzehutimes zdumiony był jej życzliwym tonem. Jak gdyby Nefertiti w ogóle już nie żyła. Kija mówiła o niej z szacunkiem, bez cienia drażliwości lub zawiści.

Bek pomyślał:

„...Ta kobieta daleko zaszła. Ale pójdzie jeszcze dalej...”

Dzehutimes oddał jej sprawiedliwość: tak zachowywać się może kobieta wielka, doświadczona przez życie, która potrafi się wznieść nad życiowe drobiazgi, nad ogień w kuchni i garnki do gotowania polewki. Zachować się w taki sposób mogłaby, jak się wydawało, jedna jedyna kobieta na świecie — królowa Nefertiti.

Faraon chrząknął niecierpliwie. I Kija pośpieszyła ku niemu. I wyszli oboje, odprowadzani przez rzeźbiarzy, pochyłonych w pozach pełnych szacunku. Najjaśniejszy pan, zanim wstąpił na bojowy rydwan o połączonych szprychach, rzekł do Dzehutimesa:

— Więcej dumy. Zważcie: w swoich dziełach wy jesteście faraonami. — Stanąwszy na rydwanie, dokończył swej myśli: — Ani jeden faraon Kemi, poczynając od Chufu, nie może zrobić tego, co robicie wy.

Położył dłoń na ramieniu Kii, która stała obok niego. I dał znak, aby ruszano.

Rzeźbiarze pochylili się w najgłębszym pokłonie.

Pismo do Hattusas

Późną nocą Tachura skończył pisać. List był dosyć długi. Ale wszak i sprawa nie była mała. Jeżeli rzecz określać skromnie. Korzyści Tachury? Złoto jest tutaj obecne, ale jakby niedostrzegalne. Dlatego że jest to dużo złota, dużo talentów, wielkie ilości debenów. Teraz ich nie ma. Ale będą. Do tego potrzebne jest zwycięstwo Hetytów. Suppiluliumy. Pismo do Hattusas służy właśnie temu celowi.

Jak w grobowcu

Jego wysokość Smenkare ostrożnie uchylił drzwi. Pokój wydawał się pusty. Było tu mroczno i nieprzytulnie. Smenkare nie od razu dostrzegł Nefertiti. Siedziała w kącie. Na wysokiej ławie. Wyprostowana. Jak na tronie.

— Sam jesteś? — spytała Nefertiti.

— Sam.

— A gdzie Meritaton?

— U siebie. Odpoczywa. Jak się czujesz, pani?

— Ja? — Nefertiti skrzyżowała dłonie na piersi. — Mam mówić otwarcie?

— Jeżeli to nie będzie ciężkie dla twego serca.

— Jak w grobowcu, kochany Smenkare.

— Jak w grobowcu? — powtórzył.

— Tak.

Nie wiedział, co ma powiedzieć. Dlaczegoż to jak w grobowcu? Żywy człowiek nigdy nie powinien zakopywać się przed czasem. Wrogowie tylko by się z tego cieszyli...

— Kto, Smenkare? Wrogowie?

— Tak. Wrogowie.

— A gdzie oni są?

Jego wysokość zmieszał się jeszcze bardziej. Teraz w półmroku dostrzegł już wszystko: ją, wysokie krzesło z oparciem, ławy i zgaszone alabastrowe lampy. Przez małe okna,

umieszczone niemal pod samym stropem, wpadało niebiesko-fioletowe wieczorne światło. Ściślej, była to niebiesko-fioletowa barwa nieba. A jeszcze ściślej — kawałki nieba. Wielkości okien, których było trzy. Każde okno — kwadratowe. Trzy łokcie na trzy.

Smenkare przysiadł na ławie. Po lewej stronie królowej. I odpowiedział na jej pytanie:

— Wrogowie to wczorajsi przyjaciele.

Królowa była blada. Skupiona. I niewypowiedziane zmęczona. Jak gdyby bardzo długo chorowała na febrę. Straszna, wyniszczająca febrę, która wyciska z człowieka ostatnie soki. Ach! — królowa schudła, chociaż zachowała dawną sylwetkę. I nawet postarzała się. O boże wielki i miłosierny, piękna Nefertiti postarzała się! Jakże nie pasuje do niej to okropne słowo. Postarzała się w ciągu jednego miesiąca?!

— Dobrze powiedziałeś, Smenkare. Wrogów trzeba szukać pośród bliskich przyjaciół. Taka jest prawda o ludziach, którzy sprawują władzę. Czyż może stać się twoim wrogiem jakikolwiek mieszkaniec Ta-Neter czy któryś z Szardanów, chociaż to są zbóje? Pierwsi twoi wrogowie to twoi pomocnicy. Co dnia spożywający posiłek razem z tobą i setki razy dziennie gotowi do wygłaszania pochlebstw. Oto gdzie trzeba szukać wrogów! Nawet Hetyci nie mają tu znaczenia. Czyż to oni zamknęli mnie w tych zimnych komnatach? Czyż wrogowie moi przyszli z Mitanni lub z Reczenu? Czy może z Babilonu?

Smenkare pochylił się i jakby skurczył słuchając tych słów. A jego szyja jak gdyby osunęła się w pierś. Wielkoludem, co prawda, nie był nigdy. Ale teraz zrobił się naprawdę całkiem nieduży. Mały. Maleńki.

— A jak ty się czujesz? — spytała Nefertiti. — Nie widziałam cię całe dwa tygodnie.

— Źle — przyznał się od razu.

— Dlaczego źle?

— A dlaczego miałbym czuć się dobrze? Czyż są jakieś powody do radości? Nie mogę znieść widoku tej kobiety. A jestem zmuszony na nią patrzeć.

Nef ertiti westchnęła:

— Ja jej nie zazdroszczę.

— Duszę masz subtelną i szlachetną.

— Nie.

— Czemuż to: nie?

— Tu nie idzie o duszę. Po prostu nauczyłam się czegoś. Napatrzyłam się. Coś niecoś zrozumiałam. To jest nasze szczęście, że my, ludzie, możemy się czegoś nauczyć. W odróżnieniu od zimnych kamieni. I prawdę mówiąc, nie siebie żałuję. Może nawet nie żałuję wcale! Ale czy dzieło, za które oddałabym własne życie, będzie żyć nadal?

Oparła ręce na ławie. Pochyliła się naprzód, jakby gotowa do skoku. Podobna była do sarny.

Smenkare nie mógł odpowiedzieć krótko: „tak” lub „nie”. Dzieło zależy od ludzi. Ludzie zależni są od śmierci. Czas ich odmierzony jest surowo. I człowiek zamknięty jest w czasie niczym kurczątko w skorupie: tej granicy nie przekroczy!

Podniosła władczy gestem prawą rękę. I powiedziała stanowczo:

— Nie mówię o małej, osobistej sprawie. Ale o sprawie, która jest w sercach wielu. Która wiedzie kraj. Dokąd? Świądomie obraną drogą. Jeżeli ta droga zależy tylko od jednego człowieka, od jednego życia, od liczby dni jego życia — znaczy to, iż dzieło jego jest małe, że innych niewiele obchodzi. Powiedz mi: mam słuszość czy nie?

Smenkare i teraz nie mógł odpowiedzieć krótko: „tak” lub „nie”. Jest to zagadnienie bardzo złożone. Rzecz by można — zawile. Nie wystarcza, by szły za tobą tysiące i tysiące z otwartymi oczami i sercami. Ale zarazem i wrogowie twoi powinni

być bezsilni. Nie dlatego bezsilni, że jest ich mało, nie dlatego, że zostali pokonani. Albo starci na proch. Albo zagnani na pustynię. Albo żywcem zakopani w ziemi... Wrogowie powinni utracić siły. Sami przez się. Powinni stać się bezsilni dlatego, że nie mają czego przeciwstawić tobie, twoim myślom, twoim czynom, twojej mądrości.

Nie brak na świecie miłośników walki baranów. W tych walkach wszystko odbywa się niezwykle prosto: barany, wzięwszy rozpęd, uczciwie zderzają się łbami. Który zwycięży? Ten, co ma mocniejszy łeb! Tak, tylko on będzie zwycięzcą. Ludzie jednak to nie barany. I nigdy baranami nie będą, chociaż z pewnością kiedyś podobni byli do bydła. Myśl zderzyć się musi z myślą. Czyja zwycięży? Czyja zatriumfuje? Rydwan bojowy, choćby najcięższy, nigdy nie dowiedzie słuszności, jeżeli obok niego, a ściślej, przed nim, nie leci myśl. Jasna, kochająca prawdę, chwytająca za serce, piękna Myśl.

Smenkare mówi gorąco. Z przekonaniem. Nawet nieco gniewnie. On, najmilszy Smenkare, nagle — gniewny! Nie wiadomo czemu, zawsze miała do niego stosunek macierzyński, traktowała go z wyrozumiałą czułością. Może dlatego, że w jej oczach wzrastał? A już całkiem nie wyobrażała go sobie siedzącego na tronie. Żądzy władzy nie brak mu na pewno. Jak wielu spośród tych, co stoją blisko osoby króla. Ale czy wystarczy mu rozum? Co prawda, żaden z faraonów nigdy nie skarżył się na brak rozumu. Ale to absolutnie nie ma znaczenia. Nikt z otoczenia Echnatona nie dorasta mu do pięt. Ma on i wolę, i rozum. To jest król z powołania. Król z urodzenia. Król i w sposobie myślenia, i w czynach swoich król! Trzeba mu oddać sprawiedliwość. Byłoby dobrze, aby prawdziwym królem był także pod względem zdrowia. Król bez zdrowia to jak nieplodna żona...

Człowiek, na nieszczęście, nie jest długowieczny. Przychodzi na świat i nikt nie pyta go o zgodę. Odchodzi i też o zgodę go nie pytają. Nie interesują się nawet, co sądzi w tej sprawie: czy wszystko zdążył w życiu zrobić? Czy wybudował sobie grobowiec? Czy dostatecznie go ozdobił? Echnaton podlega ogólnym prawom. Prawa te są w tym samym stopniu nieludzkie co i ludzkie. Trzeba się z nimi liczyć, a to Echnaton właśnie robi. Ale czy jest rozsądny? Można przypuszczać, że Kija pozostanie na tronie. Najnowsza królowa Hatszepsut? Ona pokieruje państwem Kemi? I dokąd je zaprowadzi? Zostaną w jej otoczeniu Eje, Horemheb, Mahu, Tutu... I czy zostaną? Kto naprawdę będzie sprawować rządu? Jeżeli nie Kija, to Smenkare. Albo chłopiec, miły chłopiec, Tutanchaton. Przypuśćmy. Czy w otoczeniu tych samych ludzi? Któż będzie istotnym władcą: Smenkare, Tutanchaton czy właśnie owo Otoczenie? Jak zechce pokierować losem Kemi i Wielkiego Domu bóg jedyny i miłosierny — Aton — który jaśnieje w niebiosach?

O Smenkare od najmłodszych jego lat mówiono, że jest sympatyczny, myślący, uważny wobec otoczenia.

W pałacu lubili go prawie wszyscy. Jego wysokość nie był zarozumiały, próżność przejawiała się u niego w sposób dosyć umiarkowany. Miękki charakter Smenkare odpowiadałby wszystkim: wyznawcy boga Atona byli przekonani, iż jego wysokość będzie narzędziem w ich rękach, a wyznawcy Amona mieli nadzieję przy pomocy Smenkare — jeśli kiedyś zostanie faraonem — przywrócić potęgę Amona, jego kapłanów i śmiertelnie obrażonej arystokracji.

Przyczynę miękkości jego charakteru taki, na przykład, Pentu upatrywał w wykształceniu. Smenkare był odcytany. Mając lat dziesięć, z łatwością pisał i czytał. W piętnastym roku życia doskonale odczytywał starodawne teksty na opuszczonych grobowcach i rozgrabionych piramidach. Mając lat

dwadzieścia ożenił się z rozumną Meritaton i od tego dnia przeznaczono go na przyszłego faraona. Echnaton nigdy nie obalał tego postanowienia. Niedawno omal nie ogłosił go swoim współrzędą. Nawet po poślubieniu Kii faraon w najrozmaitszy sposób podkreślał swoją życzliwość wobec Smenkare.

Wszelkie nagłe zmiany w Wielkim Domu zawsze wywierają wstrząsające wrażenie. Zwłaszcza wśród jego mieszkańców. Mówiąc szczerze, Smenkare był przekonany, iż zerwanie króla z Nefertiti podobne będzie do trzęsienia ziemi lub zaćmienia słońca. Nic takiego jednak się nie stało. Wszystko okazało się znacznie prostsze. Nie do wiary, jak bardzo proste! Jak gdyby nic nawet nie drgnęło, jak gdyby piękna matka jego żony nie znalazła się w grobowcu. Zresztą jego wysokość jeszcze i teraz jest przekonany, że w Kemi panuje zupełny spokój jedynie dlatego, ponieważ lud nie zna całej prawdy o ukochanej królowej. I tę myśl Smenkare tonem podnieconym wyraził wobec Nefertiti.

Królową zdumiała jego naiwność. Czyż pałacowe przewroty lub intrygi mogą obchodzić lud? Któż wie, co dzieje się za tymi wysokimi murami w Achetatonie? Kto rządzi teraz? Kto będzie rządził za godzinę? Jeńcy szardańscy opowiadają, że gdzieś na zachodzie, na wyspach Wielkiej Zieleni, królów obiera cały lud. Ale to podobne jest raczej do baśni. Potęga Kemi od niepamiętnych wieków opiera się na niezachwianej władzy faraonów. I nie było jeszcze siły, która by mogła zniszczyć Kemi...

- A Hyksosi? — spytał Smenkare.
- Co Hyksosi?
- Czy nie dość długo panowali w naszym kraju?
- Owszem, dość długo. Dwieście lat. Tak piszą w starych papirusach.
- A ty mówisz o władzy niezachwianej!

— Dwieście lat to nie wieczność. A władza faraona jest dziedziczna i jedyna, którą możemy się chlubić od wieków.

Smenkare powrócił do baj durzenia Szardanów.

— Gadają dużo i byle co — rzucił niedbale.

— To wszystko są oczywiste głupstwa! Kto zgodzi się złożyć władzę? Kto?! Król?!

— Król. Tak, Naftito, mówią Szardanie.

Królowa powiedziała, że w Kemi dzieje się coś dziwnego. Podobno młodzi ludzie wierzą niektórym plotkom cudzoziemców. Nie podejrzewając, że jeńcy po prostu przez złośliwość mogą oszukiwać nierozsądnych.

— Ależ nie! — odparł jego wysokość. — Wiem z całą pewnością, że za Pustynią Libijską mieszkają ludzie, znani z tego, iż wybierają króla.

— Wybierają? — zdumiała się królowa. — Na jakiz okres?

— Trzy razy po trzy lata.

— Na dziewięć lat?

— Mówią: trzy po trzy! Co trzy lata urządzają jakby kontrolę.

— Zginą! — powiedziała królowa marszcząc brwi.

— Przeciwnie! Rozwijają się pomyślnie.

— Widziałeś to sam, Smenkare?

— Nie, słyszałem opowiadania. I nic nadto.

Nefertiti pokręciła głową. Wyciągnąwszy rękę przed siebie, palcem wskazującym dała do zrozumienia, że mówi: „nie!” Tak samo jak czynią niemowy na rynku w Achetatonie.

— Smenkare — powiedziała smutno — sądzę, że ty nie wyznajesz takich poglądów...

— Jakich mianowicie?

— Na temat królów z wyboru.

— Mówiłem wszak, że to wszystko słyszał od cudzoziemców.

— Powinieneś o tym zapomnieć!
— Ja zapomnę, najczciegodniejsza Naftito, ale czy inni zrobią to samo?

— Oni słuchają twoich słów.

Smenkare uśmiechnął się. Był to uśmiech łagodny, trochę chorobliwy. Skąd ten chorobliwy rys u młodego człowieka? Jego wysokość nie choruje chyba na nic szczególnego? A więc skądże to?

Jaka szkoda, że Nefertiti nie mogła obdarzyć króla ani jednym chłopcem. Sześć dziewczynek! Same dziewczynki. A on tak pragnął syna! Jakże pełen był nadziei za każdym razem, gdy dowiedział się o jej poważnym stanie... Same dziewczynki! Ładne, dobre dzieciaki, ale dziewczynki: Meritaton, zmarła Meketaton, Nefernefe-ru-Aton-Taszeri, Anchesenpaaton, Neferneferura, Setepenra... Ładne, miłe, kochane, delikatne... Dziewczynki, dziewczynki, dziewczynki... Na kogóż miał liczyć? Na Smenkare i Tutanchatona?...

— Pragnę jednego — odezwał się Smenkare. — Pragnę, by król żył jak najdłużej. Aby choroba opuściła go jak najrychlej...

— Jaka choroba? — spytała Nefertiti.

— Jego choroba...

— On jest zdrowy... Bardzo zdrowy! — przerwała mu gwałtownie. — Król po prostu się nie oszczędza. Ciągłe pogrążony jest w myślach. I w dzień, i w nocy... Sam troszczy się i myśli za wszystkich. A ma przecież tylko jedno serce!

Smenkare słuchał tych słów z niejakim zdumieniem. Czyż kobieta, porzucona przez mężczyznę, nie staje się tygrysicą? Czyż w duszy jej nie rodzi się wielki gniew? Zawziętość na męża, który ją rzucił?

— Naftito! Ty mnie zadziwiasz, Naftito!

— Czymże?

Smenkare wstał. Zrobił kilka kroków. Stał przed nią.

Młody mężczyzna o chłopięcej budowie. „O Kemi, kraju nękany cierpieniem! Ci, którzy są twoją podporą, sami potrzebują mocnego oparcia...” Nefertiti widziała go, swojego zięcia, w całej jego okazałości. Widziała go od stóp do głów. Od cienkich nóg do delikatnych, wątych ramion.

— Naftito — wyszeptał.

— Słucham cię...

— Jesteś wielką królową.

Zachciało jej się śmiać:

— Skąd ci to przyszło do głowy, Smenkare?

Ale on nie miał chęci do śmiechu. Powiedział:

— Mimo wszystko... ty kochasz króla!

Odpowiedź Nefertiti brzmiała twardo i stanowczo:

— Powinniśmy go kochać, Smenkare. Dlatego że wszyscy jesteśmy dziećmi Kemi i boga jedyne i mądrego, Atona!

— Zaiste tak, Naftito!

Złożył przed nią pokłon. Ceremonialny pokłon. Jaki składa się tylko przed prawdziwą i wielką królową.

Prośba Dzehutimesa

O późnej godzinie, kiedy sklep Usercheta zazwyczaj bywa już pusty, nieoczekiwanie zjawił się... Jak myślicie — kto? Dzehutimes we własnej osobie. Naczelny rzeźbiarz i ulubieniec faraona. Przyszedł sam. Bez przyjaciół. O tej bardzo późnej godzinie...

Pierwszą zasadą właściciela sklepu jest — niczemu się nie dziwić. Nigdy przecież nie wiadomo, komu wpadnie do głowy do niego zajrzeć. W sklepie można smacznie zjeść. W sklepie są najpiękniejsze dziewczęta. Każdemu okazuje się tutaj szacunek. I nadzwyczajną usługę. To nie jest ważne, iż w mieście odbyła się właśnie pierwsza zmiana straży. Nie jest ważne, że gwiazdy świecą słabo. Obrót ciał niebieskich biegnie swoją koleją. Życie na ziemi — swoją. Jeśli idzie o Usercheta, może on wcale nie spać. Przyłoży się na godzinę i już wypoczął. Tak spędził całe życie i zdobył sobie poważanie. Nawet pewien dostatek. Własną pracą i staraniem. I głowę ma też własną. Zawsze myśli tą głową. Bez cudzej pomocy...

Właściciel sklepu powitał rzeźbiarza serdecznie. To zgiął się w ukłonie, to prostował się z uśmiechem.

— Pracowałem cały dzień — powiedział Dzehutimes, jakby usprawiedliwiając swoje najście. — Pracowałem i oczy moje nie widziały nic oprócz kamienia. Nie zauważyłem nawet, kiedy moi pomocnicy odeszli.

— Czyż nie pożegnali się z tobą?

— Możliwe... Nic nie słyszałem...
— Jakże to tak? — Userchet był zdumiony. Jakże to człowiek może być tak pochłonięty pracą, by nic nie słyszeć i nic nie widzieć? Czyż tak ludzie pracują?

— Różnie się zdarza, Userchecie... Oto idę sobie i myślę: zajdę do sklepu, może znajdzie się kawałek gęsi u dobrego gospodarza?

„Dobry gospodarz” usadowił Dzehutimesa wygodnie. W sklepie było zupełnie pusto, jeżeli nie liczyć jakiegoś mężczyzny, który kończył jeść wieczerzę. Był to człek rośli, w średnim wieku. Z pozoru — siłacz. Z pozoru — najzwyczajniejszy chłop, co to na swoim polu babrze się w błocie. Pod palącymi promieniami słońca. Z głową, owiązaną lnianą chustką. I miesi, miesi, miesi nogami błoto.

Skąd przybył ten zmęczony drogą chłop, który nie zdążył się umyć? Dzehutimes, prawdę mówiąc, liczył na to, iż teraz, o tej godzinie, będzie już mógł pogadać z Userchetem w cztery oczy.

Właściciel sklepu rozumiał, o co idzie. Zawód jego — ten jawny i ten tajny — nauczył go czytać w duszach, domyślać się rzeczy ważnych na podstawie drobnych oznak, dostrzec to, czego inni nie znają. Pośpieszył tedy z wyjaśnieniem:

— Czcigodny Dzehutimesie, ten człowiek to mój krewniak. Mieszka w chasucie Emsuch. Ma tam niedużą działkę ziemi. Nazywa się Ipi.

— Ipi?

— Tak. Tak samo jak zarządca królewskich komnat. Ten Ipi wszakże żyje o wiele gorzej niż tamten Ipi.

— Z pewnością, Userchecie, z pewnością — przyznał rzeźbiarz.

— Ale co ja mówię?! Jadło tego Ipi prawie wcale nie różni się od błota, które depcze on na swoim polu. A tamten Ipi, królewski, nie dotyka błota nawet swoim złoconym obuwem.

- Możliwe, Userchecie, możliwe.
- Ale co ja mówię, Dzehutimesie! Ten Ipi śpi na słomie, a pchły piją jego krew i w zimie, i w lecie. A tamten, królewski Ipi, na pewno nie wie nawet, co to takiego pchła. Czy jeździ się na niej jak na koniu, czy poluje się na nią w trzcinach!
- Chyba tak to jest. Zapewne.
- Ale co ja mówię, Dzehutimesie! Ten Ipi przywykł słuchać muzyki własnego brzucha. A tamten Ipi pieści słuch swój tylko harfą, tylko fletem, tylko dźwięcznym śpiewem pieśniarzy i pieśniarek!
- Wszystko to jest możliwe, Userchecie.
- Gospodarz rozpalił się nie na żarty. Zacisnął pięści. Żył nabrzmiały mu na szyi. Pot wystąpił na czoło.
- Ale co ja mówię, Dzehutimesie! Nie tylko on sam, ten Ipi, lecz i cała jego rodzina żywi się tym, co trudno nazwać jadłem. A tamten Ipi raczy się ze swoją rodziną dziką kaczką i sarną, kuropatwą i mięsem indyczek.
- Dzehutimes milczał. Chłop przestał żuć i przysłuchiwał się temu, co mówi o nim krewniak. Userchet zwrócił się do niego:
- Ipi, pokłoń się temu wielkiemu panu, który co dzień widuje faraona, jak ty mnie widzisz teraz.
- Ipi wstał, zrobił krok naprzód i poklonił się do samej ziemi.
- Wielki panie — powiedział. — Wszystko, co tutaj mówił Userchet, to najprawdziwsza prawda. Pięć dziesiątków lat żyję na świecie. To dziwnie, ma się rozumieć, że jeszcze żyję. Calutki dzień zbieramy zioła. Całą rodziną. Zbieramy pokrzywę. Zbieramy trawę miu i trawę umu.
- Co to za trawy? — spytał rzeźbiarz. — Nie słyszałem o nich nic złego ani nic dobrego.
- Chłop wyjaśnił:

— Tak je nazywamy my, ludzie ciemni. One rosną na bagnach. Nasz oświecony heka-chasut śmieje się, kiedy słyszy te słowa. Przybył do nas z Men-Nefer. To miasto chlubi się swoją uczonością... Ale ja wcale nie o tym, panie wielki. Gdybyś raczył okazać nam swoją łaskę i wystarał się dla mnie o pół arury ziemi! Obok mojego pola jest taka wolna działka. I oboje z żoną dożylibyśmy jakoś swego wieku. I dzieci nasze nie umarłyby z głodu.

Właściciel sklepu powiedział:

— Teraz wszystko sam słyszałeś, Dzehutimesie.

Rzeźbiarz usiadł na ławie. Był rzeczywiście bardzo zmęczony. O boże miłosierny! Jakaż to jednak nędza panuje w tym wielkim państwie, gdzie cudowne miasta powstają na pustkowiu w mgnieniu oka!

— Jak się nazywa twoja wioska, Ipi?

— Moja? Ta, gdzie mieszkam?

— Tak. Twoja.

— Ona się nazywa, panie wielki, zwyczajnie: Żabi Pomiot.

— Jak?

— Żabi Pomiot, panie wielki!

Rzeźbiarz spojrział z niedowierzaniem na Usercheta. Ale ten kiwnął głową.

— Tak, Dzehutimesie, tak właśnie nazywa się ta wioska, ponieważ tylko na takie imię zasługuje. Jakże inaczej nazwać wioskę, której mieszkańcy gnieźdzą się w ziemi i jedzą bagienne zioła?

— A czy ty, Ipi, widziałeś kiedy żabi pomiot?

— Nie, panie wielki.

— A jakiż on jest, zielonkawy?

— Nie mogę wiedzieć.

— A może brązowy? Podobnie jak ziemia?

— Nie wiem. Czego nie wiem, to nie wiem! Ale jakie to ma znaczenie, panie wielki?

— Absolutnie żadnego.

Chłop usiadł na swoim miejscu i zaczął oblizywać uwalane tłuszczem palce.

— Ipi — powiedział Dzehutimes — ja cię mogę wyrzeźbić. W kamieniu albo w gipsie. Mogę ci podarować płytę bazaltu. Ale nie mogę ci nadać ani kawałeczka ziemi.

— A poprosić? — z nadzieją w głosie zapytał chłop.

— Kogo poprosić?

— Wszystko jedno, kogo: najjaśniejszego pana — Życie, Zdrowie, Siła! Tego, co nosi wachlarz z prawej strony króla, władcy wszystkich ziem. Kogokolwiek! O łaskę dla mnie. O nic więcej.

— Ipi, czy cała twoja wioska głoduje?

— Prawie cała, panie wielki.

— A tym twoim sąsiadom ziemia nie jest potrzebna?

— Na pewno potrzebna.

— Przypuśćmy, że ty dostaniesz, a oni?

Chłop się zamyślił. Ale nagle wykombinował sprytnie:

— Panie wielki, ja proszę nie dla siebie, proszę dla swoich dzieci. Mam ośmioro dzieci, więcej niż moi sąsiedzi... Któż potrzebuje więcej ziemi?

— Ty? — wykrzyknął sklepikarz. — Ty! Ja wiem wszystko!

— Na pewno tak — mruknął znużony rzeźbiarz. — Na pewno tak.

Chłop padł przed nim na kolana. Dzehutimes spróbował podnieść go z ziemi, ale na próżno. Ten kościsty chłop okazał się bardzo ciężki. W dodatku opierał się: nie chciał wstać.

— Panie wielki — mówił dalej niemal z płaczem — powiedz mi, odpowiedz na moje pytanie: dlaczego my, którzy orzemy ziemię, którzy hodujemy zboże, którzy żywimy bydło i posyłamy swoje dzieci, aby umierały na dalekich wyprawach, musimy zdychać z głodu? Dlaczego nie mamy ziemi? Chłop

bez ziemi to to samo, co kapłan bez ołtarza, szewc bez młotka, rybak bez sieci. Nasz faraon — Życie, Zdrowie, Siła! — mówił kiedyś te słowa. Co prawda, mówił je dawno. Ale my nie widzimy ziemi! Gdzie ona jest?

— Zaraz jutro odwiedzę jego jasność Tutu — obiecał Dzehutimes. — Zdaje się, że powierzono mu teraz nadzór nad wszystkimi sprawami waszego chasutu. Powiem mu: chłop Ipi nie ma ziemi.

— Mam, ale bardzo mało — poprawił go dokładny Ipi.

— Wszystko to opowiem jego jasności Tutu. A potem zajdę tu i powtórzę jego słowa Userchetowi.

Chłop wydobył z torby podróżnej kawałek brudnego papiirusu. Podał go rzeźbiarzowi.

— Tu oto wszystko jest powiedziane. To pisał nasz wiejski pisarz.

— Dobrze, Ipi. Wezmę twoją skargę ze sobą.

Chłop rzucił się do nóg Dzehutimesa, by je ucałować.

Zmieszany rzeźbiarz patrzył błagalnym wzrokiem na właściciela sklepu, dając mu do zrozumienia, jak bardzo czuje się zakłopotany, jak mu ciężko w tej sytuacji.

— Dlaczegoż to? — zaproponował Userchet. — Niechaj Ipi otworzy duszę przed tobą. Nie ubędzie go ani trochę, jeśli ucałuje nogi tak wielkiego człowieka.

Wreszcie Ipi wstał i cofnął się ku stolikowi. Rzeźbiarz poprosił o wino — dla siebie i dla Ipiego. Wychyliwszy czarękę, powiedział:

— Muszę z tobą pomówić, Userchecie.

— Zamieniam się cały w słuch...

— Gdzież porozmawiamy?

— Tutaj!

Gdy tak mówili do siebie, wieśniak gdzieś zniknął. Rzeźbiarz nie mógł zrozumieć, czy Ipi się domyślił, czy dał mu znak gospodarz?

— Userchecie, siądź tutaj, naprzeciwko mnie. Tak będzie wygodniej... Przyszedłem do ciebie nie bez powodu.

— Słucham cię, Dżehutimesie, uważniej, niż jagnię słucha głosu swojej matki. Słucham cię tak, jak pilny syn słucha przestrogi ojca.

— Dziękuję ci, Userchecie. Przyszedłem, by coś ci powiedzieć i poprosić cię, żebyś serce swoje zwrócił ku tej sprawie i wyświadczył dobro. Dobro — człowiekowi, którego kocham. Jest on bowiem dla mnie jakby młodszym bratem.

— O Dżehutimesie! — wykrzyknął Userchet. — Miło mi słyszeć te słowa. I wystarczy, abyś wyraził życzenie, a będzie spełnione przez twego sługę. Albowiem nie ma dla mnie większej radości, niżeli służyć tobie, wielkiemu panu.

Dżehutimes podobny był do trzciny, która wsłuchuje się w plusk Hapi w dniach wylewu. „Właściciel sklepu jest niezmiernie ugrzeczniony; obiecuje nie wiedząc, o co będę go prosił. To znaczy, że rozmowa będzie bardzo długa...”

— Userchecie — zaczął rzeźbiarz uroczyście — pracuje u mnie młody przyjaciel. Na imię ma Tihotep. Ty go znasz. On zna ciebie. Ty go szanujesz i on cię szanuje.

— To prawda! To prawda! — gorąco przyznał gospodarz. — Ja go szanuję w rzeczy samej, ponieważ jest tego wart. A gniewać się na mnie nie miałby o co. Płaci długi bardzo akuratanie. Nie potrzebuję biegać do sędziego. Nie potrzebuję pisać skarg. Tihotep to twój pomocnik i klient mojego sklepu. I jest w sercu moim.

„...Dobrze, Userchecie, artysto kuchni, mistrzu patelni i różna. Zobaczymy, jak będziesz mówił później. Kiedy się dowiesz, po co przyszedłem.”

„...No, szanowny rzeźbiarzu, nie myśl, że masz sprawę z bryłą dzikiego kamienia. My także coś niecoś rozumiemy,

chocześnieśmy nie rzeźbiarze i nie kręcimy się koło króla. Wyłóż, wyłóż swoje myśli, mów, czego ci potrzeba. A potem ładniutko potargujemy się ze sobą. Przecie tacy wielcy ludzie nie przychodzą ze zwykłą sprawą!”

— W twoim sklepie służy dziewczyna imieniem Sorru.

— To prawda, Dżehutimesie, prawda! Ta dziewczyna jest jedną z takich, którym robota pali się w rękach. Od dziecka przywykła do pracy. Ale nie tylko. To jest dziewczyna bardzo towarzyska. Wszyscy, co u mnie bywają, mówią zgodnie: to naprawdę piękna dziewczyna! Zapłaciłem za nią kupę złota. Kupcy aramejscy to wielkie sknery. Nie wyprosisz od nich i piasku na pustyni.

„...No, a ty? No, a ty, panie sklepikarzu, godny synu Kemi, cioteczny bracie Hapi, kość z kości kramarzy i skąpców?! Zobaczmy zaraz, jak szeroka jest ta twoja dusza i jak dalece szczodre jest serce twoje.”

— Tak tedy, Userchecie, mój przyjaciel i młodszy brat — tak nazywam Tihotepa — pokochał Sorru. I Sorru pokochała Tihotepa, którego znasz tak dobrze.

Userchet udał, że jest niepomiernie zdziwiony tym oświadczeniem. Co? Ten Tihotep kocha tę Sorru, a ta Sorru... Kiedy to oni zdążyli się pokochać? Zwierzali się sobie? Pisywali do siebie? Porozumiewali się za pośrednictwem innej osoby?...

„...Ech, Userchecie, ty stary oszuście! Wszystko musisz wałkować aż do znużenia? Ty, pierwszy rajfur stolicy?”

— Szanowny Userchecie... — Rzeźbiarz wytrzymał dość długą pauzę. Potem znowu powtórzył ten zwrot i znów chwilę pomilczał. Z tymi sklepikarzami niepodobna inaczej. — Oni nie tylko się znają. Kochają się wzajemnie. Kochają się nie tylko na odległość, ale widywali się nie raz i nie dwa. I nie tylko się widywali, ale i spoczywali razem na łożu miłości...

— Co?! — oburzył się Userchet. — I to wszystko za moimi plecami?

— Dlaczego — za plecami? Z twoją wiedzą, Userchecie. I w dodatku za te same pieniądze, które otrzymałeś.

— Ja?!

— Tak, ty.

— Pieniądze? Za Sorru?

— Właśnie! Za Sorru.

— Czyż to możliwe, Dżehutimesie?

— Nie martw się, Userchecie. Tym bardziej że sława twoich dziewcząt jest wspaniała. Cała stolica ceni twój sklep!

— To prawda. Dziewczyny mam doskonałe.

— Twój dobry smak budzi powszechny zachwyty.

— I to prawda!

— Oni się kochają, Userchecie. Tihotep proponuje srebro i złoto. I mam nadzieję, że się dogadamy.

Userchet zaczął nieskończenie długo wyliczać wszystkie zalety Sorru: kulinarne, gospodarskie, „czysto kobiece”...

— Na temat tych kobiecych nie rozwódź się za bardzo — przerwał mu rzeźbiarz — bo są dobrze znane.

— Owszem — zgodził się Userchet.

— Myślę, że ocenił je nie jeden Tihotep — Dżehutimesie się uśmiechnął.

— Chyba tak. Ale Sorru jest naszą ulubienicą. Bez namysłu sprzedałbym każdą inną niewolnicę. Ale Sorru?... Nawet nie wiem, co ci odpowiedzieć.

— Dlaczego nie wiesz? Wymień cenę. Ja wymienię swoją. I potargujemy się do woli.

— Zaraz? — spytał Userchet.

— Nie ruszając się z miejsca. Po prostu tutaj.

— W takim razie przyniosę wina. Nie wolno targować się bez wina. Sprawa się nie uda.

— Dawaj wina!

W sklepie panował półmrok. Palily się tylko dwie lampki, kopcąc niemilosiernie. Pachniało smażoną rybą. Od glinianej polepy na podłodze szło ciepło. Za ścianą obok ktoś chrapał. Niezbyt głośno. Nie na cały dom. Ale tak, do zniesienia. Z delikatnym poświstywaniem.

Userchet nalał wina, uprzednio pokazawszy pieczęć na glinianym korku. Dżehutimes przeczytał: „Najlepsze wino z win Achetatonu”.

„...Userchet postanowił targować się nie na żarty. Podać takie wino — to przecie coś niecoś znaczy! Boże miłosierny, żeby choć zdążyć do rana! Sądząc po dzbanie, zanosy się na długą rozmowę.”

Userchet podał owoce i daktyle w cukrze. I kawałek zimnego mięsa. Taki duży kawałek. Obliczony raczej na lwa niżeli na człowieka.

— Wystarczyłoby samo mięso z winem — powiedział rzeźbiarz szukając wzrokiem noża.

— Wszystko ma swój czas — oświadczył właściciel sklepu.

— I to też prawda. A kto tak chrapie, Userchecie?

— Gdzie?

— Za ścianą.

Gospodarz jął nasłuchiwać. Po chwili machnął niedbale ręką.

— Pewien kupiec. Z Babilonu czy z Niniwy! Zdaje się, że z Babilonu. Tych Babilończyków jak wróbli — wszędzie pełno. Snują się po świecie. Jeżdżą, pływają, handlują, oszukują.

— Jak wszyscy, Userchecie! Jak wszyscy! — powiedział rzeźbiarz i przypomniał gospodarzowi, że na stole brakuje niezmiernie ważnego przedmiotu: noża.

Audiencja

Na wezwanie faraona zjawili się w Wielkiej Sali Przyjęć Pentu i Eje. Obaj stwierdzili całkiem zdecydowanie, że najjaśniejszy pan jest w pogodnym nastroju. I tak chyba było z początku. Faraon powitał starców uprzejmie, zaproponował, by usiedli na ławach. Spytał, czy nie wolą siedzieć na matach. Tak — zauważył faraon — jest przytulniej, mniej urzędowej sztywności. Albowiem te kolumny są straszne — przytłaczają człowieka. Kiedyś trzeba będzie zająć się nimi i wymyślić coś bardziej odpowiedniego. Należy się nad tym zastanowić, nie odkładając sprawy w nieskończoność. Tak więc dużo gmachów w Achetatonie wypadnie przebudować, zastąpić bardziej okazałymi.

„...Najjaśniejszy pan postanowił, jak widać, przebudować miasto, dlatego nas tu wezwał. Eje, jeśli sądzić z wyrazu jego twarzy, nic o tym nie wie... Jest także zdziwiony, choć za wszelką cenę usiłuje się z tym nie zdradzić.”

„...Jedno jest niewątpliwe: faraon zamierza przystąpić do nowej budowy. To miasto już go nie zadowala. Potrzebne mu bardziej długowieczne, bardziej rozległe, wspanialsze. Potrzebuje rady i otrzyma ją od nas. Widzę, że Pentu jest trochę zaskoczony tą niespodzianką. Ale cóż robić, faraona trzeba znać.”

Echnaton nie dostał odpowiedzi: maty czy łąwy. Zapropo-
nował więc to, co było: łąwy. Takie wygodne, pachnące żywicą,
ciężkie łąwy. Gdy usiedli, faraon powiedział:

— Jeśli chodzi o miasto, to wspomniałem o nim tylko tak,
nawiasem. Jeszcze o tym pomówimy. Chciałem się z wami
podzielić innymi myślami. Potrzebuję waszej rady.

I Pentu, i Eje zdziwili się jeszcze bardziej. Jakiej rady? O co
tu idzie? Jeżeli nie o miasto, to o cóż?

— Niezbyt dawno, a ściślej, całkiem niedawno, rozmawia-
łem z pewnym pisarzem. Ani ty, Eje, ani ty, Pentu, z pewnością
go nie znacie. Chociaż przypuszczam, żeście widzieli go na
własne oczy. I możecie mu nawet coś dyktowali. Nazywa się
Bakurro...

— Jak?

— Bakurro.

— Taki mały, niepozorny? — spytał Eje.

— Tak, tak.

— Taki słabowity, mizerny, co to własnego cienia się boi?
— zapytał Pentu z zaciekawieniem.

— Ten właśnie... Ale bojaźliwy mi się nie wydał. Przegada-
łem z nim prawie pół nocy...

— Pół nocy?! — zdumiał się Pentu.

— Tak.

— I to teraz, najjaśniejszy panie, kiedy ci zabroniłem czu-
wać po nocach?

— Aha. Teraz.

— Wybacz mi, ale to jest nierozsądne, najjaśniejszy panie.

— Zgadzam się. Ale bywają chwile, kiedy człowieka ogar-
nia nieodparte pragnienie porozmawiania z kimś.

— Jesteśmy wszak gotowi służyć ci, królu, w każdym cza-
sie. O każdej godzinie dnia i nocy...

— Dziękuję, Pentu, ale czyż nocne rozmowy z wami nie
byłyby równie szkodliwe dla zdrowia? A tamtej nocy potrzebny
mi był właśnie Bakurro. Nie ma sensu powtarzać wam całej

rozmowy. On mi coś powiedział. I o tym cały czas myślę.

Faraon obszedł semerów dokoła. Zrobił kilka okrążeń, zanim się zatrzymał, aby mówić dalej. I wtedy powiedział:

— Ten pisarz to człowiek myślący. Pierwsze moje wrażenie było takie, że zna on tylko cudze myśli, tylko te, które mu inni dyktują. Ale po jego spojrzeniu poznałem, że niezupełnie tak jest. Że pierwsze wrażenie było chyba mylne. Wtedy wezwałem go na rozmowę. Na szczerą rozmowę. Według mego zdania, człowiek winien mówić otwarcie albo nie mówić nic. Czyż nie tak?

Pentu powiedział: „Tak”. A Eje wzruszył ramionami.

— Zawiązała się między nami szczerą rozmowa. Wypowiadał swoje myśli. Otwarcie. Według mnie, nie lękając się niczego i nikogo... Dlaczego mali ludzie są zawsze niebezpieczni? Dlaczego są niebezpieczni? — powtórzył faraon.

— Panie — rzekł Eje. — Słuchamy cię z uwagą.

— Powiem, dlaczego: nie mają nic do stracenia. Podczas kiedy ty, Pentu, albo ty, Eje, pomyślicie o swoich majątkach, zanim powiecie „tak” lub „nie” — to ten Bakurro nic nie ma do stracenia. W odróżnieniu od semera pisarz potrzebny jest wszędzie.

Faraon nie bez złośliwości spojrział na swych doradców. Oni zresztą ani trochę nie przestraszyli się jego słów. Znali swoją wartość.

— Cóż mówił ten Bakurro? — zapytał Pentu.

— To ciekawe — dodał Eje. — Bardzo ciekawe. Gromnie chciałoby się usłyszeć, co ten pisarz powiedział.

— Nie śmieście się przed czasem. — W głosie faraona zabrzmiał ton groźby. — Bakurro sądzi, że im silniejsza jest nasza władza, tym rychlej Kemi upadnie.

— Co upadnie?

— Kemi.

- Z powodu silnej władzy?
- Tak to wygląda... Chcę wszakże posłuchać, co wy powiecie. Doprawdy, mówił to z takim przekonaniem, że nie sposób machnąć ręką na jego słowa i zapomnieć. A ukazywał przyszołość w barwach zbyt ponurych, aby można było z nim się zgodzić. Aby znaleźć w sobie odwagę i powiedzieć mu: „Masz słuszność”.

Faraon wzruszył się nagle. Policzki mu się zaróżowiły. Mocno zacisnęły się szczęki, a pod kośćmi policzkowymi wystąpiły guzy. Oczy zrobiły się wąskie jak szparki. Podbródek — taki nieco koński podbródek — groźnie wysunął się do przodu. .

— Ten Bakurro opowiedział coś w rodzaju starej przypowieści. Gdzieś tam w Mitanni, a może jeszcze dalej, robią drewniane beczki. Na wino albo na piwo. Te beczki wzmacnia się obręczami. Bakurro mówił o zbyt mocnym uścisku owych obręczy. Uścisk ten, o ile dobrze zrozumiałem, zgubi nasze państwo. Oto jaka jest jego myśl. A teraz ja będę milczał. A wy będziecie mówili.

Usiadł na ławie bez oparcia. Wyprostowany. Czekaając na to, co powiedzą semerowie.

„...Faraon wydaje się mocno zaniepokojony. Nie jestem Eje, jeśli to nieprawda. Głupia przepowiednia jakiegoś Bakurro nie mogła wyrzucić na nim tak silnego wrażenia. Coś się za tym musi kryć. Poczekam, co powie Pentu.”

„...Eje milczy. A tymczasem to on powinien otworzyć usta. Jest bliżej faraona. W dodatku ma węż jak lis pustyni: padlinę czuje na odległość wielu, wielu sechenów. Istnieje mądra zasada: nie śpieszyć się! Nie będę wybiegał naprzód. Nie jestem dziecko.”

— Słucham was — powiedział faraon.

„...Któryż z nich zacznie pierwszy? Eje? Ale przecież zasadą Ejego jest — wyczekać! Wyczekać, pomyśleć. A pomyślawszy —

pomilczeć. Jeżeli tylko jest to możliwe. Jeżeli zaś nie, to powiedziec coś, co nie zobowiązuje do niczego... Pentu? Chyba on. Tego doświadczonego starca zbyt wiele nauczyło życie. To jest, nauczyło go tyle, że próbuje on dojrzeć coś w tym miejscu, gdzie już dawno nie ma nic... A zatem każdy z tych moich ulubionych semerów będzie czekał, co powie drugi, w miarę możliwości ukrywając własny sąd w stosie napuszonych zdań. Oto Pentu głęboko westchnął. Nabrał powietrza w płuca. Na pewno coś powie... O, już zaraz powie...”

Paauza była zbyt długa. Sytuacja stawała się niezręczna. Król mógł pomyśleć, o swoich semerach bóg wie co. Nie ma rady, trzeba mówić... I Pentu zaczął:

— Panie — o ile rozumiem, to jakiś pisarz Bakurro...

— Wcale nie „jakiś”, Pentu! On siedzi w mojej sali i pracowicie zapisuje.

— A więc, pisarz Bakurro wypowiedział myśl, która cię zaniepokoiła, najjaśniejszy panie. Ta myśl nie jest nowa. Tak twierdzą. Czytałem dokumenty z pewnego śledztwa sądowego, które odbyło się za panowania faraona Hor-Nachtnebtjnefer-Iniotefa II. To było prawie osiemset lat temu. Przeczytałem wszystko. Czytałem razem z astrologiem Userem-młodszym.

— Cóż takiego stało się w owych zamierzchłych czasach, Pentu? — faraon zamienił szybkie spojrzenie z Ejem. Dworak w odpowiedzi mrugnął chytrze. Jak to rozumieć? Ależ, jak się komu podoba!

— A ja powiem, co się stało! W owych czasach także żył pewien sobowtór tego Bakurro. Tylko nazywał się nieco inaczej: Ani. Z zawodu kowal. Syn kowala. I wnuk kowala. Mistrz był z niego, jak widać, znakomity. Tylko w głowie miał nie wszystko w porządku. Co często zdarza się u znakomitych mistrzów. I oto...

Faraon przerwał semerowi:

— Nie śpiesz się. Jak powiedziałeś? Powtórz.

— Co mam powtórzyć?

— To, co rzekłeś o znakomitych mistrzach...
— No cóż? Powiedziałem prawdę. Jeżeli mistrz jest znakomity, ma własną głowę na karku. Sam myśli. Sam wszystko widzi.

— Własną głowę ma każdy, Pentu.

Semer potrząsnął głową. Jak muł u wodopoju.

— Nie, panie. Śmiem twierdzić, że nie zawsze. A znakomici mistrzowie zawsze mają własne głowy. Weź, na przykład, Dzehutimesa...

— Ma własną głowę! — wtrącił faraon z zadowoleniem.

— Bek...

— Własna głowa!

— Juti...

— Własna głowa!

— A więc widzisz, panie, że słowa moje znajdują potwierdzenie.

— Cóż robią mistrzowie, którzy mają własną głowę?

Eje chrząknął. W rzeczy samej — co robią?

— Wypowiadają przy pomocy własnej — nie cudzej — głowy własne, nie zaś cudze myśli. Oto wszystko!

Faraon obiema dłońmi naśladował kołysanie się fal na morzu:

— Własna głowa. Własne myśli. Własna głowa. Własne myśli. Nie, Pentu, ty mówiłeś co innego. Mówiłeś, że znakomici mistrzowie mają w głowach nie wszystko w porządku. Ja uważam ciebie za znakomitego mistrza w leczeniu. Cóż ty powiesz o swojej głowie?

Ale Pentu wcale się nie stropił.

— Moja głowa — powiedział — jest bardzo stara. Wszystko już ułożyło się w niej na swoich miejscach. A tamten kowal Ani był młody. I zamącił spokój faraona Hor-Nachtnebtjnefer-Iniotefa II, podobnie jak Bakurro zamącił twój spokój. W czym tkwi różnica?

W czasie, najjaśniejszy panie! Ani mówił: trzeba przywrócić

święto chebsed w takiej postaci, w jakiej istniało kiedyś. A co to znaczy? Zabijać faraonów! Składać w ofierze jednych, jeśli się nie podobają, i ustanawiać innych. Oto co to znaczy! Dlatego — mówił kowal Ani — że niepodobna znosić bez końca rządów jednego człowieka. Niepodobna znosić, aby słowo jednego człowieka było niby kamień, a ręce wszystkich i języki wszystkich związane były tym słowem. Oto o czym myślał Ani!

— Na co mu to było potrzebne, Pentu?

— I o tym też jest mowa w tych starych papirusach. Ani pragnął wolności.

— Czego? Czego? — spytał faraon marszcząc brwi.

— Wolności.

— Po co mu to było?

— Nie wiem.

— Czy był niewolnikiem?

— Nie, Ani był nemhu. Ale jeśli dać im swobodę — Pentu pokazał palcem ścianę — jeśli dać im swobodę, wtedy nie tylko tego zażądają. Na czym opiera się państwo? Na twardym niby kamieniu słowie króla. Tak, tak, tak!

Pentu zakończył swoje przemówienie, trzykroć klasnąwszy w dłoń.

— Zadziwiłeś mnie, Pentu. Ale co ty myślisz o pisarzu Bakurro?

— Co myślę?! — semer rozłożył ręce: czyżby wyraził się niejasno? — Co myślę? Bakurro nie odbiegł daleko od kowala Ani. Zupełnie jakby się umówili. Używają tych samych słów. Ten Bakurro wymyślił przypowieść o jakimś naczyniu z Mitanni. Na tym polega cała różnica pomiędzy nim i Ani. Ale czyż w tym tkwi sedno? Bakurro używał słowa „wolność”?

— Nie pamiętam. Być może.

— Jeśli nie wymawiał tego słowa, to wymówi! Wszak ośmielił się wyłożyć tobie, królu, coś, co według mego

głębokiego przekonania działa na szkodę Kemi.

Faraon spuścił głowę i po chwili podniósł ją szybko, prostując zgięte plecy:

— A teraz ty, Eje.

Eje kiwnął głową. Potarł koniec nosa. Podrapał się za uchem. Dwoma palcami potarł czoło, jak gdyby chciał rozmazać zmarszczki. Po czym spytał:

— Co jeszcze powiedział ten Bakurro?

— Różne rzeczy. Mnie jednak zaciekawiła przypowieść o mitannijskiej becze — odparł faraon.

— Bo to jest najważniejsze.

— Tak, bardzo ważne.

— Ponieważ ty, panie, w tym właśnie coś dostrzegłeś.

— Tak.

Eje mówił dalej, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą:

— Królewski pisarz, który obcuje twarz w twarz z wielkim władcą, słucha jego słowa i zapisuje to słowo na papirusie, nagle zwraca twoją uwagę na jakąś baśń. Czy przypowieść. To nie zmienia postaci rzeczy. Nie wiemy, czy tę przypowieść wymyślono gdzieś daleko, czy pisarz ułożył ją sam. Albowiem, jak wiadomo, pisarze wszystkich czasów byli mistrzami w tych sprawach. Ich umysł nieustannie pracuje. Oczy jakby szperają w poszukiwaniu czegoś. Nawet po nocach taki skryba nie może spać. We wszystkich czasach pisarze bywali źródłem myśli, które przyprawiały umysły o zamęt...

— Czy mówisz o wszystkich pisarzach?

Eje nie śpieszył się z odpowiedzią. Jak to rozumieć: o wszystkich pisarzach? Wszystkich co do jednego? O każdym, co nauczył się pisać i czytać?

— Znajomość pisma, panie, od niepamiętnych czasów była źródłem... Jak by to powiedzieć? Ludzie wykształceni zawsze są wysokiego mniemania o sobie. To trzeba wziąć pod uwagę.

Jeżeli nawet nie mówią tego wprost, to jeszcze nie dowód, że myślą o sobie inaczej. Chcę powiedzieć rzecz następującą: wobec skrybów trzeba zawsze mieć się na baczności. Skryba z przyborami do pisania i papirusem to człowiek niebezpieczny. Może posłusznie zapisywać wszystkie twoje słowa. Ale przy tym może w duchu, milczkiem, szydzić z ciebie, jeżeli z jakiegoś powodu nie podobają mu się twoje słowa.

— Ach tak? — wykrzyknął faraon, jak gdyby dopiero teraz otworzono mu oczy na zuchwałą postawę skrybów. Jakby sam o tym nie wiedział.

— Wierz mi, panie, pisarze to ludzie niezbyt pewni. Chcę powiedzieć: trzeba częściej zaglądać w ich dusze. Bardzo, ale to bardzo głęboko. Dlaczego? Dlatego że to pozwoli rozpoznać w nich coś, co może przysporzyć szkody nieograniczonej władzy królów. Są dwa sposoby, które pozwalają pewniej trzymać ich w rękę.

— Cóż to są za sposoby? — spytał faraon niecierpliwie. Pentu kiwnął głową: oczywiście, iż ważną rzeczą jest znać te sprawy.

Eje zagiął wielki palec lewej ręki.

— Jeden sposób: dusić...

— Co? Co?

Zdaje się, że królowi ten sposób nie przypadł do gustu. Eje się uśmiechnął:

— Nie, nie w dosłownym znaczeniu. Ale prawie dosłownie. Aby nie zostawiać im czasu na rozmaite tam głupie rozmyślanie...

— Głupie rozmyślanie — powtórzył jak echo faraon.

— Praca, praca i jeszcze raz praca — oto los skryby! Słowa wpadają mu w ucho i on je zapisuje na papirusie. Trzeba, by zgiął grzbiet nad pismem. Trzeba myśli jego dusić pracą. Aby nie prostował grzbietu. Aby powolny był wielkim słowom. Oto sprawiedliwa dola skryby!...

— To jest pierwszy sposób?

— Tak, panie.
— A drugi, Eje?
— To także bardzo jasny sposób — rzekł Eje. — Ma wszakże jedną dużą wadę.

— Jakąż to?
— Człowiek to istota myśląca. A skryba — tym bardziej! Dlatego potrzebny jest umiar. Umiar niezbędny jest we wszystkim. Nawet życiodajny wylew Hapi nie powinien przekraczać granic nakreślonych przez boga.

— A jak ustanowić jego granice?
— Jakie granice?
— Myślenia.
— Ustanawia je król i władca — oświadczył Eje uroczyście.

— W jaki sposób?
— Wyjawieniem swojej woli. Swoim rozkazem.
Pentu nie był zadowolony z tej odpowiedzi. Rzekł zatem:
— Kiedy w jajku powstał zarodek kurczęcia, nietrudno go zauważyć. Wystarczy popatrzeć pod światło. Albo troszkę potrząsnąć jajkiem koło ucha. Albo jajko rozbić i przekonać się, że zarodek wytworzył się naprawdę. Co jednak zrobić z myślami?

— Z jakimi?
— Z tymi, co lęgną się w głowach skrybów.
Faraon z zaciekawieniem przysłuchiwał się sporowi semberów. „...I jeden, i drugi to ludzie mądrzy. W każdym razie sprytni! Zwłaszcza Eje. Są mądrzy i wielce doświadczeni. Mówią do rzeczy. A choć pozornie różnią się w poglądach, ostatecznie zejdą się w sprawach najważniejszych. Nie mogą się nie zejść! Albowiem obaj żyją na tej samej łodzi, płynącej przez ocean, i nie mają się gdzie podziać...”

Pentu wyjaśnił:

— Poznać, co dzieje się w głowie skryby, jest tak samo

trudno, jak odgadnąć zamiary sytego lwa. Głowy skryby nie da się przeświecić jak kurze jaje. Nie można rozbić mu głowy, aby sprawdzić, jakie kłębią się w niej myśli. Im bardziej go nastraszyć, tym głębiej ukryje się w swojej norze. Jak mysz. Przeklinając cię w duszy zacznie szczerzyć zęby w nieszczerym uśmiechu. Patrząc na ciebie wzrokiem umyślnie smutnym, cichaczem będzie z ciebie szydził. Czyż nie tak?

Eje odrzekł:

— I tak, i nie tak.

— A jak?

— Eje — przypomniał faraon. — Chciałeś powiedzieć o drugim sposobie. Cóż to za sposób?

— Bardzo prosty. Karmić skrybę lepiej, poić winem, płacić więcej złota, stworzyć mu życie promienne jak gwiazda Sotis...

— A wtedy?

— A wtedy to już jest twój niewolnik. Duszą i ciałem. Będzie ci służył wiernie. I żadna mitannijska beczka nie przyjdzie mu do głowy. Masz prawo mnie zapytać: skądże ty to wzięłeś? Powiem: mądrość tę nie ja odkryłem. Była ona znana, nawet bardzo dobrze, już w czasach faraona Pepi.

— Nie pojmuję — rzekł Echnaton. — Nie pojmuję do prawdy: czy życie się nie zmienia? Czyż Pepi także łamał sobie głowę nad odgadywaniem myśli jakichś tam pisarzy?

— Tak — odparł Eje. — Nawet tak wielki i stary faraon jak Pepi II nie mógł rozstrzygnąć dokładnie, który z dwóch sposobów jest lepszy: pierwszy czy drugi.

— A czy przypadkiem nie ma trzeciej drogi? — Faraon pokazał trzy palce, jak gdyby Eje był głuchy. — Czy nie ma trzeciej, mój Eje? Nie? A jak ty myślisz, Pentu?

— Trzeciej? — stary dworak chwycił się za głowę, jakby

mu trzeszczała z bólu, jakby pękała na kawałki. — A po cóż trzecia, panie? Co najwyżej można połączyć te dwie! To prawda, można jeszcze i tak: dać wysmienitego ciasta, a potem wymierzyć tęgi policzek. Mówią, że to też pomaga.

Faraon skinął głową. To zachęciło mądrego dworzanina do dalszej improwizacji. Pentu wymownie rozłożył ręce, wywracał oczami:

— O boże wielki i miłosierny! Co może być bardziej pocuczającego niż policzek po dobrym cieście? Choćby nie wiem jak źle było wypieczone, wyda się najdoskonalszym wytworem sztuki kulinarnej! A czemu to? Bo policzek jest gorszy. Oповідаją, iż pewnego razu zastosował coś takiego faraon Dedkara-Asesa. W zamierzchłych czasach. Przeczytałem o tym na skale za trzecią kataraktą. Tak uczył on swoich poddanych rozumu. I królował szczęśliwie dwadzieścia osiem lat.

Eje uśmiechnął się w milczeniu. Ale tak, by nie zdradzić się z tym uśmiechem. Tajemniczo. Znacząco.

— Chcesz coś powiedzieć? — zapytał go faraon.

— Ja?

— Tak, ty!

— Nie, nic... Nic szczególnego...

— A jednak?... Wyznaj to nam...

— Doprawdy nic...

Faraon uderzył się dłońmi po kolanach, dając do zrozumienia, że dość już nasłuchał się wszystkiego i że teraz sam będzie mówił.

Przeszedł się kilka razy tam i z powrotem. Nie oddalając się zbyt daleko: pięć kroków do przodu i pięć na powrót. A potem niespodziewanie zatrzymał się obok kolumny i oparł o nią głowę.

— Słuchałem was uważnie. Powiem prawdę. Chociaż wiem, iż nie wszystkim się ona podoba. Ojciec mój najwyższy jest świadkiem, że nieraz przegrywałem z powodu swej szczerości wobec ludzi. Niemniej jednak...

Faraon spoglądał w górę, jak gdyby o radę błagał boga, który jest w sferach niebieskich.

— Tak, rozmyślałem nad słowami tego pisarza Bakurro. Rozważałem je. Nie mogłem postąpić inaczej. Albowiem zapadły w duszę moją głęboko. Kto nie jest pozbawiony słuchu, nie powinien puszczać mimo uszu słów, z jakimi zwracają się do niego inni. W przeciwnym razie — na co byłyby uszy? Pytam: na co? Jeżeli uszy potrzebne są każdemu, to stokroć bardziej potrzebne są władcy. Albowiem w rękach jego spoczywają losy całego świata. Dlatego słuchałem pisarza Bakurro. Dlatego, ale nie tylko dlatego... Słuchałem go jeszcze i z tego powodu, że mówił rzeczy niezwykle. Jakich nie udało mi się słyszeć nigdy. Coś podobnego, być może, zdarzało się już dawniej w Kemi. W dawno minionych czasach. Powiadam: być może. Jeśli tak jest, to należałoby uznać pewną niezmienność czasu. A jednak wiadomo, że świat nie widział jeszcze miasta podobnego do Achetatonu ani owej błyskawicznej szybkości, z jaką zostało wzniezione. Nie, tego świat nie zna!..

Głos Echnatona stawał się stopniowo coraz to twardszy. Wzrok jego zwrócony był ku semerom, którzy siedzieli w pozach pełnych uszanowania. Spojrzenie króla stało się podobne do spojrzenia ptaka nechbet — bezlitosne i wszechwidzące.

— A hymny ułożone w tym wielkim mieście? Czyż w Kemi słyszano coś podobnego?

— Nie — rzekł Eje.

— Nie — potwierdził Pentu. I była to prawda. Faraon wiedział o tym dobrze. Tak samo jak jego wrogowie, jawni i utajeni. Przy czym jedni i drudzy oddawali mu należne względy z tego powodu. Istotnie, kiedy i kto układał hymny bardziej dźwięczne i miłe dla uszu? A muzyka, która im towarzyszyła? Kto tchnął życie w te harfy i flety, w te liry i bębny? Wierni słudzy króla, którzy bacznie słuchali jego rad i wypelniali je

ściśle. Albo rzeźby Dzehutimesa, Jutiego, Beka?... Czyż nie świadczą one o tym, że Kemi poszło naprzód od owych praczawsów, kiedy budowano piramidy w pobliżu Men-Nefer? Nie, niepodobna się zgodzić, że w Kemi nic się nie zmienia. A zatem w owych dawnych czasach nie mógł również i sobowtór pisarza Bakurro mówić dokładnie tych samych słów, jakie mówił w pamiętną noc ten pisarz...

„...Najjaśniejszy pan za wszelką cenę chce się czymś odróżnić od faraona Narmera, faraona Dżesera i ich potomków. Jeżeli Pentu ośmieli się odwozić go od tego zamiaru, to ściągnie na siebie wielki gniew. Faraon sam powie, co różni go od wielkich poprzedników, a co go z nimi łączy. Sam powie wszystko...”

Eje spoglądał w jeden punkt: na niedużą szparkę, która mąciła nieskazitelną gładź wypolerowanej kamiennej posadzki. Patrzył, myślał i słuchał. Pentu zaś przymknął oczy ze zmęczenia. Ale nie spał. Nigdy nie zasypiał w obecności króla. Wygodniej mu było jednak słuchać z zamkniętymi oczyma. Faraon znał to jego przyzwyczajenie.

— Rozmyślałem nad słowami pisarza Bakurro. Nie mogłem inaczej. Wysłuchawszy was i pragnąc być powolny radom ojca mojego, świetlistego Atona, postanowiłem obwieścić edykt... Ipi!

I natychmiast między kolumnami, w końcu sali, ukazał się we własnej osobie zarządca komnat królewskich Ipi. Król rozkazał mu przysłać dwóch pisarzy, ów zaś pośpieszył spełnić rozkaz.

Faraon oparł się ręką o kolumnę, jak gdyby zamierzał ruszyć ją z miejsca. I powiedział z gniewem:

— Oto rozkazę, oto zaraz coś rozkazę. I cała kraina Kemi — od katarakt aż do Delt, od pustyni azjatyckich aż do Libii — zamieni się w bazalt. Jesteśmy i teraz silni i niezwyciężeni. Ale ja uczynię tak, że Kemi będzie jak jeden wielki obóz

wojowników. To będzie bazaltowy biwak. Nawet oddech wszystkich musi być jednakowo równomierny. Nie mówiąc o krokach. W porównaniu z którymi kroki najlepszego pułku okażą się rozlazłe. To właśnie rozkażę i to zrobię!...

Król zacisnął pięści. Wyglądał jak zapaśnik-pięściarz. Jakich uwielbiają w azjatyckiej Niniwie.

To było zdumiewające: srogi słabowity król!

Tej nocy

Kijo.

- Słucham cię.
- Kijo!
- Jestem tutaj, najjaśniejszy panie...
- Kijo... Nie tak mnie nazywasz, jak trzeba...
- A jakże cię mam nazywać, mój ukochany?
- O tak właśnie.
- Dobrze, mój ukochany.
- Czy to twoje piersi?
- Nie, twoje: należą do ciebie.
- Dlatego że je kocham?
- Dlatego żeś ty mój pan.
- Są twarde jak jabłko.
- Czy to źle?
- Ja je kocham.
- Jabłko?
- Nie, twoje piersi...
- Te piersi są twoje, mój ukochany...

Echnaton szuka jej oczu. A zamiast nich — ma przed sobą głębinę bez dna. Szuka jej warg. A zamiast nich dotyka chłodnych granatów: takich gładkich, takich ponętnych. Pragnie wziąć ją całą w objęcia. A zamiast niej trzyma palący płomień. O Kijo, kto cię urodził? Czyż naprawdę kobieta z ciała i krwi?

Czy możesz ty jest urodzona tam, na niebie, obok ojca, wielkiego Atona?...

- Posłuchaj, Kijo. Czasem wydajesz mi się istotą z baśni.
- Cóż we mnie jest baśniowego?
- Boję się dotykać ciebie.
- Obejmij mnie.
- Wydaje mi się, że kiedyś obudzę się i nie zobaczę ciebie. Wszystko okaże się snem.
- Obejmij mnie mocniej!
- A może to ja jestem snem?
- Uściśnij mnie mocniej...
- Obudzisz się nagle i mnie nie będzie...
- Zamilcz...
- Będziesz płakała?
- Proszę cię, zamilcz.
- Kijo, będziesz po mnie płakała?
- Zamykam ci usta...

Faraon z każdym dniem silniej zdaje sobie sprawę z tego, że nie może bez niej żyć. Ona jest w jego sercu. Ona — to jego życie. Jakże mógł dotychczas obyc się bez niej? Przyciska wargi do jej ucha i szepce ledwie dosłyszalnie:

- A syna mi urodzisz?
- Urodzę wielu synów. Jestem młoda. I tyś młody. Powinniśmy mieć ich dużo. Bardzo dużo.
- I właśnie syna?
- Tylko syna. Dlatego że cię kocham... A kiedy się kocha, to życzenia podobno się spełniają.
- Tak, to prawda.
- Może już nawet poczęłam syna?
- Może być. Nie miałem syna. Same córki. Nie wiem, co z nim robić.
- Z synem?
- Tak.
- Trzeba dokonać obrzezania...
- To wiem.
- A potem wychować na mocarza.

- W jaki sposób?
- Zostaw to mnie, ukochany mój.
- Zostawię...

Faraon całuje płatek jej ucha. Jędrny jak ziarno bobu...

- Skąd ty masz takie uszko?
- Smaczne?
- Smaczniejsze od miodu.
- Ono jest także twoje, ukochany.
- A to?

Echnaton małym palcem, samym koniuszkiem małego palca, leciuteńko dotyka zagłębienia pośrodku jej brzucha. Małeńkiego zagłębienia na białej czaszy.

- To też moje, Kijo?
- Rozumie się, że tak.
- Całkiem moje?
- Całkiem, całkiem...
- Całkiem, całkiem, całkiem?

Król mówi głupstwa ze szczęścia. Z nadmiaru uczucia. Gorącym policzkiem przytula się do jej brzucha. Całuje to małe, maleńkie zagłębienie, pachnące najlepszymi wonnościami Reczenu. Faraon jest niby pszczoła na kwiatku. I dotyka tego prześlicznego zagłębienia koniuszkiem języka.

Ona się śmieje. Jest jej przyjemnie. Echnaton znajduje się w tej chwili u szczytu szczęścia — ona to dobrze rozumie!

On pyta ją znowu, przekomarzając się:

- A jeżeli umrę?
- Najpierw ja.
- A jeśli ja?
- Ależ ty przecież kazałeś budować dla mnie grobowiec.
- Cóż z tego?
- To znaczy, że ja umrę pierwsza.
- Nieprawda!

I znowu się do niej przytula. I znowu, raz jeszcze, zadaje sobie pytanie: Któż ją wyrzeźbił? Gdzie jest ten wspaniały rzeźbiarz?

Echnaton zamiera z rozkoszy. Obejmuje ją mocno Przywarłszy do niej. Złączywszy się w uścisku... Skądże ona się wzięła? Jakiegoż to artysty jest dziełem? I czemu spotkał ją i przyciągnął ku sobie tak późno?!

Kija odrzuciła ręce nad głowę. Skórę pod pachami ma gładziutką niby morski otoczek. Wygoloną dokładnie przez cyrulika. I sutki jej piersi także uciekają ku gorze, w ślad za rękami. Rozchodzą się nieco ku bokom. Są takie różowe. Bładoróżowe.

Oczy ma przymknięte. Osłabła z miłosnego szału. Albowiem faraon jest silny. Albowiem ona go kocha. Urodzi mu syna. I jeszcze syna. Synów. Ilu on zechce, tylu mu urodzi...

Noc. Głucha noc. Ziemia śpi. Nie śpi tylko straż.. I nie śpi Kija. Nie śpi faraon.

- Zmęczyłeś się?
- Co znowu? Wcale!
- Spragniony jesteś miłości.

Spoglądają w górę. W świetle jednego jedyne kaganka strop wydaje się sklepieniem niebios. Pod którym latają ptaki. Wymalowane ręką Jutiego...

Mija może godzina... Faraon przerywa ciszę:

— Nie mówię, że będę cię kochał wiecznie. Raz już tak mówiłem. Nie tobie. Ale chciałbym ci tego dowieść.

I znowu leżą w ciszy. W milczeniu. Szczęśliwi.

Zapragnął napić się wina. Ona także. Siadają. Pólnadzy. I piją małymi łykami. Małeńkimi. Niekiedy po kropli. Rozkoszują się winem. Jak miłością. Takie dobre wino. „Najlepsze wino Atona w Achetatonie”.

— Posłuchaj — mówi faraon — dzisiaj ogłosiłem edykt. Rozesłałem go do wszystkich heka-chasutów. Do wszystkich prowincji. Rozkazałem wyryć słowa edyktu na granitowych

słupach. I ustawić te słupy we wszystkich prowincjach. A dopóki stać będą te słupy z owymi napisami, poty państwo Kemi będzie całe i niedostępne jak twierdza. Po wiek wieków!

Wspomniawszy o edykcie najjaśniejszy pan podnosi z radością czarę ku górze. Nad głowę. Na wysokość całej wyciągniętej ręki. A potem wypija jednym haustem...

— Jeżeli byliśmy tacy — mówi faraon i zaciska palce w pięść — to teraz, po edykcie, będziemy tacy.

Echnaton zacisnął pięść z całej siły. Aż kostki zbieleły mu na grzbiecie dłoni. Aż zatrzęszczały stawy. Nieduży, ale imponujący kułak. Kija dotknęła go i pogłaskała dłonią. Pochwaliła:

— Ładny kułak!

Faraon jest zadowolony. Bardzo zadowolony. Zobaczymy, co powie brat Suppiluliuma, brat Tuszratia, brat Aziru i inni bracia-wrogowie — niech ich ziemia pochłonie! Kemi jest silne, jednolite jak nigdy. Ale to jeszcze mało. Będzie jak bazalt! Faraon nie usłyszy ani jednego pomruku niezadowolenia. Dyscyplina, dyscyplina i jeszcze raz dyscyplina! Jak w wojsku. Nawet jeszcze ostrzejsza! To jest jedyna droga. Dla Kemi. Innej nie ma i być nie może!

Echnaton nadal z upodobaniem przyglądał się swojej pięści. Razem z Kiją. Kija podzielała jego mniemanie. Tak, w państwie powinna być jedna głowa. Jak powiedział pewien mędrzec w dawnych czasach: „Pozostałe głowy powinny albo słuchać, albo spokojnie odejść do grobu”. Jedna głowa, jedna myśl, jedna wola! A wtedy można spać spokojnie. Pomyślność i szczęście Kemi będzie zapewnione. Hapi zaś będzie płynąć we wszelkich okolicznościach, dopóki na niebie świeci król i władca, wielki Aton...

— Tak to jest! Tak właśnie jest! — powtarza faraon.

A czy Kija wie, kto nasunął mu pomysł tego edyktu? No, ma

się rozumieć, że nie wie, kto nasunął mu pomysł tego edyktu! Ma się rozumieć, że nie wie! Skąd mogłaby wiedzieć, jeśli on nie mówił jej nic, ani słowa, o tym pisarzu Bakurro? Bywa tak niekiedy, że dobrą radę otrzymujemy od kogoś, kto myśli całkiem inaczej. Doradca twój przekonany jest o jednym, a podsuwa ci coś innego. Coś słusznego, twoim zdaniem. Niesłusznego — według jego mniemania...

— Czy nie zdaje ci się, że ten pisarz już jest niepotrzebny?

— Nie! Dlaczegoż to, Kijo? Przeciwnie, ja mu chcę dać awans.

— A to na co?

— Będzie moim stałym doradcą. Tajnym. Doradzi mi jedno, ja zaś może zrobię co innego. To jest człowiek szczery. Tak jak, na przykład, dobrze wypolerowane zwierciadło z brązu. Przecież nie można obywać się bez zwierciadła. Prawda, że nie można?

— Chyba nie.

— A zatem i bez pisarza Bakurro też nie można się obyć. Niechaj się przekona, że Kemi rozkwita wbrew jego słowom. Jemu na złość.

„...Nowy ulubieniec? Niewinny kaprys króla? Jakiś pisarz, nieznany światu, miałby udzielać rad władcy Kemi? To jest tak śmieszne, że nie trzeba o tym mówić. Tylko jednemu Mahu opowiedzieć należy wszystko. Na pewno poczyni odpowiednie kroki. Zrobi to. Mahu zna się na rzeczy...”

Faraon rozmyśla głośno. On może wszystko. Wystarczy, aby zechciał, a Suppiluliuma zostanie starty na proch. Tuszratta zamilknie. A ten piskorz Aziru zniknie z oblicza ziemi. Tylko że Echnaton na razie tego nie pragnie. Totmes III dotarł niemal do samych gór, które wznoszą się za Mitanni. A po co tam chodził? Aby odbierać haracz? Chyba tak. Jednakże haracz przestanie napływać, jeżeli w pobliżu nie będzie garnizonów

wojskowych. Ale i one wystarczą tylko do czasu. W dodatku to, co kosztuje ich utrzymanie, przekracza wysokość haraczu. Jeżeli mówić poważnie, to pewniejsze od wszelkich danin jest zajęcie wrogiego kraju. Nie przez wojsko, lecz przez ludzi, którzy posuwają się za nim. Ale któż by chciał przesiedlić się z Kemi do Azji? Kto? Chyba tylko przestępcy, którym jest wszystko jedno, czy pójdą do kamieniołomów, czy do Azji... Ale tak czy inaczej — nadszedł czas rządów silnej ręki. I Etiopowie także będą musieli się zastanowić, podrapać się za uchem, pohamować swoje zapędy. I Libijczycy też. Krótko mówiąc, Kemi postawi swych wrogów na właściwym miejscu. I zaraz będą mieli kolana jak woda. I wszystkie kości ich staną się jak woda!

Kija słuchała i cieszyła się. Istotnie, dlaczegóż by nie przeciąć tego ciągłego gadania, że król jest tchórzem, że boi się wojny, że woli odwrót niż natarcie. Dlaczegóż by nie rozwiązać rąk Horemhebowi? Ten...

Faraon przerwał jej stanowczo:

— Nie, ja nie mówiłem, że rozpocznę wojnę. O tym nawet nie napomknąłem. Powiem coś innego: Kemi będzie jak ta pięść. Kemi będzie jednolite, z jednym rytmem serc, z jednym oddechem, z jednolitą myślą. Takiego Kemi wrogowie się przestraszą. Bez wojny. Po cóż zatem wojować? Bez potrzeby nie warto! Przecież każdą wojnę — wcześniej czy później — trzeba zakończyć. Ale jak? Sam obmyślisz koniec? Czy też go tobie narzuca? Rozumiesz, Kijo? Wojna to rzecz bardzo, bardzo trudna!

Tak, ona zdaje sobie z tego sprawę. Ale przecież... Czy koniecznie trzeba bez końca powstrzymywać Horemheba? Jeżeli ręce go świerzbią, to szczęśliwej drogi! Szlak do Azji stoi otworem. Do Etiopii także...

— Drogi wojny są zawsze otwarte — powiedział faraon znacząco. — Hapi wylewa nie wtedy, kiedy się mu podoba, lecz

w określonym czasie. Święta rzeka wybrała sobie na to miesiąc tot. Nie epifi ani mesore. Tylko tot. Zapamiętaj to, Kijo. Myśl jego nie wymagała dalszych wyjaśnień.

— A jeszcze i to weź pod uwagę, Kijo: dla ujarznienia innych krajów i ludów nie wystarczy sam oręż. Ani bojowe rydwany. Tarcze nie do przebiccia. Kopie i strzały. Proce i maczugi. Kiedy ruszaliśmy na Azję, każdy żołnierz, oprócz oręża, niósł ze sobą swego boga: jeden Amona, drugi Atuma, trzeci Anubisa, inny Tota, inny znów Ra-Hora-Achuti, jeszcze inny Ozyrysa albo Izydę, Szu lub Maat. I nie tylko Azjaci, ale i my sami nie rozumieliśmy swoich własnych wojowników. A teraz? Teraz wszyscy wyznają jedyne i wielkiego boga naszego, który świeci na niebie i który obrał sobie mnie za swego jedynego syna.

Kija chwyciła rękę króla. Całowała tę rękę. Namiętnie. Go-rąco. A on jej nie cofał. Nie chował ręki.

— Powiedziałem ci, Kijo: wielki Hapi wybrał na wylew miesiąc tot. Powiadam ci, sam wybiorę miesiąc, w którym żołnierze moi rozleją się na podobieństwo wód Hapi: w stronę Ta-Keft i w stronę Etiopii, i w stronę Mitanni. I dalej. I dalej. Na wschód. Na zachód. I morza będą nam posłuszne. Keftiu oraz Isi będą tak samo jak Sais i Ej-n-ra nasze, całkowicie nasze! Podobnie jak stopnie schodów, które wiodą coraz dalej i coraz wyżej.

— Tak, tak, tak — szeptała Kija tuląc się do niego.

Przed oczyma króla stawały nieograniczone przestrzenie Ta-Neter i Morza Zachodniego, i państw Wschodu, i wszystkich państw Ta-Keft — bogatych i ludnych...

Tachura znowu pisze

Najdostojniejszy i najmędrzy panie mój, którego kocha i zawsze słucha jego pokorny sługa Tachura, obecnie handlujący towarami w wielkim Kemi!

Tachura modli się do bogów, by zesłali tobie i całej twojej rodzinie taką pomyślność, jakiej tylko ty jesteś godzien. I bogowie słuchają moich modłów, które są prośbami niewolnika twego, kupca Tachury.

Towary sprzedają. Nie można powiedzieć, że szybko. I nie można powiedzieć, że powoli. Kupiec, do którego przybyłem, wielki kupiec tej ziemi, jest w dobrym zdrowiu. Dobrze kupuje moje towary. I oby tak zawsze było! Kupiec tej ziemi, jak wiadomo z całą pewnością, odznacza się obecnie tęgim zdrowiem. Pomocnicy jego mają nadzieję mu służyć mówiąc: Oto pan nasz, biegły w sprawach handlowych, silny jest duchem i sercem swoim.

Ci zaś z jego pomocników, którzy mieli nadzieję zastąpić pana na stanowisku, teraz upadli na duchu. Albowiem zapowiada się, że pan ich przeżyje dużo lat. Jeśli z jakiegoś powodu nie stanie się tak z woli bogów, to mój poprzedni list o jego pomocnikach pozostaje w mocy. Ci pomocnicy, nie zważając na nic, mocno współzawodniczą między sobą. Na kogóż oni liczą? Na swój lud? Jednakowoż muszę donieść z radością, iż lud ten drzemie. I to jest pomyślne dla ciebie, królu, albowiem pałac

tutejszy ze swymi intrygami żyje w odosobnieniu, niejako sam dla siebie, lud zasię tego kraju ze swymi troskami — także osobno, sam dla siebie.”

Tachura nagle połapał się, że napisał zbyt otwarcie. Oj-oj-oj, w ten sposób, ani się obejrzyć, można stracić głowę! Spalił papirus, wziął drugi i zaczął pisać na nowo pismem aramejskim.

„Na kogóż oni liczą? Na nabywców, na ludzi? Jednakowoż mogę donieść z radością, że ludzie nie biorą szczególnego udziału w handlu jarmarcznym. Wszystko im teraz jedno, kto będzie właścicielem sklepu.

Spieszę również donieść, że twój pokorny sługa dowiedział się o tym, że główny kupiec, o którym mówię, zamierza wzmocnić dach swojego sklepu. A do tego jeszcze podeprzeć ściany nowymi podporami tak mocno, aby sklep nie tylko dobrze służył, ale by budził zazdrość, a nawet strach u sąsiednich kupców. A strach ten, jak wiadomo ci doskonale, rodzi się stąd, że jeden kupiec robi się bogatszy i silniejszy, a wtedy dąży usilnie do tego, aby zgnieść swoich konkurentów w sprawach handlowych.

Tak mówili dzisiaj ludzie, dobrze obeznani ze sprawami handlowymi.

Pozostaję niewolnikiem twoim pokornym, posłusznym twojemu słowu, w nadziei na wiadomości od ciebie.

Kupiec Tachura

Pisano w mieście Achetatonie w miesiącu paopi, siedemnastego roku panowania króla Nefer-cheper-Ra Wen-Ra Echnatona.”

Pełna gotowość

Sennefer wszedł milczący, nieco zbyt sztywny w krzyżu. W milczeniu skinął głową gospodyni. Milcząc wchodził po schodach na górę.

Ka-Nefer rozsunęła lnianą zasłonę. W pokoju zrobiło się widniej. Jaskrawy blask wieczornego nieba zajaśniał w szerokim prostokącie okna.

Nefteruf siedział w kącie. Paraschita zrazu go nie zauważył. Ale dostrzegłszy skinął mu głową. Także w milczeniu.

— Jesteśmy sami w domu — powiedziała Ka-Nefer. — Mąż poszedł do Tihotepa.

— Po co? — zapytał ostrożny Sennefer.

— Tihotep urządza zaręczyny z dziewczyną ze sklepu Usercheta.

— Jesteśmy zatem sami?

— Jesteśmy tu we troje. — Ka-Nefer uśmiechnęła się.

„...Piękna, zbyt piękna kobieta. Jeśli zbyt piękna, to pewnie i zbyt płocha. Jak Szeri mógł jej zaufać? A Nefteruf? Czy może ręczyć za swoje zmysły mieszkając z nią pod jednym dachem? Mężczyzna w pełni sił i piękna kobieta — taka para jest niebezpieczna dla sprawy. To zupełnie tak samo, jak siedzący w jednej łodzi Hetyta i Kemijczyk. To zupełnie tak jak Amon i Aton w tej samej świątyni...”

Sennefer zmierzył chłodnym, baczny spojrzeniem piękną

Ka-Nefer i podobnego do lwa Nefferufa. Spojrzenie to nie było przychylnie.

„...Albo mu się zbytnio spodobałam, albo jest na mnie zły. Ale za co? Jest, jak widać, bardzo ostrożny. Ostrożny jak lew u wodopoju. Zjawił się w domu, gdzie nigdy jeszcze nie był. To człek podejrzliwy. Nauczony doświadczeniem...”

„...Sennefer jest, zdaje się, zaniepokojony. Albo oszołomiony. Staruszek wygląda, jakby języka w ustach zapomniał. Siedzi tutaj. Siedzi i rozgląda się w milczeniu. Oto siedzi z duszą na ramieniu. A w oczach jego czai się lęk...”

Sennefer aż drgnął, gdy na dole rozległy się kroki. Był to Szeri. Który umiał wyczekiwać jak pająk. Przekroczywszy próg, powiedział:

— Witajcie wszyscy, którzy jesteście pod tym dachem.

Głos jego brzmiał twardo. Dźwięczał niby brąz. Zdawało się, że przed chwilą zstąpił z niebios, gdzie królował w czystych sferach.

Szeri posadził Ka-Nefer obok siebie. Objął ją ramieniem niby własną córkę. Gestami poprosił starca oraz byłego skazańca, aby przysunęli się bliżej. I usiedli wszyscy czworo — głowa przy głowie, czoło przy czole. Utworzyli tak ciasne koło, że słyszeli, jak biją ich serca. A serca te były głośno. I od tej chwili już przestała istnieć piękna kobieta. Nie było też mężczyzn. Byli tylko spiskowcy. Tylko oni!

Szeri wydostaje z zanadrza kawałek papirusu. Taki spory kawałek: omage na szerokość, dwa omage i jeszcze jeden pat na długość. Rozkłada ten papirus na podłodze. Na papirusie widać prostokąty. Narysowane wprawną ręką. Rysował je człowiek o bystrym oku. Jak u sępa. Szeri posługiwał się dwoma kolorami: czarnym i czerwonym.

— Widzicie?

Wskazał palcem największy z prostokątów.

— Co to jest? — zapytał Nefferuf.

— To jest pałac. A tutaj — Szeri przesunął palec — o tutaj most wiszący. Znacie ten most. Przechodzi pod nim Droga Faraona. Słuchajcie dalej. Jutro rano przez tę bramę wyjdzie ten, z powodu którego zebraliśmy się dzisiaj. Ta wąska brama zaznaczona jest na czerwono. A to jest mur, który ciągnie się wzdłuż Drogi. Od bramy do mostu jest dziesięć kroków. Albo dwanaście małych. W tym miejscu będzie na niego czekał bojowy rydwan. Zazaczyłem to miejsce kolorem czerwonym. To kolor krwi. A tutaj stoi sykomora. O tu. Zrozumiałeś mnie, Nefferufie?

Nozdrza byłego skazańca rozděły się nagle. Przymknęła oczy jakby w upojeniu. I wyszeptał:

— Napiję się jego krwi. Napiję się jego krwi...

— Tak, zemścisz się, Nefferufie. Wyzwolisz Kemi od tego potwora.

Tak powiedział Szeri. To były jego słowa. Nie czyjeś. Skoro Szeri, pomyślał, skoro wyraził swoje myśli głośno, dla wszystkich — to znaczy, iż wie, co mówi, kiedy mówi i do kogo mówi.

Nefferuf wyjaśnił:

— Będę stał pod sykomorą. Pójdę prosto ku rydwanowi od sykomory. Bez pośpiechu. Ale gotów przyśpieszyć kroku...

— ...jeżeli będą tego wymagały okoliczności — dodał Szeri.

— Jeżeli okoliczności będą tego wymagały — powtórzył były skazaniec. — Nóż będę miał na piersi. Ostrzyłem go cały tydzień. To jest nóż hetycki. Można się nim golić, taki jest ostry. To prawdziwy nóż Hetytów. Z ich stolicy Hattusas. Sprzedał mi go kupiec imieniem Tachura. Powiedziałem mu, że jestem rzeźnikiem. A on rzekł: „Ten nóż w mgnieniu oka zwali z nog hipopotama, który żyje w bagnach Południa”.

Powiedziałem mu: „Ja właśnie jestem myśliwym, polującym na hipopotama”.

— Pokaż nam ten nóż. Pokaż nam, gdzie go nosisz.

Nefteruf cofnął się nagle. Jak gdyby skoczył do tyłu.

I znalazł się o dwa kroki od papirusu. Klęczał, z lekka odrzuciwszy głowę i wypiąwszy pierś.

— Nóż jest ze mną!

Wyrwał nóż — i nikt nie zdążył nawet zauważyć, skąd wyskoczyło to ostrze, wąskie jak żądło żmii.

Nefteruf położył sobie nóż na wielkiej dłoni o grubej skórze i podsunął go każdemu niby smakołyk. Zdaniem mężczyzn nóż był niezrównany pod każdym względem... A Ka-Nefer nie mogła opanować drżenia.

— To śmierć. To śmierć — powiedziała z cicha.

— Tak, to jest śmierć! — Nefteruf schował nóż. — A to jest czareczka.

Mówiąc to, wydobył, też nie wiadomo gdzie ukrytą, glinianą czarkę. Taką malutką.

— Napiję się jego krwi — powiedział z zadowoleniem.

Szeri spojrział na niego bystro:

— Jak to — krwi?

— Bardzo zwyczajnie: napełnię czarkę i wypiję. Będzie dla mnie słodsza od miodu.

— Niech pije — rzekł Sennefer. — Niech pije.

— Łyknę jego ciepłej krwi. Zanim zabiją mnie strażnicy...

„...Co za okropność! On mówi o swojej śmierci, jakby wybierał się na cudzy pogrzeb. Ja bym tak nie potrafiła! Nigdy bym nie potrafiła!... A Szeri? A Sennefer? Czy potrafiliby?...”

Na pewno nie. Na pewno nie...”

— Będę w pobliżu — cicho powiedział Szeri. — Jednego ze strażników położę ja. Tego, co podniesie rękę na ciebie.

— Nie! — odparł Nefteruf. — Tak nie można! Nie wolno,

aby umierali wszyscy! Któż będzie działał dalej? Nie. Szeri, tyś nie powinien się do tego mieszać. Inna sprawa, jeżeli ja chybię. Albo jeżeli chwycą mnie za rękę, zanim zadam cios...

Każdy z czworga spiskowców zastanawiał się nad tymi słowami. Zawierały prawdę. Tego właśnie wymagał zdrowy rozsądek. Nie można inaczej. Nie wolno, aby spisek pozostał bez głowy.

Co innego interesowało Ka-Nefer. Rozważała coś głęboko, coś chyba bardziej istotnego. Wreszcie zwróciła się do Szeriego:

— A jeżeli... A jeżeli faraona tam nie będzie? Wszak może stać się coś takiego. Faraon może rozmyślić się w ostatniej chwili i zostać w pałacu. Czy może, powiedz, Szeri?

Szeri odparł bez namysłu:

— Może, Ka-Nefer, może! I dlatego bierzemy pod uwagę inne sposoby. Jego jasność Mahu będzie uważnie obserwował wszystko. Wskoczy mu na czoło dziesięcioro nowych oczu. Jeśli ten potwór zmieni zamiar i nie pojedzie, wówczas śmierć dosięgnie go w sypialni, w sali — dużej czy małej — w korytarzu, na ganku, na alejce w parku! To postanowione!

Szeri akcentował każde słowo. O, w tych chwilach okazał się człowiekiem wielkim i silnym!

Oto siedzi wyprostowany. Mówi spokojnie. Oddycha miarowo. I twarz jego nie zdradza najmniejszego wzruszenia. Inaczej Nefteruf. Ten cały płonie, oczy ma wytrzeszczone, sapie niby bawół w bagnie, zgrzyta zębami.

Sennefer jak gdyby rozmyśla głośno:

— Pod bramą... Niedaleko wiszącego mostu... O dwa kroki od bojowego rydwanu... Cios w plecy... Między łopatki... Mahu będzie w pogotowiu... — Nagle starzec podnosi oczy ku górze, chwytą papirus. — A jeśli nie będzie?

Wpija się wzrokiem w Szeriego. Jakby go chciał porazić tym spojrzeniem. Jeszcze chwila — i rzuci się na niego w napadzie wściekłości. Jak lampart.

- Kto nie będzie, Senneferze?
- Mahu... Jeżeli Mahu nie będzie w pogotowiu?
- Przysiągł nam, Senneferze.
- To dobrze, że przysiągł. Ale jeżeli... jeżeli...
- Niepodobna, Senneferze!
- A jednak?!
- Mówisz rzeczy niemożliwe!
- Szeri, a jeśli?... No, a jednak, Szeri! Co? Pomyśl...

Szeri jest pewny. Jest święcie przekonany. Odrzuca to, co uważa za niepodobieństwo.

- No, a jeśli? No, a jeśli, Szeri?

Trzy pary niespokojnych, zalęknionych oczu rzucają na niego nieme spojrzenie. Jak gdyby z zasadzki. Ci ludzie czekają na odpowiedź z zapartym tchem. Nie bez obawy. Można by pomyśleć, że oczekują na skok rozwścieczonej pantery. A czyż niesłusznie? Król jest chyba gorszy niż pantera! Wtedy nie miałby litości dla nikogo!

Logika Szeriego-spiskowca jest nieodparcie jasna: Mahu w razie niepowodzenia sam zapłaci życiem. On w pierwszym rzędzie... Można zadać sobie pytanie: czy zdrada nie jest możliwa? Rozumie się, że wolno zadać i takie pytanie. Zdrady nigdy nie można wykreślić z rachuby. Zdrajca zawsze się znajdzie. Jeśli jednak mowa o Mahu, to wszelkie podejrzenia w stosunku do niego należy odrzucić. Bezwzględnie odrzucić. Szeri ma po temu dość podstaw... W tym spisku bierze udział ściśle ograniczona liczba osób. To nie jest powstanie, lecz właśnie spisek. Nie obejmuje on nikogo prócz spiskowców, związanych odpowiedzialnością zbiorową. W tym tkwi cała zaleta sprawy. Można by, rzecz prosta, rzucić hasło i skrzyknąć wszystkich niezadowolonych pod sztandary wielkiego powstania. Ale to nie

jest odpowiednia droga. Tam gdzie do sprawy wchodzi się lud, nie można oczekiwać nic dobrego. Mówimy o rzeczy całkiem określonej: o nieubłaganej zemście ludzi znakomitych i sławnych, poniżonych przez faraona-potwora. Ponieważ spisek ogranicza się do bardzo szczupłego kręgu ludzi, jego powodzenie zależy tylko od tego szczupłego kręgu. I nikogo prócz nich nie dotyczy. Oto dlaczego Szeri jest pewny i odrzuca myśl o zdradzie.

— O ile tylko — kończy Szeri ponuro — o ile nie ma zdrajców wśród nas. — I nagle rzuca brutalnie, ostro, obraźliwie: Ty, Nefterufie?

— Ja? — mówi były skazaniec. — Ja?... Nigdy!

— Może ty, Senneferze?

Sennefer jest zimny jak bazaltowa skała.

— A może ty, Ka-Nefer?

Młoda kobieta przeczy ruchem głowy. Tak od niechcenia...

— I ja także nie — powiedział Szeri. — Mahu też nie! Czego wam jeszcze trzeba?

„...To nasze szczęście, że jest z nami Szeri. W porównaniu z nim Nefteruf, ten piękny samiec, wygląda na człowieka nierozgarniętego, bezmyślnego. Jest zbyt gorący. Uczucia przesłaniają mu rozum... A Sennefer jest za stary. I zanadto wątpliwy, słaby.”

Ka-Nefer skrupulatnie rozważa słowa Szeriego. Zgadza się z nim. Gotowa jest iść za nim wszędzie.

— Teraz jesteście już pewni? — pyta Szeri.

— Tak — odpowiadają jednocześnie Nefteruf i Sennefer.

— W takim razie precz z wszelkimi wątpliwościami! Mocniej bijcie, serca! Twardsze stańcie się, ręce! Godzina nadchodzi!

Szeri mówi niezbyt głośno, ale wydaje się, że słucha go cała kraina Kemi, od Delt aż do pierwszej katarakty.

— Napiję się jego krwi — były skazaniec powtarza swój nieugięty zamiar. — Nie powstrzymam się od tego, choćby mi to nie wiem jak odradzano!

— Wcale ci nie odradzamy — mówi Szeri.

— To dobrze! To dobrze!

Na ulicy rozległy się przytłumione głosy. Ktoś zastukał do drzwi. Ka-Nefer w mgnieniu oka zerwała się ze swego miejsca i zbiegła na dół. Szeri uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

— Zjawił się — rzekł krótko. — Mahu dotrzymuje słowa.

Szeri powiedział to nie wyjrzawszy na ulicę. Nawet nie odwróciwszy głowy.

Tak, zjawił się Mahu we własnej osobie. Przepuścił Ka-Nefer przez drzwi, ale nie przestąpił progu. Został tam.

Szeri odwrócił się ku niemu powoli ze słowami powitania. Nie wstawał. Podczas gdy Neferuf i Sennefer podnieśli się i z uszanowaniem pochylili głowy.

Mahu sapał. Jak zwykle. Ubrany był w strój codzienny. Nawet skromny. Ale ozdoby miał na sobie kosztowne. Naszyjnik z krwawników. Złote i srebrne pierścienie na palcach. U pasa miecz w pozłacanej pochwie.

W milczeniu rozejrzał się po pokoju. Nie mówił nic. I trudno było odgadnąć, w jakim jest nastroju przed wielką godziną.

— Omówiliście to? — zapytał.

I wskazał palcem kawałek papirusu.

— Tak — odpowiedział Szeri.

— Neferuf jest gotów?

— Tak, gotów.

— A ty, Szeri?

— Co za pytanie?

— Jeśli pytam, to znaczy, że tak trzeba.

— I jam gotów.

Zadając te pytania Mahu stawał się coraz bardziej uroczysty.

Głos jego brzmiał coraz bardziej pewnie i stanowczo.

— Słuchajcie mnie wszyscy! — Mahu wznosił rękę ku górze. — Słuchajcie uważnie. Nie puszczajcie ani jednego słowa mimo uszu swoich. — Coś okrutnego, coś radosnego, a zarazem ponurego i wzniosłego narastało w całej postaci Mahu, odbijając się w jego spojrzeniu, w głosie jego i na czole. — Słuchajcie więc: Najjaśniejszy pan, władca Górnego i Dolnego Kemi...

Kołaczą serca. Nie, niepodobna słuchać Mahu dłużej! Serce nie wytrzyma! Prędziej, prędziej, Mahu!

— Najjaśniejszy pan umarł!

— Co?! — Szeri wstał. — Coś ty powiedział, Mahu?

Reszta obecnych oniemiała z wrażenia. Ka-Nefer oparła się plecami o ścianę. Aby nie upaść.

— Jest jeszcze ciepły — rzekł z radosnym szyderstwem Mahu. I zaglądając każdemu z nich kolejno w oczy, jakby pragnąc upewnić ich o prawdzie swoich słów, mówił dalej: — Kija jest niepokieszona. Szlocha.

W rozpacz. Eje milczy, tak jak wy milczycie.

Szeri wybełkotał:

— Umarł?... Umarł sam?

— Tak. Chwycił się za serce. Chciał coś powiedzieć, ale w gardle tylko mu zbulgotała ślina. Był mokry od potu. I blady jak papirus. A kiedy nachyliła się nad nim Kija...

Epilog

Nie tak dawno w paryskim Luwrze zauważyłem znajomą twarz. Poznałem ją z daleka. Gdzie ja ją przedtem widział?

Oto jest coraz bliżej, coraz bliżej...

Tak, to był on!

Z głęboką raną na czole. Roztrzaskany czyjąś ręką na kilka części i na nowo przez kogoś pieczołowicie złożony. Taki biały, taki gipsowy...

Spoglądał na drzwi. Jak gdyby wystraszony. Oczy trochę wytrzeszczone. Szyja wyciągnięta do przodu...

Tak faraon Echnaton ukazał mi się w jeszcze jednej swojej postaci. I przypomniały mi się słowa doktora Hasana Bakri, który powiedział do mnie w kairskim muzeum przed ogromnym popiersiem faraona: „Teraz będzie go pan spotykał bardzo często”. To prawda: widuję się z nim w różnych miastach i w różnych książkach. Zupełnie jak z żywym...

Tak, faraon zmarł w owym dniu. Nieoczekiwanie dla przyjaciół. Nieoczekiwanie dla wrogów. Ale państwo Kemi żyło dalej. I żyło jeszcze bardzo długo. Co prawda — w ciągu następnych stuleci — raczej siłą inercji.

A w początkach naszej ery — kiedyś straszne dla swych sąsiadów — Kemi leżało zupełnie obozwładnione. Jak gdyby w półśnie. W prochu.

I wielu zadawało sobie pytanie: gdzież jego potęga? Gdzie wycwiczony przez srogiego faraona lud jego?

I czy ono w ogóle istniało naprawdę? Zapytywali tak, chociaż ciągle jeszcze stały olbrzymie pomniki Dzesera, Chufu, Chefrena!

Dawną jego wielkość pokryła straszliwa warstwa niebytu. A drobne pyłki wszechświata — Echnaton i Nefertiti — zmieszały się z piaskiem pustyni. Imion ich dotknęła anatema, gdy Amon-Ra ponownie zasiadł na swoim wspaniałym tronie, a jego kapłani odzyskali należne stanowisko. Zdany na wolę wichrów i piasków pustyni Achetaton zniknął, jak gdyby nigdy nie istniał na świecie. Więcej: Echnaton i Nefertiti pozbawieni zostali nawet wiecznych schronień — grobów, należnych swemu dostojństwu. To znaczy, iż stało się coś takiego, co nie mieściło się w świadomości Egipcjanina, stało się coś najgorszego, co mogło spotkać śmiertelnika w Kemi. I my dzisiaj staramy się odgadnąć, do kogo należy na wpół spróchniały szkielet: do Echnatona, do Smenkare czy do kogoś innego?...

Ale bądź co bądź pięciomilionowy naród, bezpośredni spadkobierca starożytnych Egipcjan, żył nadal. Z trudnością odszukując w pamięci własną przeszłość. Nie usiłując spojrzeć w przyszłość.

Wystarczyło, iż w roku 641 ukazała się nad brzegami Hapi armia, licząca trzy tysiące arabskich jeźdźców Amra, aby bezpowrotnie zginęła epoka, chociaż luźno, ale przecież związana z wielkim Kemi. I w kraju pracowitych pisarzy nie znalazł się skryba, który — odważnie nakreśliwszy linię — napisałby nieuniknione w takich razach słowo: Koniec.

Agudzera—Kair—Moskwa

1964—1967

